

Porywający prequel obsypanej nagrodami gry komputerowej stworzonej przez BioWare!

MASS EFFECT™

EFEKT MASY



OBJAWIENIE

DREW KARPYSHYN

Najpopularniejszy autor według *New York Timesa*
i główny twórca fabuły gry Mass Effect

DREW KARPYSHYN

MASS EFFECT

OBJAWIENIE
(MASS EFFECT: REVELATION)

Przełożył: Wojciech Puśłowski



Wydawnictwo: ISA 2010

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

PROLOG

JEDEN

DWA

TRZY

CZTERY

.5.

.6.

SIEDEM

OSIEM

.9.

.10.

.11.

.12.

.13.

.14.

.16.

.17.

.18.

.19.

.20.

.21.

.22.

EPILOG

Mojej żonie, Jennifer

Kiedy pogrążam się w twórczym szaleństwie, nigdy nie zrzędzisz, żebym włączył pralkę i wyjął pranie. Nigdy nie denerwujesz się, kiedy zapomnę pozmywać naczynia, nie wściekasz się, kiedy nie pomagam Ci w ogrodzie. Zawsze mogę na Ciebie liczyć, kiedy chcę, żebyś przeczytała i zrecenzowała wszystko, co napiszę. Zawsze mnie wysłuchujesz, kiedy peroruję o swoich szalonych nadziejach i obawach, nawet, jeśli w tym celu budzę Cię w środku nocy.

To właśnie wszystkie te rzeczy, które robisz, by mi pomóc i podtrzymać mnie na duchu sprawiają, że jesteś dla mnie kimś naprawdę wyjątkowym. I właśnie dlatego Cię kocham.

PROLOG

– Zbliżamy się do Arcturusa. Przystąpić do wygaszenia rdzenia napędu nadświatelnego.

Konradmirał Przymierza Jon Grissom, najślawniejszy człowiek na Ziemi i jej trzech nowopowstałych międzygwiazdnych koloniach, zadarł głowę do góry, kiedy z głośników pokładowego interkomu rozległ się głos sternika okrętu SSV „New Delhi”. Sekundę później, poczuł niemożliwe do pomylenia z czymkolwiek innym uderzenie fali zmniejszenia prędkości, kiedy generatory pola efektu masy okrętu, zaczęły wytracać moc. „New Delhi” wyhamował z prędkości podróży nadświatlnej i zaczął poruszać się z szybkością łatwiejszą do zaakceptowania w einsteinowskim wszechświecie.

Przez mały wizjer kabiny wpłynęła do środka dobrze znana, upiorna poświata wszechświata przesuniętego ku czerwieni, w miarę zmniejszania prędkości, nabierając coraz chłodniejszego odcienia. Grissom nienawidził wizjerów. Okręty Przymierza sterowane były za pomocą umieszczonych na pokładzie przyrządów nawigacyjnych, które w żadnej mierze nie wymagały wizualnego oglądu świata zewnętrznego. Ale w kadłubach wszystkich jednostek umieszczano parę niewielkich wizjerów i co najmniej jedno duże okno, najczęściej na mostku, co było ustępstwem wobec staroświeckich ideałów kosmicznych podróży.

Przymierze troskliwie pielęgnowało te romantyczne ideały, ponieważ miały one korzystny wpływ na rekrutację. Dla ludzi na Ziemi niezbadany ogrom kosmosu, wciąż był czymś niezwykle i cudownym. Międzygwiazdna ekspansja ludzkości była odkrywczą, wspaniałą przygodą, a wszystkie tajemnice galaktyki tylko czekały na to, żeby je ujawnić.

Grissom wiedział, że prawda była o wiele bardziej złożona. Sam wielokrotnie odczuł, jak cudownie lodowate mogły być przestrzenie galaktyki. Wspaniałe i przerażające zarazem. Wiedział też, że ludzkość nie dojrzała jeszcze do tego, by móc stawić czoło pewnym rzeczom. Tajna transmisja z bazy na Shanxi, którą odebrał tego ranka, była na to najlepszym dowodem.

Pod wieloma względami ludzkość przypominała małe dziecko, naiwne i chronione przez innych. Nie było w tym nic zaskakującego. W przeciągu długiej historii rodzaju ludzkiego, zaledwie dwa stulecia temu, człowiekowi udało się zerwać więzy łączące go z Ziemią i wkroczyć w otaczającą ją zimną próżnię kosmosu. A prawdziwe podróże międzygwiazdne,

pozwalające dotrzeć do miejsc znajdujących się poza Układem Słonecznym, stały się możliwe w ciągu ostatniego dziesięciolecia. Niecałego dziesięciolecia, dokładnie mówiąc.

Zaledwie dziewięć lat temu, w roku 2148, w kopalni na Marsie odkryto znajdujące się głęboko pod powierzchnią planety, pozostałości dawno opuszczonej stacji badawczej obcych. Zostało to ogłoszone najdonioślejszym odkryciem w całej historii ludzkości, uznano to za zdarzenie, które na zawsze wszystko zmieni.

Ludzkość po raz pierwszy uzyskała niezbity, niepodlegający dyskusji dowód na to, że nie jest we wszechświecie sama. Wszystkie światowe media żarłocznie rzuciły się na ten temat. Kim byli ci tajemniczy obcy? Gdzie są teraz? Czy wyginęli? A może kiedyś powrócą? Jaki wpływ mieli w przeszłości na ewolucję człowieka? I jaki wpływ będą mieć na przyszłość ludzkości?

Odkrycie to uderzyło we wszystkie główne ziemskie religie. W jednej chwili, powstały dziesiątki nowych systemów wiary, z których większość oparta była na założeniach Ewolucjonistów Interwencyjnych, którzy gorliwie ogłosili, że odkrycie tych pozostałości jest dowodem na to, że ludzkość w przeciągu całej swojej historii była sterowana i kontrolowana przez obce siły. Wiele spośród istniejących już systemów religijnych, usiłowało wytłumaczyć istnienie gatunków obcych istot inteligentnych, językami swoich istniejących już mitologii, inne zdecydowały się napisać na nowo swoją historię, swoje wierzenia i kredo w świetle nowego odkrycia. Najbardziej uparci odmówili przyjęcia do wiadomości tej prawdy, ogłaszając, że marsjański bunkier jest świecką mistyfikacją, która ma na celu sprowadzenie wiernych z drogi prawdziwej wiary. Nawet teraz, prawie dekadę później, większość spośród religii wciąż próbowała jakoś dojść z tym faktem do ładu.

Interkom znowu zachrypiał, przerywając tok myślenia Grissoma i odrywając jego spojrzenie od znieawidzonego wizjera – znów zadarł głowę do góry i spojrzał na umieszczony w suficie głośnik.

– Mamy pozwolenie na dokowanie na Arcturusie. Przewidywany czas przybycia za około dwanaście minut.

Zaledwie niecałe sześć godzin zajęła im podróż z Ziemi do Arcturusa, największej bazy Przymierza poza granicami Układu Słonecznego. Większość spośród tego czasu, Grissom spędził pochylony nad ekranem komputera, przeglądając bieżące raporty i akta osobowe załogi.

Podróż ta została zaplanowana wiele miesięcy temu, jako wydarzenie natury public relations. Przymierze chciało, by Grissom wystąpił przed pierwszym rocznikiem rekrutów, kończących Akademię na Arcturusie – miało być to symboliczne przekazanie pałeczki z rąk dawnej legendy, w ręce przywódców przyszłości. Ale odebrana na parę godzin przed odlotem wiadomość z Shanxi radykalnie zmieniła pierwotny plan podróży.

Ostatnie dziesięciolecie było dla ludzkości prawdziwym złotym wiekiem, przypominało jakiś wspaniały sen. A teraz właśnie on, Grissom, miał obudzić ludzi w ponurej, groźnej rzeczywistości.

„New Delhi” prawie dotarł do miejsca swojego przeznaczenia. Nadszedł czas, by opuścić bezpieczną samotnię prywatnej kabiny. Przeniósł dane personalne z terminalu na mały optyczny dysk i wsunął go do kieszeni bluzy munduru. Potem wylogował się z bazy danych, odepchnął się od poręczy fotela i sztywno stanął na nogach.

Jego kajuta była ciasna i zagracona, a stanowiska, przy którym pracował, nie można było nazwać wygodnym. Przestrzeń na jednostkach Przymierza była ściśle limitowana, prywatne kabiny zwykle przysługiwały jedynie kapitanom okrętów. W czasie większości misji, nawet ważne osobistości musiały korzystać z ogólnie dostępnej mesy i wspólnych miejsc do spania, które przypominały podwieszane pod sufitem kokony. Ale Grissom był żywą legendą i dla niego można było zrobić wyjątek. Na czas stosunkowo krótkiej podróży na Arcturusa, kapitan odstąpił mu własną kajutę.

Grissom przeciągnął się, rozprostowując zdrętwiałe plecy i ramiona. Admirał przekręcał głowę we wszystkie strony, dopóki nie usłyszał odgłosu satysfakcjonującego chrupnięcia w karku. Błyskawicznym spojrzeniem skontrolował w lustrze stan swojego munduru – rozgłos zobowiązywał do dbałości o wygląd – a potem wyszedł z kajuty i skierował się, w stronę umieszczonego na dziobie mostku okrętu kosmicznego.

Członkowie załogi przerywali swoje zajęcia, żeby stanąć na baczność i zaszalutować mu, kiedy przechodził obok ich stanowisk. Odpowiadał na oddawane mu honory prawie tego nie dostrzegając. W ciągu ośmiu lat, od chwili, kiedy stał się bohaterem całego ludzkiego rodzaju, wyrobił w sobie instynktowną zdolność przyjmowania gestów szacunku i podziwu praktycznie bez przyjmowania ich do wiadomości.

Myśli Grissoma wciąż krążyły wokół tego, jak bardzo wszystko zmieniło się, od chwili odkrycia na Marsie bunkra obcych... nie było w tym nic dziwnego, biorąc pod uwagę niepokojące doniesienia z Shanxi.

Ujawnienie faktu, że ludzkość nie jest sama we wszechświecie, nie uderzyło tylko w ziemskie religie, miało także dalekosiężne skutki natury ściśle politycznej. Podczas, gdy religie pogrążyły się w chaosie schizm i powstawania dziesiątek ekstremalnych grup wyznaniowych, w politycznym sensie odkrycie to zbliżyło do siebie ludzi z całego świata. W jakiś podstawowy, fundamentalny sposób zjednoczyło mieszkańców Ziemi, spowodowało wzrost i nagłą kulminację narastającego w ciągu ostatniego stulecia poczucia globalnej tożsamości kulturowej.

W przeciągu roku napisano statut ludzkiego Przymierza Układów – pierwszej ogólnej, globalnej koalicji – który został ratyfikowany przez rządy siedemnastu największych państw

Ziemi. Po raz pierwszy w historii, Ziemianie zaczęli postrzegać się jako jedną, zbiorową społeczność. Poczuli się ludźmi, stawiając się w opozycji do innych gatunków istot inteligentnych.

Wkrótce potem, powstały Siły Wojskowe Przymierza Układów, zorganizowane w celu ochrony i obrony Ziemi i jej mieszkańców przed pozaziemskimi zagrożeniami. SWPU korzystały ze sprzętu i zasobów kadrowych niemal wszystkich militarnych organizacji planety.

Byli i tacy, którzy utrzymywali, że nagła unifikacja różnych ziemskich rządów w jednolitą polityczną jednostkę nastąpiła zbyt szybko i zbyt gładko. Sieci informacyjne zaroily się teoriami, według których bunkier na Marsie został odkryty na długo przed oficjalnym ogłoszeniem tego faktu, a doniesienie o wydobyciu go na powierzchnię przez jednostkę górnictwa, było jedynie opublikowaną we właściwym czasie przykrywką. Zwolennicy tych teorii twierdzili, że utworzenie Przymierza było w istocie ostatnim aktem trwających od wielu lat, a może nawet dziesięcioleci, tajnych negocjacji i sekretnych, nieoficjalnych ustaleń międzyrządowych.

Opinia publiczna traktowała jednak takie poglądy jako wynik paranoicznej, spiskowej teorii dziejów. Większość ludzi wołało żywić idealistyczne przekonanie, że odkrycie bunkra stało się katalizatorem, który ożywił zarówno rządy, jak i prostych mieszkańców Ziemi, pchając ich wszystkich śmiało w przód, w nową epokę współpracy i obopólnego szacunku.

Grissom był zbyt zgorzkniały, by uwierzyć w tą świetlaną fantazję. Prywatnie mógł się jedynie zastanawiać, czy politycy wiedzieli więcej, niż publicznie przyznawali. Nawet w tej chwili zastanawiał się nad tym, czy komunikacyjny statek bezzałogowy, który przyniósł z Shanxi niepokojącą wiadomość, naprawdę ich zaskoczył. A może spodziewali się czegoś w tym rodzaju, nawet jeszcze przed zawianiem Przymierza?

Kiedy zbliżał się do mostka, wyrzucił z głowy wszelkie myśli i niejasne podejrzenia na temat stacji badawczych obcych. Był praktycznym człowiekiem. Szczegóły dotyczące odkrycia bunkra i zawianania Przymierza nie miały dla niego większego znaczenia. Przymierze poprzysięgło bronić ludzkości między gwiazdami i wszyscy, włączając w to samego Grissoma, musieli grać w tym przedstawieniu swoje role.

Dowodzący „New Delhi” kapitan Eisenhorn, spoglądał przez duży iluminator zamontowany w pokładzie dziobowym okrętu. To, co tam zobaczył spowodowało, że po plecach przeszedł mu dreszcz zadziwienia.

Przez okno widać było stację kosmiczną Arcturus, która w miarę jak „New Delhi” zbliżał się do niej, powoli rosła w polu widzenia. Flota Przymierza – niemal dwieście jednostek, począwszy od obsługiwanych przez dwadzieścia osób niszczycieli, do liczących kilkaset osób załogi pancerników – rozciągała się we wszystkich kierunkach, otaczając stację jak ocean stali. Cała scena oświetlona była przez pomarańczową poświatę, emanującą z unoszącego się w

oddali, rodzimego słońca systemu, czerwonego olbrzyma typu K Arcturusa, od którego imię wzięła niedawno powstała stacja. Kadłuby okrętów odbijały ogniste światło gwiazdy, jakby gorejąc ogniem prawdy i glorii zwycięstwa.

Chociaż Eisenhower wiele razy był już naoczny świadkiem tego spektaklu, to nigdy nie przestał się nim zachwycać – było to dla niego powodujące zawrót głowy przypomnienie tego, jak daleko zaszli w tak krótkim czasie. Marsjańskie odkrycie wywindowało ludzi wyżej i zbliżyło ich do siebie w poczuciu wspólnego celu, podczas gdy najlepsi eksperci z różnych dziedzin współdziałali ze sobą w ramach jednego, wspaniałego projektu – w próbie rozwikłania technologicznych zagadek, ukrytych we wnętrzu bunkra obcych.

Niemal natychmiast stało się jasne, że proteanie – bo tak nazwano nieznanymi obcych – byli o wiele bardziej zaawansowani w rozwoju technologicznym niż ludzie w tym momencie... i, że zniknęli dawno, dawno temu. Najczęściej szacowano, że znalezisko ma jakieś pięćdziesiąt tysięcy lat, to znaczy, że pochodzi z czasów poprzedzających ewolucję współczesnego człowieka. Jednak, proteanie zbudowali swoją stację z materiałów niewystępujących w stanie naturalnym na Ziemi i nawet upływ pięćdziesięciu tysięcy lat niezbyt zaszkodził zamkniętym w środku cennym skarbowi.

Największą wartość miały pliki danych, pozostawione przez protean, miliony terabajtów wiedzy – wciąż możliwe do wykorzystania, choć spisane w dziwnym, nieznanym języku. Deszyfracja zawartości tych plików danych stała się świętym graalem prawie wszystkich ziemskich naukowców. Badania zajęły wiele miesięcy, lecz w końcu udało się odkryć kod proteańskiego języka i wszystko zaczęło układać się w sensowną całość.

Była to woda na młyn zwolenników teorii spiskowej. Twierdzili oni, że wydobycie czegoś użytecznego z wnętrza bunkra powinno zająć całe lata. Jednak większość ludzkości zignorowała ich protesty i wątpliwości, dając się unieść wysokiej fali naukowego postępu.

Było tak, jakby zburzono jakąś zapórę, spoza której wylał się potop nowej wiedzy i oszałamiających odkryć. Badania, które dawniej wymagały poświęcenia wielu lat, stały się możliwe do wykonania w ciągu zaledwie paru miesięcy. Adaptując technologię protean, ludzkość odkryła zjawisko pól efektu masy, które umożliwiło podróże z prędkością nadświetlną. Statki kosmiczne nie były już skrupowane bezwzględными ograniczeniami czasoprzestrzennego kontinuum. Podobnych skoków dokonano także w innych dziedzinach: odkryto czyste, ekologiczne i niezwykle wydajne źródło energii – terraformowanie.

W ciągu roku mieszkańcy Ziemi zaczęli dogłębną eksplorację Systemu Słonecznego. Bezpośredni dostęp do bogactw naturalnych innych planet, księżyców i asteroid umożliwił zakładanie kolonii na orbitujących stacjach kosmicznych. Gigantyczne projekty terraformacji zaczęły przekształcać pozbawioną życia powierzchnię okrążającego Ziemię księżyca, w miejsce zdadne do zamieszkania. Eisenhower, podobnie jak większość ludzi, nie słuchał tych,

którzy uparcie utrzymywali, że złoty wiek ludzkości jest tylko dokładnie zorkiestrowaną lipą, która w rzeczywistości rozpoczęła się wiele dziesięcioleci wcześniej.

– Oficer na pokładzie! – warknął jeden z członków załogi.

Odgłos, z jakim cała załoga mostka stawiała sztywno na baczność, żeby zaszalutować nowo przybyłemu, powiedział kapitanowi Eisenhornowi kto wchodził, nawet jeszcze zanim zdążył się obrócić. Admirał Jon Grissom był człowiekiem, który budził powszechny szacunek i podziw. Był poważny i srogi, roztaczał wokół siebie rodzaj siły ciężkości, która powiadamiała o jego obecności.

– Dziwi mnie, że tutaj przyszedłeś – cichym głosem powiedział Eisenhorn, odwracając spojrzenie na scenę za oknem, podczas gdy Grissom szedł przez mostek, żeby stanąć tuż obok niego. Znali się od prawie dwudziestu lat, po raz pierwszy spotkali się jako świeżo upieczeni rekruci na wstępnym szkoleniu amerykańskich Marines, na wiele lat przed zawiązaniem się Przymierza. – Czy nie mówiłeś zawsze, że iluminatory są taktyczną słabością okrętów Przymierza?

– Muszę robić, co do mnie należy, żeby podtrzymać morale załogi – szeptem odpowiedział Grissom. – Doszedłem do wniosku, że mógłbym zwiększyć chwałę Przymierza, jeśli przyjdę tutaj i będę się gapił na okręty floty podobnie zamglonym i tęsknym spojrzeniem jak ty.

– Taktowność polega na tym, że dochodzi się do celu, nie robiąc sobie po drodze wrogów – upomniał go Eisenhorn. – Tak powiedział Sir Isaac Newton.

– Nie mam żadnych wrogów – mruknął Grissom. – Zapomniałeś, że jestem cholernym bohaterem?

Eisenhorn uważał Grissoma za przyjaciela, ale nie zmieniało to faktu, że był on we współżyciu trudnym człowiekiem. Pod względem zawodowym admirał przedstawiał sobą wzór idealnego oficera Przymierza – był inteligentny, twardy i wymagający. Na służbie roztaczał wokół siebie aurę kogoś, kto bezwzględnie dążąc do celu, pozostaje osobą godną najwyższego zaufania, a jednocześnie bezwarunkowego szacunku, co sprawiało, że podlegli mu żołnierze byli mu bezwzględnie lojalni i oddani. Jednak na płaszczyźnie kontaktów osobistych miewał zmienne nastroje i często bywał ponury. Te jego skłonności pogłębiły się tylko, kiedy stał się osobą publiczną, rodzajem kulturowej ikony, reprezentującej całe Przymierze. Lata przebywania w świetle reflektorów przemieniły jego cokolwiek szorstki pragmatyzm w głęboki i cyniczny pesymizm.

Eisenhorn spodziewał się, że w czasie tej podróży będzie zgorzkniały i szorstki – admirał nigdy nie przepadał za tego rodzaju publicznymi występami. Ale Grissom był w wyjątkowo ponurym nastroju i kapitan zaczął zastanawiać się, czy nie stoi za tym coś więcej.

– Nie jesteś tu tylko po to, żeby przemówić do młodych rekrutów, prawda? – spytał Eisenhorn, wciąż nie podnosząc głosu.

– Wystarczy, że wiesz tylko to – uciął Grissom tak cicho, żeby tylko kapitan mógł go usłyszeć. – Nie musisz wiedzieć więcej... – a po sekundzie dodał – ...i nie chciałbyś wiedzieć więcej.

Przez minutę obaj oficerowie stali obok siebie w milczeniu, patrząc przez iluminator na zbliżającą się stację.

– Musisz przyznać – w końcu odezwał się Eisenhower, mając nadzieję na poprawienie ponurego nastroju admirała – że Arcturus otoczony przez całą flotę Przymierza, przedstawia sobą imponujący widok.

– Flota nie wyglądałaby tak imponująco, gdyby rozproszyła się w kilkudziesięciu systemach gwiazdnych – odparł Grissom.

– Mamy zbyt mało okrętów, a ta cholerna galaktyka jest o wiele za duża.

Eisenhorn musiał przyznać, że Grissom mógł być tego świadomy o wiele bardziej, niż ktokolwiek inny.

Technologia protean katapultowała ludzkość o setki lat do przodu i pozwoliła jej podbić Układ Słoneczny. Ale wkroczenie w ogrom kosmosu rozciągający się, poza rodzimym systemem, wymagało dokonania jeszcze wspanialszego odkrycia.

W 2149 roku zespół badający najdalsze zakątki Układu Słonecznego stwierdził, że Charon, niewielki satelita Plutona, tak naprawdę nie jest naturalnym księżycem planety. Okazało się, że jest olbrzymim wytworem proteańskiej techniki w stanie uśpienia – przekaźnikiem masy, który krążąc przez dziesiątki tysięcy lat w lodowatej przestrzeni kosmicznej, obrósł grubą na kilkaset kilometrów skorupą, zbudowaną z lodu i szczątków innych ciał niebieskich.

Ziemscy eksperci nie byli zupełnie nieprzygotowani na taką rewelację. Istnienie i sposób działania przekaźników masy zostały opisane w zbiorze danych, wydobytych z marsjańskiego bunkra. Najprościej rzecz ujmując, przekaźniki masy były siecią połączonych wrót, które mogły między sobą przenosić okręty, pozwalając im w jednej chwili pokonywać tysiące lat świetlnych. Spoczywająca u podstaw stworzenia przekaźników masy teoria naukowa, wciąż pozostawała poza zasięgiem zrozumienia najwybitniejszych ziemskich ekspertów. Ale nawet, jeśli naukowcy nie umieli samodzielnie skonstruować takiego urządzenia, to jednak byli w stanie reaktywować znajdujący się w stanie uśpienia przekaźnik, który trafił w ich ręce.

Przekaźnik masy był drzwiami, przez które wiodła droga do całej galaktyki... albo prosto w płonące serce jakiejś gwiazdy, albo do wnętrza czarnej dziury. Wysłane za jego pomocą próbne sondy natychmiast zniknęły i nie można było z nimi nawiązać kontaktu – co było do przewidzenia, biorąc pod uwagę fakt, że zostały momentalnie przeniesione na odległość tysięcy lat świetlnych. W końcu, jedynym sposobem, żeby sprawdzić, co znajduje się po drugiej stronie, okazało się posłanie tam jakiegoś człowieka. Kogoś, kto chciałby stawić czoło

nieznanemu, wszelkim wyzwaniom i niebezpieczeństwom, jakie mogły na niego czekać po tamtej stronie.

Przymierze skompletowało grupę dzielnych kobiet i mężczyzn: żołnierzy, którzy byli skłonni zaryzykować poświęcenie własnego życia i poświęcić się w imię nauki i rozwoju ludzkości. Przywódcą tej grupy silnych, obdarzonych niezłomnym charakterem ludzi został ktoś, o kim wszyscy oni wiedzieli, że nie wycofa się w obliczu żadnego, nawet najbardziej niespodziewanego niebezpieczeństwa. Ich przywódcą został Jon Grissom.

Po ich szczęśliwym powrocie za pomocą przekaźnika masy, wszyscy członkowie grupy zostali uznani za bohaterów. Ale media wybrały sobie Grissoma – był wspaniałym, pełnym godności dowódcą całej grupy. Został, więc flagowym oficerem Przymierza, który miał prowadzić ludzkość w nowy wiek niezwykłych odkryć i dalekosiężnej ekspansji.

– Cokolwiek się stało – powiedział Eisenhower, wciąż mając nadzieję na poprawienie nastroju Grissoma – musisz wierzyć w to, że sobie z tym poradzimy. Ani ty, ani ja, nigdy nie mogliśmy spodziewać się, że osiągniemy tak dużo w tak krótkim czasie!

Grissom prychnął szyderczo i powiedział:

– Gdyby nie proteanie, nie osiągnęlibyśmy nic a nic.

Eisenhorn potrząsnął głową. Bo chociaż te wspaniałe perspektywy rzeczywiście otworzyły odkrycie i adaptacja proteańskiej technologii, to wcielenie ich w życie umożliwili właśnie tacy ludzie jak Grissom.

– Jeśli widziałem dalej niż inni, to tylko dlatego, bo stałem na ramionach olbrzymów – odparł Eisenhower. – To także powiedział Sir Isaac Newton.

– Masz jakąś obsesję na punkcie Newtona? Jesteś z nim spokrewniony, czy co?

– Prawdę mówiąc mój dziadek prześledził genealogię mojej rodziny i doszedł do wniosku, że...

– Tak naprawdę to w ogóle nie chciałem tego wiedzieć – uciął Grissom.

Byli prawie na miejscu. Stacja kosmiczna Arcturus wypełniała teraz całą powierzchnię olbrzymiego iluminatora. Tuż przed nimi widać było moduł cumowniczy, który wyglądał jak dziura wykrojona w błyszczącym kadłubie stacji.

– Muszę już iść – powiedział Grissom z ciężkim westchnieniem. – Będą chcieli zobaczyć, jak dziarsko schodzę z trapu, kiedy tylko wylądujemy.

– Nie bądź zbyt surowy dla tych rekrutów – półzartem powiedział Eisenhower. – Pamiętaj, że to prawie dzieciaki.

– Nie przyleciałem tu spotykać z bandą dzieciaków – odparł Grissom. – Przyleciałem tu w poszukiwaniu żołnierzy.

Pierwszą rzeczą, jaką Grissom zrobił po wylądowaniu, było zażądanie przydziału własnego pokoju. Miał przemówić do kończącego akademię rocznika rekrutów o czternastej. W ciągu czterech godzin, który zostały mu do tego czasu miał zamiar przeprowadzić prywatne rozmowy z grupką wybranych młodych ludzi. Dowództwo na Arcturusie nie było przygotowane na jego żądanie, jednak zrobiono wszystko, by je spełnić. Przydzielono mu niewielki pokój wyposażony w biurko, stanowisko komputerowe i jedno biurowe krzesło. Grissom siedział za biurkiem, po raz ostatni przeglądając na monitorze akta osobowe. Na Arcturusie było bardzo wielu chętnych do udziału w specjalnym programie szkoleniowym N7. Każdy ze znajdujących się na stacji rekrutów został wybrany spośród najlepszych ludzi, jakimi dysponowało Przymierze. Mimo to osoby, których nazwiska znajdowały się na liście Grissoma odznaczały się na tle tego elitarnego grona – nawet tutaj wyróżniały się z tłumu.

Ktoś zastukał w drzwi, dwoma mocnymi, szybkimi uderzeniami.

– Proszę wejść – zawołał admirał.

Drzwi rozsunęły się i do środka wszedł podporucznik David Edward Anderson, pierwszy na liście Grissoma. Dopiero co zakończył szkolenie, a już został mianowany młodszym oficerem – wystarczyło rzucić okiem na jego papiery, żeby zrozumieć, dlaczego tak się stało. Lista Grissoma była uporządkowana alfabetycznie, ale biorąc pod uwagę oceny Andersona i opinie szkolących go oficerów, w każdym innym wypadku znajdowałby się na początku listy.

Podporucznik był wysokim mężczyzną, zgodnie z tym, co napisano w jego aktach, miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Będąc w wieku dwudziestu lat, właśnie zaczynał nabierać sylwetki atlety, ale już w tym momencie miał umięśnioną klatkę piersiową i szerokie, silne ramiona. Miał ciemnobrązową karnację skóry, gęste, czarne włosy przycięte były krótko, zgodnie z regulaminem Przymierza. Jak większość ludzi u schyłku wielokulturowego dwudziestego drugiego wieku, reprezentował zmieszane ze sobą cechy paru ras. Dominowała w nim afrykańskość, jednak Grissom dostrzegł także w jego rysach ślady środkowoeuropejskiego i północnoamerykańskiego dziedzictwa genetycznego.

Anderson pewnym krokiem przeszedł przez pokój, w postawie na baczność stanął dokładnie naprzeciw biurka i zaszalutował.

– Spocznij, poruczniku – zakomenderował Grissom, instynktownie salutując mu w odpowiedzi.

Młody człowiek zrobił, co mu kazano – rozluźnił mięśnie ciała i stanął w lekkim rozkroku z rękami splecionymi na plecach.

– Sir? – zapytał. – Czy można? – pomimo tego, że był zaledwie młodszym oficerem, który prosi o coś kontradmirała, to w jego głosie nie słychać było śladu niepewności. Najwyraźniej był bardzo pewny siebie.

Grissom skrzywił się, po czym skinął głową, że można kontynuować. Z akt wynikało, że Anderson urodził i wychował się w Londynie, ale prawie nie było tego słychać po jego akcencie. Posługiwał się dialektem multikulturowego świata, powstałym w wyniku edukacji sieciowej i wpływu globalnej rozrywki i muzyki popularnej.

– Chciałbym tylko powiedzieć, że to dla mnie wielki zaszczyt móc poznać pana osobiście, panie admirałe – poinformował go młody człowiek. Nie przymilał się i nie chciał mu schlebiać, za co Grissom był szczerze wdzięczny, po prostu stwierdzał pewien fakt. – Pamiętam, jak mając dwanaście lat, oglądałem pana w wiadomościach po powrocie z ekspedycji Charona. To właśnie wtedy zdecydowałem, że będę służył w Przymierzu.

– Chcesz sprawić, żebym poczuł się stary, synu?

Anderson zaczął się uśmiechać, myśląc, że to był żart. Ale jego uśmiech zamarł pod spojrzeniem Grissoma.

– Nie, sir – odparł, wciąż pewnym i silnym głosem. – Miałem tylko na myśli to, że stanowi pan dla nas wszystkich inspirację.

Oczekiwał, że młody porucznik zacznie jąkać się i wyduszać z siebie jakiś rodzaj przeprosin, ale Anderson tak łatwo nie tracił pewności siebie. Grissom szybko rzucił okiem na jego akta.

– Napisano tu, że jest pan żonaty, poruczniku.

– Tak, sir. Ona jest cywilem. Została na Ziemi.

– Byłem żonaty z cywilną osobą – powiedział mu Grissom. – Mieliśmy córkę. Nie widziałem jej od dwudziestu lat.

Nieoczekiwane osobiste wyznanie na chwilę wytrąciło Andersona z równowagi.

– Przykro... mi, sir.

– Diabelnie trudno jest utrzymać małżeństwo, kiedy się służy w wojsku – ostrzegł go Grissom. – Nie myśli pan, że martwienie się o zostawioną na Ziemi żonę, jeszcze utrudni całą sytuację, kiedy będzie pan wysłany na trwającą sześć miesięcy misję?

– To może również ułatwić tę sytuację, sir – sprzeciwił się Anderson. – Miło jest wiedzieć, że mogę wrócić do domu, w którym ktoś na mnie czeka.

W głosie młodego człowieka nie było ani krzty gniewu, ale było jasne, że nie zamierza dać się zdominować, nawet w rozmowie z kontradmirałem. Grissom pokiwał głową i dodał do akt młodego porucznika kolejny dopisek.

– Czy wie pan, dlaczego się tu spotykamy, poruczniku? – zapytał.

Po dłuższej chwili poważnego zastanowienia, Anderson potrzęsł głową.

– Nie, sir.

– Dwanaście dni temu ekspedycja naszej floty opuściła bazę na Shanxi. Zmierzali przez przekaźnik masy Shanxi-Theta w nieznaną rejon przestrzeni kosmicznej: dwa statki towarowe i trzy fregaty. Weszli tam w kontakt z gatunkiem obcych istot inteligentnych. Sądzymy, że był to rodzaj patrolu ich floty. Tylko jednej z naszych fregat udało się stamtąd wrócić.

Grissom przekazał właśnie młodemu człowiekowi zupełnie zaskakującą informację, ale zachowanie i ekspresja Andersona zmieniły się w ledwie dostrzegalny sposób. Na chwilę tylko szerzej otworzył oczy.

– To byli proteanie, sir? – zapytał, od razu dochodząc do istoty sprawy.

– Sądzymy, że nie – odparł Grissom. – Pod względem technologicznym znajdują się mniej więcej na tym samym poziomie, co my.

– Skąd to wiadomo, sir?

– Ponieważ okręty, które zostały przeciw nim wysłane następnego dnia z bazy na Shanxi, miały dość siły ognia, żeby zniszczyć cały ich patrol.

Anderson westchnął, a potem wziął głęboki oddech, żeby się pozbierać. Grissom nie winił go za to. Póki co był pod wrażeniem tego, w jaki sposób porucznik stawia czoło tej sytuacji.

– Były jakieś próby odwetu ze strony obcych, sir?

Dzieciak był bystry. Jego umysł pracował szybko, analizował sytuację i natychmiast przechodził do właściwych pytań.

– Przysłali posiłki – poinformował go Grissom. – Zajęli Shanxi. Do tej pory nie znamy żadnych szczegółów. Satelity komunikacyjne nie działają. Wiemy o tym tylko dlatego, ponieważ komuś udało się wysłać z wiadomością bezzałogowy statek tuż przed zdobyciem Shanxi.

Anderson pokiwał głową na znak, że rozumie, ale przez dłuższą chwilę nic nie mówił. Grissomowi spodobało się to, że młody człowiek miał dość cierpliwości, żeby dać sobie czas na przetworzenie otrzymanych informacji. A naprawdę było o czym myśleć.

– Posyła nas pan do akcji, prawda, sir?

– Decyzję podejmie Dowództwo Przymierza – powiedział Grissom. – Ja mogę im tylko doradzić. Właśnie, dlatego tu jestem.

– Obawiam się, że nie rozumiem, panie admirale.

– W wypadku każdej akcji wojskowej istnieją tylko trzy możliwości, poruczniku: atak, odwrót albo kapitulacja.

– Nie możemy po prostu odwrócić się tyłem do Shanxi! Musimy zaatakować! – zakrzyknął Anderson. – Z całym należnym szacunkiem, sir – dodał sekundę później, przypomniawszy sobie do kogo mówi.

– To nie jest takie proste – wyjaśnił Grissom. – To sytuacja zupełnie bez precedensu. Nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia z wrogiem tego rodzaju. Nic o nich nie wiemy. Jeśli doprowadzimy do wybuchu wojny z przedstawicielami obcego gatunku istot inteligentnych, nie będziemy w stanie przewidzieć, czym to się skończy. Być może mają flotę tysięcy razy większą od naszej. Istnieje możliwość, że stoimy na krawędzi wojny, która może się zakończyć całkowitą anihilacją rodzaju ludzkiego – Grissom dla efektu zrobił pauzę, pozwalając by jego słowa wybrzmiały do końca. – Czy naprawdę myśli pan, że powinniśmy podjąć to ryzyko, poruczniku Anderson?

– Pyta pan o to mnie, sir?

– Dowództwo Przymierza chce poznać moje zdanie przed podjęciem decyzji, ale ja nie będę walczył na frontach tej wojny, poruczniku. Pan był dowódcą drużyny w czasie waszego szkolenia N7. Chcę wiedzieć, co pan o tym myśli. Czy sądzi pan, że nasi żołnierze są na to gotowi?

Anderson zasępił się, myślał długo i intensywnie, zanim zdecydował się na odpowiedź.

– Sir, sądzę, że nie mamy innego wyboru – odezwał się w końcu, uważnie dobierając słowa. – Odwrót jest nie do przyjęcia. Teraz, kiedy obcy wiedzą już o nas, nie będą beczynn timer siedzieć na Shanxi. Mamy dwie możliwości: przystąpić do walki lub się poddać.

– I myśli pan, że powinniśmy brać pod uwagę możliwość kapitulacji.

– Nie sądzę, żeby ludzkość mogła przetrwać pod rządami obcego gatunku – odparł Anderson. – Wolność jest czymś, o co warto walczyć.

– Nawet jeśli przegramy? – naciskał Grissom. – Tu nie chodzi tylko o to, co ty jesteś w stanie poświęcić, żołnierzu. Jeśli ich sprowokujemy, ta wojna może dotrzeć do Ziemi. Proszę pomyśleć o swojej żonie. Zamierza pan postawić na szalę jej życie w imię wolności?

– Nie wiem, sir – brzmiała odpowiedź Andersona. – A czy pan zamierza skazać swoją córkę na los niewolnicy?

– Właśnie na taką odpowiedź czekałem – powiedział Grissom, potakująco kiwając głową. – Z takimi żołnierzami jak pan, Anderson, ludzkość jednak może być na to wszystko gotowa.

JEDEN

Osiem lat później

Porucznik sztabowy David Anderson, zastępca głównego oficera na SSV „Hastings”, wyskoczył z łóżka w momencie włączenia się sygnału alarmu. Jego ciało zareagowało instynktownie, wytrenowane przez wiele lat służby na pokładach okrętów kosmicznych Przymierza Układów. W chwili, kiedy jego stopy dotknęły podłogi, był już zupełnie przebudzony i przytomny, jego umysł od razu zaczął oceniać sytuację.

Sygnał alarmu odezwał się po raz drugi, odbijając się echem we wnętrzu kadłuba okrętu i wypełniając go na całej długości. Dwa krótkie sygnały, powtarzające się raz za razem. Ogólne wezwanie do objęcia stanowisk. Przynajmniej nie zostali bezpośrednio zaatakowani.

Kiedy Anderson zakładał swój kombinezon, przeglądał w myślach wszystkie możliwe scenariusze rozwoju sytuacji. „Hastings” patrolował Skylliańskie Pogranicze, odosobniony rejon najdalej położonych części kontrolowanej przez Przymierze przestrzeni kosmicznej. Ich głównym celem była ochrona kilkudziesięciu ludzkich kolonii i posterunków badawczych, rozrzuconych po całym sektorze. Ogólne wezwanie na stanowiska oznaczało prawdopodobnie, że namierzyli niezidentyfikowaną jednostkę na terytorium Przymierza. Albo to, albo odebrali sygnał SOS.

Ubieranie się w ciasnych wnętrzach kwatery sypialnej, którą dzielił z dwoma innymi członkami załogi nie było łatwe, ale miał za sobą długą praktykę. W ciągu niecałej minuty ubrany w kombinezon i zabezpieczone buty zmierzał wąskimi korytarzami w stronę mostka, na którym czekał na niego kapitan Belliard. Jako oficer wykonawczy, Anderson miał obowiązek przekazywać rozkazy kapitana niższym stopniem członkom załogi... musiał również pilnować, żeby rozkazy te były właściwie wykonywane.

Na każdej wojskowej jednostce przestrzeń była najcenniejszym bogactwem i Anderson wciąż sobie o tym przypominał, kiedy napotykał innych członków załogi, w pośpiechu zdążających w przeciwną stronę, by zająć wyznaczone sobie stanowiska. Co chwilę, by przepuścić Andersona, któryś z nich musiał przycisnąć się plecami do ściany, niezgrabnie przy

tym salutując swojemu przełożonemu, który się obok nich przeciskał. Jednak pomimo skrajnej ciasnoty cały proces przebiegał niezwykle sprawnie i ze ścisłą precyzją, która cechowała załogi wszystkich okrętów Przymierza.

Anderson był już prawie na miejscu. Minął pomieszczenie nawigacyjne, w którym dwóch młodszych stopniem oficerów, nanosiło naprędce wykonywane obliczenia na trójwymiarową gwiazdną mapę wyświetloną nad ich konsolami. Obaj z szacunkiem skinęli starszemu stopniem oficerowi, zbyt zajęci, by zwracać sobie głowy regulaminowym salutowaniem. Anderson odpowiedział im ponurym potrząśnięciem głowy. Zdążył dostrzec, że wyznaczali kurs przez najbliższy przekaźnik masy. Oznaczało to, że „Hastings” odebrał sygnał SOS. A niestety najczęściej przybywali na pomoc za późno, taka była brutalna prawda.

W latach następujących po Wojnie Pierwszego Kontakt, ludzkość rozprzestrzeniała się za daleko i zbyt szybko. Przymierze nie dysponowało wystarczającą ilością okrętów, by móc skutecznie patrolować obszar wielkości Pogranicza. Osadnicy zdawali sobie sprawę z tego, że niebezpieczeństwo ataków było aż nazbyt prawdziwe, a „Hastings” aż nazbyt często lądował na jakiejś planecie tylko po to, by znaleźć małą, ale do tej pory dobrze prosperującą kolonię zredukowaną do stosu martwych ciał, zgrupowania spalonych budynków i garstki szokowanych kolonistów, którym jakimś cudem udało się zachować życie.

Anderson do tej pory nie nauczył się, w jaki sposób postępować z ludźmi, którzy na własne oczy widzieli taki ogrom śmierci i zniszczenia. W czasie wojny sam widział wiele akcji, ale to było coś zupełnie innego. Przede wszystkim, były to walki pomiędzy okrętami i zabijało się wrogich żołnierzy z odległości dziesiątek tysięcy kilometrów. To nie było to samo, co przeszukiwanie osmalonych ruin w poszukiwaniu poczerwiałych od ognia ciał.

Wojna Pierwszego Kontakt, pomimo swej nazwy, była krótką i stosunkowo bezkrwawą kampanią. Zaczęła się od tego, że patrol Przymierza, nie mając o tym zielonego pojęcia, znalazł się na terytorium Hierarchii Turian. Dla ludzkości było to pierwsze spotkanie z przedstawicielami innego gatunku inteligentnych istot. Dla turian była to inwazja dokonywana przez agresywną i wcześniej nieznaną rasę. Występujące po obu stronach nieporozumienia i pewna nadgorliwość reakcji, doprowadziły do paru zażartych bitew między okrętami patrolowymi i zwiadowczymi przeciwników. Ale konflikt ten nigdy nie przekształcił się w pełnowymiarową wojnę planetarną. Narastającą wrogość i nagłe rozwinięcie szyku całej turiańskiej floty, zwróciły uwagę szerszej galaktycznej społeczności. Na szczęście dla ludzkości.

Okazało się, że turianie są tylko jednym z wielu gatunków, które, choć niezależne, dobrowolnie zrzeszyły się pod przywództwem zarządzającego nimi ciała, znanego jako Rada Cytadeli. Chcąc zapobiec międzygwiazdnemu konfliktowi z nowym gatunkiem, Rada ujawniła się przed Przymierzem i doprowadziła do podpisania traktatu pokojowego między ludźmi a

turianami. Wojna Pierwszego Kontaktu oficjalnie zakończyła się w niecałe dwa miesiące od chwili swojego wybuchu.

Straciło na niej życie sześciuset dwudziestu trzech ludzi. Większość spośród nich stanowiły ofiary walk w czasie pierwszego spotkania i podczas turiańskiego ataku na Shanxi. Straty turian były trochę poważniejsze. Flota Przymierza, wysłana by oswobodzić zdobytą przez wroga bazę, postępowała w brutalny, bezwzględny i radykalny sposób. Ale w skali całej galaktyki straty obu stron były niewielkie. Ludzkość uniknęła potencjalnie wyniszczającej wojny, w zamian za to stając się nowym członkiem wielkiej, intergalaktycznej, międzygatunkowej wspólnoty.

Anderson wspiął się po trzech stopniach schodków, oddzielających przednią część pokładu mostka od głównego poziomu okrętu. Kapitan Belliard pochylał się nad niewielkim monitorem, przyglądając się strumieniowi przychodzących transmisji. Kiedy Anderson zbliżył się do niego, wyprostował się i zasalutował mu w odpowiedzi.

– Mamy problem, panie poruczniku. Odebraliśmy sygnał SOS, kiedy połączyliśmy się z komunikacyjną stacją przekaźnikową – na powitanie wyjaśnił kapitan.

– Tego się właśnie obawiałem, sir.

– Ten sygnał przyszedł z Sidonu.

– Z Sidonu? – Anderson przypomniał sobie tę nazwę. – Nie mamy tam placówki badawczej?

Belliard pokiwał głową.

– Mamy, niewielką. Piętnaście osób ochrony, dwanaścioro naukowców, sześć osób personelu pomocniczego.

Anderson zmarszczył brwi. To nie był zwykły atak. Atakujący woleli zwykle napadać na bezbronne osady i spieprzać stamtąd przed przybyciem odsieczy Przymierza. Dobrze broniona baza w rodzaju Sidonu nie była zwykłym celem ich ataku. To bardziej wyglądało na początek wojny.

Turianie byli teraz sprzymierzeńcami ludzkiego Przymierza Układów, w każdym razie oficjalnie rzecz biorąc. A Skylliańskie Pogranicze była zbyt oddalona od ich własnego terytorium, by chcieli tam wszczynać jakiegokolwiek konflikty. Ale były jeszcze inne gatunki, rywalizujące z ludźmi o kontrolę nad tamtym regionem. Przymierze ostro współzawodniczyło z batariańskim rządem w sprawie zasiedlenia Pogranicza, ale jak do tej pory obu rywalizującym ze sobą stronom udało się uniknąć stosowania jakichkolwiek środków przemocy bezpośredniej. Anderson szczerze wątpił w to, by batarianie zaczęli rozgrywkę od akcji w tym rodzaju.

Było jednak jeszcze mnóstwo innych grup, które miałyby motywy by uderzyć w stan posiadania i pozycję Przymierza. Niektóre z nich nawet składały się po części z ludzi:

niestowarzyszone organizacje terrorystyczne i wielogatunkowe frakcje partyzanckie, gotowe zbrojnie wystąpić przeciwko władzy; nielegalne oddziały paramilitarne, które chętnie zdobyłyby broń i sprzęt wysokiej jakości; niezależne bandy najemników mające nadzieję na obfite łupy.

– Być może pomogłoby nam, jeśliśmy wiedzieli, nad czym pracowano na Sidonie, panie kapitanie – zasugerował Anderson.

– To placówka badawcza o najwyższym stopniu tajności – odparł kapitan, potrząsając głową. – Nie mogę nawet dostać planu bazy, na pewno nikt nam nie powie, nad czym tam pracowali.

Anderson skrzywił się. Bez planu bazy jego oddział będzie poruszał się na ślepo, pozbawiony taktycznej przewagi, jaką mieliby, gdyby znali ukształtowanie pola bitwy. Ta akcja z minuty na minutę wyglądała coraz gorzej.

– Kiedy będziemy na miejscu, Sir?

– Za czterdzieści sześć minut.

W końcu jakieś dobre wiadomości. „Hastings” patrolował przestrzeń kosmiczną poruszając się zmiennymi i przypadkowo wyznaczanymi trasami. To był naprawdę szczęśliwy traf, że akurat znajdowali się tak blisko źródła sygnału SOS. Przy odrobinie szczęścia być może uda im się dotrzeć tam na czas.

– Mój oddział lądowy będzie w gotowości, panie kapitanie.

– Zawsze tak jest, panie poruczniku.

Anderson odwrócił się, żeby odejść, odpowiadając swojemu przełożonemu zwykłym:

– Tak jest, sir.

* * *

W czarnej pustce przestrzeni kosmicznej „Hastings” był prawie niewidoczny dla nieuzbrojonego oka. Otoczony przez samogenerujące się pole efektu masy i poruszając się prawie pięćdziesiąt razy szybciej od światła, był zaledwie połyskującą smugą, delikatną fałdą materii czasoprzestrzennego kontinuum.

Okręt zmienił tor lotu, kiedy sternik wykonał szybką korektę kursu – dokonał niewielkiej poprawki i już po chwili pędzili po nowej trajektorii w stronę najbliższego przekaźnika masy, odległego o prawie pięć miliardów kilometrów. Przy prędkości niecałych piętnastu milionów kilometrów na sekundę powinni szybko dotrzeć na miejsce.

W odległości dziesięciu tysięcy kilometrów od celu, sternik wygasił pierwiastek zero rdzenia napędu, wyłączając pola efektu masy. Fale energii przesuniętej ku błękitowi zaczęły uwalniać się, kiedy okręt wypadł z prędkości nadświatłowej, rozpalając ciemność kosmosu jak

wybuchy flar. Światło wydzielane przez kadłub „Hastings’a” odbijało się od powierzchni, powoli rosnącego w polu widzenia, przekaźnika masy. Choć był czymś zupełnie innym, przekaźnik w zarysach przypominał olbrzymi żyroskop. W jego środku znajdowała się sfera, stworzona przez dwa koncentryczne pierścienie wirujące wokół jednej osi. Każdy z pierścieni miał średnicę prawie pięciu kilometrów, z jednego końca wciąż obracającego się środka konstrukcji wystawały dwa ramiona, każde długości piętnastu kilometrów. Cała konstrukcja iskrzyła się białymi rozbłyskami kipiącej na granicy wybuchu energii.

Na sygnał wysłany przez okręt Przymierza, przekaźnik masy zaczął się poruszać. Ciężko obrócił się wokół własnej osi, ustawiając się w kierunku kolejnego przekaźnika, znajdującego się w odległości setek lat świetlnych. „Hastings” zwiększył prędkość, zmierzając wcześniej obliczonym kursem w sam środek ogromnej konstrukcji obcych. Pierścienie znajdujące się w centrum przekaźnika zaczęły obracać się coraz szybciej, a w końcu przyspieszyły tak bardzo, że wyglądały jak wirująca, niewyraźna plama. Sporadyczne do tej pory rozbłyski energii emanujące ze rdzenia struktury, przemieniły się w stałą, pulsującą poświatę, która z sekundy na sekundę rozjarzała się coraz bardziej, aż w końcu stała się tak jasna, że prawie nie można było na nią patrzeć.

Kiedy przekaźnik odpalił, „Hastings” znajdował się w odległości niecałych pięciuset kilometrów. Wyładowanie ciemnej energii wystrzeliło z wirujących pierścieni jak potężna fala, pogrążająca okręt. Jego kształt zamigotał, a potem znikł jakby wyspany z rzeczywistości. W tym samym momencie, pojawił się w odległości tysiąca lat świetlnych od miejsca, w którym był przed chwilą z jasnym, błękitnym błyskiem, wyskakując z pozornej nicości w pobliżu zupełnie innego przekaźnika masy.

Rdzeń napędu „Hastings’a” z głośnym rykiem zaczął pracować niemal w tej samej chwili i okręt skoczył do prędkości nadświatłowej, znikając w ciemności za czerwoną chmurą gorąca i promieniowania. Nagle pozostawiony z tyłu przekaźnik odbiorczy, zaczął wytracać moc i pierścienie w jego środku, z każdą chwilą obracały się coraz wolniej.

* * *

– Opuściliśmy przekaźnik masy. Aktywacja rdzenia napędu. Planowany czas przybycia na Sidon za dwadzieścia sześć minut.

Kiedy siedział przycupnięty w ładowni wraz z pozostałymi czterema członkami swojego oddziału lądowego, przez huk silników prawie nie słyszał głosu rozbrzmiewającego z okrętowego interkomu. Chociaż Anderson wcale nie musiał słyszeć najnowszych wiadomości żeby wiedzieć, co się dzieje. Wciąż przewracało mu się w brzuchu pod wpływem skoku między przekaźnikami masy.

Rozpatrując rzecz naukowo, nie powinno się mieć żadnych dolegliwości, żadnych objawów choroby lokomocyjnej. Podróże między przekaźnikami – czyli inaczej mówiąc skoki między początkowym, transmitującym przekaźnikiem a docelowym, odbiorczym – były momentalne. Nie wymagały upływu czasu, więc, co za tym idzie, nie mogły mieć wpływu na fizjologię człowieka. Chociaż Anderson teoretycznie zdawał sobie z tego sprawę, to z doświadczenia wiedział, że w praktyce rzecz wygląda inaczej.

Zresztą być może tym razem żołądkowe sensacje wynikały ze złych przeczuć na temat tego, co mogą znaleźć w placówce badawczej na Sidonie. Ktokolwiek ją zaatakował, miał zamiar pokonać piętnastu marines Przymierza. Nawet biorąc pod uwagę element zaskoczenia, napastnicy musieli dysponować niezwykłą siłą. Przymierze powinno przysłać tutaj duży oddział wsparcia na transportowcu, a nie patrolową fregatę, która dysponowała zaledwie pięcioosobowym oddziałem lądowym.

Ale w pobliżu nie było nikogo innego, kto mógłby wystarczająco szybko zareagować na sygnał SOS. Zresztą większość spośród okrętów Przymierza była zbyt duża, by móc bezpośrednio zbliżyć się do planety. „Hastings” był na tyle niewielki, by móc wejść w atmosferę planety i wylądować na niej, nie tracąc możliwości startu. Każda inna jednostka większa od fregaty, musiałaby przetransportować żołnierzy na dół za pomocą wahadłowców albo bezpośredniego zrzutu, a po prostu nie było na to czasu.

Przynajmniej byli dobrze wyposażeni. Każdy z członków oddziału lądowego miał na sobie zakrywający całe ciało pancerz, wyposażony w naładowane do pełnej mocy generatory osłony kinetycznej, jak również zakrywające trzy czwarte głowy nakrycie. Każdy był wyposażony w sześć granatów i powszechnie używany przez żołnierzy Przymierza karabin szturmowy Hahne-Kedar G-912. Magazynek każdego z karabinów zawierał ponad cztery tysiące pocisków – malutkich kulek mniejszych niż ziarenka piasku. Wystrzelone z wystarczającą prędkością, niemal mikroskopijne pociski mogły wyrządzać naprawdę poważne szkody.

I to był problem. Nieważne jak bardzo zaawansowane były technologie obronne, i tak zawsze były o krok do tyłu. Przymierze nie oszczędzało na ochronie własnych żołnierzy. Ich pancerze były możliwie najdoskonalsze, a osłony kinetyczne były ostatnim wojskowym prototypem. Ale to wciąż było za mało, by wytrzymać, oddany z ciężkiej broni, bezpośredni postrzał z bliskiej odległości.

Jeśli mieli nie stracić życia w czasie tej akcji, to nie dzięki sprzętowi, w jaki ich wyposażono. To zawsze sprowadzało się do dwóch rzeczy: ich wyszkolenia i kwalifikacji dowódcy. Ich życie było teraz w rękach Andersona, a on doskonale wyczuwał ich niepokój. Marines Przymierza byli doskonale wyszkoleni, by dawać sobie radę z fizjologicznymi i psychologicznymi objawami stresu, pod wpływem którego ludzkie ciało instynktownie

nastawia się na walkę lub ucieczkę. Ale to było coś więcej, niż tylko wywołane zbliżającą się walką uderzenie adrenaliny.

Pilnie dbał o to, żeby nie okazywać dręczących jego samego wątpliwości. Świadomie roztaczał wokół siebie aurę niezachwianej pewności siebie i zimnej krwi, ale członkowie jego oddziału byli na tyle bystrzy, żeby samemu dojść do pewnych wniosków. Wystarczyło poskładać ze sobą elementy układanki tak, jak zrobił to Anderson. Podobnie jak porucznik zdawali sobie sprawę z tego, że zwykli rabusie nie zaatakowałyby dobrze bronionej bazy Przymierza.

Anderson nie wierzył w skuteczność motywujących przemówień – wszyscy tutaj przecież byli zawodowcami. Ale nawet dla żołnierzy Przymierza te ostatnie nerwowe minuty przed rozpoczęciem akcji, były trudne do zniesienia w absolutnej ciszy. Poza tym, nie było sensu chować przed prawdą głowy w piasek.

– Miejcie oczy i uszy szeroko otwarte – powiedział, wiedząc, że reszta oddziału słyszy go doskonale pomimo huku silników, dzięki odbiornikom radiowym zainstalowanym w ich hełmach.

– Mam przecucie, że to nie byli zwykli najemnicy, którzy nachapali się i uciekli.

– Batarianie, sir?

Pytanie to padło z ust sierżanta zbrojmistrza Jill Dah. O rok starsza od Andersona, służyła już w marines Przymierza, kiedy on jeszcze przechodził szkolenie N7 na Arcturusie. Oboje służyli w tej samej jednostce podczas Wojny Pierwszego Kontakt. Miała ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, co sprawiało, że była wyższa od większości mężczyzn, z którymi służyła. Była też od większości z nich silniejsza, sądząc po jej szerokich ramionach, umięśnionych rękach i ogólnej masywności (niezbyt proporcjonalnej) budowy. Niektórzy z żołnierzy nazywali ją „Amą”, co było skrótem od słowa Amazonka... zawsze jednak robili to za jej plecami. A kiedy zaczynała się walka, wszyscy byli zadowoleni z tego, że ona walczy u ich boku.

Anderson lubił Dah, ale miała ona zwyczaj brać ludzi pod włos. Nie wierzyła w dyplomację. Jeśli miała opinię na jakiś temat, obwieszczała ją wszystkim dookoła – prawdopodobnie właśnie z tego powodu wciąż była podoficerem. Mimo to, porucznik zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli ona zadała jakieś pytanie, to najprawdopodobniej większość pozostałych także zastanawia się nad tym samym.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków, sierżancie.

– Wiadomo w ogóle, nad czym pracowali na Sidonie? – tym razem pytanie zadał specjalista do spraw technicznych, kapral Achmed O'Reilly.

– To ściśle tajne. Tylko tyle wiem. Więc możemy się spodziewać wszystkiego.

Pozostali dwaj członkowie oddziału, szeregowy Indigo Lee i starszy szeregowy Dan Shay nie skomentowali tego w żaden sposób i wszyscy znów pogrążyli się w dręczącym milczeniu. Nikomu nie podobała się ta akcja, ale Anderson wiedział, że pójdą za nim jak w ogień. Wystarczająco wiele razy przeprowadził ich przez różne niebezpieczeństwa, żeby zasłużyć sobie na ich zaufanie.

– Zbliżamy się do Sidonu – zachrypiał interkom. – Nikt nie odpowiada na żadnej z częstotliwości.

To była zła wiadomość. Jeśli ktokolwiek z ludzi Przymierza pozostałby przy życiu na terenie bazy, to na pewno odpowiedziałby na wezwanie „Hastings’a”. Anderson opuścił osłaniającą twarz przyłbicę, pozostali podążyli za jego przykładem. W minutę później poczuli turbulencje – okręt wchodził w rzadką atmosferę planety. Anderson skinął głową i wszyscy dokonali ostatniego przeglądu broni, systemów komunikacyjnych i osłon.

– Mamy bazę na wizji – zachrypiał interkom. – Na powierzchni nie widać żadnych statków, w pobliżu także nie namierzamy żadnych jednostek Przymierza.

– Cholerni tchórze podkulili ogony pod siebie i zwiali. – Anderson w zamontowanym we wnętrzu hełmu głośniku usłyszał, jak Dah mruczy te słowa pod nosem.

Ponieważ „Hastings” szybko pojawił się na miejscu, Anderson miał nadzieję, że złapią wroga na gorącym uczynku, jednak nie zdziwiło go to, że w okolicy nie było żadnych okrętów. Napaść na placówkę tak dobrze chronioną jak Sidon, wymagała współpracy, co najmniej trzech jednostek. Dwa większe okręty mogły wylądować na powierzchni planety i wysadzić na niej oddziały napastników, podczas gdy mniejszy statek zwiadowczy pozostałby na orbicie i obserwował najbliższy przekaźnik masy.

Zwiadowca musiał zobaczyć, że przekaźnik aktywuje się w momencie, kiedy „Hastings” zbliżył się do przekaźnika nadawczego i zawiadomił o tym znajdujące się na powierzchni okręty. Ostrzeżenie z wyprzedzeniem dało im dość czasu na start, opuszczenie atmosfery planety i włączenie napędów nadświatlnych przed przybyciem „Hastings” na miejsce. Jednostki, które brały udział w ataku na bazę zdążyły odlecieć, ale uciekając w pośpiechu mogli zostawić część swoich żołnierzy na powierzchni planety.

W parę sekund później głuchy grzmot oznajmił im, że okręt wylądował na lądowisku Placówki Badawczej Sidon. Niekończące się oczekiwanie dobiegło końca. Ciśnieniowe drzwi ładowni „Hastings’a” otworzyły się z sykiem i rampa trapu opuściła się ku powierzchni.

– Oddział lądowy – w interkomie rozległ się głos kapitana Belliarda. – Możecie ruszać.

DWA

Sierżant Dah i Lee jako pierwsi zbiegli drobnymi kroczkami po trapie. Z bronią uniesioną do strzału przeszukali okolice w poszukiwaniu ewentualnej zasadzki, podczas gdy Anderson, O'Reilly i Shay czekali w gotowości na górze.

– Obszar lądowania zabezpieczony – zameldowała przez radio Dah.

Kiedy wszyscy członkowie oddziału znaleźli się na ziemi, Anderson dokonał szybkiej oceny sytuacji. Lądowisko było niewielkie – zmieściłyby się na nim trzy fregaty lub, co najwyżej, dwa transportowce. Znajdowało się w odległości kilkuset metrów od pary ciężkich, pancernych bram, prowadzących do samej bazy, którą stanowił zbudowany na prostokątnym planie jednopiętrowy budynek. Był nieduży, mieszkające i pracujące tu trzydzieści trzy osoby musiały mieścić się w nim nie bez trudności.

Na zewnątrz wyglądało zadziwiająco normalnie. Nie widać było ani śladu czegokolwiek, co mogłoby świadczyć o zakłóceniu porządku, poza kilkoma dużymi skrzyniami leżącymi obok jednego ze stanowisk do lądowania.

Atak zaczął się właśnie w ten sposób, pomyślał Anderson. Dostawy sprzętu i uzupełnienie zapasów mogły być dostarczane z przybywających statków pod same bramy placówki na wózkach towarowych. Ci z Sidonu musieli właśnie czekać na dostawę. Kiedy napastnicy wylądowali, prawdopodobnie zaczęli wyladowywać skrzynię. Ktoś z wewnątrz bazy otworzył pancerne bramy, paru żołnierzy ochrony wyszło, żeby pomóc w rozładunku... i ukryci w ładowni statku napastnicy zastrzelili ich na miejscu.

– To dziwne, że nie ma tutaj żadnych ciał – zauważyła Dah, jakby czytając Andersonowi w myślach.

– Musieli je stąd odciągnąć po zabezpieczeniu lądowiska – powiedział Anderson, nie wiedząc do końca, dlaczego ktoś miałby to robić.

Komenderując ruchami dłoni poprowadził swój oddział przez opuszczone lądowisko w stronę wejścia do bazy. Rozsuwane pancerne bramy były gładkie i pozbawione jakichkolwiek występów – obsługiwało się je za pomocą prostego panelu umieszczonego na ścianie. Jednak fakt, że drzwi były zamknięte, niezbyt się porucznikowi spodobał.

Anderson był na czele oddziału i wszyscy zatrzymali się, kiedy przykucnął, unosząc pięść do góry. Wystawił do góry dwa palce, co oznaczało O'Reilly'ego. Trzymając się blisko ziemi kapral podbiegł do swojego dowódcy i uklęknął obok niego.

– Czy jest jakiś powód, dla którego te drzwi powinny być zamknięte? – porucznik zapytał go głośnym szeptem.

– To trochę dziwne – przyznał O'Reilly. – Dlaczego napastnicy mieliby szczelnie zamykać za sobą drzwi?

– Sprawdź to – rozkazał Anderson swojemu ekspertowi technicznemu. – Powoli i ostrożnie.

O'Reilly nacisnął przycisk umieszczony na jego karabinie szturmowym, w wyniku czego jego uchwyt, kolba i lufa zaczęły się składać, nachodząc na siebie nawzajem. Po chwili karabin przybrał postać niewielkiego prostopadłościanu – wtedy O'Reilly włożył go do umieszczonej na biodrze kabury. Z kieszeni na drugiej nodze wyjął omniklucz i ostrożnie przesunął się do przodu, szukając jakichkolwiek sygnałów, które mogłyby świadczyć o tym, że w pobliżu znajdują się jakieś nietypowe urządzenia elektroniczne.

– To był dobry pomysł, poruczniku – mruknął po chwili. – Do bramy podłączona jest mina zbliżeniowa.

Kapral przestawił omniklucz na odpowiedni tryb i wyemitował za jego pomocą wiązkę energii o krótkiej częstotliwości, żeby zablokować czujniki miny, co miało umożliwić mu jej rozbrojenie. Wszystko to zajęło mu niecałą minutę. Anderson przez cały ten czas starał się nawet nie oddychać – rozluźnił się dopiero wtedy, kiedy O'Reilly odwrócił się i pokazał uniesiony do góry kciuk na znak, że pułapka jest już nieszkodliwa.

Anderson skinął głową i do ich dwójki dołączyła reszta oddziału, zajmując wcześniej ustalone pozycje. Anderson i Shay stanęli po drugiej stronie wejścia, z plecami przyciśniętymi do zewnętrznej ściany budynku. Sierżant Dah przykucnęła na wysokości środka bramy, w odległości kilku metrów. Za nią, trochę z boku, stanął Lee z karabinem wymierzonym w wejście, żeby w razie potrzeby kryć Dah ogniem.

O'Reilly, który klęczał obok Andersona, uniósł się i wstukał na panelu kod dostępu. Kiedy drzwi się rozsunęły, Dah wrzuciła do środka granat hukowo-rozbłyskowy, potem rzuciła się w bok, żeby uchronić się przed skutkami eksplozji. Lee zrobił to samo. Granat detonował z oślepiającym błyskiem, rozsiewając wokół mgłę gęstego dymu.

Tuż po wybuchu, Anderson i Shay wbiegli przez bramę, z uniesionymi, gotowymi do strzału karabinami. Ten klasyczny dla walk miejskich manewr piechoty wykonali z niesłychaną precyzją. Ale pomieszczenie za drzwiami było puste, jedynie na ścianach i podłodze widać było parę plam krwi.

– Teren czysty – powiedział Anderson i reszta oddziału dołączyła do niego. Przedśionek był prostym, niewielkim pomieszczeniem. Prowadził z niego jeden korytarz, u którego końca, pod

ściana, stał stół otoczony poprzewracanymi krzesłami. Na wmontowanym w ścianę monitorze widać było znajdujące się na zewnątrz lądowiska.

– To posterunek straży – powiedziała Dah, potwierdzając wcześniejsze domysły Andersona.

– Prawdopodobnie czterech spośród nich siedziało tutaj, żeby mieć na oku to, co się dzieje na lądowisku. Pewnie otworzyli pancerne drzwi, kiedy statki wylądowały i wyszli, żeby pomóc w rozładunku.

– W tym korytarzu są na podłodze smugi krwi – zawołał szeregowy Indigo. – Wygląda, jakby przeciągnięto ciała z tego pomieszczenia do wnętrza bazy.

Anderson wciąż nie mógł zrozumieć, dlaczego ktoś miałby przeciągać w ten sposób ciała, ale dzięki temu zostawił ślady, które mogły ich prowadzić. Oddział powoli wkraczał do wnętrza bazy, idąc po śladach krwi, które doprowadziły ich do bufetu. Zastali tam również poprzewracane stoły i krzesła, a także dziury w ścianach i suficie – jasno wskazywało to na to, że w pomieszczenie to było ostatnio świadkiem jakiejś krótkiej, ale intensywnej strzelaniny.

Później doszli do dwóch oddzielonych od siebie skrzydeł sypialnych budynku. Drzwi każdego z pokoiów były wyłamane lub otwarte, a w ich wnętrzach, podobnie jak bufecie, widać było mnóstwo śladów po kulach. W umyśle Andersona pojawił się wyraźny obraz: napastnicy, kiedy już dostali się do środka, metodycznie przechodzili z jednego pomieszczenia do drugiego, masakrując wszystkich napotkanych deszczem pocisków... a potem dokądś odciągali ciała.

W końcu doszli do tylnej ściany budynku. Po drodze nie znaleźli żadnych śladów świadczących o tym, że napastnicy wciąż są gdzieś na miejscu. Odkryli za to coś, czego nikt spośród nich się nie spodziewał. W najdalszym kącie tylnej części obiektu znajdowała się pojedyncza, duża winda, którą można było zjechać pod powierzchnię planety.

– Nic dziwnego, że ta baza jest taka mała – oznajmił O'Reilly. – Wszystko, co dobre, jest ukryte pod ziemią!

– Cholera, szkoda, że nie mamy pojęcia, nad czym tu pracowali – mruknął po chwili ponuro. – Bóg jeden wie, w co się zaraz wpakujemy.

Anderson myślał podobnie, ale w tym momencie jego umysł zaprzętało coś innego. Panel umieszczony na ścianie wskazywał, że winda znajduje się w tej chwili na najniższym poziomie. Jeśli ktoś był na którymś z niższych pięter w chwili, kiedy zauważono, że zbliża się okręt Przymierza, to po ucieczce winda powinna zostać na górnym poziomie.

– Coś nie tak, poruczniku? – zapytała Dah.

– Ktoś sprowadził windę na dół – powiedział, wskazując ruchem głowy panel kontrolny dźwigu. – Ale nie wróciła już na górę.

– Myśli pan, że wciąż są tam na dole? – spytała Dah, tonem, który sugerował, że ma na to nadzieję.

Porucznik przytaknął, z cieniem ponurego uśmiechu na twarzy.

– A więc co stało się z ich statkami? – zapytał szeregowy Shay, najwyraźniej wciąż nie mogąc złożyć wszystkich fragmentów układanki w sensowną całość.

– Ktoś, kto zaatakował bazę, miał w tym swój cel – wyjaśnił Anderson. – Ale tu, na górze, nie było tego, czego szukali, więc żeby to odnaleźć zeszli na niższe poziomy. Tu, na górze, zostawili prawdopodobnie zaledwie kilku ludzi, którzy mieli mieć wszystko na oku. Ale nie spodziewali się, że któryś z okrętów Przymierza będzie akurat wystarczająco blisko, żeby tak szybko zareagować na sygnał SOS. Kiedy ich statek zwiadowczy zawiadomił ich, że ktoś zaraz przybędzie przez przekaźnik masy, zdawali sobie sprawę z tego, że mają zaledwie dwadzieścia minut, żeby się pozbierać i zniknąć. Mogę się założyć, że nawet nie pofatygowali się, żeby zawiadomić o tym swoich kolegów na dole.

– Dlaczego? Dlaczego nie mieliby im o tym powiedzieć?

– Tego typu windy mogą zjeżdżać w dół na głębokość dwóch kilometrów – wtrącił kapral O'Reilly, żeby pomóc rozjaśnić w głowie niedoświadczonemu szeregowcowi. – Wygląda na to, że panel komunikacyjny dolnych poziomów został zniszczony w czasie strzelaniny. Nie ma możliwości połączyć się z kimś przez radio, jeśli dzieli was warstwa skał i rud metali tej grubości. A winda pokonuje drogę w jedną stronę, co najmniej dziesięć minut. Jeśli chcieliby ostrzec swoich przyjaciół z dołu, wszystko musiałoby zająć jakieś pół godziny: dziesięć minut na sprowadzenie windy na górę, kolejne dziesięć minut, żeby ktoś zjechał na dół i kolejne dziesięć minut drogi powrotnej. Prościej było się zmyć i zostawić pozostałych tam, gdzie byli.

Shay w odruchu niedowierzania szeroko otworzył oczy.

– Więc po prostu, ot tak sobie opuścili swoich przyjaciół?

– Tym właśnie różnią się najemnicy od żołnierzy – powiedział jeszcze Anderson, zanim znów skupił się na sprawach bieżących. – To wszystko zmienia. Mamy tam na dole wrogą jednostkę, a jej członkowie nie zdają sobie sprawy z tego, że tutaj czeka na nich oddział Przymierza.

– Możemy zastawić na nich zasadzkę – powiedziała Dah. – Kiedy tylko otworzą się drzwi tej windy zaczniemy strzelać i porozrywamy tych sukinsynów na tasieмки!

– mówiła szybko, z niezdrowym błyskiem w oczach. – Nie będą mieli najmniej – szych szans!

Anderson pomyślał przez chwilę, a potem potrząsnął głową.

– To oczywiście, że to misja typu „szukaj i niszczy”: nie zamierzają zostawić przy życiu żadnych świadków. Na niższych poziomach wciąż mogą być jacyś członkowie personelu Przymierza. Jeśli jest choć cień szansy na to, że możemy ich uratować, musimy spróbować to zrobić.

– To może być niebezpieczne, sir – ostrzegł O'Reilly. – Zakładamy, że oni nie mają pojęcia, że tu jesteśmy. Jeśli jednak jakoś się o tym dowiedzieli, to my, a nie oni, wejdziemy w pułapkę.

– Musimy podjąć to ryzyko – powiedział Anderson, uderzając pięścią w umieszczony na ścianie panel, żeby sprowadzić windę z powrotem na powierzchnię.

– Nawet, jeśli tak, to wejdziemy w nią stąpając po ich martwych ciałach.

Cała reszta oddziału, z O'Reillym włącznie, odpowiedziała na to krótkim:

– Tak jest, sir!

Długa i powolna podróż windą była jeszcze bardziej dręcząca od czekania w ładowni okrętu przed rozpoczęciem akcji. Napięcie rosło z minuty na minutę, pogrążali się coraz głębiej i głębiej pod powierzchnię planety.

Porucznik wciąż słyszał buczenie silnika podnośnika windy, stłumiony, miarowy, niski dźwięk, który cały czas stawał się coraz cichszy, ale wciąż pozostawał słyszalny, kiedy opadali coraz niżej w dół szybu. Powietrze stało się ciężkie, ciepłe i wilgotne. Na chwilę zatkało mu uszy, po czym w powietrzu pojawił się dziwny, nieznany zapach, który w myślach określił jako mieszaninę zawierających siarkę wyziewów, mokrej ziemi obcej planety i podziemnych grzybów.

Anderson obficie pocił się pod pancerzem, co chwilę musiał przecierać pokrywane się parą szkła przyłbicy. Starał się nie myśleć o tym, co może się stać, jeśli drzwi się otworzą, a za nimi wróg będzie już na nich czekał w gotowości.

Kiedy w końcu dotarli do dna szybu, okazało się, że przeciwnicy rzeczywiście na nich czekali, ale za cholerę nie byli gotowi. Drzwi windy wychodziły na spory przedsionek – była to naturalna jaskinia, wypełniona stalaktytami, stalagmitami i grubymi kolumnami z wapienia. Umieszczone pod sufitem lampy oświetlały całą komorę, ich światło odbijało się w cienkich żyłkach rudy jakiegoś metalu, widocznych w uformowanych w różne kształty skałach. Na drugim końcu znajdowało się jedyne wyjście z pieczary: długi tunel, który od razu zakręcał, więc nie widać było jego końca.

Przeciwnicy, mniej więcej dwunastu uzbrojonych i opancerzonych najemników, nadchodzili w ich stronę z przeciwległego końca jaskini. Śmiali się i żartowali, trzymając broń przy bokach, zmierzali w stronę windy, która miała wywieźć ich z powrotem na powierzchnię planety.

Anderson potrzebował zaledwie ułamka sekundy, by przekonać się, że wyglądali jak banda bezlitosnych rzezimieszków, nie jak personel Przymierza, dał więc rozkaz otwarcia ognia. Jego oddział był na to przygotowany, więc kiedy drzwi windy otworzyły się, natychmiast zareagowali na jego komendę i ruszyli do natarcia, kładąc przed sobą ogień zaporowy.

Pierwsza fala ich ataku uderzyła w zdezorientowaną grupę najemników. Walka mogłaby się skończyć już w tym momencie, gdyby nie ich pancerze i osłony kinetyczne.

Trzech przeciwników od razu upadło na podłogę, ale większość ze śmiertelnie groźnych pocisków chybiła, lub została zaabsorbowana przez osłony kinetyczne, więc pozostali zdążyli się rozproszyć i ukryć za głazami i stalagmitami, które pokrywały dno jaskini.

W ciągu kilku następnych sekund rozgorzała chaotyczna walka. Oddział Andersona parł do przodu, kryjąc się pomiędzy uformowanymi w różne kształty skałami. Musieli poruszać się szybko, żeby wróg krzyżowym ogniem nie przyszpilił ich w jednym miejscu. Wnętrze jaskini wypełniało powtarzające się staccato strzałów oddawanych z karabinów szturmowych i ostre *zip-zip-zip* kul, odbijających się rykoszetem od skał. Oświetlała je widmowa poświata, której źródłem były żarzące się trajektorie pocisków smugowych.

Biegając w stronę pobliskiego olbrzymiego stalagmitu, Anderson poczuł aż zbyt dobrze znany wstrząs, kiedy jego kinetyczna osłona odrzuciła parę kul, które w innym razie trafiłyby do celu. Padł na ziemię i przeturlał się na bok. Wtedy, tuż przed nim, seria pocisków uderzyła w dno jaskini, dezintegrując kamienie, w wyniku czego pod przyłbicę dostał mu się błotnisty deszcz, złożony z pyłu i wody.

Wstał i wypluł obrzydliwą maź, po czym instynktownie sprawdził poziom energii osłony. Miał już tylko dwadzieścia procent – zbyt mało, by dać mu większe szanse, jeśli będzie musiał znowu przebiec pod bezpośrednim ostrzałem przeciwnika.

– Status osłon! – Anderson wrzasnął do mikrofonu. Po chwili usłyszał wykrzyczane jak wystrzały odpowiedzi:

- Dwadzieścia!
- Dwadzieścia pięć!
- Dwadzieścia!
- Dziesięć!

Jego oddział wciąż dysponował pełną mocą bojową, ale ich osłony dostały już tęgie lanie. Wykorzystali już wstępną przewagę zaskoczenia i teraz mieli przeciw sobie prawie dwukrotnie liczniejszy oddział wroga. Jednak żołnierze Przymierza byli wyszkoleni do pracy w zespole. Świetnie umieli kryć się i pilnować nawzajem. Ufali swoim współtowarzyszom z oddziału, ufali też swojemu dowódcy. Anderson zdawał sobie sprawę z tego, że dawało to im przewagę nad każdą bandą najemników.

- Dah, Lee, idźcie na prawo! – warknął. – Spróbujcie obejść ich z flanki!

Porucznik również przesunął się na prawo, wysunął się zza osłaniającego go stalagmitu i położył w kierunku wroga ogień zaporowy. Nie chciał trafić w nic konkretnego. Nawet z inteligentną technologią namierzania celu wbudowaną w broń, trafienie w obiekt wielkości człowieka było praktycznie niemożliwe bez trwającego, co najmniej pół sekundy celowania.

Ale w tym momencie nie zamierzał powodować konkretnych zniszczeń. Chciał tylko odwrócić uwagę wrogów, żeby nie mogli namierzyć Lee ani Dah, którzy na przemian posuwali się do przodu, przeskakując pomiędzy kolejnymi skałami.

Po oddaniu trwającej dwie sekundy serii, ukrył się za swoim stalagmitem. Nie było zbyt rozsądne zostawać przez długi czas na widoku w jednym miejscu. Kiedy to zrobił, Shay wychylił się zza dużego głazu i położył kolejną serię zaporową, po nim to samo zrobił O'Reilly.

Kiedy kapral wycofał się, Anderson wystawił głowę i znów zaczął strzelać. Tym razem wychylił się z lewej strony stalagmitu. Dwukrotne z rzędu wychylenie się z ukrycia w tym samym miejscu było pewnym sposobem, by dostać od wroga serią po zębach.

Po chwili znów się ukrył i usłyszał w głośniku swojego radia głos Dah:

– Na pozycje! Kładziemy ogień osłaniający!

Teraz przyszła pora na niego.

– Ja idę pierwszy! – krzyknął, wyskoczył z ukrycia i trzymając się blisko ziemi pobiegł w kierunku najbliższego kawałka skały, za którym mógłby się ukryć przed kulami wroga.

Zatrzymał się za grubą kolumną, szybko złapał oddech i zaczął strzelać, żeby osłonić biegnących za nim Shaya i O'Reilly'ego.

Powtarzali ten manewr wiele razy: Anderson kazał biec któremuś z członków oddziału, podczas, gdy wszyscy pozostali osłaniali go ogniem, nie pozwalając wrogom przejść do ofensywy. Za każdym razem, biegł kto inny. Dzięki temu oddział jako całość przesuwał się do przodu, a wrogowie co chwilę odwracali swoją uwagę w różne strony. Pozostawanie w jednym miejscu, mogło pozwolić przeciwnikom skupić na nich ogień kilku strzelców, albo, co gorsza, obrzucać ich granatami. Mimo to oddział, by osiągnąć zamierzony cel, musiał poruszać się w określonym kierunku – musieli działać zgodnie z planem.

Pomimo całego zamieszania i przypadkowości sytuacji bojowej, porucznik został wyszkolony w ten sposób, by rozgrywać strzelaniny równie logicznie jak partie szachów. Wszystko zależało od strategii i taktyki, trzeba było chronić swoje pionki i figury, by ostatecznie ustawić je na najdogodniejszej z możliwych pozycji. Działając jak jeden organizm, oddział Przymierza powoli przemieszczał jednego żołnierza po drugim, by móc obejść wroga z flanki, wykurzyć z ukrycia i wziąć w krzyżowy ogień.

Najemnicy zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje. Jednak przyszpileni przez skoordynowane działania oddziału Andersona, byli zupełnie bezsilni – znaleźli się w pułapce. Jedyne kwestią czasu było, czy zdecydują się na samobójczy kontratak, czy też rozsypią swoje szeregi w desperackim odwrocie. W tym wypadku zdecydowali się na to drugie.

Wszystko stało się w jednej chwili: najemnicy opuścili swoje stanowiska i rzucili się w kierunku wyjścia z pieczary, strzelając na oślep w stronę żołnierzy Przymierza. Zrobili

dokładnie to, na co czekał Anderson i jego ludzie.

Kiedy najemnicy przystąpili do odwrotu, Anderson wstał i wychylił się zza głazu, za którym do tej pory się ukrywał. Co prawda, wystawił na widok głowę i ramiona, ale ktoś, kto strzela z karabinu szturmowego, jednocześnie biegnąc do tyłu będzie miał szczęście, jeśli trafi w burtę okrętu, nie mówiąc o celu wielkości połowy ludzkiego torsu. Oparł karabin na szczycie głazu, by go ustabilizować, wymierzył dokładnie w jednego z najemników, pozwolił swojej broni dokonać samonamierzenia celu i powoli nacisnął spust. Najemnik wykonywał krótki, koślawy taniec, kiedy strumień pocisków wyczerpywał energię jego osłony, rozrywał pokrywą pancerza i na koniec wnikał w jego ciało.

Cała ta sekwencja trwała może jakieś cztery sekundy – czyli wieczność, jeśli musiałby się martwić o to, że któryś z wrogów ze spokojem namierzyłby go wzdłuż linii strzałów. Ale nie było takiego niebezpieczeństwa i Anderson miał aż za dużo czasu na to, by upewnić się, że jego broń zadziała z odpowiednio zabójczą skutecznością. Miał nawet czas na to, by namierzyć kolejnego z najemników – i także go zlikwidować.

Nie tylko on korzystał z przewagi, jaką dawała ta sytuacja. Łącznie jego oddział zlikwidował siedmiu uciekających w panice najemników. Tylko dwóm udało się ujść z życiem – bezpiecznie dobiegli do wyjścia i zniknęli za zakrętem tunelu.

TRZY

Anderson nie od razu posłał swoich ludzi w pogoń za uciekającymi najemnikami. Od chwili, kiedy wrogowie zniknęli im z oczu, dalsze ściganie ich mogłoby przypominać zabawę w chowanego – śmiertelnie groźną zabawę w chowanego. Każdy zakręt, skalny załom, każdy oddzielający się od głównego korytarz, dawał możliwość zorganizowania zasadzki.

Zamiast tego Dah, O'Reilly i Lee zajęli defensywne pozycje, by strzec wlotu tunelu na wypadek, gdyby najemnicy wrócili, być może z jakimś wparciem. Kiedy jedyne potencjalnie niebezpieczne miejsce zostało zabezpieczone, Anderson i Shay mogli zająć się przeszukiwaniem ciał.

W czasie potyczki zabili dziesięciu najemników. Teraz musieli zbadać ich ciała – był to makabryczny, jednak niezbędny element w czasie każdej akcji bojowej. Przede wszystkim, trzeba' było odnaleźć wszystkich rannych, lecz pozostających przy życiu przeciwników, by zapobiec ewentualnemu zagrożeniu z ich strony. Anderson z ulgą przekonał się, że wszyscy leżący na ziemi najemnicy już nie żyją. Przymierze nie miało w zwyczaju likwidować bezbronnych wrogów, ale branie jeńców w czasie akcji, która i tak była już dostatecznie skomplikowana, mogłoby być źródłem całego zestawu nowych logistycznych problemów.

Kolejnym zadaniem była próba określenia, dla kogo polegli pracowali. Pięcioro spośród poległych było batarianami, troje ludźmi, dwoje turianami – łącznie zginęło ośmiu mężczyzn i dwie kobiety. Ich sprzęt był mieszaniną różnych wojskowych i cywilnych produktów. Oficjalne jednostki wojskowe składały się raczej z osobników jednego gatunku i wyposażano je w uzbrojenie i sprzęt pochodzące z jednego źródła. Był to nieodłączny skutek faktu, że umowy na wyposażenie wojska z nadzorującymi armie rządami, podpisywały najczęściej duże korporacje.

Ci tutaj byli najwyraźniej liczącymi na łut szczęścia niezrzeszonymi żołnierzami, członkami jednej z wielu prosperujących na Pograniczu band najemniczych, którzy wynajmowali się tym, którzy płacili im najwyższą stawkę. Większość spośród najemników miała tatuaże lub wypalone w skórze znaki, świadczące o ich przynależności do tej lub innej grupy: najchętniej

„oznaczali się” na ramionach, na karku, albo na twarzy. Jednak Anderson znalazł na ciałach poległych jedynie niewyraźne w zarzysie, świeże strupy.

Był tym zawiedziony, ale nie zaskoczony. Na czas zleceń, które wymagały szczególnej dyskrecji, najemnicy często usuwali swoje oznaczenia za pomocą złuszczającej kąpieli z kwasu i odtwarzali je sobie po wykonaniu zadania: był to prosty, choć bolesny zabieg, jednak tego właśnie wymagali ludzie, którzy ich zatrudniali. Najwyraźniej członkowie bandy, która zaatakowała Sidon, obawiali się odwetu ze strony Przymierza, więc na wypadek, gdyby coś poszło nie po ich myśli, usunęli wszystko, co mogłoby pozwolić ich namierzyć.

Wróg wciąż nie kontratakował. Anderson i Shay skończyli zbierać z ciał zabitych granaty, środki opatrunkowe i wszystkie inne potencjalnie przydatne przedmioty, które były na tyle małe, by można je bez trudu wziąć ze sobą.

– Wygląda na to, że już się nie pojawiają – z żalem westchnęła Dah, kiedy Anderson stanął u jej boku.

– Więc musimy pójść tam za nimi – odparł Anderson, podłączając świeży akumulator do generatora swojej osłony kinetycznej. – Nie możemy na nich czekać bez końca, a poza tym wciąż jest szansa na to, że znajdziemy tu na dole jakiś pozostałych przy życiu ludzi Przymierza.

– Albo więcej najemników – mruknął O’Reilly, wymieniając generatory swojej osłony.

Kapral wypowiedział tylko to, o czym myśleli wszyscy. Z tego, co wiedzieli, w głębi bazy znajdował się jeszcze jeden oddział najemników, i tych dwóch, którym udało się uciec z przedsonka, najprawdopodobniej już odnalazło swoich kolegów. Jednak nie mieli odwrotu – nawet, jeśli wchodzili prosto w zastawioną na nich pułapkę.

Porucznik dał swoim ludziom jeszcze chwilę na ogarnięcie się, a potem wrzasnął:

– Dah, Shay, pójdziecie w szpicy! Ruszać się!

Weszli do wnętrza topornie wyciosanego w skale tunelu, utrzymując standardowy szyk patrolowy oddziałów Przymierza – dwoje marines szło na przedzie jako szpica, Anderson i O’Reilly w samym środku formacji, trzy metry za nimi, na końcu szedł pilnujący tyłów Lee. Wszyscy trzymali karabiny uniesione i gotowe do strzału, powoli zagłębiając się we wnętrzu wydrążonego we wnętrzu planety nieregularnego tunelu o chropowatych ścianach. Byli teraz w strefie podwyższonego ryzyka, a w tej sytuacji ostrożność była ważniejsza od prędkości. Jeden moment bezmyślnej nieuwagi mógł kosztować życie ich wszystkich.

W odległości jakiś dziesięciu metrów od swojego początku korytarz ostro skręcał w lewo. Oddział nagle zatrzymał się, na znak dany ręką przez Dah, która podkradła się do przodu i wyjrzała za róg, na sekundę wystawiając głowę na ewentualny postrzał przeciwnika. Kiedy wycofała się i zasygnalizowała im, że „droga wolna”, ruszyli powoli dalej.

Za zakrętem tunel biegł prosto przez jakieś dwadzieścia metrów i kończył się szczelnie zamkniętymi pancernymi drzwiami. Anderson dał znak O'Reilly'emu i kapral przesunął się do przodu, żeby za pomocą swojej techno-magii obejść kody zamknięcia. Pozostali członkowie oddziału przyjęli standardowe dla takiej procedury pozycje bojowe – takie same, jak w wypadku pierwszej bramy.

– Jeśli ci najemnicy zamknęli te drzwi za sobą – Dah odezwała się szeptem do swojego dowódcy, kiedy czekali na otwarcie drzwi – to znaczy, że mają kody całej bazy. Ktoś z naszych ludzi w środku musiał dla nich pracować.

Anderson nie odpowiedział, tylko ponuro pokiwał głową. Nie podobał mu się pomysł, że któryś z pracujących w bazie ludzi zdradził Przymierze, ale było to jedyne sensowne wytłumaczenie. Najemnicy wiedzieli, że placówka spodziewała się statku z zaopatrzeniem, musieli też znać właściwe kody do lądowania, żeby móc posadzić swoje statki na powierzchni planety, nie wszczynając przy tym alarmu. Znali na tyle rozplanowanie placówki, żeby opuścić górny poziom i dotrzeć do znajdującej się na tyłach budynku windy, nie powalając po drodze nikomu uciec.

Musieli mieć również dostęp do zastrzeżonych kodów zamykających i otwierających pancerne drzwi. Wszystkie dowody prowadziły do jednego, niepodważalnego wniosku – w bazie na Sidonie działał zdrajca.

Drzwi rozsunęły się i oddział ruszył do akcji – najpierw rzucili granat rozbłykowy, który miał oślepić wszystkich po drugiej stronie drzwi, potem wbiegli do środka, ale nikogo tam nie napotkali. Stali teraz dużym, kwadratowym pomieszczeniu o bokach długości około dwudziestu metrów. Lśniące metalowe ściany i sufit, oraz wzmocniona podłoga świadczyły o tym, że znaleźli się w końcu w samym sercu placówki badawczej. Wszystko tu było nowoczesne i eleganckie, co stanowiło ostry kontrast z niedbale ociosanymi ścianami tunelów, które przed chwilą przeszli. Szeroki hol rozciągał się na prawo i na lewo.

– Znalazłem tutaj ślady krwi – z lewej strony zawołał O'Reilly.

– Wyglądają na świeże.

– Pójdziemy ich tropem – zdecydował Anderson. – Lee i Shay, zajmijcie pozycje tutaj – nie przepadał za rozdzielaniem oddziału, ale nie znali rozplanowania bazy. Nie chciał, żeby któryś z najemników okrążył kompleks z drugiej strony i doszedł z powrotem do windy. – Dah i O'Reilly, w szeregu!

Zostawiwszy dwóch szeregowych na straży jedynej drogi wyjścia, Anderson z pozostałą dwójką ruszyli w głąb kompleksu, prowadzącym w lewo szerokim korytarzem. Minęli parę kolejnych skrzyżowań, ale Anderson nie chciał jeszcze bardziej rozbijać oddziału. Zamiast tego, ich trójka szła po prostu po śladach krwi. Po drodze minęli wiele pomieszczeń, w większości niewielkie biura, sądząc po biurkach i osobnych stanowiskach pracy. Podobnie jak

pomieszczenia sypialne na górnym poziomie, także te tutaj nosiły wyraźne ślady strzelaniny. Najwyraźniej mordercza impreza, która zaczęła się na powierzchni, była kontynuowana również pod ziemią. Także tutaj najemnicy nie zostawiali ciał swoich ofiar w miejscu, gdzie padły na ziemię. Z jakiegoś trudnego do pojęcia powodu odciągali je dokądś indziej.

Po jakiś pięciu minutach dotarli wreszcie do źródła krwawego śladu, po którym tu przyszli. W pokoju średniej wielkości leżał zwrócony twarzą do podłogi turianin, obficie krwawiąc z rany na nodze. Anderson rozpoznał w nim jednego z najemników, którzy uciekli z przedsionka. Zbliżył się powoli i uklęknął przy nieruchomym ciele, żeby sprawdzić puls – ale nie wyczuł nic.

Na ścianie pokoju znajdowało się drugie wyjście – kolejne szczelnie zamknięte pancerne drzwi.

– Myślisz, że ten drugi koleś jest tam w środku? – zapytała Dah, wskazując je końcem lufy swojego karabinu.

– Wątpię – odparł Anderson. – Prawdopodobnie podejrzewał, że pójdziemy po śladach krwi. Założę się, że porzucił tego tutaj na którymś z skrzyżowań, które minęliśmy. I czekał, aż przejdziemy obok niego, żeby pognać szaleńczo z powrotem do wyjścia.

– Mam nadzieję, że Shay i Lee nie stracili czujności – mruknęła Dah.

– Poradzą sobie z nim – zapewnił ją Anderson. – Bardziej ciekawi mnie to, co jest za tymi drzwiami.

Odsunęli na bok martwego najemnika. Ktoś mógłby potknąć się o jego ciało, jeśli po otwarciu drzwi wybuchłaby kolejna strzelanina. Potem, na rozkaz Andersona, kaprał zajął się obejściem otwierającego zamek kodu dostępu, podczas gdy porucznik i Dah zajęły zwykłe pozycje przy ataku przez drzwi lub bramę.

Tym razem jako pierwsza przez drzwi przeszła Dah – i także tutaj po drugiej stronie nikogo nie było. W każdym razie nikogo żywego.

– O matko przenajświętsza! – zachnęła się.

Anderson wszedł za nią do środka i poczuł nagły skurcz żołądka na widok okropności, które tam zobaczył. O'Reilly miał rację. Stali we wnętrzu olbrzymiego laboratorium, zdominowanym przez pokaźnych rozmiarów serwer. Jedyne wyjście z pomieszczenia prowadziło przez drzwi, przez które właśnie weszli. Podobnie jak w innych częściach bazy, cały znajdujący się we wnętrzu sprzęt był zniszczony i nie można było mieć nadziei, że uda się go naprawić.

Ale ich reakcje wywołało coś zupełnie innego. W pomieszczeniu leżało, co najmniej trzydzieści porozrzucanych martwych ciał, większość z nich zwalono na stopy wzdłuż ścian po obu stronach wejścia. Z ich mundurów wynikało, że byli to ludzie Przymierza: strażnicy i naukowcy pozabijani w różnych częściach placówki. Zagadka, gdzie się podziały wszystkie

ciała, została rozwiązana, chociaż Anderson wciąż nie miał pojęcia, dlaczego wszystkich ich po śmierci zaciągnięto w jedno miejsce.

– Poszukać ocalałych, sir? – spytała Dah, głosem pozbawionym większej nadziei.

– Czekajcie – powiedział Anderson, gestem uniesionej ręki zatrzymując swój oddział w ruchu. – Niech nikt nawet nie drgnie.

– O mój Boże – szepnął O'Reilly, dopiero teraz dostrzegając to, co przed chwilą zobaczył Anderson.

Całe pomieszczenie było zaminowane materiałami wybuchowymi. Nie były to zwykłe miny zbliżeniowe, tylko niezliczona ilość dziesięciokilogramowych ładunków rozmieszczonych w strategicznych miejscach laboratorium. W umyśle porucznika Andersona wszystko nagle ułożyło się w sensowną całość.

Zgromadzono tu dosyć materiału wybuchowego, żeby dosłownie wyparowało wszystko we wnętrzu pomieszczenia, łącznie z ciałami. Dlatego właśnie tak pieczołowicie zebrano je wszystkie tutaj. Po detonacji nie byłoby możliwości zidentyfikowania szczątków, co oznaczało, że zdrajca (lub zdrajcy) Sidonu, uznany byłby, tak jak wszyscy inni, za martwego. Potem mógłby wyrobić sobie nową tożsamość i żyć z owoców zbrodni, nie ponosząc za nią żadnej kary.

Krótki elektroniczny sygnał dźwiękowy uświadomił Andersonowi, że odnalezienie zdrajcy było teraz ich najmniej ważnym problemem.

– Mechanizm zegarowy! – syknął przestraszony i roztrzęsiony O'Reilly.

Po sekundzie brzęczyk znowu się odezwał. Teraz porucznik wiedział już, że umierający najemnik wciągnął ich w pułapkę. Zaczęło się odliczanie do detonacji. Ich los – przeżycie lub śmierć – zależał teraz najprawdopodobniej od tego, jaki wyda teraz rozkaz.

W krótkich odstępach czasu pomiędzy poszczególnymi sygnałami jego umysł analizował i oceniał sytuację. Wybuch takiej ilości materiałów wybuchowych musiał mieć potężną siłę, na pewno wystarczającą do zdestabilizowania całego podziemnego kompleksu. Prawdopodobnie spowodowałyby zawalenie obszernej jaskini, przez którą dochodziło się do windy. Nawet, gdyby znaleźli się dostatecznie daleko, by przeżyć chwilę wybuchu, to później na pewno powietrze skończyłoby im się na długo przed przybyciem ekip ratunkowych.

O'Reilly był ekspertem do spraw technicznych, więc istniała szansa, że uda mu się rozbroić zapalnik przed detonacją. Gdyby tylko mieli dość czasu, by go odnaleźć. Oczywiście, jeśli nie ma gdzieś tutaj zapasowego zapalnika. Jeśli było to dzieło znanego mu producenta... i jeśli oczywiście nie ma wbudowanych zabezpieczeń na wypadek prób ręcznego rozbrowienia...

Za dużo było tych „jeśli”. Rozbrojenie tych ładunków nie wchodziło w grę, co oznaczało, że pozostało im tylko jedno...

– UCIEKAMY!

W odpowiedzi na jego rozkaz wszyscy troje zawrócili na piętach i ruszyli sprintem korytarzami, którymi przed chwilą przechodzili.

– Shay, Lee – Anderson krzyknął do mikrofonu swojego radia. – Wchodźcie do windy. Natychmiast!

– Tak jest, Sir! – jeden z nich odkrzyknął w odpowiedzi.

– Czekać na nas tak długo, jak to będzie możliwe, ale jeśli wydam wam taki rozkaz, pojedźcie na górę bez nas. Czy to rozumiecie?

Po drugiej stronie zapanowała cisza – słychać było tylko szybkie kroki i ciężkie oddechy trzech pędzących korytarzem żołnierzy Przymierza.

– Słyszycie mnie? Szeregowi! Kiedy powiem, żebyście jechali, to macie do cholery jechać, czy tam będziemy, czy nie!

Odpowiedziano mu niechętnym:

– Zrozumiano, sir!

Biegli tak szybko, jak mogli, ślizgając się i obijając na rogach krzyżujących się korytarzy, w desperackiej próbie prześcignięcia mechanizmu zegarowego, który mógł odpalić ładunki w każdej chwili. Nie mieli czasu, by sprawdzać, czy wróg nie zastawił na nich pułapek. Po prostu mieli nadzieję, że nie natrafią na żadną.

Szczęście ich opuściło, kiedy skręcili za róg do pomieszczenia, w którym Anderson kazał wcześniej Shayowi i Lee na nich czekać. Sierżant zbroj mistrz Dah biegła na przedzie, jej długie nogi pozwalały jej za każdym krokiem połykać większy kęs przestrzeni. Dzięki temu wysforowała się parę metrów do przodu. Biegąc przed dwoma mężczyznami wpadła pędem do wnętrza pomieszczenia... prosto w deszcz karabinowych pocisków.

Batarianin, jedyny ocalały najemnik, czekał tutaj na nich. Musiał się tutaj wkraść, kiedy Shay i Lee na rozkaz Andersona wycofali się do windy. Od tamtej chwili czekał cierpliwie, mając najwyraźniej nadzieję na małą porcję słodkiej zemsty.

Siła uderzeń pocisków zwała Dah z nóg i posłała ją z impetem na ziemię. Siła rozpędu spowodowała, że jej ciało koziołkowało jeszcze przez dłuższą chwilę po kamiennej posadzce, w końcu zatrzymało się w kacie, wygięte i nieruchome.

Anderson wbiegł do pomieszczenia chwilę po niej a kiedy wpadł do środka, już strzelał. W normalnych warunkach, wybiegnięcie wprost na stojącego nieruchomo strzelca z załadowanym karabinem szturmowym byłoby zwykłym samobójstwem, ale najemnik nierozsądnie skupił swoją uwagę na przewracającym się ciele Dah i nawet nie patrzył w stronę Andersona. W chwili, kiedy w końcu obrócił się i zaczął strzelać do szarżującego przeciwnika, Anderson dosłownie zaraz miał na niego wpaść. Był tak blisko, że nawet biegnąc udało mu się wymierzyć na tyle dokładnie, by wyrwać dziurę w klatce piersiowej batarianina.

O'Reilly wbiegł o ułamek sekundy później i zatrzymał się, kiedy zobaczył Dah, leżącą w szybko powiększającej się kałuży krwi.

– Biegnij! – krzyknął do niego Anderson. – Biegnij do windy!

O'Reilly szybko skinął głową i odbiegł. Anderson został, żeby zająć się ich towarzyszką.

Uklęknął na jedno kolano i przekręcił ją na wznak, a potem prawie podskoczył z zaskoczenia, kiedy otworzyła oczy.

– Głupi gnojek celował za nisko – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Trafił mnie w nogę.

Anderson spojrział w dół i przekonał się, że to prawda. Parę zbłąkanych kul przedostało się przez chroniące jej tors osłony kinetyczne tylko po to, by odbić się rykoszetem od powierzchni pancerza, zarysowując go tylko i lekko wgniatając. Ale jej prawa noga, gdzie pancerz był słabszy i natężenie ognia bardziej osłabiło osłony, została zredukowana do mielonego mięsa z kością.

– Nosił cię ktoś kiedyś na barana, sierzancie? – zapytał Anderson. Cisnął na ziemię karabin i gwałtownymi ruchami rozpiął swój pancerz.

– Nigdy nie byłam dziewczyną tego rodzaju, które się nosi na barana, sir – odparła, zdejmując pas i pozbywając się wszystkiego, co można było odpiąć.

– To nic trudnego – wyjaśnił, sięgając w dół, żeby pomóc jej się podnieść do pozycji siedzącej. Wciąż miała na sobie swój pancerz, ale stracili już wystarczająco dużo czasu. – Musisz się tylko mnie mocno trzymać.

Zrobił co mógł, żeby pomóc jej owinąć jej ręce wokół swojej szyi i ramion, podniósł się i na chwilę zachwiał pod ciężarem tej dużej kobiety. Sięgnął rękami do tyłu, żeby ją podtrzymać i chwycić za pośladki i uda, podczas gdy jej ramiona zamknęły się wokół jego szyi jak żelazna klamra.

– No to wio – stęknęła, robiąc wszystko, by nie okazywać nieznośnego bólu, jaki każde poruszenie powodowało w jej zmasakrowanej nodze.

Anderson zrobił parę niepewnych kroków, usiłując znaleźć sposób jak najszybszego poruszania się z bezwładnym ciężarem na plecach. Kiedy wyszli z tunelu do wypełnionej stalaktytami jaskini znalazł dość niezgrabny, ale efektywny rytm kroków, gdzieś pomiędzy kłusem a galopem. I wtedy mechanizm zegarowy detonował.

Z laboratorium znajdującego się w samym sercu bazy uwolniła się olbrzymia kula gorąca, ognia i potężnego wstrząsu, i siejąc zniszczenie rozprzestrzeniła się po całym wnętrzu bazy. Rozrywała drzwi na strzępy, wyginała podłogi i topiła ściany.

Daleko w środku naturalnie powstałej jaskini skutki eksplozji można było odczuć w trzech następujących po sobie fazach. Najpierw grunt jakby zachwiał się pod nogami Andersona, gwałtownie przewracając go na ziemię. Dah wrzasnęła, kiedy jej noga uderzyła o kamienne dno jaskini, ale jej krzyk zatonął w drugiej fazie eksplozji – w ogłuszającym huku, który

przetoczył się echem przez wnętrze pieczary, zatapiając w swym ogromie wszystkie inne dźwięki. Ostatnią fazą wybuchu była gnana przez eksplozję ściana gorącego powietrza, która przewaliła się nad nimi, przygniatając ich do ziemi, podduszając ich i paląc ich płuca.

Anderson walczył o oddech, na chwilę pociemniało mu w oczach. Natężył wszystkie siły, żeby nie stracić przytomności, ściskająca jego pierś niewidzialna dłoń powoli zwolniła uścisk. Po chwili, przygnane tu siłą wybuchu rozgrzane powietrze rozproszyło się we wnętrzu jaskini.

Ale niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Siła eksplozji pokruszyła ściany pieczary. Do jej wnętrza dostały się strużki sztucznego światła, które, chwiejąc się w powietrzu, rzucały dziwaczne, groteskowe cienie. I chociaż wciąż dzwoniło mu w uszach, to wyraźnie słyszał głośnie, ostre dźwięki pękających kamiennych ścian. Jaskinia zaczynała się zapadać.

– O'Reilly! – krzyknął do mikrofonu, mając nadzieję, że trzej mężczyźni w windzie wciąż go słyszą. – To miejsce się zapada! Jedźcie na powierzchnię! Natychmiast!

– A co z panem i z Dah? – odpowiedź była ledwo słyszalna w głośniku odbiornika, chociaż z tonu wynikało, że kapral krzyczy ile sił.

– Kiedy dojdziecie na powierzchnię, odeślijcie windę na dół – krzyknął. – Ruszajcie! To rozkaz!

Nie czekając na odpowiedź, Anderson pochylił się, żeby sprawdzić stan sierżant Dah. Straciła przytomność. Ból w nodze i tak był trudny do zniesienia, a do tego doszedł jeszcze fizyczny wstrząs spowodowany eksplozją i niedotlenieniem. Wysiłając resztki swoich sił, porucznik z trudem stanął na nogach i powiesił ją sobie na przewieszonym przez ramię nosidle.

Zaczął desperacki, kulejący wyścig do wolności i życia, podczas gdy wokół nich komora jaskini rozpadała się coraz szybciej. Stalaktyty spadały w dół jak olbrzymie, wykonane z wapienia włócznie, gdy kruche zaczepienie, które przez tysiące lat trzymało je pod sklepieniem, nareszcie puściło. Wciąż poszerzające się pęknięcia otwierały się w posadzce, ścianach i sklepieniu, w wyniku czego, coraz większe kawałki skał odrywały się i spadały na dno jaskini, gdzie rozbijały się w drobny gruz, wzniecając chmury pyłu.

Anderson robił wszystko, żeby ich uniknąć. Zresztą nie mógł robić nic innego, jak tylko wciąż iść do przodu i modlić się, żeby nie zostali zmiażdżeni. Zmusił, więc swój umysł do tego, żeby skupił się na prostym stawianiu kolejnych kroków. Nie był pewien, czy uda mu się przeżyć. Kołyszące się strużki światła sprawiały wrażenie podobne do błysków stroboskopowej lampy, więc tym trudniej było mu utrzymać równowagę na niepewnym gruncie. Był poobijany i oszołomiony wstrząsem wybuchu. Zaczął odczuwać zmęczenie, z każdą chwilą tracił siły. Mięśnie łydek i ud paliły go żywym ogniem.

Zastrzyk adrenaliny, który odczuł na początku akcji, dawno już przestał działać. Jego ciało po prostu nie miało już nic do zaoferowania. Poruszał się coraz wolniej i wolniej, zwisająca z

jego ramion nieprzytomna kobieta stanowiła coraz bardziej nieznośny ciężar. Wokół nich spadał deszcz coraz większych skalnych odłamków.

Kiedy w końcu zobaczył przed sobą windę, nie zdziwił się, że O'Reilly, Shay i Lee wciąż na niego czekają. Kiedy zobaczyli, że ich dowódca nadchodzi zataczając się jak żywy trup, wszyscy trzej podbiegli, żeby mu pomóc. Anderson był zbyt zmęczony, żeby protestować. Po prostu, pozwolił Dah zsunąć się ze swoich ramion w objęcia dwóch szeregowców, z których jeden chwycił ją pod ramiona, a drugi pod kolanami.

Kiedy przestał odczuwać jej ciężar stracił równowagę i prawie upadł, ale obok stał O'Reilly, który go podtrzymał. Wspierając się na kapralu, z trudem przeszedł ostatnie dwadzieścia kroków i osunął się w kącie windy.

Drzwi zasunęły się i kabina rozpoczęła długą podróż w górę. Winda poruszała się zrywami, wszystkie jej mechanizmy zgrzytały i trzaskały. Nikt nie odezwał się ani słowem, jakby obawiali się, że samo mówienie o ryzykowności tej sytuacji może jajeszcznie pogorszyć. Anderson po prostu leżał tam, gdzie padł, z trudem łapiąc każdy kolejny oddech.

Kiedy dotarli na górę i wyszli na bezpieczny poziom powierzchni, doszedł do siebie na tyle, by móc mówić.

– Mówiłem wam przecież, że macie na nas nie czekać – zganił swoich ludzi, kiedy szli w stronę czekającego na lądowisku okrętu. Dwaj szeregowi przez cały czas nieśli między sobą nieprzytomną Dah. – Powinienem zdegradować każdego z was o pełen stopień za niewykonanie rozkazu! – przerwał na chwilę, żeby jego oświadczenie do nich dotarło. – Albo przedstawić was wszystkich do odznaczenia.

CZTERY

Porucznik Kahlee Sanders była atrakcyjną i inteligentną młodą osobą, i kiedy nie była na służbie, inni żołnierze próbowali ją podrywać. Miała dwadzieścia sześć lat i mogła oczekiwać jeszcze, co najmniej pół wieku zdrowego, produktywnego życia. Była jedną z najlepszych technicznych specjalistek Przymierza od komputerów i systemów komputerowych. Wiedziała też o tym, że w tym momencie znajduje się na granicy popełnienia największego błędu w swoim życiu.

Rozejrzała się ostrożnie po wnętrzu baru. Nerwowo pociągając ze słomki swojego drinka, wcisnęła się głębiej w swój mały róg, starając się nie przyciągać niczyjej uwagi. Była przeciętnej budowy i średniego wzrostu, jedyną wyróżniającą ją cechą były jej długie do ramion blond włosy – ten kolor owłosienia, jako cecha recesywna pod względem genetycznym, prawie już nie występował. Ale jej włosy miały mysi, brudny odcień, niektóre pasma były po prostu brązowe... zresztą, wciąż wielu ludzi farbowało sobie włosy na blond. Zwykle nie wyróżniała się z tłumu. Trzeba tu zauważyć, że knajpa Czarna Dziura była zatłoczona – to mogło pomóc jej w ucieczce.

Większość spośród tłumu tworzyli ludzie. Nie było w tym nic zaskakującego, biorąc pod uwagę fakt, że ten ekskluzywny bar leżał w odległości krótkiej, pieszej przechadzki od portu kosmicznego Elizjum, najstarszej i największej ludzkiej kolonii na Skylliańskim Pograniczu. Jednak, co najmniej jedną trzecią klientów stanowili przedstawiciele innych ras. Najwięcej było batarian, w tłumie widziała ich wąskie głowy podskakujące w górę i w dół na muskularnych szyjach. Mieli przerośnięte nozdrza i wielkie, płaskie, trójgraniaste nosy, których czubki wskazywały prosto w dół, na cienkie wargi i spiczaste podbródki. Ich twarze pokryte były tak krótkim i delikatnym futrem, że każda z nich wyglądała jak aksamitny w dotyku koński nos, chociaż wokół ust włosy były dłuższe i grubsze. Z czubka czaszki każdego z nich, aż na kark biegł płaski pas prążkowanej chrząstki.

Ale najbardziej wyjątkową cechą charakterystyczną tego gatunku był fakt, że posiadali po dwie pary oczu. Jedna, szeroko rozstawiona para, umieszczona była we wnętrzu wydatnych oczodołów, wystających z kącików ich twarzy, co sprawiało, że ich czaszki miały kształt

oszlifowanych diamentów. Druga para, mniejszych i bliżej rozstawionych oczu, umieszczona była w górnej części ich twarzy, tuż pod środkiem czoła. Batarianie mieli zwyczaj patrzeć na rozmówcę wszystkimi czterema gałkami naraz, co powodowało, że istoty dwuocznych gatunków nie wiedziały zwykle, na której parze oczu skupić spojrzenie w czasie konwersacji. Niemożność utrzymania kontaktu wzrokowego rozpraszała przedstawicieli innych ras, i batarianie zwykle próbowali wykorzystać to jako przewagę w czasie targów i negocjacji.

Rząd batariański, podobnie jak Przymierze, prowadził aktywne zasiedlanie Pogranicza, starając się stworzyć podstawy dla dalszej ekspansji w tym atrakcyjnym rejonie. Jednak Czarna Dziura jak zawsze pełna była również przedstawicieli innych ras. Kahlee dostrzegła w tłumie paru turian. Rysy ich twarzy w większości zasłonięte były twardym, wytatuowanym pancerzem z pokrytych skórą mięśni i kości, który zakrywał twarz każdego z nich jak dzika, pogańska maska. W przeciwnym kącie baru dostrzegła grupkę szybko poruszających oczami salarian. W pobliżu drzwi stała para masywnych krogan – wyglądali jak wsparte na zadnich łapach pilnujące wejścia dinozaury. W tłumie, kaczym chodem przechadzało się paru volusów. I samotna kelnerka asari, piękna i eteryczna, prześlizgująca się lekko przez tłum z tacą pełną drinków.

Kahlee przysła tu sama, a wyglądało na to, że wszyscy pozostali goście przybyli tutaj w towarzystwie. Siedzieli oparci o bar, stali przy wysokich stolikach, błakali się bez wyraźnego celu po parkiecie, albo podpierali ściany. Wyglądało na to, że wszyscy dobrze się bawią – goście śmiali się i gadali z przyjaciółmi, współpracownikami i wspólnikami. Kahlee nie mogła się nadziwić, że w ogóle mogą usłyszeć swoje słowa. Nieustanny gwar pięćdziesięciu równocześnie prowadzonych rozmów wznosił się aż do sufitu, załamywał się i spadał na dół jak fala. Starła się od niego uciec, wciskając się jeszcze głębiej w swój mały kącik.

Kiedy tu przysła po raz pierwszy, wydawało jej się, że dobrze będzie się czuć w tłumie. Że być może uda jej się zgubić w bezimiennej masie. Ale drinki w Czarnej Dziurze były tak mocne, jak głośna ich reputacja, i chociaż wypła dopiero połowę drugiego, to jej zmysły były już odrobiną otumanione. Teraz wydawało jej się, że panuje tu zbyt duży ruch i jest zbyt głośno. Nie potrafiła się skupić na tym, co się wokół niej działo. Nikt nie miał tu żadnego powodu, żeby traktować podejrzliwie młodą kobietę stojącą samotnie w rogu, ale ona i tak wciąż błędziła wzrokiem po sali żeby sprawdzić, czy nikt jej nie obserwuje.

W tym momencie nikt nawet przelotnie nie patrzył w jej stronę. Jednak ten fakt wcale jej nie uspokoił. I tak była w nienajlepszym stanie, a napędzana przez alkohol paranoja tylko pogarszała całą sprawę. Kahlee postawiła swojego drinka na biegnącym wzdłuż ściany baru blacie i próbowała zebrać myśli, żeby dokonać bilansu sytuacji.

Szesnaście godzin temu bez pozwolenia opuściła teren Placówki Badawczej Sidon. Samo opuszczenie bazy było niewielkim wykroczeniem. Sprawy pogorszyły się, kiedy w osiem

godzin później nie stawiała się do pracy na swoją zmianę. Zaniedbanie obowiązku mogło poważnie zaszkodzić jej w dalszej karierze. A za kolejne cztery godziny będzie przysługiwała jej status NN – Nieautoryzowanej Nieobecności – a to było już przestępstwo karane sądem wojennym, karnym zwolnieniem ze służby, a nawet więzieniem.

Wzięła do ręki swojego do połowy opróżnionego drinka i wypiała kolejny długi łyk, mając nadzieję, że alkohol spowolni gonitwę jej myśli. Wczoraj, kiedy stamtąd odchodziła, wszystko wydawało się takie proste. Kahlee miała dowód na to, że jej przełożeni na Sidonie prowadzili nielegalne badania i była zdecydowana na nich donieść.

Wsiadła na pokład opuszczającego bazę wahadłowca, okazując przepustkę, którą wystawiła sobie sama, włamawszy się najpierw do tajnych plików i w cztery godziny później przybyła tutaj, na Elizjum. I właśnie w czasie tej kilkugodzinnej podróży zaczęły nachodzić ją wątpliwości.

Mając mnóstwo czasu na rozważenie możliwych konsekwencji swoich czynów, zaczęła dostrzegać, że wszystko nie było tak proste i jednoznaczne, jak wcześniej myślała. Nie miała pojęcia ilu ludzi z bazy może objąć ewentualne śledztwo. A jeśli ludzie, z którymi pracowała, ludzie, których uważała za swoich przyjaciół, także byli w to jakoś zamieszani? Czy naprawdę chciała ich pogрузić? Jakaś jej część czuła, że byłby to akt zdrady.

Ale jej wątpliwości wykraczały poza granice lojalności wobec kolegów z pracy. Podejmowała poważne, zagrażające całej jej karierze ryzyko. Miała dowód na to, że Sidon prowadził badania sięgające poza zakres oficjalnie określonych planów. Dowód ten zdobyła nielegalnie wchodząc do ściśle tajnych akt, opierając się na uwierzytelnionych jedynie przez jej intuicję podejrzeniach. Co prawda, jej podejrzenia okazały się słuszne, jednak technicznie rzecz biorąc, całe to jej prywatne dochodzenie było aktem zdrady wobec Przymierza.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej dochodziło do niej, że do tej pory nie miała pojęcia, w co się pakuje. Nie wiedziała, czy jej przełożeni działali na własną rękę, czy też może wykonywali rozkazy kogoś postawionego wyżej na drabinie dowodzenia. Co będzie, jeśli zamelduje o tym właśnie tej osobie, na której rozkaz prowadzono nielegalne badania? Czy wtedy cokolwiek uległoby zmianie? A może po prostu zatuszowano by całą sprawę? Czy to możliwe, by zaprzepaściła szanse kariery zawodowej, na dodatek ryzykując poważny wyrok więzienia zupełnie bez powodu?

Prawdę mówiąc, gdyby naprawdę chcieli ją znaleźć, nie powinni z tym mieć większych trudności. Jej zaokrętowanie się na pokładzie wahadłowca udającego się na Elizjum zostało odnotowane. Wątpiła jednak w to, że Przymierze kogoś za nią wysłało. Przynajmniej dopóki nie minie dwadzieścia godzin, kiedy jej nieobecność stanie się oficjalnie przestępstwem karanym sądem wojennym. Miała, więc jeszcze trochę czasu na podjęcie decyzji.

Chociaż te kilka godzin niewiele mogło zmienić. Zmagała się z tym problemem od chwili wylądowania na Elizjum. Kahlee była zbyt narąbana, żeby iść spać, za bardzo obawiała się wrócić na Sidon i stawić czoło zarzutom. Była też zbyt przestraszona, żeby brnąć w to dalej. Chodziła, więc od baru do baru, wypijała w każdym kilka drinków, a potem wychodziła się przejść, żeby trochę otrzeźwieć. W żadnej z knajp nie zostawała na dłużej, nie chcąc ściągnąć na siebie niczyjej uwagi. Błąkała się po barach, jakby miała nadzieję, że w którymś z nich znajdzie nagłą inspirację, która w cudowny sposób rozwiąże wszystkie jej problemy.

Spojrzała na wyświetlane na wmontowanym w ścianę baru ekranie wiadomości i jej wzrok przyciągnął dobrze znany obraz. Chociaż nie słyszała słów spikera, to natychmiast rozpoznała zdjęcie przedstawiające Placówkę Badawczą Sidon. Zaintrygowana, zmarszczyła brwi i zmrużyła oczy, starając się odczytać tekst szybko przesuwający się na dole ekranu.

...BAZA BADAWCZA PRZYMIERZA ZAATAKOWANA...

Szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia i z hukiem postawiła szklankę na blacie, wylewając to, co zostało z jej drinka. Wyszła ze swojego ukrycia i zaczęła przeciskać się przez tłum, popychając innych gości i torując sobie drogę łokciami, aż w końcu znalazła się na tyle blisko, że mogła usłyszeć słowa czytającego wiadomości.

– Wciąż nieznane są szczegóły tej sprawy, w każdym razie Przymierze oficjalnie potwierdziło, że Placówka Badawcza Sidon najprawdopodobniej została zaatakowana przez grupę terrorystów.

Chcąc usłyszeć więcej, Kahlee precyzyjnie się do przodu i potrąciła w ramię któregoś z klientów, w wyniku czego, stracił dużą część drinka.

Mężczyzna odwrócił się do niej, ze złością oznajmiając:

– Ej, uważaj gdzie... – i zamilkł, kiedy zobaczył, że potrąciła go atrakcyjna, młoda kobieta.

Kahlee nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem, mając wzrok utkwiony w znajdującym się nad jej głową ekranem.

– Ze względu na toczące się dochodzenie, miejsce zbrodni jest wciąż zamknięte dla mediów, więc nie możemy przedstawić państwu żadnych bieżących relacji...

Mężczyzna spojrzał na ekran, udając zainteresowanie w nadziei nawiązania z nią bliższej znajomości.

– To musieli być batarianie – stwierdził ze sztuczną nonszalancją.

Przyjaciół, z którym wcześniej rozmawiał, także się wtrącił, chcąc zrobić wrażenie na atrakcyjnej nowoprzybyłej.

– Przymierze spodziewało się czegoś w tym rodzaju od wielu miesięcy – powiedział tonem niekwestionowanego autorytetu w tych sprawach. – Mój kuzyn jest w wojsku i powiedział mi...

Miażdżące spojrzenie Kahlee kazało mu zamknąć usta. Przekonawszy się, że uciszyła go skutecznie znów zwróciła uwagę na ekran w samą porę, żeby wysłuchać samego końca wiadomości.

– ...według naszych danych nikt nie ocalał. A teraz wracamy do spraw międzynarodowych. Ambasador Ziemi na Camali zorganizował ostatnio konferencję prasową, na której ogłosił podpisanie nowej umowy handlowej...

...nikt nie ocalał. Te słowa ogłuszyły Kahlee, poczuła się jakby dostała ciężkim młotem w głowę. Była w bazie zaledwie wczoraj. Wczoraj! Gdyby nie uciekła stamtąd w swojej głupiej misji naprawiania świata, byłaby teraz martwa. Wnętrze baru zaczęło przechylać się na jedną stronę i Kahlee poczuła, że zaraz zemdleje.

Mężczyzna, którego wcześniej szturchnęła chwycił ją, kiedy osuwała się kierunku podłogi i podtrzymał, kiedy walczyła z zawrotem głowy.

– Hej, co się dzieje? – w jego głosie słychać było prawdziwą troskę. – Wszystko w porządku?

– Hm? – mruknęła Kahlee, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, że zupełnie obcy człowiek prawie trzyma ją na rękach. Mężczyzna pomógł jej stanąć prosto i puścił ją, chociaż był gotów złapać ją ponownie, gdyby znów upadała. Dla jej komfortu, a być może po to, by pomóc jej utrzymać równowagę, położył jej dłoń na ramieniu.

– Znałaś kogoś z tej bazy? Miałaś tam przyjaciół?

– Tak... to znaczy nie – za duża ilość alkoholu, za mała ilość snu i szok wywołany tym, co się stało na Sidonie na chwilę zupełnie ją obezwładniły, jednak znów zaczynała przynajmniej pewnie stać na nogach. W głowie zaświtała jej myśl wyrazista jak neon nocą: doszły do niej implikacje tego, co się stało. Uciekła ze ściśle tajnej placówki badawczej na kilka godzin przed atakiem na nią. Nie była teraz tylko osobą, która ocalała... teraz była główną podejrzaną!

Obaj mężczyźni patrzyli na nią z mieszaniną zakłopotania i troski. Łagodnie wyzwoliła się od nacisku spoczywającej jej na ramieniu dłoni i uśmiechnęła się przepaszająco.

– Przepraszam. Ta historia zupełnie mnie zaskoczyła. Ja...ja znam paru ludzi z Przymierza.

– Możemy ci jakoś pomóc? – zapytał drugi z mężczyzn. Wyczuwała, że jego zaangażowanie jest szczere, był po prostu miłym gościem, który chciał pomóc innemu człowiekowi. Ale w tej chwili chciała tylko stamtąd wyjść nie robiąc już nic, co mogłoby spowodować, że ktoś ją zapamięta.

– Nie, nie. Nic mi nie jest. W każdym razie, dziękuję – powiedziała, odsuwając się o krok do tyłu. – Muszę już iść, bo spóźnię się do pracy. Przepraszam za drinka.

– Odwróciła się i znów zanurzyła się w tłumie, kierując się w stronę drzwi. Obej – rzała się przez ramię i z ulgą stwierdziła, że żaden z dwóch mężczyzn nie zaczął za nią iść. Po prostu wzruszyli ramionami, komentując w ten sposób odejście dziwnej dziewczyny i wrócili do wcześniej przerwanej rozmowy.

Kiedy wyszła z baru na zewnątrz, na dworze było ciemno i chłodno. Doniesienia o ataku na Sidon otrzeźwiły ją, ale i tak potrzebowała spaceru, żeby do końca ochłonać.

Czarna Dziura umiejscowiona była przy jednej z głównych arterii Elizjum. Wieczór wciąż był wczesny i chodniki pełne były spacerujących. Szła szybko zatłoczoną ulicą, nie zmiierzając w żadnym konkretnym celu – po prostu czuła, że musi iść przed siebie. Wciąż lekko kręciło je się w głowie. Paranoja powoli znów zaczęła opanowywać jej myśli. Po chwili z daleka obchodziła wszystkich innych przechodniów, podskakiwała też na każdy niespodziewany dźwięk. W otoczeniu wszystkich tych obcych imprezowiczów czuła się zagrożona, jakby była wystawiona na podejrzliwe spojrzenia ich wszystkich.

Pustawa boczna uliczka mogła dać jej możliwość wytchnienia. Pędziła wąską aleją, zwalniając jedynie na kolejnych skrzyżowaniach. Dochodzące z głównej ulicy odgłosy rozbawionego tłumu i miejskiej kolei jednoszynowej przypominały już teraz zaledwie cichy pomruk.

Wiadomości z Sidonu zmieniły wszystko. Musiała ponownie przemyśleć swoją sytuację. Czy jej zniknięcie w jakiś sposób wywołało atak? Trudno byłoby wyobrazić sobie, że to był tylko zwykły zbieg okoliczności, ale nie bardzo wiedziała, jak połączyć ze sobą oba te zdarzenia.

Jedno było pewne: teraz już na pewno jej szukali. Musiała zamazać swoje ślady. Znaleźć jakiś sposób, by odlecieć z Elizjum w taki sposób, żeby nie można było jej namierzyć. Musiała zdobyć fałszywe dokumenty, lub skłonić kogoś, by wziął ją na pokład okrętu nielegalnie. Jeśli zostałaby tu dłużej, ktoś mógłby ją...

Kahlee krzyknęła, kiedy poczuła na ramieniu mocne uderzenie dłoni. Została odwrócona do tyłu i jej spojrzenie spoczęło na środku klatki piersiowej olbrzymiego mężczyzny o uchwycie imadła. Spojrzała w górę i napotkała jego zimne, bezwzględne spojrzenie.

– Kahlee Sanders? – bardziej zabrzmiało to jak oskarżenie, nie jak pytanie.

Próbowała zrobić krok do tyłu, wijąc się i wykręcając, żeby się uwolnić.

Mężczyzna potrząsnął nią z siłą goryla. Skrzywiła się z bólu, kiedy jego paznokcie wbiły się w skórę jej obojczyków.

– Porucznik Kahlee Sanders, jest pani aresztowana pod zarzutem udziału w spisku, mającym na celu zdradę Przymierza.

Kahlee była tak zaskoczona, że dopiero pod dłuższej chwili dostrzegła, w co ten olbrzym jest ubrany. Teraz dopiero rozpoznała mundur: Żandarmeria Przymierza. A więc już ją

znaleźli.

Musiał dostrzec ją jeszcze na głównej ulicy, a potem spokojnie poszedł za nią aż tutaj.

Cała siła woli nagle z niej wyciekła. Pochyliła lekko głowę, jakby poddawała się własnemu losowi.

– Ja tego nie zrobiłam – wyszeptała. – Nie jest tak, jak myślicie.

Chrząknął, jakby jej nie wierzył, ale zdjął dłoń z jej ramienia. Czuła, jak skóra w miejscu ucisku zaczyna podbiegać krwią.

Odpiął od pasa parę kajdanek i podstawił jej pod oczy. Po czym oschłym tonem zakomenderował:

– Proszę się odwrócić, poruczniku. Ręce za plecy.

Zawahała się, a potem pokiwała głową. Stawianie oporu mogłoby tylko wszystko pogorszyć. Była niewinna i teraz będzie musiała udowodnić to przed trybunałem wojskowym.

– Niech pani nie próbuje uciekać – ostrzegł ją. – W razie potrzeby mam prawo użyć broni nawet ze śmiertelnym dla pani skutkiem. – Pod wpływem jego słów, obracając się na jego rozkaz, spojrzała na wiszącą mu na biodrach broń. Kątem oka udało jej się dostrzec, że był to wykonany przez ahialski syndykat pistolet typu Striker.

Jej umysł zawył z niepokoju, kiedy poczuła zaciskającą się na prawym przegubie obręcz kajdanek. Personel Przymierza standardowo używał pistoletu Hahne-Kedar P7, nie Strikera!

Zdała sobie z tego sprawę w ułamek sekundy po tym, jak na jej lewym przegubie zacisnął się drugi pierścień kajdanek. Działając czysto instynktownie, napędzana uderzeniem adrenaliny, Kahlee gwałtownie zamachnęła się głową do tyłu. W nagrodę usłyszała mokre chrupnięcie, kiedy tył jej czaszki uderzył w twarz fałszywego żandarma Przymierza.

Obróciła się na piętach, w czasie, kiedy mężczyzna, kompletnie zaskoczony jej atakiem, osuwał się na kolana. Ramiona zwisały mu bezwładnie wzdłuż ciała, z nosa i ust wypływały mu strumienie krwi, rozlewając się w nieregularne, ciemne plamy. Był teraz doskonałym celem – z rozmachem kopnęła go kolanem w już i tak zranioną twarz.

Siła uderzenia odrzuciła go do tyłu. Po chwili przewrócił się na bok, krztusząc się zalewającą mu gardło krwią. Jego ciało zadrżało. Zaczął wymachiwać nogami, starając się osłonić przed jej ciosami. Ale Kahlee nie miała żadnych skrupułów. Nie wiedziała, kim jest ten oszust – najemnikiem, czy płatnym zabójcą – ale wiedziała, że umrze, jeśli się od niego nie uwolni.

Przypominając sobie treningi walki wręcz na podstawowym szkoleniu Przymierza, bez trudu uniknęła jego nieporadnych kopnięć. Ponieważ wciąż miała ręce skute za plecami, jej jedyłą bronią były jej nogi. Zaczęła tańczyć wokół leżącej na boku postaci, poruszając się w ten sposób, by móc trafiać stalowymi czubami swoich wojskowych butów, w najbardziej wrażliwe miejsca jego głowy i klatki piersiowej.

Jej przeciwnik starał się osłonić przed jej kopnięciami, przewracając się na brzuch. Kahlee zawahała się na chwilę, a potem dostrzegła, że jego dłoń zmierza w stronę kabury. Podskoczyła i nadepnęła mu na palce, i jeszcze raz, i jeszcze raz, aż w końcu jego dłoń zamieniła się w wiotki kawał mięsa pełen kościanych drzazg.

Zignorowała jego skomlenie i bulgoczące mamrotanie jego próśb o litość, które artykułował ustami pełnymi krwi i wybitych zębów. Wciąż był przytomny, a więc wciąż stanowił zagrożenie. Kopnęła go z całej siły w skroń, prawdopodobnie łamiąc kość czaszki. Jego ciało zadrzało, wstrząśnięte potężnym spazmem, a potem zwiotczało nieruchomo. Kolejne silne kopnięcie w żebra nie wywołało żadnej reakcji. Teraz była już pewna, że naprawdę stracił przytomność.

Osunęła się na ziemię obok nieruchomego ciała. Musiała działać jak najszybciej, w każdej chwili mógł pojawić się jakiś przechodzień z zainteresować się, co to za zamieszanie. Fałszywy żandarm skuł jej ręce za plecami, ale nie zrobił tego zbyt dobrze. Metalowe obejmy były na tyle luźne, że Kahlee mogła je przesunąć na jednej trzeciej długości swoich przedramion – była szansa na to, że uda jej się uwolnić. Wiercąc się i napinając, udało jej się wygiąć ciało tak, żeby przesunąć skute dłonie pod biodrami i udami aż do kolan. Przewróciła się na bok, naprężyła się i po chwili przesunęła je pod stopami. Wciąż miała skute przeguby, ale teraz przynajmniej miała je skute z przodu.

Tłumiąc odruch wymiotny przysunęła się do swojej ofiary, opierając dłonie i kolana w kałuży jego krwi. W końcu znalazła się dokładnie nad jego nieruchomym ciałem. Wciąż oddychał płytkimi, krztuszącymi się zrywami. Kahlee sama wypuściła z płuc powietrze, chociaż do tej pory nie była w ogóle świadoma tego, że powstrzymywała się od oddychania. Nie czuła wyrzutów sumienia za bestialskie pobicie, ponieważ zrobiła to w obronie własnego życia. Poczła tylko ulgę, że nie ma na sumieniu śmierci tego mężczyzny.

Uratowała ją energia adrenaliny i szkolenie, które dawniej przeszła. A także lekkomyślna nieuwaga przeciwnika. Ale kiedy skutki działania adrenaliny minęły, zobaczyła okrucieństwo swojego czynu, poczuła przypływ paniki. Była żołnierzem, ale nigdy do tej pory nie widziała prawdziwej walki na własne oczy. Nigdy również nie walczyła z nikim na śmierć i życie.

No dalej, Sanders! Głos w jej głowie był głosem jej dawnego nauczyciela musztry, jednak to ona wypowiadała w myślach te słowa. *To jeszcze nie koniec tego bajzlu!*

Zagryzła zęby, zdecydowana doprowadzić to do końca. Mimo to zadrzała, kiedy przeszukiwała mokre od krwi ciało mężczyzny w poszukiwaniu kluczy do kajdanek. W końcu znalazła je przypięte do pasa. Rozpięcie kajdanek okazało się nawet trudniejsze niż przełożenie rąk do przodu. Trzymając kluczyk w zębach, musiała trafić nim do otworu zamka. Jednak po paru frustrujących minutach kluczyk zaskoczył w zamku. Uwolniła lewą rękę i tylko parę kolejnych sekund zajęło jej oswobodzenie prawej. Kahlee była wolna.

Rozejrzała się szybko dookoła i z ulgą stwierdziła, że w wąskiej alejce nadal nie widać było żadnego przechodnia. Wyjęła pistolet z kabury mężczyzny, sprawdziła, czy jest odbezpieczony i wsunęła go za pasek spodni, przykrywając połą kurtki. Podniosła się, a potem znieruchomiła.

Nie wiedziała, dla kogo pracował leżący u jej stóp nieprzytomny mężczyzna, ale jasne było, że właśnie jej szukał. A to oznaczało, że prawdopodobnie szukali jej również inni. Pewnie obstawili porty, czekając tylko, aż zechce stąd odlecieć. Była w pułapce. Nie powinna nawet wracać na główną ulicę. W każdym razie nie w ubraniu całym uwalanym krwią.

Została jej już tylko jedna opcja. Biorąc kolejny głęboki oddech dla uspokojenia skołatanych nerwów, Kahlee odeszła od nieruchomego ciała swojego napastnika i ruszyła szybkim krokiem w kierunku przeciwnym od głównej, zatłoczonej arterii. Resztę nocy spędziła skradając się pomniejszych uliczkami Elizjum. Starając się pozostać niezauważona, powoli zbliżała się do domu jedyne go człowieka, do którego mogła zwrócić się o pomoc. Chociaż obiecała matce, że nigdy już z nim nie zamieni ani słowa.

.5.

W dziesięć lat po odkryciu jej przez batariańskich mierniczych, Camala stała się jedną z najważniejszych planet Skylliańskiego Pogranicza. W odróżnieniu od innych skolonizowanych światów, na których początkowe zasiedlenie zwykle było niewielkie i osadnicy skupiali się raczej wokół jednego, głównego miasta, Camala szczyciła się dwoma odrębnymi metropolitarnymi okręgami, liczącymi ponad milion mieszkańców każdy: Ujonem, który był stolicą kolonii, i niewiele mniejszym Hatre, gdzie znajdowały się główne porty kosmiczne planety.

Oba miasta oddalone były od siebie o prawie pięćset kilometrów. Zbudowano je na przeciwległych brzegach szerokiej, nienadającej się do zamieszkania pustyni, która była źródłem gwałtownego rozwoju kolonii. Po cienką warstwę pomarańczowego piasku i czerwonych skał znajdowały się największe na całym Pograniczu złoża pierwiastka zero. Właśnie złoża piezo – półproduktu najcenniejszego paliwa galaktyki – napędzały ekonomię Camali, ściągając tłumy kolonistów, którzy pragnęli zbić majątek, pracując w rozsianych po pustyni setkach kopalń i rafinerii. Główną część populacji planety stanowili batarianie i jedynie oni cieszyli się przywilejami pełnoprawnego obywatelstwa. Jednak, jak w każdej dobrze prosperującej kolonii, także i tu pełno było gości i imigrantów ze wszystkich zakątków wszechświata Cytadeli.

Camala była z pewnością najbogatszą batariańską kolonią, a Edan Had'dah był jednym z najbogatszych batarian na Camali. Był prawdopodobnie jedną dziesiątą najbogatszych osób na całym Skylliańskim Pograniczu, i wcale nie obawiał się tego pokazywać całemu światu. Zwykle nosił najmodniejsze i najnowocześniejsze stroje: kreacje zaprojektowane przez asari, uszyte z najlepszych tkanin importowanych z samej Thessii. Preferował obfite i ekstrawaganckie ubrania – spływające do tyłu szaty, rozświetlone plamkami czerwieni, która podkreślała odcień jego skóry. Ale na to wieczorne spotkanie ubrał prosty brązowy kostium, na który narzucił szarobrązowy płaszcz. Dla kogoś tak bezecznie ostentacyjnego jak Edan Had'dah, ten prosty strój był doskonałym przebraniem.

Zwykle o tej porze, Edan rozkoszowałby się uspokajającym drinkiem przed snem, w zaciszu swojej rezydencji w Ujonie sączyłby najprawdopodobniej najlepszy z hanarskich likierów. Ale ta noc była wyjątkowo nietypowa. Zamiast relaksować się w komforcie i luksusie, siedział na twardym krześle w obskurnym magazynie, znajdującym się na pustyni w pobliżu Hatre, czekając na posiadającego najgorszą sławę na całym Pograniczu łowcę nagród. A Edan nie lubił czekać.

Ale nie czekał samotnie. Po magazynie włóczyło się bez celu jeszcze z tuzin mężczyzn – wszyscy oni byli członkami najemniczego gangu Błękitnych Słońc. Sześciu spośród nich było batarianami, dwóch turianami, pozostali byli ludźmi.

Edan nie lubił także ludzi. Byli dwunożni, tak jak on. Podobnego wzrostu, ludzie mieli grubsze korpusy, ramiona i nogi. Mieli krótkie, grube szyje i kwadratowe, głupawe twarze. Podobnie jak przedstawicielom wszystkich dwuocznych ras, ich twarzom brakowało charakteru i inteligencji. Zamiast szpar nozdrzy mieli dziwną sterczącą wypukłość, która była ich odpowiednikiem nosa. Nawet ich usta były dziwne – wargi mieli tak pełne i mięsiste, że nie można było się nadziwić, kiedy udawało im się mówić za bardzo nie bełkocząc. W gruncie rzeczy uważał, że najbardziej przypominają asari – drugą z nielubianych przez Edana ras.

Ale nie był kimś takim, kto pozwoliłby osobistym uprzedzeniom wpływać na przebieg prowadzonych przez siebie interesów. Na obszarze Skylliańskiego Pogranicza można było wynająć wiele tak zwanych prywatnych agencji ochrony, a większość z nich miała o wiele mniejsze stawki od Błękitnych Słońc. Jednak Słońca wyrobiły sobie reputację zarówno dyskretnych, jak i bezlitośnie skutecznych. Edan w przeszłości parę razy korzystał już z ich usług, kiedy pojawiały się przed nim „niekonwencjonalne” perspektywy biznesowe, z własnego doświadczenia wiedział więc, że ich reputacja jest w pełni uzasadniona. Nie zamierzał powierzyć tak ważnej misji jak ta komuś innemu, tylko dlatego, że Słońca ostatnio zaczęły przyjmować do swoich szeregów ludzi. Nawet, jeśli to właśnie będący przedstawicielem tej pokracznej rasy członek gangu spieprzył sprawę na Elizjum.

W normalnych warunkach Edan nigdy nie spotkałby się osobiście z najemnikami, których zatrudniał. Wolał załatwiać to przez pośredników i agentów, głównie po to, by nie zdradzać im swojej tożsamości – ale także po to, by uniknąć poniżającego targowania się z osobnikami, którzy na drabinie społecznej stali o wiele niżej od niego. Ale osobnik, którego miał dzisiaj zatrudnić, nalegał na osobiste spotkanie. Edan nie zamierzał zapraszać łowcy nagród do swojego domu... ani spotykać się z nim sam na sam. Założył więc to nijakie ubranie, opuścił swoją rezydencję i swoim prywatnym samolotem przeleciał kilkaset kilometrów na peryferia bliźniaczego miasta Ujon po drugiej stronie pustyni. Teraz spędzał noc w zimnym,

zakurzonym magazynie pełnym żołnierzy do wynajęcia, siedząc na krześle, od którego bolały go plecy i drętwiały nogi. A ten łowca nagród spóźniał się o ponad godzinę!

Jednak nie mógł już zmienić zdania. Za głęboko w to wszedł. Błękitne Słońca w magazynie wiedziały już, kim jest. Teraz będzie musiał zatrzymać ich przy sobie jako prywatnych ochroniarzy aż do końca tej roboty. To był jedyny sposób, żeby upewnić się, że nie zdradzą jego tożsamości innym członkom gangu. To, co stało się na Sidonie, będzie przyciągało coraz większą uwagę, a Edan nie mógł sobie pozwolić na ryzyko, że ktoś zdradzi jego zaangażowanie w tą sprawę. Chciał się też upewnić, że nie pojawiły się jakieś niedopracowane szczegóły, które mogłyby wskazywać na jego związki z tym atakiem. Dlatego właśnie zgodził się na to spotkanie.

– Już tu jest – Edan nieznacznie podskoczył na dźwięk tych słów. Jeden z Błękitnych Słońc – batarianin, jak i on – podkradł się do niego od tyłu tak blisko, że mógłby mu teraz szeptać do ucha.

– Niech wejdzie – powiedział, szybko odzyskując zimną krew. Najemnik skinął głową i wyszedł z magazynu. Jego pracodawca wstał, szczęśliwy, że opuścił niewygodne krzesło. W chwilę później pojawił się w końcu gość honorowy wieczoru.

Był bez wątpienia najbardziej imponującym kroganinem, jakiego Edan kiedykolwiek widział. Miał dwa i pół metra wzrostu i wagę prawie dwustu kilogramów. Był wielki nawet jak na standardy swojego gadziego gatunku. Jak wszyscy kroganie, miał lekko skrzywioną górną część kręgosłupa, przez co sprawiał wrażenie zgarbionego. Wrażenie to wzmacniała jeszcze ciężka falbana pokrytego łuskami ciała, wyrastająca z górnej części jego pleców i ramion, wyglądająca jak gruba muszla, z której wystawała jego zaokrąglona głowa. Twarde, skórzaste płyty pokrywały jego czaszkę od czubka do karku. Jego twarz była płaska i brutalna w wyrazie. Nie miał widocznego nosa ani uszu, małe oczy, rozstawione szeroko po bokach twarzy, patrzyły okrutnie i przebiegłe zarazem.

Kroganie dożywali wieku kilkuset lat, z wiekiem ich skóra szarzała i ciemniała. Ciało nowoprzybyłego pokryte było brązowymi cętkami, nie miał na sobie prawie w ogóle śladu bladeżółtych i zielonych plam, charakterystycznych dla młodszych osobników gatunku. Jego twarz i gardło pokrywał labirynt krzyżujących się pręg i szram, ten przypominający abstrakcyjny obraz wzór starych bitewnych blizn sprawiał wrażenie, jakby cała krew z jego żył miała zaraz wytrysnąć spod powierzchni skóry. Był ubrany w lekki pancerz, ale nie miał przy sobie żadnej broni – zgodnie z rozkazami Edana, odebrano mu ją przy wejściu. Ale nawet nieuzbrojony, roztaczał wokół siebie aurę zagrożenia i zniszczenia.

Kroganin poruszał się z dziwaczną, niezgrabną gracją, jak siła natury przetaczał się po podłodze magazynu, bezlitośnie i niepowstrzymanie. Eskortowało go czterech członków Błękitnych Słońc, po dwóch z każdej strony. Byli tu po to, żeby onieśmielić tego potężnego

łowcę nagród, a także, by zapobiec jakimkolwiek agresywnym zachowaniom z jego strony, gdyby negocjacje zabrnęły w ślepią uliczkę. Było jednak widać, że to oni byli onieśmieleni, a nawet zastraszeni samą jego obecnością. Napięcie widać było w każdym ich kroku: poruszali się, jakby znajdowali się na samej krawędzi krateru mogącego, w każdej chwili wybuchnąć wulkanu. Jeden z nich, młody człowiek z tatuażem Błękitnych Słońc na lewym oku, co chwilę sięgał dłonią do wiszącego u jego pasa pistoletu, jakby sam jego dotyk mógł dodać mu odwagi.

Edan uważałyby to ich przerażenie za coś zabawnego, gdyby nie musiał polegać na ich ochronie. Postanowił, że zrobi wszystko, by to spotkanie przebiegło gładko i bez niepotrzebnych spięć.

Kiedy kroganin podszedł bliżej, jego wargi obnażyły się w cichym warknięciu... a może był to uśmiech. Zatrzymał się w odległości kilku kroków, wciąż otoczony przez czterech najemników.

– Nazywam się Skarr – warknął tubalnie. Głos miał tak potężny i głęboki, że powodowane jego brzmieniem wibracje można było wyczuć w kamiennej podłodze.

– Jestem Edan Had'dah – odparł batarianin, przechylając lekko głowę na lewą stronę, co w kodzie gestykulacyjnym jego gatunku oznaczało podziw i szacunek wyrażany wobec rozmówcy. Skarr również skinął głową, ale przechylił ją na prawo. W ten sposób zwykle witało się niższych rangą.

Edan mimowolnie się nastroszył. Albo Skarr go właśnie obraził, albo nie rozumiał znaczenia tego gestu. Postanowił kontynuować, jakby prawdziwe było drugie wytłumaczenie, chociaż z tego, co wiedział o tym łowcy, prawdopodobnie prawdziwe było to pierwsze.

– Zwykle nie zgadzam się na spotkania z tymi, których zatrudniam – wyjaśnił. – Ale w tym wypadku postanowiłem zrobić wyjątek. Opierając się na twojej reputacji uznałem, że twe umiejętności są warte tego, by łamać dla nich sztywne zasady.

Skarr skwitował komplement pogardliwym prychnięciem:

– Opierając się na twojej reputacji sądziłem, że będziesz lepiej ubrany. Jesteś pewien, że cię na mnie stać?

We wnętrzu magazynu rozległ się szmer oburzonych szeptów batariańskich najemników. W ich kulturze rzucanie oszczerstw dotyczących finansowej płynności osób wyższych rangą uchodziło za śmiertelną obrazę. Edan znowu nie był pewien, czy Skarr zrobił to celowo. Na szczęście nieraz już miał do czynienia z przedstawicielami mniej cywilizowanych gatunków, poza tym nie zamierzał zatrudnić Skarra ze względu na jego powszechnie znaną ogładę.

– Możesz być pewien, że dysponuję funduszami, które pozwolą mi tobie zapłacić – odparł spokojnie. – Zresztą to prosta robota.

– Czy ma coś wspólnego z bazą na Sidonie?

Edan zamrugał powiekami wewnętrznej pary oczu, okazując w ten sposób zaskoczenie. Negocjacje są zwykle subtelnym tańcem oszustwa i dezinformacji, każda ze stron, w nadziei na większe zyski, ukrywa coś przed drugą. A Edan właśnie popełnił drobny błąd. Jego mimowolna reakcja zdradziła coś, co wołałby ukryć... pod warunkiem, że kroganin był na tyle bystry, by to zauważyć.

– Na Sidonie? Dlaczego ci to przyszło do głowy? – zapytał, dbając o neutralne brzmienie głosu.

Skarr wzruszył swoimi masywnymi ramionami.

– Miałem takie przeczucie. A moja cena właśnie poszła w górę.

– Twoje zadanie ma polegać jedynie na odnalezieniu i wyeliminowaniu wskazanego celu – odparł Edan. Jego głos nie zdradzał żadnych emocji, ale w głębi duszy przeklinał się za to, że przegrał pierwszą rundę targowania się.

– Celu? Więc jest tylko jeden?

– Tylko jeden. To kobieta ludzkiego gatunku.

Kroganin rozejrzał się po wnętrzu magazynu, rzucając okiem na zebranych w nim najemników Błękitnych Słońc.

– Masz tutaj dość ludzi. Dlaczego im nie każesz wykonać tej mokrej roboty?

Edan zawahał się na chwilę. Wołał zadawać pytania, nie lubił na nie odpowiadać. Nie chciał popełnić kolejnego błędu w negocjacjach. Ale nawet to jego ociąganie się, zdradziło więcej, niż zamierzał. Skarr wybuchnął przypominającym szczekanie śmiechem:

– Ci *hrakhors* spieprzyli robotę, prawda?

Wszyscy najemnicy w pomieszczeniu zareagowali na te słowa natychmiastowym spięciem postawy i w ten sposób potwierdzili ich prawdziwość. Ale nie to było najważniejsze. W jakiś sposób Edan wiedział, że Skarr potrafi rozpoznać fałszywość niezgodnych z prawdą zaprzeczeń, więc po prostu skinął głową, oddając w ten sposób kolejny punkt przeciwnikowi.

– Co się stało? – kroganin chciał poznać szczegóły.

– Wynająłem Błękitne Słońca, żeby ją odnaleźli i przyprowadzili na przesłuchanie – przyznał Edan. – Jeden z nich namierzył ją w Elizjum. Znaleźli go w parę godzin później, jak czołgał się po jakiejś bocznej uliczce w poszukiwaniu własnych zębów.

– Tak się właśnie dzieje, kiedy kogoś nie stać na zatrudnienie prawdziwego profesjonalisty.

O jedną obrazę za dużo.

Człowiek z tatuażem na oku wyciągnął pistolet i uderzył jego rękojęścią w bok głowy kroganina. Siła uderzenia odrzuciła głowę Skarra, ale nie zwała go z nóg. Obrócił się z ogłuszającym rykiem i złapał atakującego morderczym bekhendem, który złamał kark młodego mężczyzny.

Pozostali trzej najemnicy rzucili się na Skarra, zanim ciało ich towarzysza zdążyło osunąć się na podłogę, połączona waga ich ciał powaliła olbrzymiego łowcę. Przed spotkaniem Edan poinstruował ich, żeby nie zabijali kroganina, chyba, że okaże się to jedynym możliwym rozwiązaniem... naprawdę zależało mu na tym, żeby odszukał tę kobietę. Więc zamiast po prostu zastrzelić łowcę nagród, przygnietli go do ziemi i uderzeniami rękojeści pistoletów usiłowali pozbawić go przytomności.

Niestety, nikt nie powiedział Skarrowi, że on nie może zabijać Błękitnych Słońc. W jego ręce nagle pojawiło się długie, ząbkowane ostrze, do tej pory ukryte w bucie, pasie lub rękawicy. Edan odskoczył do tyłu, kiedy ostrze rozcięło na oścież gardło jednego z najemników. Jego powrotny łuk przeciął w miej scu, gdzie pancerz nie chronił ciała, miejsce między udem a kolanem drugiego najemnika, otwierając arterię udową. Kiedy instynktownie chwycił za buchającą krwią ranę oboma rękami, Skarr skierował ostrze w jego klatkę piersiową i przebił nim napierśnik, w wraz z nim serce ofiary.

Sztylet na chwilę zablokował się między kośćmi klatki piersiowej, dając ostatniemu z czterech członków eskorty, człowiekowi, szansę, by odturlać się od małego stosu ciał i stanąć na nogach, w bezpiecznej odległości od przeciwnika. Człowiek wyciągnął z kabury swój pistolet i wymierzył go w mokrego od krwi łowcę nagród, który wciąż siedział na podłodze.

– Nie ruszaj się! – wrzasnął drżącym z przerażenia głosem.

Skarr obrócił głową z boku na bok, ignorując stojącego przed nim przeciwnika i sprawdził, co robią pozostali. Wszyscy mierzyli do niego z karabinów, gotowi otworzyć ogień. Sztylet upadł na podłogę, Skarr uniósł do góry puste dłonie i powoli wstał. Obrócił się w stronę Edana, a najemnik z pistoletem w dłoni odsunął się o dalsze kilka kroków do tyłu, tak dla pewności.

– I co teraz, batarianinie?

Edan w końcu miał przewagę w negocjacjach, i nie chciał jej tak szybko utracić.

– Może powinienem po prostu kazać im cię zabić na miejscu? – wewnętrzną parą oczu patrzył na Skarra, ale druga para omiotła spojrzeniem wnętrze pomieszczenia by upewnić się, że łowca nagród jest trzymany w szachu.

Kroganin zbył tę czczą groźbę krótkim parsknięciem potężnego śmiechu.

– Gdybyś chciał mojej śmierci, zastrzeliliby mnie zanim zdążyłem wyciągnąć nóż. Ale tego nie zrobili. Musiałeś rozkazać im, żeby mnie nie likwidowali, co znaczy, że jestem dla ciebie wart więcej niż garstka martwych najemników. Tym samym moja cena znowu idzie w górę.

Nawet wobec całego oddziału najemników mierzących do niego z karabinów, ten bystry kroganin potrafił obrócić sytuację na swoją korzyść. Edan przyrzekł sobie, że już więcej nie popełni błędu nie docenienia inteligencji Skarra. Ciekawe, ilu ludzi w przeszłości nie doceniło jego wszystkich zdolności... i ile ich to kosztowało?

– Pracując dla mnie, mógłbyś zarobić mnóstwo pieniędzy, Skarr – Nawet nie starał się ukryć niechętnego szacunku.

– Zarabiam mnóstwo pieniędzy pracując dla siebie. I w ramach dodatków związanych z pracą, zabijam ludzi. Prześniemy więc tracić czas i zawrzyjmy umowę.

Edan lekko skinął głową i mrugnął wszystkimi czterema oczami naraz, sygnalizując najemnikom, żeby opuścili broń. Nie podobało im się, że Skarr zabił ich trzech współtowarzyszy, ale lojalność znaczyła dla nich mniej niż pieniądze. Poza tym, dzięki jego błyskawicznej akcji, było o trzech mniej do podziału kasy.

Tylko stojący najbliżej kroganina młody człowiek nie wykonał polecenia. Z nieskrywanym niedowierzaniem spojrzął na pozostałych, wciąż trzymając pistolet wymierzony prosto w Skarra.

– Co wy robicie? – wrzasnął do swoich kolegów. – Nie możemy przecież pozwolić, żeby to mu uszło na sucho!

– Nie bądź głupi, chłopcze – odszczeknął mu Skarr. – Zabicie mnie nie przywróci życia twoim przyjaciołom. To się po prostu nie opłaca.

– Ty się zamknij! – krzyknął człowiek, skupiając całą uwagę na kroganinie.

Skarr zniżył głos do złowieszczonego szeptu:

– Przemysł dobrze swój następny ruch, człowieku. Nikt inny nie będzie się do tego mieszał. To sprawa między tobą a mną.

Najemnik zaczął się trząść, jednak udało mu się utrzymać pistolet wymierzony w cel. Skarr najwyraźniej się tym w ogóle nie przejmował.

– Zanim policzę do trzech, musisz opuścić ten pistolet.

– Bo co? – wrzasnął najemnik. – Porusz się tylko, a zginiesz!

Edan zauważył, że kroganina nagle otoczyła niewyraźna aura, ledwo widoczna nawet przy użyciu dwóch par oczu. Powietrze dookoła łowcy nagród zaczęło delikatnie migotać, jakby przenikające je światło zostało zniekształcone przez jakąś potężną siłę.

Skarr był biotykiem! Kroganin był jednym z tych rzadkich indywiduów, które potrafiły manipulować ciemną energią, niedostrzegalną kwantową mocą, która przenikała całą tak zwaną pustą przestrzeń we wszechświecie. Zwykle zbyt słaba, by wywierać zauważalny wpływ na świat fizyczny, ciemna energia mogła być przez biotyków o odpowiednio wyszkolonych umysłach koncentrowana do postaci niezwykle potężnych pól. Korzystając z przyrodzonego talentu, wzmożonego przez tysiące mikroskopijnych, wszczepionych do wnętrza jego układu nerwowego wzmacniaczy, każdy z biotyków mógł, używając biologicznego sprzężenia zwrotnego, uwolnić zgromadzoną energię w postaci ukierunkowanej wiązki. I to właśnie robił Skarr: grał na zwłokę dopóki nie zbierze dość mocy, by móc cisnąć ją w młodego człowieka wciąż głupio mierzącego do niego ze swojej spluwy.

Najemnik nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje. Wśród ludzi nie zdarzały się indywidualia z ukrytymi talentami biotycznymi i Edan podejrzewał, że ten człowiek nawet nie wiedział o istnieniu takiej siły. Ale zaraz miał się o tym przekonać.

– Dwa.

Najemnik otworzył usta, żeby powiedzieć coś innego, ale już nigdy tego nie zrobił. Skarr wyciągnął w jego stronę zaciśniętą pięść i powietrze wokół niej zadrżało, a potem drzenie przeniosło się nad jego przeciwnika, w którego uderzyła fala niewidzialnej, ciemnej energii. Niespodziewający się niczego człowiek, został poderwany do góry i rzucony do tyłu na kilka metrów. Uderzył ciężko w podłogę, tracąc oddech i wypuszczając z ręki pistolet.

Był oszołomiony tylko przez sekundę – dla Skarra to mnóstwo czasu, żeby przejść dzielącą ich przestrzeń i zacisnąć trójpalczastą dłoń na gardle najemnika. Bez trudu jedną ręką podniósł człowieka do sufitu, miażdżąc mu powoli tchawicę. Najemnik wierzgał nogami i wbijał paznokcie w pokryte łuskami ramię, które wyduszało z niego oddane na próżno życie.

– Twoja śmierć przychodzi z rąk prawdziwego krogańskiego Wodza-w-Boju – Skarr spokojnie poinformował przeciwnika, którego twarz stała się jasnoczerwona, a potem sina. – Mam nadzieję, że doceniasz zaszczyt, jaki cię spotkał.

Pozostali członkowie Błękitnych Słońc stali wokół i nie zrobili nic, tylko przyglądali się tej egzekucji z chłodną pogardą. Edan był pewien, że ten spektakl im się nie podobał, ale żaden z nich nie chciał wkroczyć na scenę, żeby przerwać przedstawienie. Przynajmniej, jeśli miałyby to w jakiś sposób obrazić ich pracodawcę... albo narazić ich na gniew kroganina.

Ruchy najemnika stawały się coraz słabsze. Po chwili, jego oczy uciekły w głąb czaszki i w końcu znieruchomiał. Skarr potrząsnął nim po raz ostatni, doszczętnie miażdżąc mu tchawicę, a potem pełnym lekceważenia ruchem rzucił jego ciało na podłogę.

– Chyba powiedziałeś, że policzysz do trzech – zauważył Edan.

– Kłamałem.

– Imponujący pokaz siły – przyznał Edan, wskazując ruchem głowy, leżące na podłodze martwe ciało. – Mam tylko nadzieję, że takie same rezultaty osiągniesz w wypadku Kahlee Sanders. Oczywiście najpierw będziesz musiał ją znaleźć.

– Znajdę ją – odpowiedział kroganin pełnym przekonania tonem. – Tym się właśnie zajmuję.

* * *

Jona Grissoma obudziło w środku nocy walenie w drzwi jego domu. Gderając zwlókł się z łóżka i narzucił na siebie zdarty szlafrok jednak nie zadbał o to, by porządnie zawiązać pasek.

Gość niegrzeczny na tyle, żeby wyciągać go o tej porze z łóżka, jakoś do cholery przecierpi widok jego bokserek!

W gruncie rzeczy spodziewał się czegoś takiego od chwili, kiedy usłyszał o ataku na Sidon. Albo kogoś z Przymierza, kto chciałby spróbować go namówić do publicznego wystąpienia czy wygłoszenia jakiegoś oświadczenia, albo jakiegoś dziennikarza, który chciałby odnotować reakcję jednej z najbardziej rozpoznawalnych kulturowych ikon ludzkości. Ktokolwiek to był, nie miał szczęścia. Już nie służył w wojsku. Skończył z byciem bohaterem i miał już dość bycia jakimś tam symbolem dla całej ludzkości. Teraz był tylko ekscentrycznym starym człowiekiem, żyjącym ze swojej emerytury.

Włączył światło w korytarzu i zmrużył oczy od jego jasności, wciąż starając się otrząsnąć z sennego zamroczenia. Powoli, z trudem, posuwał się z sypialni – położonej na tyłach jego parterowego domu – w stronę frontowych drzwi. Walenie nie ustawało, było nawet jeszcze głośniejsze i bardziej natarczywe.

– Cholera jasna, przecież idę! – krzyknął, ale nie uznał za stosowne przyspieszyć. Hałas przynajmniej nie obudzi sąsiadów – bo nie miał takowych. W każdym razie, nie mieszkających na tyle blisko, żeby mogli cokolwiek usłyszeć. W jego pojęciu była to główna zaleta tego domu i właśnie dlatego go kupił.

Elizjum wydawało się dobrym miejscem dla emeryta. Znajdowało się na tyle daleko od Ziemi i innych głównych ludzkich siedlisk, żeby zniechęcić ludzi do odbywania tu podróży z prostej ciekawości. Na dodatek licząca kilka milionów mieszkańców kolonia była na tyle duża, że mógł bez trudu zginąć w wypełniającym ją tłumie. Nie wspominając o tym, że było tu bezpiecznie, a ogólna sytuacja polityczna i ekonomiczna była jak najbardziej stabilna. Mógł znaleźć bardziej odległe miejsce, ale w jakiejś słabiej rozwiniętej, mniejszej kolonii w razie jakichkolwiek kłopotów mógłby być postrzegany j ako zbawca, albo nawet przywódca – a tego naprawdę miał już dość.

Jednak nic we wszechświecie nie jest doskonałe. Kiedy pięć lat temu po raz pierwszy przyleciał na Elizjum, miejscowi politycy natrętnie mu się narzucali i dręczyli go, chcąc, żeby występował w imieniu ich partii, lub poparł ich własną kandydaturę na jakieś tam stanowisko. Grissom pozostawał zupełnie bezstronny i czysty jak łąka. Każdemu z nich, z osobna kazał wynosić się do diabła.

Kiedy minął jego pierwszy rok pobytu tutaj, ci wszyscy ludzie przestali mu się naprzykrzać. Mniej więcej, co pół roku dostawał krótką wiadomość wideo od Przymierza, zachęcającą go do powrotu, by dalej pomagał im służyć ludzkości. Był zaledwie po pięćdziesiątce: za młody, żeby po prostu siedzieć na tyłku i nic nie' robić, jak mówili. Nigdy im nie odpowiadał. Grissom uważał, że odpracował już swoją, całkiem sporą część służby ludzkości. Zawsze na pierwszym miejscu stawiał swoją karierę wojskową, co kosztowało go utratę rodziny. Ale to

był dopiero początek. Potem, po pionierskiej podróży przez przekaźnik Charona, odbył się ten trwający pięć lat cyrk medialny, kiedy to udzielił wielu tysięcy jednakowych wywiadów. Sprawy pogorszyły się jeszcze bardziej po jego chwalebnym udziale w Wojnie Pierwszego Kontakt: jeszcze więcej wywiadów, publicznych wystąpień, prywatnych konferencji prasowych z admirałami, generałami i politykami oraz oficjalnych dyplomatycznych spotkań z przedstawicielami wszystkich dziwacznych kosmicznych mutantów, z którymi kontaktowało się Przymierze. Ale teraz skończył już z tym wszystkim. Niech ktoś inny przejmie pałeczkę i biegnie z nią dalej, prosto w świetlaną przyszłość – on chciał tylko tego, żeby w końcu do jasnej cholery zostawiono go w spokoju!

Ale potem jakieś popieprzone osły musiały zaatakować bazę Przymierza akurat tuż na progu Elizjum – w perspektywie galaktycznej, oczywiście. To było nie do uniknięcia. Ktoś musiał w końcu dojść do wniosku, że to doskonały pretekst do tego, by znów go zacząć nękać. Ale czy musieli to robić w środku cholernej nocy?

Był już przy drzwiach, ktoś dalej walił w nie tak samo mocno, jak przedtem. Nawet jeszcze mocniej, w miarę upływu czasu to dobijanie się nabierało intensywności i natarczywości. Otwierając zamki Grissom postanowił, że jeśli to będzie ktoś z Przymierza, to każe im się wypchać. A jeśli to będzie dziennikarz, to walnie go – albo ją – prosto w twarz.

Za drzwiami stała przerażona młoda kobieta, trzęsąca się w zimnej ciemności. Miała na całym ciele tyle zakrzepłej krwi, że rozpoznał ją dopiero po chwili.

– Kahlee?

– Mam poważne kłopoty – powiedziała drżącym głosem. – Potrzebuję twojej pomocy, tato.

.6.

– Kontrola lotów Cytadeli wydała zezwolenie na lądowanie – w interkomie okrętu rozległ się głos sternika. – Przewidywany czas dokowania, siedemnaście minut.

Przez główny iluminator „Hastings’a”, Anderson widział odległą jeszcze Cytadelę, wspaniałą stację kosmiczną, która pełniła funkcję politycznego, ekonomicznego i kulturalnego centrum galaktyki. Oglądana z odległości kilku tysięcy kilometrów przypominała pięcioramienną gwiazdę: kwintet długich, grubych w obwodzie ramion wystawał z pustego w środku, centralnie umieszczonego pierścienia.

Chociaż Anderson widział ją już wiele razy, to wciąż zadziwiał go jej ogrom. Wewnętrzny pierścień miał średnicę dziesięciu kilometrów a każde z ramion miało długość dwudziestu pięciu kilometrów i pięć kilometrów grubości. W ciągu dwóch tysięcy siedmiuset lat, czyli od chwili ustanowienia Rady Cytadeli, wzdłuż każdego z ramion skonstruowano wielkie, kosmopolityczne metropolie, nazywane okręgami – były to całe miasta wbudowane w wielopoziomowe wnętrza stacji. Mieszkało tutaj czterdzieści milionów osób pochodzących z wszystkich znanych gatunków i rejonów galaktyki.

Nigdzie nie było stacji, która mogłaby się równać z Cytadelą, nawet Arcturus obok niej wyglądałby jak karzełek. Jednak była niezwykła nie tylko ze względu na swoje rozmiary: podobnie jak przekaźniki masy, Cytadela została pierwotnie stworzona przez protean. Poszycie jej kadłuba wykonane zostało z tego samego niezniszczalnego materiału, z którego skonstruowane były przekaźniki – tego technologicznego osiągnięcia nie udało się powtórzyć żadnemu gatunkowi istot inteligentnych od pięćdziesięciu tysięcy lat, to znaczy od momentu tajemniczego zniknięcia protean. Nawet przy użyciu najnowocześniejszej broni potrzeba było długich dni nieustannego, skoncentrowanego bombardowania, by w jakikolwiek zauważalny sposób naruszyć powłokę kadłuba stacji.

Chociaż nikt jak dotąd poważnie nie brał pod uwagę możliwości zaatakowania Cytadeli. Stacja ulokowana została w głównym węźle wielu połączonych ze sobą przekaźników masy, w samym środku gęstej chmury mgławicy galaktycznej. Samo położenie dawało jej kilka zalet obronnych: wewnątrz mgławicy nawigacja była utrudniona, co spowalniałoby każdą wrogą

flotę i utrudniało jej zorganizowanie jakiegokolwiek skoordynowanego ataku. Na dodatek obecność umieszczonych w pobliżu kilkudziesięciu przekaźników masy umożliwiła przesłanie sił wsparcia z dowolnego miejsca galaktyki w ciągu zaledwie kilku minut.

Gdyby komukolwiek, w jakiś sposób udało się pokonać zewnętrzne linie obrony, to długie ramiona stacji mogły zawijać się wokół wewnętrznego pierścienia, zmieniając kształt Cytadeli z pięcioramiennej gwiazdy w długą, cylindryczną tubę. Kiedy ramiona były już złożone, stacja była praktycznie nie do zdobycia.

Ostatnią linię obrony stanowiła Flota Rady Cytadeli, połączone siły turiańskich, salariańskich i asariańskich okrętów wojennych, które bez przerwy patrolowały pobliską przestrzeń kosmiczną. W ciągu zaledwie kilku sekund Anderson wyłowił wzrokiem okręg flagowy floty, „Destiny Ascension”. Pancernik asari był czymś więcej, niż tylko majestatycznym symbolem potęgi Rady. Czterokrotnie większy od największego z okrętów Przymierza, z liczącą prawie pięć tysięcy osób załogą na pokładzie, „Destiny Ascension” był najpotężniejszym ze wszystkich zbudowanych do tej pory okrętów wojennych. Był dosłownie niezrównany, podobnie jak sama Cytadela.

Rzecz jasna w okolicy były też inne jednostki oprócz okrętów Floty Rady Cytadeli. W Mgławicy Węża, znajdował się główny splot sieci przekaźników masy w całej galaktyce – wszystkie drogi w końcu prowadziły do Cytadeli. Wciąż panował tu natężony ruch, hyło wręcz tłoczno. Było to jedno z kilku miejsc w całej galaktyce, gdzie zderzenie z innym okrętem było realnym, a nie jedynie czysto teoretycznym zagrożeniem.

Szczególnie gęsto zatłoczone były okolice swobodnie unoszących się w przestrzeni stacji przeładunkowych. Generowanie pól efektu masy, potrzebnych do poruszania się z prędkością nadświatlną, powodowało wytwarzanie się w rdzeniu napędu okrętu potężnych ładunków energii. Pozostawiony bez dozoru rdzeń mógł ulec przegrzaniu, które objawiało się uwalnianiem potężnych dawek energii przenikających przez cały okręt – eksplozje te były na tyle silne, że mogły usmażyć wszystkich na pokładzie, którzy nie byli właściwie uziemieni, spalić wszystkie elektroniczne systemy, a nawet przepalić metalowe grodzie.

Żeby zapobiec tego rodzaju katastrofom większość okrętów była zobowiązana do wygaszania rdzeni napędu co dwadzieścia do trzydziestu godzin. Zwykle robiono to lądując na jakiejś planecie, bądź rozpraszając nagromadzony ładunek przez zbliżenie się do pola magnetycznego dużego ciała niebieskiego, takiego jak słońce albo gazowy olbrzym. Jednak w bezpośrednim pobliżu Cytadeli nie było dostatecznie dużych ciał niebieskich.

Zamiast tego rozmieszczono w przestrzeni kosmicznej pierścien specjalnie zaprojektowanych stacji dokujących, do których można było podłączyć się i uwolnić energię rdzenia napędu, by potem bez przeszkód móc korzystać z napędu nadświatlnego.

Na szczęście „Hastings” rozładował swój rdzeń tuż po przybyciu w okolice stacji, ponad godzinę temu. Od tej pory cierpliwie czekał tylko na pozwolenie, które właśnie przed chwilą otrzymali.

Anderson nie musiał czuwać nad działaniami swojej załogi w czasie rutynowego manewru podejścia, robili to już setki razy. Mógł więc wyciszyć się i podziwiać widok powoli zbliżającej się, monumentalnie olbrzymiej Cytadeli. Światła poszczególnych okręgów na jej ramionach lśniły i migotały jak ogromny, wysadzany szlachetnymi kamieniami klejnot, wiszący na tle chmurzastej, kłębiącej się jasności gwiazdnej mgławicy.

– To piękny widok.

Anderson aż podskoczył ze strachu, słysząc nagle czyjś głos tuż za swoją głową.

Sierżant zbrojmistrz Dah roześmiała się wesoło:

– Przepraszam, poruczniku. Nie chciałam cię przestraszyć.

Anderson rzucił okiem na bandaż i obejmę usztywniającą jej nogę od uda aż po kostkę.

– Całkiem niezłe sobie z tym radzisz, sierżancie. W ogóle nie słyszałem, jak się do mnie podkradasz.

Wzruszyła ramionami.

– Mój lekarz powiedział, że noga wróci do pełnej formy. Jestem twoją dłużniczką.

– Nie tak to działa – z uśmiechem odparł Anderson. – Wiem, że zrobiłabyś dla mnie to samo.

– Sama wolę tak myśleć, sir. Ale myślenie o tym i zrobienie tego, to dwie zupełnie różne rzeczy. Tak, więc... dzięki.

– Chyba nie przysłałaś tu na górę aż z izby chorych tylko po to, żeby mi podziękować?

Wyszczrzyła się w uśmiechu.

– Prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że znowu powozisz mnie na barana.

– Nie ma mowy – roześmiał się Anderson. – Prawie mi plecy odpadły, kiedy cię stamtąd wynosiłem. Naprawdę powinnaś zrzucić kilka kilogramów.

– Proszę uważać na słowa, sir – ostrzegła, lekko unosząc zabandażowaną nogę.

– Mogę tym sprzedać naprawdę niezłego kopa.

Anderson z uśmiechem obrócił się znów w stronę iluminatora.

– Lepiej się zamknij i podziwiaj widoki, Dah. To rozkaz.

– Tak jest, sir.

* * *

Formalności celne zajęły Andersonowi zaledwie parę minut. Wylądowali w porcie Przymierza – wracający z misji personel wojskowy zawsze obsługiwany był poza kolejnością.

Funkcjonariusze Służby Ochrony Cytadeli sprawdzili jego tożsamość i zweryfikowali ją skanując odcisk jego kciuka, pobieżnie przejrzeni zawartość jego bagażu osobistego i pozwolili mu wejść przez bramkę granicy portu. Anderson ucieszył się z tego, że obaj byli ludźmi. Jeszcze w zeszłym miesiącu w porcie Przymierza wciąż służyło paru salarian, co tłumaczono niedoborem zasobów ludzkich. Służba Ochrony Cytadeli obiecała przyjąć w swoje szeregi więcej ludzi, i wyglądało na to, że spełniła swoją obietnicę.

Zostawiając port za sobą wsiadł do windy, która miała go zawieźć na główny poziom. Po chwili ziewnął rozdzierająco. Teraz, kiedy zszedł ze służby, zmęczenie, które przez cały czas trwania misji trzymał na uwięzi, w końcu dawało znać o sobie. Nie mógł się doczekać chwili, kiedy dotrze do swojej prywatnej kwatery w jednym z okręgów. Biorąc pod uwagę ilość czasu, jaką spędzał na patrolach, można by uznać płacenie czynszu za apartament na Cytadeli za niepotrzebny wydatek. Jednak on sam czuł, że potrzebuje miejsca, które mógłby nazwać swoim nawet, jeśli przebywał w domu tylko przez siedem dni w miesiącu.

Winda zatrzymała się, jej drzwi otworzyły się i Anderson wstąpił w sam środek pandemonium świateł i dźwięków, jakim były okręgi. Kładki dla pieszych były niemożliwie wprost zatłoczone, wielogatunkowy tłum pędził po nich we wszystkich kierunkach. W górze, po jednoszynowych torach, pędziły wagony pospiesznych tramwajów wypełnione po brzegi dojeżdżającymi do pracy, studentami i zwykłymi gapiami. Niższe ulice zatłoczone były mniejszymi, naziemnymi wehikułami transportowymi, a każdy z kierowców spieszył się bardziej od poprzedniego. Na Cytadeli zawsze panowała godzina szczytu.

Na szczęście nie musiał zatrzymywać samochodu, ani korzystać z usług linii tramwajowych. Jego apartament znajdował się w odległości zaledwie dwudziestu minut piechotą, więc po prostu zarzucił sobie torbę na ramię i zanurzył w rozpycha – jącej się, gorączkowo dokądsz spieszącej gawiedzi.

Kiedy szedł, jego zmysły bombardowane były niekończącym się strumieniem elektronicznych reklam. Wszędzie, gdzie spojrzał, widział holograficzne obrazy promujące setki różnych firm, z setek różnych światów. Reklamowano jedzenie, napoje, pojazdy i rozrywkę: na Cytadeli za odpowiednią sumę można było kupić wszystko. Jednak zaledwie niewielka część reklam skierowana była do ludzi. Wciąż stanowili na stacji mniejszość i większość firm wolała wydawać przeznaczone na reklamę pieniądze na gatunki bardziej obecne na rynku. Z drugiej jednak strony, z miesiąca na miesiąc Anderson zauważał w tłumie rojącym się we wnętrzu Cytadeli, coraz większą ilość przedstawicieli swojego gatunku.

Anderson doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że integracja z pozostałymi przedstawicielami międzygwiazdnej społeczności była dla ludzkości bardzo ważną sprawą. Czy istniało dla tej integracji lepsze miejsce od Cytadeli, której Rada składała się przedstawicieli tylu różnych kultur i gatunków? To właśnie głównie z tego powodu, Anderson

wynajmował apartament w jednym z okręgów Cytadeli. Chciał lepiej zrozumieć istoty innych inteligentnych ras, a najszybciej można było to zrobić mieszkać między nimi.

Doszedł do swojego budynku, zatrzymał się przed głównymi drzwiami i wymówił swoje nazwisko, żeby system rozpoznawania głosu mógł wpuścić go do środka. Jego apartament znajdował się na drugim poziomie, więc zrezygnował z windy i wszedł z bagażami po schodach. Pod samymi drzwiami mieszkania jeszcze raz wymówił swoje nazwisko, wszedł do środka i rzucił bagaż na środek podłogi. Był zbyt zmęczony, żeby zapalać światła. Przez małą kuchnię przeszedł do znajdującej się tyłach mieszkania sypialni, prawie nie rejestrując cichego syku zamykanych automatycznie drzwi. Kiedy doszedł do sypialni, nawet się nie rozebrał, tylko po prostu padł na łóżko, wykończony, ale szczęśliwy, ponieważ w końcu wrócił do domu.

* * *

Anderson obudził się po kilku godzinach snu. Pory nocy i dnia nie znaczyły zbyt wiele, w warunkach nigdy nieustającej aktywności Cytadeli, ale kiedy przewrócił się na bok, żeby spojrzeć na zegarek, na cyfrowej tarczy widniała godzina 17:00. Na skolonizowanych przez ludzi planetach i na pokładach okrętów Przymierza wciąż używano dobrze znanej dwudziestoczworgodzinnej miary czasu, opartej na Skoordynowanym Uniwersalnym Czasie Terrańskim, który wprowadzono pod koniec dwudziestego wieku, by zastąpić archaiczny system Greenwich. Jednak na Cytadeli wszystko odbywało się w rytmie standardowego dwudziestogodzinnego dnia galaktycznego. Żeby wszystko skomplikować jeszcze bardziej, każda godzina dzieliła się na sto minut, składających się ze stu sekund... ale każda sekunda trwała mniej więcej o połowę krócej od tych, którymi czas mierzyli ludzie.

W wyniku tego standardowy galaktyczny dwudziestogodzinny dzień był o około piętnaście procent dłuższy od dnia mierzonego według Uniwersalnego Czasu Terrańskiego. Od samego myślenia o tym Andersona bolała głowa, powodowało to również zamieszanie w rytmie jego snu i wypoczynku. Ale można się było tego spodziewać, biorąc pod uwagę fakt, że jego organizm został zaprogramowany przez kilka milionów lat terrańskiej ewolucji.

Jeszcze trzy godziny i jutro zastąpi dzień dzisiejszy, a jutro ma się stawić u ambasadora na przesłuchanie po zakończeniu zadania na Sidonie. Nie było sensu pojawiać się tam przed dziesiątą, wobec tego miał przed sobą dużo czasu do zabicia. Na pewno przed spotkaniem będzie potrzebował jeszcze paru godzin snu, ale w tym momencie nie czuł się zmęczony. Wstał więc z łóżka, rozebrał się i wrzucił ubranie do małej pralki. Wziął szybki prysznic, założył na siebie czyste ubranie – cywilne – a potem zalogował się na swoim terminalu informacyjnym, żeby sprawdzić najnowsze uaktualnienia i wiadomości.

Komunikowanie się poprzez przestrzeń całej galaktyki nie było prostą sprawą. Dzięki użyciu efektu masy okręty mogły przekraczać prędkość światła, ale wysyłane za pomocą konwencjonalnych urządzeń sygnały wciąż potrzebowały wielu lat, by przemierzyć zimną pustkę przestrzeni kosmicznej dzielącej poszczególne gwiazdne systemy.

Przekazywanie informacji, wiadomości i danych na przestrzeni tysięcy lat świetlnych, mogło być skutecznie dokonywane na dwa sposoby. Dane mogły być transportowane przez bezzałogowe statki kurierskie, zaprogramowane tak, by korzystając z sieci przekaźników masy, podróżowały możliwie jak najkrótszą drogą. Jednak bezzałogowe statki kurierskie wymagały dużych nakładów – sama ich produkcja była kosztowna, a paliwo również było bardzo drogie. Na dodatek, jeśli miały podróżować przez parę przekaźników, mogły dotrzeć na miejsce przeznaczenia nawet po upływie wielu godzin. Tak, więc rozwiązanie to okazało się niepraktyczne dla potrzeb obustronnej komunikacji.

Można było też transmitować dane za pomocą extranetu, czyli szeregów rozmieszczonych w całej galaktyce boi, specjalnie zaprojektowanych, by umożliwić komunikację międzysystemową w czasie rzeczywistym. Informacja mogła być przesyłana za pomocą konwencjonalnego sygnału radiowego do najbliższego szeregu boi. Boje były telemetrycznie zestawione z kolejnym szeregiem, znajdującym się w odległości setek, a nawet tysięcy lat świetlnych. Oba szeregi połączone były ze sobą za pomocą cienkiego promienia pola efektu masy; był to charakterystyczny dla ery kosmicznej odpowiednik używanej na Ziemi pod koniec dwudziestego wieku techniki światłowodowej. Tą drogą sygnały mogły być przesyłane kilka tysięcy razy szybciej od prędkości światła. Dane w postaci sygnałów radiowych przekazywane były z jednego szeregu boi do drugiego praktycznie natychmiastowo. Jeśli szereg był ustawiony właściwie, można było nawet rozmawiać z kimś znajdującym się po drugiej stronie galaktyki, z opóźnieniem zaledwie paru dziesiątych części sekundy.

Jednak, chociaż komunikacja za pomocą szeregów boi extranetu była możliwa, to olbrzymia większość ludzi nie mogła z niej swobodnie korzystać. Rozsiane po tysiącach światów miliardy ludzi, w każdej sekundzie wchodziły do extranetu, przeciążając zdolności przesyłowe sieci. Żeby temu zaradzić, informacje przesyłane były w ściśle odmierzonych wiązkach danych, a wewnątrz każdej z wiązek znajdowało się miejsce dla danych o pierwszorzędnej ważności. Bezwzględne pierwszeństwo przyznawano organizacjom odpowiedzialnym za bezpieczeństwo galaktyki. Kolejne w ważności były rządy i armie wszystkich zrzeszonych w Radzie Cytadeli ras, potem wybrane konsorcja medialne. To, co zostawało dzielono i sprzedawano temu, kto płacił najwięcej.

W praktyce cała niewykorzystana przestrzeń każdej wiązki danych była kupowana przez zawiadujące extranetem korporacje, które dzieliły przydzieloną im wolną przestrzeń na tysiące maleńkich pakietów, które następnie odsprzedawano indywidualnym abonentom. W zależności

od dostawcy extranetu, a także od zasobności portfela danego klienta, można było dostawać osobiste wiadomości z cogodzinnym, codziennym lub nawet cotygodniowym uaktualnieniem.

Anderson nie musiał zaprzętać sobie głowy żadnym z tych problemów. Jak każdemu z oficerów Przymierza, dostawca odświeżał jego prywatne extranetowe konto, co piętnaście minut. Możliwość podczepiania prywatnych wiadomości do wiązek oficjalnych danych była jedną z zalet bycia oficerem.

W skrzynce odbiorczej czekała na niego tylko jedna wiadomość. Skrzywił się niechętnie, kiedy zobaczył, kto był jej nadawcą. Spodziewał się tej wiadomości, ale nie ucieszył się na jej widok. Przez chwilę zastanawiał się, czy mógłby ją po prostu zignorować, ale zdawał sobie sprawę z tego, że to byłaby dziecinada. Lepiej już mieć to za sobą.

Otworzył wiadomość, ściągnął zestaw elektronicznych dokumentów i krótką wiadomość wideo nagraną przez jego pełnomocnika do spraw rozwodu.

Na ekranie terminala pojawił się jego prawnik, Ib Haman. Był to korpulentny, łysiejący mężczyzna około sześćdziesiątki. Ubrany w drogi garnitur, siedział za biurkiem w swoim gabinecie, którego wnętrze Anderson poznał aż za dobrze w ciągu ostatniego roku.

– Poruczniku, nie będę bawił się w formalności i pytał, co u pana słyhać... Wiem, że to wszystko nie było łatwe dla pana i Cyntii.

– Żebyś wiedział – mruknął Anderson, a wiadomość odtwarzała się dalej:

– Przesłałem panu kopie wszystkich dokumentów, które podpisał pan w czasie naszego ostatniego spotkania. Teraz są także podpisane przez Cyntię.

Widoczny na ekranie mężczyzna spojrzał w dół, przesunął jakieś papiery po blacie biurka i znowu spojrzał w kamerę.

– Znajdzie pan tam również kopię rachunku mojego honorarium. Wiem, że w tym momencie to nie poprawi panu nastroju, ale powinien się pan cieszyć, że nie mieliście dzieci. Wtedy sytuacja wyglądałaby znacznie gorzej, a i wysokość mojego honorarium wzrosłaby w znaczący sposób. Kiedy w grę wchodzi prawa rodzicielskie, cała procedura raczej nie idzie tak gładko, jak w naszym przypadku.

Anderson prychnął. W całej tej ponurej, krwawej jatce bez znieczulenia, jaką w jego oczach był rozwód, nic nie szło „gładko”.

– Wasze małżeństwo zostanie oficjalnie unieważnione w dniu wskazanym w dokumentach. Podejrzewam, że w chwili, kiedy odbierze pan tą wiadomość, pański rozwód będzie faktem. Jeśli będzie pan miał jakieś pytania, proszę się ze mną skontaktować. A jeśli będzie pan kiedyś potrzebował moich usług...

Nagranie urwało się nagle – Anderson skasował je i wrzucił do kosza. Nie zamierzał już nigdy nawet rozmawiać z Ib Hamanem. Ten człowiek był dobrym prawnikiem: jego stawka była rozsądnej wysokości, a w czasie całego procesu rozwodowego zachowywał się

bezstronnie i uczciwie. W gruncie rzeczy był wzorowym przykładem skuteczności i profesjonalizmu. Ale gdyby stał w tym momencie obok, Anderson na pewno uderzyłby go w twarz.

To zabawne, pomyślał Anderson wyłączając terminal. Właśnie wziął udział w jednych z dwóch najstarszych, od wieków niezmiennych, rytualnie usankcjonowanych obyczajów gatunku ludzkiego – małżeństwo i rozwód miał już za sobą. Teraz nadszedł czas, by przystąpić do jeszcze starszego rytuału: zamierzał pójść do baru i się upić.

SIEDEM

Nora Chory była jedynym barem w zasięgu pieszej przechadzki od mieszkania Andersona. Nie była to podła spelunka, jednak miała na nią pewne zadatki – była dość obskurnym miejscem. To zresztą stanowiło o jej uroku, podobnie jak wygimnastykowane tancerki i mocne trunki. Jednak Anderson najbardziej cenił w tej knajpie jej klientelę.

Nora czynna była na okrągło, ale nigdy nie było tam tłoczno. W innych okręgach było mnóstwo bardziej popularnych barów, w których można było się pokazać... i nawiązać nowe znajomości. Klienci przychodzili tutaj, żeby coś zjeść, napić się i zrelaksować. Przeciężni, szarzy mieszkańcy tego okręgu. Jeśli można tak powiedzieć o tej barwej menażerii istot różnych gatunków.

Rzecz jasna ludzie tutaj także byli obcym gatunkiem. Wchodząc tutaj Anderson miał tego świadomość. W jego stronę zwróciły się dziesiątki oczu, niektóre szeroko otworzyły się ze zdumienia, kiedy na chwilę przystanął w wejściu.

Nie chodziło o to, że ludzie wyglądali w jakiś szczególnie dziwny sposób. Gatunki takie jak hanarzy, przezroczyste istoty przypominające mierzące trzy metry wzrostu meduzy, były raczej wyjątkiem, niż regułą. Większość z odbywających podróże kosmiczne istot w galaktyce była dwunożna i mierzyła od jednego do trzech metrów wzrostu. Istniało wiele teorii wyjaśniających to podobieństwo. Część z nich była niezwykle przyziemna, inne bardzo dziwaczne i czysto spekulatywne.

Ponieważ większość z gatunków istot inteligentnych żyjących w świecie Cytadeli, zdobyła się na podróże międzygwiazdne dzięki odkryciu i adaptacji tajnych składów proteańskiej technologii, odkrytych w planetach należących do ich macierzystych układów słonecznych, wielu antropologów sądziło, że proteanie odegrali jakąś rolę w ewolucji wszystkich gatunków galaktyki.

Jednak Anderson był zwolennikiem powszechnie uznawanej teorii, która głosiła, że o rozprzestrzenieniu się dwunogów na obszarze całej galaktyki, zadecydowała ewolucyjna przewaga tej formy nad innymi. Istnienie proteańskich bunkrów można było łatwo wyjaśnić: proteanie chętnie studiowali budowę i zachowania inteligentnych, choć wciąż prymitywnych

gatunków, w jakiejś mierze podobnych do nich samych. Poszczególne gatunki, takie jak gatunek ludzki, najpierw ewoluowały, a dopiero potem proteanie przybyli, żeby je studiować – nie odwrotnie. Teoria równoległej ewolucji zyskiwała poparcie w fakcie, że większość form życia w świecie Cytadeli była zbudowana ze związków węgla, silnie zależna od wody i oddychała mieszaniną gazów podobną do ziemskiego powietrza.

W gruncie rzeczy wszystkie nadające się do zamieszkania planety w galaktyce pod paroma istotnymi względami, w jakiś sposób przypominały Ziemię. Najczęściej były częściami systemów ze słońcami typu G, według wciąż używanej przez Przymierze klasycznej klasyfikacji widmowej gwiazd Morgana, Keenana i Kellman. Orbity ich wszystkich mieściły się w zakresie wąskiej strefy, zwanej strefą życia. Jeśli krążyłyby zbyt blisko słońca, woda mogłaby na nich istnieć jedynie w postaci gazowej, gdyby orbita była zbyt oddalona, na zawsze przybrałaby postać stałą. Z tego powodu czasy, w jakich ojczyste światy niemal wszystkich głównych ras wykonywały pełne okrążenie wokół swojego słońca, różniły się od siebie zaledwie o parę tygodni. Standardowy rok galaktyczny – średnia z lat asariańskich, salariańskich i turiańskich – był jedynie o dziewięć setnych dłuższy od roku ziemskiego.

Nie, pomyślał Anderson zmierzając w stronę jednego ze stojących przy barze wysokich taboretów, ludzie nie wyróżniali się z tłumu przez swój wygląd, czy niezwykle cechy fizyczne. Po prostu byli nowymi przybyszami, i na dzień dobry zrobili diabelnie mocne pierwsze wrażenie.

Para turian wlepiła w niego swoje ptasie oczy, śledząc każdy jego ruch jak dwa sokoły, gotowe spaść z nieba na nic niepodejrzewającą mysz. Turianie byli mniej więcej tego samego wzrostu, co ludzie, tylko znacznie szczuplejsi. Ich kości były smukłe i długie, cali w ogóle byli kościstej, jakby kanciastej budowy ciała. Ich trójpalczaste dłonie przypominały ptasie szpony, głowy i twarze przykryte mieli kostno-chrzęstną, szarobrązową maską, na której często robili nacięcia i tatuaże.

Wyrastała z tylnej części czaszki, w postaci tępo zakończonych kolców i sięgała do przodu, zakrywając czoło, nos, górne wargi i policzki, utrudniając rozróżnianie poszczególnych przedstawicieli gatunku. Widok turian zawsze przypominał Andersonowi o ewolucyjnym pokrewieństwie między ptakami a dinozaurami.

Patrzył im w oczy przez chwilę, a potem szybko odwrócił spojrzenie, starając się ich zignorować. Tego wieczoru i tak był, co prawda w wyjątkowo podłym nastroju, ale nie zamierzał przez to wznawiać Wojny Pierwszego Kontakt. Zamiast tego skupił swoją uwagę na tancerce asari występującej na umieszczonej pośrodku baru scenie.

Ze wszystkich zamieszkujących przestrzeń Cytadeli gatunków, Asari były najliczniejsze... i najbardziej przypominały ludzi. A konkretnie kobiety ludzkiego gatunku. Wysockie i smukłe, o zgrabnych, proporcjonalnych sylwetkach. Asari były istotami aseksualnymi – pojęcie płci w

ogóle nie miało w ich wypadku zastosowania. Jednak w oczach Andersona były bezsprzecznie istotami rodzaju żeńskiego. Miały nawet kobiece rysy twarzy... chociaż było też w nich coś anielskiego i eterycznego. Ich skóra miała lekko błękitny lub zielonkawy odcień, ale modyfikowanie pigmentami było na tyle prostym zabiegiem, że często można było spotkać ludzi z takim samym kolorem skóry. Ich gatunkową obcość zdradzały jedynie tyły ich głów. Zamiast włosów mieli misternie sfalowane fałdy skóry... co nie tyle wyglądało nieatrakcyjnie, ile raczej sprawiało zaskakująco obce wrażenie, w całości ich skądinąd tak bardzo ludzkich postaci.

W asari Anderson dostrzegał jakąś paradoksalną sprzeczność. Z jednej strony, zwracały uwagę estetyką swojego wyglądu i wydawało się, że to dla nich ważny aspekt ich życia: często wykonywały zawody wykorzystujące ich cielesny powab, czy nawet wyzywającą zmysłowość. Asari często zajmowały się tańcem, albo służyły jako metresy do wynajęcia. Z drugiej strony, były najbardziej szanowanym, podziwianym i najpotężniejszym gatunkiem w całej galaktyce.

Znane ze swojej mądrości i dalekowzroczności asari, prawdopodobnie jako pierwsze po wyginięciu protean, opanowały zdolność międzygwiazdnych podróży.

One również odkryli Cytadelę i były jednymi z członków założycieli Rady. Asari zarządzały większą przestrzenią i miały rozleglejsze wpływy, niż jakakolwiek inna rasa.

Anderson wiedział o tym wszystkim, jednak jak zawsze trudno było mu połączyć w jedną całość ich dominującą rolę w świecie galaktycznej polityki z fascynującym występem scenicznym tancerki asari. Wiedział, że wina leży po jego stronie: wynikała z jego ludzkich uprzedzeń i niewłaściwych oczekiwań. Głupotą było ocenianie całego gatunku na podstawie zachowania jednostki. Jednak było to coś głębszego, niż zwykłe wrażenie wywołane paroma tańcami: Asari wyglądały jak kobiety, a więc byli ofiarami stereotypowego antymatriachalnego sposobu myślenia ludzi.

Przynajmniej zdawał sobie sprawę z tego, że jest uprzedzony i robił wszystko, by to zmienić. Niestety wiedział również, że mnóstwo innych ludzi odczuwa dokładnie to samo i wcale nie chce zmieniać swojego nastawienia. To był kolejny dowód na to, że wciąż muszą się jeszcze dużo nauczyć o całej reszcie galaktyki.

Oglądając dalszą część występu tancerki, Anderson wykrył subtelne, łatwe do przeoczenia różnice w ich budowie. Słyszał wiele szczegółowych opowieści na temat międzygatunkowych relacji seksualnych, oglądał nawet parę filmów. Był dumny z tego, że zachowywał otwarty umysł, ale tego typu rzeczy zwykle go odstręczały. Jednak potrafił zrozumieć, że asari mogły być pociągające. Na dodatek z tego, co słyszał, były również bardzo sprawnymi kochankami.

Jednak nie po to, tu dzisiaj przyszedł.

Odwrócił się plecami do sceny w chwili, kiedy voluski barman kaczym krokiem podszedł, by go obsłużyć. Rodzimy świat volusów miał grawitację o pięćdziesiąt procent silniejszą od

ziemskiej, dlatego też volusowie byli niżsi od ludzi, a ich ciała były tak ciężkie i krągłe, że przypominały kule. Podczas, gdy turianie przypominali z wyglądu jastrzębie albo sokoły, to volus przypominał Andersonowi krowę morską, którą widział w morskim rezerwacie, w czasie swojego ostatniego pobytu na Ziemi: stworzenie powolne w ruchach i niezdarne na granicy komizmu.

Atmosfera Cytadeli była rzadsza od tej, do której przywykli, więc najczęściej nosili zasłaniające twarze wspomagające oddychanie maski. Jednak Anderson był już w Jaskini Chory tyle razy, że bez trudu rozpoznał voluskiego barmana.

– Muszę się napić, Maawda.

– Oczywiście, poruczniku – odparł barman, świszczącym, głosem stłumionym przez maskę i fałdy skóry na gardle. – Na jaki rodzaj napoju wysokowego miałby pan ochotę?

– Zaskocz mnie czymś. Chcę się napić czegoś nowego. Byleby było mocne.

Maawda zdjął z jednej z półek niebieską butelkę i postawił ją na blacie baru razem ze szklanką.

– To elasa – wyjaśnił, napełniając szklankę bladezielonym płynem. – Z Thessii.

Z ojczystej planety asari. Anderson pokiwał głową i wziął próbny łyk. Alkohol był zimny i ostro palił w gardle, ale nie miał nieprzyjemnego smaku. Pozostający w ustach mocny posmak zdecydowanie różnił się od pierwszego łyku – był gorzkawy, z nutką pikantnej słodyczy. Gdyby miał określić trunka jednym słowem, powiedziałaby, że jest „ostry”.

– To całkiem niezłe – powiedział z aprobatą, biorąc następny łyk.

– Niektórzy nazywają go Towarzystwem Smutku – zauważył Maawda, siadając i opierając się o blat baru. – Melancholijny drink dla mężczyzn w melancholijnym nastroju.

W tej sytuacji porucznik nie mógł się nie uśmiechnąć. Voluski barman dostrzegający depresyjny nastrój swojego ludzkiego klienta, odczuwa na tyle zainteresowania, żeby zapytać, co się stało. Kolejny dowód na to, w co Anderson szczerze wierzył: pomimo wszystkich oczywistych fizjologicznych i kulturowych różnic, w gruncie rzeczy wszystkie gatunki istot inteligentnych dzieliły te same potrzeby, uczucia i wartości.

– Dostałem dzisiaj złą wiadomość – powiedział, przesuwając końcem palca po krawędzi szklanki. Nie znał zbyt dobrze voluskiej kultury, więc nie był pewien, w jaki sposób wyjaśnić swoją sytuację. – Wiesz, czym jest małżeństwo?

Barman pokiwał głową:

– To sformalizowanie związku między partnerami, prawda? Instytucjonalne uznanie procesu łączenia się w pary. Mój lud hołduje podobnej tradycji.

– No cóż, właśnie się rozwiódłem. Ja i moja żona nie jesteśmy już razem. Dzisiaj moje małżeństwo oficjalnie się zakończyło.

– Przykro mi z powodu pańskiej straty – zaświzzczał Maawda. – Jestem też zaskoczony. Przedtem wielokrotnie pan tutaj przychodził i ani razu nie wspomniał pan o żadnej partnerce.

I tu właśnie był pies pogrzebany. Cyntia wciąż mieszkała na Ziemi, a on nie. Był albo tu, na Cytadeli, albo patrolował Pogranicze. Po pierwsze był żołnierzem, po drugie mężem... a Cyntia zasługiwała na coś lepszego.

Dopił drinka jednym dużym łykiem i z hukiem odstawił szklanę na bar.

– Nalej mi jeszcze jednego, Maawda.

Barman spełnił jego życzenie.

– Być może to tylko tymczasowa sytuacja, prawda? – zapytał, napełniając szklanę. – Może w swoim czasie odnowicie wasze partnerstwo?

Anderson potrząsnął głową.

– Nie ma na to szans. To koniec. Czas ruszać dalej.

– Łatwo powiedzieć, trudniej wykonać – odparł, najwyraźniej znający się na rzeczy volus.

Anderson zamówił jeszcze jednego drinka, ale wrócił do metody małych łyčzków. Nie należało przesadzać z nieznanymi trunkami: każda mikstura wywoływała tylko sobie właściwe efekty. Już teraz czuł rozprzestrzeniające się po jego ciele niezwykle odczucie. Powodujące odrętwienie ciepło wypełzło z jego żołądka i rozlało do wnętrza rąk i nóg, po chwili zaczęły go swędzieć palce dłoni i stóp. To nie było nieprzyjemne odczucie, po prostu dotąd go nie znał.

– Jak mocny jest ten napój? – zapytał barmana.

Maawda wzruszył ramionami.

– Zależy, ile go się wypije. Jeśli chce się pan stąd wyczołgać, zostawię butelkę na barze.

Propozycja volusa miała trudny do odparcia urok. Anderson właśnie o czymś takim marzył – chciałby pić, dopóki to wszystko nie zniknęłoby z jego głowy: nudny, podły ból rozvodu, okrutne wspomnienie martwych ciał z Sidonu i dręczące, nieokreślone napięcie, które zawsze dopadało go w pierwsze dni po powrocie z patrolu. Ale rano miał się spotkać z ambasadorem Ziemi na Cytadeli i nie byłoby najlepiej widziane, gdyby pokazał się tam z potężnym kacem.

– Przykro mi, Maawda. Muszę już iść. Jutro rano mam ważne spotkanie – dopił drinka do końca i wstał, z ulgą widząc, że pomieszczenie baru nie wiruje wokół niego. – Dopisz to do mojego rachunku.

Jeszcze raz zatrzymał wzrok na tancerce asari i ruszył w stronę drzwi. Dwaj turianie gapili się na niego, kiedy przechodził obok ich stolika, a jeden z nich mruknął pod nosem jakieś ciche słowa. Anderson nie musiał ich rozumieć, żeby wiedzieć, że właśnie został obrażony.

Zawahał się przez chwilę, odruchowo zaciskając pięści w przypływie nagłego gniewu. Jednak po chwili je rozluźnił. Pokazywanie się na jutrzejszym spotkaniu na kacu byłoby czymś złym, ale czymś znacznie gorszym byłaby konieczność tłumaczenia, dlaczego SOC zatrzymała go za obicie wrednych facjat dwóm turianom, którzy nie umieli trzymać gęby na kłódkę.

To był jeden z ciężarów, jakie musiał znosić jako oficer Przymierza. Był przedstawicielem swojego gatunku, jego zachowanie wpływało na sądy innych ras o całej ludzkości. Nawet z głową pełną mrocznych myśli i żołądkiem pełnym mocnego alkoholu, nie mógł sobie pozwolić na luksus skopania im tyłków. Biorąc głęboki oddech po prostu stamtąd odszedł; zapomniał o własnej dumie i zignorował wybuch szyderczego śmiechu za plecami, ponieważ taki był jego obowiązek.

Zawsze, przede wszystkim był żołnierzem.

OSIEM

Anderson wstał o siódmej rano. Czuł lekki ból głowy – uboczny efekt jego nocnej wizyty w Norze Chory. Ale pięciokilometrowa przebieżka na mechanicznym deptaku, który trzymał w kącie swojej sypialni i długi, gorący prysznic, usunęły z jego organizmu resztki elasy.

Kiedy ubrał się w swój mundur – wyprany i wyprasowany poprzedniego wieczoru – poczuł się znowu sobą. Wszystkie myśli o Cyntii i o ich rozwodzie zamknął w małym pomieszczeniu na tyłach swojego umysłu, pora była ruszać dalej. Tego poranka ważna była tylko jedna rzecz – uzyskanie jakiś odpowiedzi w sprawie Sidonu.

Poszedł pieszo na stację transportu publicznego. Pokazał swój wojskowy identyfikator i wszedł na pokład szybkiej windy, używanej do przenoszenia ludzi z niższych poziomów okręgów do znajdującego się w górze Prezydium.

Anderson zawsze lubił odwiedzać to miejsce. W przeciwieństwie do okręgów, które zostały wybudowane wzdłuż ramion gwiazdy Cytadeli, Prezydium zajmowało główny pierścień stacji. I chociaż mieściły się w nim rządowe przedstawicielstwa i ambasady wszystkich ras wszechświata Cytadeli, to bardzo różniło się od beładnie zabudowanej metropolii, która właśnie umykała mu spod stóp.

Prezydium zostało zaprojektowane w ten sposób, by przypominało rozległy, parkowy ekosystem. Środkowa część poziomu zdominowana była przez duże, wypełnione świeżą wodą jezioro, otoczone pofalowanymi polami, porośniętymi jasnozieloną trawą. Sztucznie wytworzona bryza, delikatna jak wiosenny powiew zefiru, marszczyła lekko taflę jeziora, rozsiewając po całym wnętrzu Prezydium zapachy tysięcy zasadzonych tam drzew i kwiatów. Sztuczne światło słoneczne spływało w dół z symulakry błękitnego nieba, wypełnionej białymi, bufiastymi obłokami. Złudzenie było tak doskonałe, że większość ludzi, łącznie z Andersonem, nie potrafiło odróżnić go od rzeczywistości.

Budynki, w których prowadzono wszystkie rządowe interesy, również skonstruowane zostały w odwołującej się do natury estetyce. Rozmieszczono je wzdłuż delikatnie wygiętego łuku, który oznaczał krawędź centralnego pierścienia stacji, dzięki czemu dyskretnie wtapiały się w otoczenie. Między nimi poprowadzono szerokie, otwarte, meandrycznie wijące się

chodniki, odtwarzając w samym sercu Prezydium sielankową, zadbaną scenerię jakiegoś wiejskiego zakątka – był to doskonały przykład współgrania funkcji i formy w architekturze.

Jednak, kiedy Anderson wysiadł z windy i znalazł się na górnym poziomie, po raz kolejny uświadomił sobie, że to wcale nie naturalne piękno cenił sobie w Prezydium najbardziej. Wstęp do wewnętrznego pierścienia Cytadeli generalnie zastrzeżony był jedynie dla rządowych i wojskowych urzędników, a także dla tych, którzy mieli coś do załatwienia w którejś z ambasad. W wyniku tego, Prezydium było jedynym miejscem na Cytadeli, w którym Anderson nie czuł się nieustannie otoczony przez spieszący dokądś, napierający na niego tłum.

Nie, żeby było tu pusto, rzecz jasna. Galaktyczna biurokracja musiała zatrudniać tysiące obywateli wszystkich międzygwiazdnych ras, które utrzymywały w Prezydium swoje ambasady, w tym również ludzi. Jednak w porównaniu z zamieszkanymi przez miliony okręgami, Prezydium było słabo zasiedlone.

Rozkoszując się ciszą i spokojem ruszył wzdłuż brzegu jeziora, powoli zmierzając w stronę ziemskiej ambasady. W oddali widział Wieżę Cytadeli, w której Rada spotykała się z ambasadorami, by rozwiązywać kwestie galaktycznej polityki i prawa. Iglica Wieży wznosiła się w majestatycznej samotności ponad pozostałymi budynkami, ledwo widoczna w miejscu, w którym zagięcie centralnego pierścienia tworzyło fałszywy horyzont.

Anderson osobiście nigdy tam nie był. Gdyby kiedykolwiek zachciał zwrócić się w jakiejś sprawie do Rady, musiałby zrobić to w odpowiedni, ustalony przez prawo sposób. Najprawdopodobniej ambasador przedstawiłby petycję w jego imieniu. Ale taki stan rzeczy jak najbardziej mu odpowiadał. Był żołnierzem, nie dyplomatą.

Minął jednego z opiekunów, pochodzącego z cichej, enigmatycznej rasy, która dbała o porządek i sprawne funkcjonowanie wewnętrznego pierścienia Cytadeli. Z wyglądu przypominali przerośnięte mszyce: mieli tłuste zielone ciała ze zbyt dużą z pozoru ilością patykowatych rąk i nóg. Prawie zawsze spieszyli się dokądś, poruszając się małymi kroczkami, jakby ciągle mieli coś pilnego do zrobienia gdzie indziej.

Niezbyt wiele wiadomo było o opiekunach. Można ich było spotkać jedynie na Cytadeli, nie występowali nigdzie indziej w całej galaktyce. Kiedy prawie trzy tysiące temu asari odkryły stację, opiekunowie po prostu już tutaj na nich czekali. Zareagowali na przybycie przedstawicieli nowych gatunków istot inteligentnych, tak, jak służący mogliby zareagować na z dawna oczekiwany powrót swoich panów, biegając wkoło i wręcz wychodząc ze skóry by zrobić wszystko, co mogłoby ułatwić asari oswojenie się z Cytadelą i sposobem jej działania.

Wszystkie próby bezpośredniego skomunikowania się ze opiekunami spotkały się z milczącym, biernym oporem. Wydawało się, że nie mają w swoim życiu żadnego celu, poza obsługą i naprawą infrastruktury Cytadeli, wciąż trwały debaty, czy można uznać ich za istoty naprawdę inteligentne. Niektórzy twierdzili, że są w istocie jedynie organicznymi maszynami,

genetycznie zaprogramowanymi przez protean do dbania o Cytadelę z fanatycznym oddaniem zbiorowego, sztucznego umysłu. Według tej teorii funkcjonowali czysto instynktownie, byli zupełnie pozbawieni świadomości. Nie zauważyli nawet tego, że przed pięćdziesięcioma tysiącami lat zniknęli ci, którzy ich stworzyli.

Anderson zignorował opiekuna, kiedy obok niego przechodził – to była typowa reakcja. Byli tak wszechobecni na stacji, a przy tym tak nienarzucający się i dyskretni, że większość ludzi uważała ich obecność za coś oczywistego.

W pięć minut później doszedł do budynku, który służył za ziemską ambasadę. Wszedł do środka, kąciki jego ust uniosły się do góry, kiedy zobaczył siedzącą na recepcji młodą, atrakcyjną kobietę. Uniosła głowę, kiedy do niej podchodził i na jego lekkie wyszczerzenie się, odpowiedziała promiennym uśmiechem.

– Dzień dobry, Auroro.

– Minęło sporo czasu, odkąd pana tutaj widziałam po raz ostatni, poruczniku – jej głos był równie przyjemny dla ucha, jak jej wygląd dla oczu: ciepły, głęboki, budzący zaufanie – doskonałe powitanie dla wszystkich gości ambasady.

– Zaczęłam już myśleć, że mnie pan unika – drażniła się z nim.

– Nie, po prostu staram się unikać kłopotów.

Jedną ręką nacisnęła parę klawiszy na swoim terminalu i znów spojrzała na ekran.

– O-ho-ho – powiedziała, udając prawdziwą, koleżeńską troskę. – Widzę, że ma pan umówione spotkanie z samą ambasadorką Goyle.

Uniosła jedną brew i figlarnie dodała strofującym tonem:

– A przecież powiedział pan przed chwilą, że nie pakuje się pan w żadne kłopoty.

– Powiedziałem, że staram się unikać kłopotów – odparł. – Nie powiedziałem, że mi się to udaje.

Został nagrodzony krótkim wybuchem śmiechu, który prawdopodobnie był długo ćwiczony i polerowany do nieskazitelnej gładkości, a mimo to brzmiał zaskakująco ciepło i szczerze.

– Kapitan już tam jest. Dam im znać, że pan do nich idzie.

Anderson pokiwał głową i zaczął wchodzić po schodach prowadzących do gabinetu ambasadorki Goyle. W jakiś dziwny sposób o wiele lżej stawiało mu się kroki, niż jeszcze chwilę wcześniej. Nie był na tyle głupi, by czegokolwiek oczekiwać po tej ich krótkiej rozmowie. Auroro po prostu wykonywała swoją pracę. Została zatrudniona na stanowisku recepcjonistki właśnie dzięki swojej zdolności do sprawiania, by ludzie czuli się swobodnie i na luzie. Jednak nie mógł zaprzeczyć, że ich mały flircik sprawił mu przyjemność.

Drzwi gabinetu były zamknięte. Auroro powiedziała, że będą go oczekiwać, ale wciąż zwlekał z pukaniem.

– Proszę wejść – zza zamkniętych drzwi dobiegł go kobiecy głos.

Kiedy tylko wszedł do środka, zdał sobie sprawę z tego, że to będzie poważne spotkanie. W gabinecie znajdowało się parę wygodnych krzeseł i mały stolik do kawy, nie wspominając o ambadorskim biurku. Jednak, zarówno kapitan, jak i pani ambasador czekali na niego stojąc.

– Proszę zamknąć za sobą drzwi, poruczniku – Anderson wykonał polecenie pani ambasador, potem podszedł kilka kroków w ich stronę i stanął sztywno na baczność.

Anita Goyle była najważniejszą i najbardziej wpływową osobą w ludzkim świecie politycznym, i wręcz promieniowała aurą władzy i autorytetu. Śmiała i pewna siebie, była imponującą, pełną energii sześćdziesięciolatką. Średniej budowy ciała, z długimi, srebrnymi włosami – upiętymi w stylowy kok – miała eleganckie, wydatne kości policzkowe. Rysy jej twarzy wskazywały na pochodzenie ze Środkowej Azji, tylko jej głęboko szmaragdowe oczy pozostawały w kontraście do ciemnobrązowej karnacji jej skóry. W tym momencie te oczy wpatrywały się prosto w Andersona, który musiał walczyć z pokusą wiercenia się w miejscu pod jej przenikliwym spojrzeniem.

– Spocznij – zakomenderował jego kapitan. Anderson posłusznie rozstawił szerzej nogi i splótł dłonie za plecami.

– Nie zamierzam się z panem bawić w żadne gierki, poruczniku – zaczęła ambasador. Miała reputację osoby, która potrafiła błyskawicznie rozwiązywać pozornie skomplikowane polityczne i dyplomatyczne kwestie. Była to jedna z cech, którą Anderson w tej kobiecie podziwiał. – Spotkaliśmy się tu po to, by spróbować ustalić, co poszło nie tak na Sidonie i spróbować temu w jakiś sposób zaradzić.

– Tak jest, proszę pani.

– Chcę, żeby pan się tutaj wypowiadał zupełnie swobodnie. Rozumie pan, poruczniku? Niech pan niczego nie przemilcza.

– Rozumiem, proszę pani.

– Jak pan wie, Sidon był jedną z naszych najbardziej utajnionych instalacji. Jednak, miejmy nadzieję, nie wiedział pan o tym, że znajdowała się tam główna placówka Przymierza do badań nad sztuczną inteligencją.

Trudno było Andersonowi nie okazać zaskoczenia. Próby stworzenia sztucznej inteligencji były jedną z aktywności naukowych, stanowczo zakazanych przez Konwencje Cytadeli.

Tworzenie czysto syntetycznego życia, czy to drogą klonowania, czy też bezpośredniej produkcji, były uznawane za zbrodnię stanu wobec całej galaktyki.

Eksperci niemal wszystkich ras istot inteligentnych uznawali zgodnie, że prawdziwa sztuczna inteligencja – taka jak syntetyczna sieć neuronów ze zdolnością absorpcji i krytycznej analizy wiedzy – zaczęłaby gwałtownie narastać w chwili, kiedy nauczyłaby się uczyć. Potem mogłaby uczyć samą siebie. Szybko przewyższając zdolności swoich organicznych twórców, uwolniłaby się spod ich kontroli. Wszystkie gatunki w galaktyce dla celów transportu, handlu,

obrony i po prostu po to, by przeżyć, posługiwały się komputerami, które były podłączone do olbrzymiej sieci danych extranetu. Gdyby samowolny program sztucznej inteligencji zdołał w jakiś sposób uzyskać dostęp do tej sieci, skutki mogły być katastrofalne.

Konwencjonalne teorie zakładały, że scenariusz zagłady całego znanego wszechświata był nie tyle możliwy, co wręcz nieunikniony. Według Rady Cytadeli, ewentualne pojawienie się sztucznej inteligencji było największym zagrożeniem dla organicznego życia w całej galaktyce. Rada dysponowała dowodem na potwierdzenie tej tezy.

Trzysta lat temu, na długo przed pojawieniem się ludzkości na galaktycznej scenie zdarzeń, quarianie stworzyli rasę syntetycznych służących, która miała im służyć jako niewyczerpane źródło jednorazowej siły roboczej. Gethy, jak ich nazwano, nie były obdarzeni prawdziwą sztuczną inteligencją, ich sieci neuronowe były wysoce restryktywne i samoograniczające się. A jednak pomimo tych zabezpieczeń, gethy w końcu zwróciły się przeciwko swoim panom, potwierdzając wszystkie złowieszcze ostrzeżenia i prognozy.

Quarianie nie dysponowali odpowiednią siłą, ani liczebnością, które pozwoliłyby im skutecznie przeciwstawić się swoim byłym sługom. W krótkiej, okrutnej wojnie zostali dosłownie wyniszczeni. Ich gatunek praktycznie przestał istnieć.

Ocalało tylko parę milionów quarian – niecały jeden procent całej populacji – którym udało się uciec z rodzinnej planety na pokładach okrętów ich floty. Od tej pory musieli żyć na wygnaniu.

Po zakończeniu tej wojny, gethy stworzyły skrajnie izolacjonistyczne społeczeństwo. Ucięły wszystkie kontakty z organicznymi rasami galaktyki i rozszerzyły swoje terytorium na nieznanne rejony, znajdujące się za chmurą gwiazdnej mgławicy zwanej Mgławicą Perseusza. Wszystkie próby nawiązania z nimi kontaktów dyplomatycznych spełzły na niczym. Bezzałogowe jednostki wysłane by rozpocząć negocjacje, zostały ostrzelane i zniszczone w momencie wejścia w kosmiczną przestrzeń gethów.

Na skraju mgławicy zebrały się floty wszystkich żyjących w przestrzeni Cytadeli ras – Rada przygotowywała się do zmasowanego ataku na gethy. Ale planowany atak nigdy nie nastąpił. Stopniowo wycofywano poszczególne floty inwazyjne. Teraz, w parę wieków po wypędzeniu quarian z ich rodzimego świata, pozostawiono tam jedynie parę jednostek patrolowych, które miały monitorować region w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak agresywnych zamiarów gethów.

Jednak ponura lekcja, jaką była historia quarian, nie została zapomniana. Syntetyczne istoty, które sami stworzyli, odebrały im dosłownie wszystko... a na dodatek, gethy były mniej doskonałe od istot obdarzonych prawdziwą sztuczną inteligencją.

– Wygląda na to, że ma pan coś do powiedzenia, poruczniku?

Anderson zrobił wszystko, by jego twarz nie zdradzała jego uczuć i myśli, ale ambasador Goyle bez trudu przejrzała, tą z pozoru niewzruszoną fasadę. Właśnie dlatego, była najpotężniejszym politykiem Przymierza.

– Przykro mi, proszę pani, ale po prostu zaskoczyło mnie, że prowadzimy badania nad sztuczną inteligencją. To wydaje się trochę ryzykowne.

– Doskonale zdajemy sobie sprawę z zagrożeń, jakie temu towarzyszą – zapewniła go ambasador. – Nie zamierzamy zapełnić galaktyki spuszczonej ze smyczy, w pełni uformowanymi istotami o sztucznej inteligencji. Projekt ten miał ściśle określone cele badawcze. Stworzenie ograniczonych symulacyjnych sztucznych inteligencji dla obserwacji i dokładnych studiów. W tym momencie, ludzkość jest stroną przegrywającą. Wciąż się rozprzestrzenia, jednak cały czas nie mamy dostatecznej ilości okrętów, żeby móc skutecznie współzawodniczyć z innymi głównymi rasami, aspirującymi do wzmocnienia swoich wpływów i stanu posiadania w przestrzeni Cytadeli. Musimy w jakiś sposób zdobyć nad nimi przewagę. W naszym pojęciu sztuczna inteligencja może pomóc nam w tej rywalizacji.

– Kto jak kto, ale pan powinien to doskonale rozumieć – dodał kapitan. – Jeślibyśmy nie dysponowali podstawową technologią z zakresu sztucznej inteligencji, wszyscy żylibyśmy w tej chwili pod rządami turian.

To prawda. Strategia wojskowa Przymierza opierała się dużej mierze na wysoce zaawansowanych technicznie bojowych programach symulacyjnych. Rozpatrując w jednej sekundzie miliony zmiennych, symulacje analizowały bezdenny bank możliwości, zapewniając ciągły dopływ uaktualnień, które pozwalały zoptymalizować taktykę i strategię dla dowódców każdego z poszczególnych okrętów Przymierza. Bez pomocy bojowych symulatorów, ludzkość nie miałaby najmniejszych szans w walce z większą i bardziej doświadczoną w bojach turiańską flotą w czasie Wojny Pierwszego Kontakt.

– Doskonale rozumiem pańskie wątpliwości – wyjaśniła ambasador Goyle, prawdopodobnie wyczuwając, że Anderson wciąż nie do końca dał się przekonać. – Ale placówka na Sidonie działała w warunkach podwyższonej ochrony i ścisłej tajności. Projekt prowadził doktor Shu Qian, jeden z najwybitniejszych ekspertów galaktyki w dziedzinie badań nad sztuczną inteligencją.

– Osobiście nadzorował wszystkie aspekty prowadzonych tam prac – kontynuowała. – Qian nalegał nawet, żeby sieci neuronowe, które wykorzystywaliśmy do tworzenia symulacji sztucznej inteligencji, były w pełni samowystarczalne. Wszystkie dane miały być natychmiast rejestrowane i nagrywane, a potem ręcznie wprowadzane do osobnego systemu – wszystko to dla pewności, że nie dojdzie do krzyżowego skażenia sieci neuronowej. W żadnym wypadku nie istniała możliwość, by symulacje sztucznej inteligencji mogły w jakiś sposób wpłynąć na

cokolwiek, co znajdowało się na zewnątrz zastrzeżonych systemów danych we wnętrzu bazy. Przedsięwzięto wszystkie możliwe zabezpieczenia i środki ostrożności, żeby nie mogło się tam stać nic złego.

– A jednak się stało.

– Trochę się pan zagalopował, poruczniku – warknął kapitan.

Ambasador Goyle podniosła do góry dłoń i ruszyła mu na odsiecz.

– Powiedziałałam wcześniej, że ma się wypowiadać swobodnie, kapitanie.

– Nie chciałem okazać braku szacunku, proszę pani – powiedział Anderson w ramach przeprosin. – Nie musi mi pani uzasadniać potrzeby istnienia bazy na Sidonie. Jestem tylko zwykłym żołnierzem, którego wysłano tam, żeby zrobić porządek.

Przez chwilę trwało niezręczne milczenie, w końcu przerwane przez panią ambasador.

– Czytałam pański raport – powiedziała, taktownie zmieniając kierunek rozmowy. – Wynika z niego, że pańskim zdaniem, nie mógł to być przypadkowy atak.

– Tak sądzę, proszę pani. Moim zdaniem, Sidon został rozmyślnie wybrany i rozpracowany pod względem taktycznym. Tylko aż do tej pory nie wiedziałem, dlaczego tak się stało.

– Jeśli to prawda, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że ten, kto zaatakował Sidon, chciał dostać w swoje ręce doktora Qiana. Jego osiągnięcia w tej dziedzinie są wprost niezwykłe. Nikt nie zna się na sztucznej inteligencji tak, jak on.

– Myśli pani, że doktor Qian wciąż żyje?

– Przecucie mówi mi, że tak – odpowiedziała ambasador. – Myślę, że ci, którzy zaatakowali Sidon, zniszczyli bazę, by zatrzeć po sobie ślady. Chcieli, żebyśmy myśleli, że wszyscy zginęli. A to może oznaczać, że chcieli, żebyśmy nie trudzili się szukaniem Qiana.

Porucznik zakładał, że eksplozja miała na celu ukrycie tożsamości zdrajcy, ale mogła przecież równocześnie posłużyć do tego, by ukryć fakt, że doktor Qian nie zginął na stacji. Nie było możliwości udowodnienia tej teorii, ale Anderson, podobnie jak ambasador Goyle, nauczył się ufać swoim przecuciom. A przecucia mówiły mu, że ta mądra kobieta ma rację.

– Myśli pani, że doktor Qian, mógłby w jakiś sposób zostać przekonany do tego, żeby, wykorzystując owoce swoich badań, pomóc komuś spoza Przymierza stworzyć sztuczną inteligencję? – zapytał.

– Doktor Qian nie jest żołnierzem – odparła, zastanawiając się nad czymś z ponurą miną. – Ma niezwykle błyskotliwy umysł, jednak nosi go w ciele słabowitego, starego mężczyzny. Mógłby okazać tyle dzielności, żeby odmówić pomocy jakiemuś pozaludzkiemu gatunkowi istot. Ale parę tygodni tortur, mogłoby złamać jego opory.

– Więc czas działa na naszą niekorzyść.

– Na to wygląda – przyznała ambasador. – W pańskim raporcie moją uwagę zwróciła jeszcze jedna kwestia – znowu płynnie zmieniła temat rozmowy. – Według niego uważa pan,

że napastnikom pomagała któraś z osób bezpośrednio zaangażowanych w prace nad projektem?

– Tak jest, proszę pani.

– Być może wiemy, kto jest tą osobą – wtrącił kapitan.

– Sir?

Na jego pytanie odpowiedziała pani ambasador:

– Jedna z naszych najlepszych pracownic technicznych opuściła bazę zaledwie na kilka godzin przed atakiem. Kahlee Sanders. Według naszych doniesień, ostatnio widziano ją w Elizjum, ale potem straciliśmy ją z oczu.

– Uważa pani, że odnalezienie jej pomoże nam odnaleźć doktora Qiana?

– Nie będziemy tego wiedzieć aż do chwili, kiedy pan ją znajdzie, poruczniku.

Anderson nie krył zdziwienia.

– Chcecie wysłać „Hastings”, żeby ją namierzyć?

– Nie – odpowiedziała ambasador. – Tylko pana.

Instynktownie zwrócił się do swojego przełożonego:

– Sir, nie rozumiem.

– Do cholery, jest pan najlepszym oficerem wykonawczym, z jakim kiedykolwiek służyłem, Anderson, – powiedział kapitan. – Ale pani ambasador prosi, żeby pana przenieść.

– Teraz już rozumiem, sir. – Starał się nie okazywać swoim głosem emocji, jednak Goyle musiała wyczuć jego niezadowolenie.

– To nie jest kara, poruczniku. Zapoznałam się z przebiegiem pańskiej służby. Najlepszy kadet swojego rocznika na Arcturusie. Trzy oddzielne medale zasługi w czasie Wojny Pierwszego Kontakt. Liczne pochwały otrzymane w ciągu całej pańskiej kariery. Jest pan najlepszym człowiekiem, jakiego Przymierze może zaoferować. A to jest najważniejsza misja, jaką kiedykolwiek mieliśmy do wykonania.

Anderson ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Może pani na mnie liczyć – Był żołnierzem i przysiągł bronić ludzkości. To był po prostu jego obowiązek, a poza tym przyjęcie na siebie tego zobowiązania, było dla niego zaszczytem.

– Będzie pan nad tym pracował samotnie – powiedział kapitan. – Im więcej ludzi wyślemy w pościg za Sanders, tym większe będą szanse na to, że ktoś poza naszą trójką dowie się, co robiliśmy na Sidonie.

– Oficjalnie ta misja w ogóle nie istnieje – dodała ambasador. – Ludzkość jest wciąż nowym dzieciakiem na tym podwórku. Na dodatek ten dzieciak jest pewny siebie i odważny, i wszystkie inne rasy tylko czekają na jakieś jego potknięcie.

– Poruczniku – kontynuowała – nie muszę panu mówić, jak sprawy wyglądają tam, na Pograniczu. Na własne oczy widział pan, jak trudno jest założyć kolonię i sprawić, by była

trwała. Zębami i pazurami walczyliśmy o każde z naszych osiągnięć, po prostu starając się przetrwać. Ale jeśli Cytadela wywęszy cokolwiek na temat, o którym tu mówimy, wszystko stanie się dla nas o wiele trudniejsze. Jeśli nam się poszczęści, w takiej sytuacji wszystko skończy się na oficjalnej naganie i ostrych sankcjach handlowych, które sparaliżują naszą gospodarkę. Jeśli tego szczęścia nam zabraknie, mogą zlikwidować naszą ambasadę na Cytadeli i zakazać wszystkim zrzeszonym w Radzie rasom, kontaktów z nami na jakimkolwiek poziomie. A ludzkość jeszcze nie jest na tyle silna, żeby móc poradzić sobie w galaktyce bez pomocy innych.

– Umiem zachować dyskrecję – zapewnił ją Anderson.

– Nie chodzi tylko o pana. Kahlee Sanders również wie coś na temat, o którym tu rozmawiamy. Podobnie jak ten, kto dokonał tego ataku. A ile czasu musi minąć, zanim na tego kogoś natnie się WiDMO?

Anderson zmarszczył brwi. Zaangażowanie się w całą sprawę Widm było ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali. Agenci WiDMO, tajnego oddziału Wywiadu i Działań Militarno-Obronnych, odpowiadali bezpośrednio przed Radą Cytadeli. Nazywano ich Widmami. Byli świetnie wyszkoleni, mogli działać poza i ponad obowiązującym prawem, służąc jednej, prostej sprawie: ochronie stabilności galaktyki za wszelką możliwą cenę. Skylliańskie Pogranicze – rzadko zasiedlony, przygraniczny rejon przestrzeni Cytadeli, pełen buntowników, nielegalnych najemniczych i terrorystycznych oddziałów – była najprawdopodobniej miejscem szczególnej aktywności Widm.

A namierzenie i wyeliminowanie oddziału, który pojmał naj lepszego eksperta galaktyki w dziedzinie badań nad sztuczną inteligencją, było dla Widm wręcz wymarzonym celem.

– Jeśli WiDMO w jakiś sposób dowie się o tej sprawie, będą musieli zameldować o tym Radzie Cytadeli – powiedział Anderson, uważnie dobierając słowa. – Jak daleko mogę się posunąć, żeby to nie wyszło na jaw?

– Pyta pan, czy wydajemy panu rozkaz zabicia oficjalnego agenta Rady? – zapytał kapitan.

Anderson przytaknął.

– Nie mogę podjąć tej decyzji w pańskim imieniu, poruczniku – powiedziała Goyle. – Ufamy w słuszność pańskiego osądu. Jeśli dojdzie do takiej sytuacji, sam będzie musiał pan zdecydować.

– Chociaż uważam, że to kwestia bez praktycznego znaczenia – dodała złowieszczo. – W chwili, kiedy zorientuje się pan, że Widma zaangażowali się w całą sprawę, będzie pan już najprawdopodobniej martwy.

.9.

Na planecie Juxhi niedługo miała zapaść noc. Mgliste, pomarańczowe słońce właśnie zachodziło za horyzont, a Yando, mniejszy z dwóch księżyców tego świata, zbliżał się już do swojego zenitu. Za dwadzieścia minut nad planetą zapanuje ciemność. Potem, zacznie wschodzić Budmi, większy bliźniaczy brat Yando, i ciemności ustąpią miejsca upiornemu półmrokowi.

Saren Arterius, turiańskie Widmo, cierpliwie czekał, aż słońce zniknie za horyzontem. Od kilku godzin nieruchomo tkwił ukryty na szczycie sporego, skalnego wzniesienia, obserwując niewielki magazyn, samotnie stojący na pustyni w pobliżu Phend, największego, stołecznego miasta Juxhi. Wzniesiony we wnętrzu niewielkiego kanionu, zaniedbany budynek w ogóle nie zwracał na siebie uwagi – chyba tylko tym, że wkrótce miała tam zostać dokonana sprzedaż nielegalnej broni.

Kupujący byli już wewnątrz magazynu. Banda uzbrojonych w pistolety rzezimieszków po podstawowym szkoleniu wojskowym, znana jako Ponure Czachy, jedna z wielu prywatnych agencji ochrony działających na Pograniczu. Czachy były niewielką organizacją, składało się na nią kilkudziesięciu najemników-kryminalistów, którzy aż do dzisiejszego wieczoru, nigdy nie zasłużyliby sobie na uwagę ze strony Sarena. Ostatnio jednak popełnili błąd, myśląc, że mogą kupić ładunek, który niedawno tajemniczo zniknął z pokładu turiańskiego frachtowca – broń o najwyższej, wojskowej jakości.

Najpierw usłyszał odległy odgłos silników. Po paru minutach pojawił się, sześciokołowy pojazd terenowy i stanął obok baraku. Wysiadło z niego sześciu mężczyzn, dwóch turian i czterech ludzi. Nawet w tak słabym świetle, Saren natychmiast rozpoznał jednego z turian, był to pracownik doków w porcie Camala.

Śledził tego dokera od kilku dni – od chwili, kiedy przejrzał listy obecności żeby sprawdzić, kto pracował na zmianie, w czasie, której znikł ładunek frachtowca. Następnego dnia tylko jeden z robotników nie przyszedł do pracy. Ustalenie, kto był złodziejem, okazało się zawstydzająco łatwe.

Namierzenie go okazało się trudniejszym zadaniem. Cała ta sprawa, na odległość cuchnęła amatorszczyzną od początku do końca, zaczynając od złodzieja, a kończąc na kupujących. Normalnie Saren przekazałby tę sprawę lokalnym władzom, a sam zająłby się czymś poważniejszym. Jednak, ponieważ w grę wchodzili turianie sprzedający broń ludziom, wołał się tym zająć osobiście.

Drzwi magazynu otworzyły się i czterech spośród sprzedających, w tym obu turian, wyładowało z bagażnika pojazdu terenowego okazałych rozmiarów skrzynię i wniosło ją do środka. Pozostali dwaj stanęli przy drzwiach na straży.

Saren z niedowierzania aż potrząsnął głową, kiedy osunął na oczy noktowizyjne gogle. Po co, do cholery, zostawiali na straży dwóch ludzi pod drzwiami magazynu, który stał w zupełnym pustkowiu? Byli zupełnie odsłonięci – miał ich jak na widelcu.

Przyłożył do oka lunetę wyprodukowanego przez konsorcjum Izaali karabinu snajperskiego, strzelił dwa razy i obaj strażnicy osunęli się na ziemię. Precyzyjnymi, pozbawionymi jakiegokolwiek napięcia ruchami, złożył karabin i wsunął do specjalnej kieszeni plecaka. Gdyby tę operację organizowali profesjonaliści, zostawiliby jeszcze gdzieś na zewnątrz kogoś, kto co jakiś czas sprawdzałby strażników... a przede wszystkim, w ogóle by ich tam nie postawili.

Zejście ze skały zajęło mu całe dziesięć minut. Kiedy znalazł się na dole, na niebie widać już było oba księżyce, dające na tyle dużo światła, że mógł schować gogle do plecaka.

Wypiął z umieszczonych po zewnętrznej stronie uda zaczepów lekki, półautomatyczny karabin szturmowy Haliat i zbliżył się do frontowej ściany budynku. Wcześniej dokładnie zbadał magazyn. Wiedział, że w jego ścianach nie umieszczono innych drzwi ani żadnych okien. Ci, którzy byli w środku, znaleźli się w pułapce – kolejny dowód na to, że miał do czynienia z idiotami.

Przycisnął się do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Z wnętrza dobiegały podniesione odgłosy kłótni. Najwyraźniej nikt nie wykazał się takim darem przewidywania, żeby ustalić warunki transakcji przed spotkaniem, albo ktoś próbował zmienić warunki podjętej już wcześniej umowy. Zawodowcy nie popełniali podobnych błędów. Dotrzyj na miejsce spotkania, dokonaj wymiany i wynoś się stamtąd. Im dłużej tam zostaniesz, tym większa szansa, że coś pójdzie nie tak.

Saren odpiął od pasa trzy granaty zapalające, uzbroił je, i zaczął liczyć w myślach. Kiedy doliczył do pięciu uchylił drzwi, wrzucił granaty do środka, zatrzasnął drzwi i pobiegnął ukryć się za osłoną terenowego pojazdu.

Siła wybuchu wyrwała drzwi z zawiasów. Z wnętrza wystrzelił strumień odłamków, płomieni i dymu. Ze środka dobiegły go urywane krzyki i odgłos strzelaniny, kiedy znajdujący się we wnętrzu magazynu spanikowali. Poparzeni i oślepieni zaczęli strzelać na oślep, każda

ze stron przekonana była o tym, że ta druga ją zdradziła. Przez całe dwadzieścia sekund odgłos wystrzałów, odbijający się od obitych blachą ścian magazynu, zagłuszał wszystkie inne dźwięki.

Potem wszystko ucichło. Saren wymierzył broń w dziurę, która została po drzwiach, za co w parę sekund później dostał nagrodę w postaci dwóch wypadających ze środka mężczyzn z dymiącymi pistoletami w rękach. Pierwszego z nich powalił krótką serią w klatkę piersiową, a kiedy drugi z najemników odpowiedział ogniem, ukrył się za tylną częścią terenowego pojazdu. Przeturlał się na przód pojazdu i kiedy wynurzył się zza niej, wróg wciąż celował w tylną część wehikułu. Z tak bliskiej odległości, pociski wystrzelone ze szturmowego karabinu Sarena, oderwały całą górną połowę głowy przeciwnika.

Dla pewności, Saren wrzucił do środka jeszcze dwa granaty. Te dla odmiany, zamiast rozrywać się w ognistej eksplozji, uwolniły po detonacji chmurę trującego gazu. Usłyszał kolejne krzyki, a potem odgłosy przeraźliwego kaszlu. Trzech kolejnych, oślepionych najemników wyskoczyło z wnętrza magazynu, dławiąc się trującym gazem. Żaden z nich nawet nie zdążył wystrzelić – Saren zlikwidował ich błyskawicznie.

Odczekał jeszcze parę minut, pozwalając opaść szkodliwym oparom gazu, potem błyskawicznie przebiegł zza swojego dotychczasowego ukrycia i stanął przy framudze drzwi. Na ułamek sekundy zajrzał do środka i znów schował głowę za mur.

We wnętrzu magazynu leżało około tuzina ciał. Niektórzy ze znajdujących się w środku zostali postrzeleni, paru zostało śmiertelnie poparzonych, a reszta, powykręcana w strasznych pozycjach pod wpływem działania gazu, który, zanim umarli, poskręcał ich mięśnie w węzły i dziwaczne sploty. Na podłodze walało się kilka porzuconych sztuk broni, upuszczonych przez porwanych do tańca śmierci właścicieli. Skrzynia, którą sprzedający wnieśli od razu po przybyciu stała, wciąż zamknięta, na środku podłogi. Poza tym, wnętrze magazynu było puste.

Trzymając karabin w ręku, Saren chodził od ciała do ciała, powoli zmierzając w stronę tylnej ściany magazynu. Szukał jakichkolwiek oznak życia. Czubkiem buta przewrócił na wznak leżące obok skrzyni ciało turianina. Jedna strona jego twarzy była spalona, przesłaniający ją pancerz był spieczony aż do chrupkości. Znajdujące się pod nim ciało zostało tak rozgrzane, że powieki znajdujących się po lewej stronie twarzy oczu stopiły się ze sobą. Z jego poparzonych ust wydarł się cichy jęk, po chwili otworzył lekko swoje zdrowe oko.

– Kim... jesteś? – wychrypiał.

– Widmem – odparł Saren, stając nad nim w rozkroku.

Zakaszłał, wypluwając grudkę ciemnej flegmy, która była mieszaniną trucizny i krwi.

– Proszę... pomóż mi.

– Złamałeś wiele międzygwiazdnych praw – Saren wyrecytował zimnym, beznamiętnym tonem. – Jesteś złodziejem, przemytnikiem i zdrajcą naszego gatunku.

Umierający próbował coś powiedzieć, ale udało mu się tylko zakaszleć. Coraz ciężiej było mu oddychać. Gryzący dym granatów zapalających wysuszył mu płuca, uszkadzając je w takim stopniu, że nie był w stanie wziąć dostatecznego wdechu trującego gazu, by umrzeć. Gdyby natychmiast udzielono mu pomocy medycznej, wciąż istniała dla niego niewielka szansa na przeżycie... ale Saren wcale nie zamierzał brać go do szpitala.

Przypiął karabin szturmowy do zaczepów na udzie, uklęknął na jedno kolano i pochylił się nisko nad zniszczoną przez płomienie twarzą drugiego turianina.

– Kradniesz broń przedstawicielom własnego gatunku, żeby potem sprzedać ją *ludziom*? – wyszeptał gniewnie. – Czy wiesz, ilu turian na moich oczach zginęło właśnie z rąk ludzi?

Wymagało to z jego strony olbrzymiego wysiłku, ale poparzony turianin jakimś cudem wypowiedział cztery ciche słowa protestu:

– Tamta... wojna... się... skończyła.

Saren podniósł się i jednym płynnym ruchem wyciągnął z kabury swój pistolet.

– Powiedz to swoim zmarłym braciom – uciął konwersację, strzelając dwukrotnie w głowę turianina.

Z pistoletem w dłoni kontynuował swoją ponurą inspekcję. W pobliżu tylnej ściany magazynu znalazł martwe ciała dwóch ludzi – były mniej uszkodzone niż reszta. Granaty detonowały w pobliżu przedniej ściany budynku, więc ich wybuch był dla tych dwóch mniej groźny. Trujący gaz także nie dotarł do nich w wystarczającym stężeniu, co tłumaczyło, dlaczego ciała nie były tak spazmatycznie poskręcane jak pozostałe. Musieli zginąć od strzałów swoich kontrahentów.

Podszedł ostrożnie do pierwszego z ciał i rozluźnił się, kiedy zobaczył, że mężczyzna na pewno nie żyje. Sześć, ułożonych w jedną linię grubych jak palce dziur, widniało w miejscach, w których oddana z bliska seria przerwała osłonę jego kamizelki ochronnej. Rany wylotowe na plecach były wielkości zaciśniętych pięści.

Ostatnie z ciał leżało twarzą do dołu w kałuży własnej krwi. Dwulufowy pistolet, którym mężczyzna najwyraźniej zabił się niechcący, leżał obok na podłodze... oddalony zaledwie o włos od jego bezwładnej, nieruchomej ręki.

Saren czujnie znieruchomiał. Coś tu było nie tak. Uważnie przyglądał się nieruchomej postaci, szukając śmiertelnej rany. W górnej części uda widać było sporą dziurę, która najprawdopodobniej była źródłem tej kałuży krwi, jednak ciało upadło w ten sposób, że nie widać było żadnych innych obrażeń.

Znowu spojrzał na udo. Z rany wciąż powinna skapywać krew, ale jej wpływ był powstrzymany. Jakby ktoś pospiesznie nałożył na nią dawkę medyzelu.

– Odsuń rękę od broni i przewróć się na wznak – rozkazał Saren, unosząc trzymany w obu dłoniach pistolet i celując nim w nieruchome ciało. – Albo natychmiast cię zastrzele.

Po sekundzie, ręka powoli odsunęła się od dwururki. Mężczyzna przewrócił się na plecy, z wyraźną ulgą łapiąc łyk powietrza. Widać, próbując udawać trupa, powstrzymywał się od oddychania, kiedy Saren znalazł się w pobliżu.

– Proszę, nie zabijaj mnie – zaczął błagać, kiedy Saren zrobił krok w jego stronę, mierząc w punkt między jego oczami. – Ja nawet nie brałem udziału w Wojnie Pierwszego Kontakt!

– Niektóre Widma aresztują ludzi – powiedział Saren, tonem codziennej pogawędki. – Ja nie.

– Poczekaj! – wrzasnął mężczyzna, czołgając się do tyłu, dopóki nie dotknął plecami ściany. – Czeka! Mam informację!

Saren nie powiedział ani słowa. Zamiast tego opuścił lufę pistoletu i kiwnął głową.

– W okolicy działa inna grupa najemników. Błękitne Słońca.

Każde Widmo pracujące na Pograniczu wiedziało, że Błękitne Słońca stanowią siłę, z którą należało się liczyć. To była mała, ale doskonale znana w tym rejonie banda, jej członkowie byli zarówno doświadczeni, jak i w pełni profesjonalni. W przeciwieństwie do tych tutaj.

– Mów dalej.

– Przymierzają się do czegoś. Do czegoś naprawdę dużego.

– Do czego?

– Ja... ja nie wiem – mężczyzna zaczął się jąkać i zamknął oczy, jakby spodziewał się, że za przyznanie się do niewiedzy zostanie zastrzelony. Po sekundzie, której potrzebował, żeby zorientować się, że wciąż żyje, z trudem przesunął się do przodu i zaczął szybko mówić:

– Właśnie dzięki temu doszło do tej transakcji. Błękitne Słońca miały pierwotnie przejąć ten ładunek, ale się wycofali. Słyszałem, że mają na warsztacie coś naprawdę poważnego. I nie chcieli ryzykować przyciągnięcia uwagi Widm zwykłym zakupem broni.

Saren był zaintrygowany. Cokolwiek mieli na warsztacie, musiało to być coś naprawdę dużego. Błękitne Słońca nigdy nie odpuszczali bez ważnego powodu już wynegocjowanej transakcji. Jeśli tak bardzo zależało im na utrzymaniu Widm jak najdalej od tego, to do cholery, tym bardziej trzeba było się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Co jeszcze?

– To wszystko, co wiem – powiedział mężczyzna. – Przysięgam! Jeśli chcesz się dowiedzieć czegoś więcej, musisz spytać Błękitne Słońca. To... umowa stoi?

Saren prychnął pogardliwie.

– Umowa?

– No wiesz... ja przekażę ci informację na temat Błękitnych Słońc, a ty darujesz mi życie.

Widmo znowu uniosło lufę pistoletu.

– Powinieneś najpierw negocjować, a potem odkryć karty. Teraz nie masz już niczego, co pomogłoby ci w przetargu.

– Co? Nie, proszę! Nie...

Pistolet zakończył jego protesty. Saren spokojnie odwrócił się i wyszedł na zewnątrz, zostawiając za sobą zamieniony w rzeźnię magazyn. Po powrocie do Phend zamierzał powiadomić o wszystkim lokalne władze, żeby ich ludzie mogli odebrać stąd skradzioną broń... i uprzątnąć ten bałagan.

Teraz Saren błędził już myślami wokół następnej roboty. W pierwszym odruchu zignorował doniesienia o zniszczeniu bazy na Sidonie. Zakładał, że mógł za tym stać jakiś skrajny odłam batariańskich rebeliantów, którzy chcieli w ten sposób zahamować ekspansję ludzkości w tym rejonie, która dążyła do zepchnięcia batarian, jej głównych rywali, poza obręb Pogranicza. Ale jeśli atak ten nie był dziełem terrorystów, to Błękitne Słońca były jedną z niewielu organizacji, które były w stanie go dokonać.

Saren zamierzał dowiedzieć się, kto i po co ich wynajął. Wiedział też już, gdzie zacząć śledztwo.

* * *

Anderson przez prawie dwa dni przeglądał akta osobowe Kahlee Sanders, starając się znaleźć w nich coś, co mogłoby mu pomóc.

Dane fizyczne były jasno określone: wiek – dwadzieścia sześć lat. Wzrost – metr siedemdziesiąt pięć. Waga – pięćdziesiąt pięć kilogramów. Zdjęcie identyfikacyjne przedstawiało kobietę prawie czystego typu kaukaskiego: cera – jasna; oczy – piwne; włosy – ciemny blond. Była atrakcyjna, ale Anderson wątpił, czy kiedykolwiek ktoś nazwał ją ślicznotką. W rysach i wyrazie jej twarzy było coś ostrego, jakby szukała okazji do walki.

To nic dziwnego, biorąc pod uwagę jej przeszłość. Według papierów dorastała w teksańskim megalopolis, stworzonym przez połączenie Houston, Dallas i San Antonio, czyli w jednym z najbiedniejszych rejonów Ziemi. Wychowywała ją samotnie matka, marnie opłacana pracownica fabryki. Zaciągnięcie się do Sił Przymierza było dla niej prawdopodobnie jedyną nadzieją na lepsze życie, chociaż zaciągnęła się dopiero w wieku dwudziestu dwóch lat, tuż po śmierci matki.

Większość rekrutów zaciągała się przed ukończeniem dwudziestego roku życia. Anderson zrobił to w dniu swoich osiemnastych urodzin. Ale pomimo późnego startu, a może właśnie dzięki niemu, Kahlee wyróżniała się w czasie podstawowego szkolenia. Świetnie radziła sobie z walką wręcz i z różnymi rodzajami broni, ale szczególne uzdolnienia wykazywała we wszystkich kwestiach technologicznych.

Z jej akt wynikało, że w latach poprzedzających jej zaciągnięcie się, przeszła podstawowe szkolenie komputerowe, ale kiedy przystąpiła do czynnej służby, zaczęła namiętnie studiować

zaawansowane programowanie komputerowe, sieci komunikacyjne i założenia architektoniczne prototypowych systemów. Naukę zakończyła jako prymuska, przerabiając trzyletni program w czasie dwóch lat.

Szkice osobowościowe i wyniki badań psychologicznych wskazywały, że była osobą inteligentną, obdarzoną silnym poczuciem tożsamości i wysoką samooceną. Według opinii rówieśników i przełożonych była osobą chętną do współpracy, popularną, cennym nabytkiem dla każdego zespołu, z jakim pracowała. Nic więc dziwnego, że przydzielono ją do zespołu pracującego na Sidonie.

Dlatego właśnie trudno było to wszystko złożyć w jedną całość. Anderson potrafił odróżnić dobrego żołnierza od złego. Kahlee Sanders bez wątplenia była dobrym żołnierzem. Być może pierwotnie wstąpiła do Przymierza, żeby uciec od swojego dotychczasowego życia na Ziemi. Ale znalazła tam dokładnie to, czego szukała. W czasie służby w wojsku doświadczała jedynie sukcesów, pochwał i nagród. Poza tym, po śmierci matki, nie miała żadnej rodziny ani przyjaciół. Nie miała nikogo bliskiego, prócz swoich kolegów i koleżanek z wojska.

Anderson nie był w stanie znaleźć chociaż jednego powodu, dla którego miałby się zwrócić przeciw Przymierzowi. Nawet zwykła chciwość nie wchodziła w grę, ponieważ pracujący na Sidonie dostawali najwyższe uposażenie z możliwych. Poza tym, Anderson na tyle znał ludzką naturę, żeby wiedzieć, że do przekonania kogoś do tego, by pomógł w wymordowaniu ludzi, z którymi ten ktoś, na co dzień mieszkał i pracował, potrzeba było czegoś więcej niż zwykłego przekupstwa.

W tym wszystkim niepokoiła go jeszcze jedna nieścisłość. Jeśli Sanders była zdrajczynią, to dlaczego zniknęła na dzień przed atakiem, ściągając w ten sposób na siebie uwagę? Powinna przecież po prostu pokazać się na swojej zmianie i wtedy wszyscy zakładaliby, że jej ciało wraz z innymi wyparowało w chwili eksplozji. Wszystko to wyglądało tak, jakby ktoś chciał ją zrobić.

Musiał jednak przyznać, że jej nagłe zniknięcie było zbyt podejrzane, żeby można uznać je za zwykły zbieg okoliczności. Musiał zorientować się, o co w tym wszystkim chodzi – jednak jak do tej pory, jedyny trop, który znalazł, nie zostawił po sobie śladu w jej papierach. Ojciec Kahlee Sanders został oficjalnie określony jako „nieznany”. W czasach uniwersalnej kontroli urodzeń, która miała zapobiec lawinowemu wzrostowi populacji, przy tak bogatych zasobach banków danych DNA, po prostu czystą niemożliwością było, żeby tożsamość ojca dziecka pozostawała nieznana... chyba, że została celowo ukryta.

Kiedy zagłębił się dokładniej w szczegółowych aktach, okazało się, że wszystkie odniesienia do ojca Kahlee Sanders zostały z nich usunięte. Dokumenty szpitalne, świadectwa szczepień... wszystko. Wyglądało na to, że komuś bardzo zależało, żeby usunąć go z jej życia. Komuś na tyle ważnemu, żeby móc bezkarnie podrabiać rządowe dokumenty.

Kahlee i jej matka także musiały w tym uczestniczyć. Jeśli jej matka chciałaby ujawnienia tożsamości ojca dziecka, to nie było sposobu, żeby jej to uniemożliwić. A Kahlee w każdej chwili mogła zrobić sobie badanie DNA. Obie musiały znać ojca, ale z jakiś przyczyn nie chciały, żeby poznali go inni.

Jednak żadna z nich nie miała takich źródeł finansowych ani politycznej siły przebiccia, które mogłyby umożliwić przeprowadzenie takiej utajniającej operacji. Co oznacza, że ktoś inny – prawdopodobnie sam ojciec – także był w to zamieszany. Jeśli Andersonowi udało się ustalić tożsamość ojca i przyczyny, dla których wszelkie ślady po nim zostały wymazane z oficjalnych dokumentów, to być może, w jakiś sposób pomogłoby to mu zrozumieć ewentualne związki Kahlee Sanders z atakiem na Sidon.

Niestety, wszystkie oficjalne kanały nie przyniosły poszukiwanej odpowiedzi. Ale na szczęście istniał jeszcze inny sposób odkrywania głęboko zakopanych tajemnic. Właśnie dlatego, stał w tej chwili w ciemnej alei jednego z okręgów, czekając na spotkanie z handlarzem informacjami.

Przyszedł parę minut przed czasem, niecierpliwie chcąc poznać wyniki poszukiwań. Nie zdziwił się, kiedy nie zastał handlarza w umówionym miejscu. Czekał więc, przechadzając się, co chwilę w tę i z powrotem.

Postać pojawiła się jego polu widzenia w chwili, kiedy jego zegarek cichym brzęczeniem zasygnalizował nadejście umówionej godziny. Dosłownie wynurzyła się z cienia. W miarę jak zbliżała się do niego, coraz bardziej oczywiste stawało się, że jest salarianką. Niżsi i tężsi od ludzi, salarianie przypominali krzyżówkę jaszczura albo kameleona z „szarymi”, jak nazywały swoich porywaczy pod koniec dwudziestego wieku na Ziemi ofiary dokonywanych dla celów badawczych porwań przez kosmitów. Anderson zastanawiał się, czy była tam przez cały czas, cierpliwie czekając, aż nadejdzie umówiona godzina spotkania.

– I co, znalazłaś coś? – spytał kobietę, którą wynajął, żeby przejrzała zasoby extranetu w poszukiwaniu tożsamości ojca Kahlee Sanders.

Każdego dnia przesyłane za pomocą extranetu wiązki danych, przenosiły tryliony gigabitów danych. W tym niebotycznym stogu siana musiała się znaleźć jakaś igła. Jednak przeszukiwanie praktycznie nieskończonego zbioru danych w poszukiwaniu jednej, konkretnej informacji mogło stanowić doskonałe ćwiczenie z bezsensownej frustracji. Całe dni musiałyby minąć, by zebrać, przetworzyć i przejrzeć jedną z wiązek... a nawet wtedy, w efekcie można by otrzymać miliony milionów stron czystych danych. Tu właśnie wchodził do akcji brokerzy informacji – specjaliści, którzy wykorzystywali złożone algorytmy i wykonane na zamówienie maszyny do ograniczania i sortowania tego ogromu danych. Mistrzowskie opanowanie extranetu było zarówno sztuką, jak nauką ścisłą, a salarianie specjalizowali się w tej trudnej, wirtuozerskiej umiejętności zbierania tajnych informacji.

Salarianka zamruwała swoimi wielkimi oczami.

– Ostrzegałam cię, że może nie być dużo do znalezienia – powiedziała, szybko wymawiając słowa. Salarianie zawsze mówili szybko. – Zapisy z czasów przed tym, jak twoja rasa podłączyła się do extranetu, są naprawdę sporadyczne.

Anderson mógł się tego spodziewać. Archiwa z dni poprzedzających Wojnę Pierwszego Kontakt, bardzo powoli wprowadzane były do extranetu przez różne rządowe agencje, jednak dla każdej administracji stare dokumenty i dane są mniej ważne od nowych. Biorąc pod uwagę wiek Sanders, jej ojciec prawdopodobnie zniknął z jej życia na długo przed tym, jak ludzkość skontaktowała się ze społecznością Cytadeli.

– Więc nie masz zupełnie nic?

Salarianka uśmiechnęła się.

– Tego nie powiedziałam. Trudno było to namierzyć, ale coś udało mi się znaleźć. Wygląda na to, że lewa ręka Przymierza nie wie, co robi jego prawa ręka.

Wręczyła mu mały optyczny dysk z danymi.

– Ułatw mi życie proszę – powiedział Anderson, chowając dysk do kieszeni. – I powiedz mi, co zobaczę, kiedy do tego zajrzę.

– W dniu, w którym Kahlee Sanders odebrała dyplom waszej akademii wojskowej na Arcturusie, tajnymi kanałami komunikacyjnymi Przymierza wysłano zaszyfrowaną wiadomość do prywatnej osoby na jednej z waszych kolonii na Skylliańskim Pograniczu. Po przesłaniu wiadomość ta została natychmiast skasowana.

– W jaki sposób udało ci się uzyskać dostęp do tajnych kanałów komunikacyjnych Przymierza? – zdziwił się Anderson.

Salarianka roześmiała się i odparła:

– Wasza rasa przesyła dane za pomocą extranetu od niecałych dziesięciu lat. My kierujemy działaniami szpiegowskimi i wywiadowczymi dla Rady Cytadeli od dwóch tysięcy lat.

– Słuszna uwaga. Powiedziałas, że ta wiadomość została skasowana?

– To prawda. Skasowano ją i usunięto z dokumentów wszelki ślad po niej. Ale nic, co kiedykolwiek trafi do extranetu, nigdy nie ginie doszczętnie. Zawsze pozostają jakieś echa, które ludzie tacy jak ja, potrafią namierzyć i wyodrębnić. Extranet działa na zasadzie...

– Nie muszę znać wszystkich szczegółów – przerwał jej Anderson, unosząc do góry rękę. – Jaka była treść wiadomości?

– Wiadomość była krótka. Pojedynczy dokument tekstowy, zawierający dane osobowe Kahlee Sanders, jej oceny końcowe i ogólne oszacowanie jej zdolności i osiągnięć. Bardzo imponujące. Mogłaby zrobić błyskotliwą karierę w moim fachu, gdyby zechciała pracować dla...

Anderson znów jej przerwał, coraz bardziej tracąc cierpliwość.

– To wszystko było w jej aktach osobowych. Nie zapłaciłem ci za dostarczenie mi wiadomości o jej ocenach z egzaminów.

– W ogóle mi nie zapłaciłeś – przypomniała mu. – Rachunek za moje usługi został przekazany bezpośrednio do twoich przełożonych z Przymierza, pamiętasz? Wątpię, żeby cię osobiście było stać na wynajęcie mnie. I właśnie dlatego do mnie się zwróciłeś.

Anderson mimowolnie podniósł dłonie do twarzy i pomasażował sobie skronie.

– Masz rację. Nie to miałem na myśli – Salarianie mieli skłonność do dygresji, wciąż przeskakiwali z tematu na temat. To mogło powodować ból głowy i zawsze zdawało się, że wyciągnięcie z nich jakiegokolwiek informacji trwa dwa razy dłużej niż powinno. – Na Boga, mam nadzieję, że przyniosłaś mi coś więcej.

– Nadawcą tej wiadomości był jeden z instruktorów na Akademii. Człowiek, który już dawno temu odszedł na emeryturę. Ze wstępnych ustaleń wynika, że nie miał on poza tym żadnego istotnego znaczenia dla naszego śledztwa – prawdopodobnie działał na zlecenie odbiorcy, prawdopodobnie również nie wiedział, z jakiego powodu miał wysłać tę wiadomość. Chociaż nie mam na to żadnego bezpośredniego dowodu, podejrzewam, że odbiorcą wiadomości był ojciec Kahlee Sanders. Jako wysoki rangą oficer Przymierza, miał możliwość systematycznego ukrywania ich relacji w taki sposób, żeby trudno było w ogóle wpaść na jej trop. W każdym razie nie udało mi się ustalić, dlaczego ojciec z córką mieliby tak się od siebie alienować...

– Proszę – zaczął błagać, przerywając jej po raz kolejny. – Chcę tylko poznać jego nazwisko. Nie musisz mówić mi nic więcej. Po prostu powiedz mi, kto otrzymał tę wiadomość i gdzie mogę go znaleźć.

Znowu zamrużyła. Patrząc na zmianę wyrazu jej twarzy, Anderson zaczął podejrzewać, że tym razem poważnie zranił jej uczucia. Mimo tego, jakby litując się nad nim, spełniła jego prośbę.

– Wiadomość została wysłana do kontradmirała Jona Grissoma, który w tym momencie mieszka na Elizjum.

.10.

– To jest prywatny klub, batarianinie – warknął pełniący funkcję bramkarza kroganin, zastępując drogę Groto Ib-ba, który chciał wejść do Sanktuarium.

– Dziś wieczór jestem jego członkiem – odparł batariański najemnik, przykładając kartę płatniczą do skanera i pozwalając mu ściągnąć ze swojego konta czterysta kredytów. Kroganin nie ruszył się ani o milimetr, zagradzając drogę, dopóki transakcja nie zostanie sfinalizowana. Tylko na chwilę oderwał wzrok od Groto, żeby rzucić okiem na imię i zdjęcie identyfikacyjne, które pokazało się na ekranie panelu płatniczego. Chciał się upewnić, że karta nie została komuś skradziona. Jednak zdjęcie bez cienia wątpliwości przedstawiało stojącego przed nim batarianina. Trudno byłoby nie rozpoznać błękitnego słońca wytatuowanego na jego czole, tuż nad jego lewym, wewnętrznym okiem.

Jednak kroganin wciąż zachowywał się w ten sposób, jakby w ogóle nie zamierzał odsunąć się i wpuścić Groto do środka.

– Opłata za wstęp pozwala jedynie na samo wejście do klubu – zauważył. – Wszystkie inne usługi będą płatne dodatkowo. Tutaj obowiązują naprawdę wysokie ceny.

– Wiem, jak to działa – odwarknął Groto. – Mam dosyć pieniędzy.

Kroganin myślał jeszcze przez chwilę, mając nadzieję, że znajdzie jakiś powód, żeby jednak nie wpuścić najemnika do środka.

– W klubie nie wolno nosić broni.

– Powiedziałem już, że znam tutejsze obyczaje – warknął Groto. A jednak ochroniarz wciąż się wahał.

Batarianin rozłożył szeroko ramiona i powiedział, trzymając je w górze.

– Więc przeszukaj mnie po prostu i skończmy już z tym cyrkiem.

Krogan, pokonany, odsunął się krok do tyłu.

– To nie będzie konieczne – przechylił głowę na lewo. Gest ten dla batarian oznaczał szacunek wobec rozmówcy. – Proszę o wybaczenie, panie Ib-ba. Halanda na końcu Sali spełni wszystkie pańskie życzenia.

Groto opuścił ręce, trochę zaskoczony. Zadziwiające było to, że za pieniądze można było kupić tak nieklamany szacunek. Gdyby wcześniej spodziewał się, że będzie mógł wejść do środka bez obszukania, przemyciłby wsunięty za pasek mały pistolet. Albo, chociaż nóż w cholewie buta.

Zamiast tego powoli przechylił głowę na lewo w geście oznaczającym przyjęcie przeprosin, odgrywając rolę kogoś, czyj honor został urażony. Śmiałym krokiem minął odźwiernego i wszedł do najbardziej luksusowego burdelu na Camali. Starał się wyglądać na kogoś pewnego siebie i najzupełniej spokojnego, chociaż serce waliło mu, jak młot.

Jakaś jego część bała się, że odprawią go z kwitkiem, chociaż uiszczył opłatę za wstęp. W sposób oczywisty tutaj nie pasował. Sanktuarium zarezerwowane było dla przedstawicieli bogatych elit – dla tych, którzy mieli bogactwa, a nie dla tych, którzy o nie walczyli. W większości wypadków wysoka opłata za wstęp trzymała osobników takich jak Groto z daleka od tego miejsca. Na Camali było mnóstwo innych miejsc, w których można było sobie kupić usługi towarzyskie na całą noc i żadne z nich nie było tak drogie, jak Sanktuarium.

Ale osoba, która ostatnio wynajęła Błękitne Słońca, zapłaciła im bardzo wysoką stawkę za specjalne usługi przez okres najbliższych paru miesięcy, do czego doszła jeszcze duża premia za atak na bazę wojskową na Sidonie. Groto osobiście nie brał udziału w tym ataku, nie był także w magazynie, w którym ich pracodawca spotkał się ze Skarrem. Gdyby tam był, wiedziałby, kto im płaci, ale mógłby mieć też pecha i znaleźć się w grupie tych nieszczęśników, których Skarr pozabijał.

Tak czy siak, Błękitne Słońca płaciły każdemu ze swoich członków równy udział, więc Groto nic na tym nie stracił, oprócz możliwości bycia zabitym. A najemnicy, którzy byli w tamtym magazynie, wciąż mieli pełne ręce roboty. Zostali wynajęci jako permanentna ochrona anonimowego pracodawcy. A Groto mógł sobie wyjść do miasta i cieszyć się swoją działką kredytów. I po raz pierwszy w życiu, zamierzał zakosztować przyjemności zarezerwowanych dla tych, którzy byli bogatsi i potężniejsi od niego.

Część premii przeznaczył na nowe ciuchy, ale mimo to, idąc przez wnętrze burdelu poczuł się trochę skrępowany. Nie pasował tutaj. Inni klienci – większość z nich stanowili batarianie – przyglądali mu się podejrzliwie i z nieskrywaną ciekawością. Kastowa budowa społeczeństwa była ważną częścią batariańskiej kultury, a Groto otwarcie łamał obowiązujące normy. Jednak, kiedy zobaczył, że nawet pracownicy burdelu patrzą na niego ze wzdargą, jego zażenowanie przekształciło się w pyszałkowaty gniew. Kim oni byli, żeby patrzeć na niego z góry? Nikim! Służącymi i kurwami!

Kiedy szedł w kierunku znajdującego się na końcu pomieszczenia kontuaru, po drodze minął jeszcze paru krogan z ochrony. Przysiągł sobie w myślach, że ktoś za tę ich pogardę mu

tutaj zapłaci. Kiedy będzie już w pokoju z kurwą sam na sam, przemieni jej skrywane lekceważenie w prawdziwe przerażenie.

– Witamy w Sanktuarium, panie Ib-ba – powiedziała siedząca za kontuarem młoda batarianka. – Mam na imię Halanda.

– Przepraszam za ten incydent przy wejściu – kontynuowała. – Odak czasem zbyt poważnie podchodzi do swoich obowiązków. Ma pan moje osobiste zapewnienie, że za następnym razem będzie pana traktował z należnym szacunkiem.

– To dobrze. W takim miejscu jak to, wolałbym być traktowany w inny sposób.

– Nie zamierzał tu przychodzić nigdy więcej, ale nie miał jej zamiaru o tym mówić.

– Proponujemy tu bardzo szeroki wachlarz różnych usług – wyjaśniła Halanda, gładko przechodząc do porządku nad zachowaniem ochroniarza, przystąpiła do spraw zasadniczych. – Sanktuarium spełnia pragnienia wszystkich naszych klientów, nawet, jeśli są bardzo... wydumane. Proszę mi powiedzieć, czym jest pan zainteresowany, a ja osobiście pomogę panu wybrać odpowiednią małżonkę – albo małżonki – na ten wieczór.

– Jestem zainteresowany panią – powiedział i oparł się o ladę kontuaru, odpowiadając na niewypowiedziane zaproszenie.

– To nie należy do zakresu moich obowiązków – powiedziała oschle i odsunęła się o krok do tyłu, powieki jej wewnętrznej pary oczu zamrugwały w odruchu niesmaku. Zdał sobie sprawę z tego, że jej urok był udawany, po prostu się nim bawiła. Jej mimowolna reakcja zdradziła, jak jest naprawdę. Odczuwała do niego taką samą odrazę, jak inni pracownicy klubu.

Kątem oka Groto zauważył, że jeden z krogańskich ochroniarzy powoli zbliża się w ich stronę i uznał, że jeszcze nie nadeszła pora odpłaty.

Zmusił się do głośnego wybuchu śmiechu, jak gdyby rozbawiła go jej pogardliwa odmowa.

– Prawdę mówiąc, dzisiaj miałbym ochotę na samicę gatunku ludzkiego.

– Na samicę gatunku ludzkiego? – zapytała Halanda, udając, że nie dosłyszała jego słów.

– Jestem ciekaw – odparł chłodno.

– Bardzo dobrze, panie Ib-ba – powiedziała, naciskając ukryty pod ladą przycisk. Z wnętrza kontuaru wysunął się niewielki ekran. – Musi pan wiedzieć, że za wszelkie międzygatunkowe żądania pobieramy dodatkową opłatę. Całość należności jest widoczna przy każdej z propozycji.

Obróciła ekran w jego stronę. Widniało na nim kilka kandydatek, z umieszczonymi obok każdej sumami. Groto omal nie zaczął się krztusić, kiedy zobaczył ceny. W przeciwieństwie do burdeli, które do tej pory odwiedzał, nie można było wynająć tu dziewczyny na godzinę. Cena całonocnej wizyty w Sanktuarium o sto kredytów przewyższała wysokość jego premii. Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie powinien obrócić się na piętach i po prostu stamtąd

wyść, ale gdyby tak zrobił, to zupełnie bez sensu przepadłoby zapłacone przy wejściu czterysta kredytów.

– Wezmę tą – powiedział, wskazując na jedno ze zdjęć. Były inne, tańsze opcje, ale w żadnym razie nie zamierzał dać się zastraszyć ich cenom. Nie zamierzał już tu wrócić nigdy w życiu, więc chciał dostać dokładnie to, o co mu chodziło. Prawdę mówiąc, nie wiedział o ludziach zbyt dużo. Ale coś w tej samicy przyciągnęło jego uwagę. Wyglądała na delikatną i bezbronną.

– Doskonały wybór, panie Ib-ba. Przydzielę panu kogoś, kto zaprowadzi pana do pańskiego pokoju. Pańska małżonka na ten wieczór wkrótce się tam pojawi.

W parę minut później, Groto był już sam w jednym z dźwiękoszczelnych pokoiów. Chodził z kąta w kąt, uderzając pięścią w dłoń. Rozmyślał o wszystkich upokorzeniach, które spotkały go od chwili, kiedy przekroczył próg tego przybytku.

Doprowadzało go to do białej gorączki. Zamierzał do woli wyżyć się na nieszczęsnej ludzkiej dziewczynie, która tego wieczoru miała zostać jego ofiarą.

W ludziach nic go fizycznie nie pociągało, ani w samcach, ani w samicach. Ale dzisiaj wieczór nie chodziło mu o seks. Groto po prostu nie lubił ludzi. Mnożyli się i rozprzestrzeniaли jak robactwo. Roili się na całym Skylliańskim Pograniczu, pożerając kolejne dogodne do skolonizowania światy, zmuszając inne rasy, a przede wszystkim batarian, do odwrotu. Ludzie, z którymi pracował w Błękitnych Słońcach wiedzieli, jak zachowywać się czasie walki, ale jak wszyscy z tej rasy byli zadufanymi w sobie arogantami. Dzisiaj weźmie jedną z ich dumnych samic i sprawi, że będzie cierpiała. Upokorzy ją, poniży i ukarze. Złamie ją!

Ktoś zapukał do drzwi delikatnie i bojaźliwie. Z impetem otworzył drzwi, zamierzając chwycić kobietę za rękę i wciągnąć ją do pokoju. Znieruchomiał, kiedy zobaczył, że za drzwiami stoi turiański mężczyzna.

– Kim ty... *urk*.

Urwał, kiedy turianin silnie uderzył go w gardło. Krztusząc się, zgięty w pół, Groto wycofał się i padł na stojące pośrodku pokoju łóżko. Turianin spokojnie wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi. Groto usłyszał odgłos zatraskującego się zamka – był sam na sam z nieznanym.

W końcu udało mu się złapać oddech. Z trudem wstał z łóżka i podniósł do góry zaciśnięte pięści, czekając, aż turianin poruszy się i odsłoni. Jednak nieznanomy po zamknięciu drzwi, stanął nieruchomo tuż obok nich.

– Kim jesteś? – wychrypiął w końcu Groto.

– Jestem Saren – brzmiała lakoniczna odpowiedź.

Groto potrząsnął głową, to imię nic mu nie mówiło.

– W jaki sposób minąłeś całą ochronę? – zapytał.

– W ogóle nie próbowali mnie zatrzymać – zrelaksowanym głosem odparł Saren. – Myślę, że tak naprawdę chcieli, żebym tu przyszedł i się tobą zajął.

– Co... co masz na myśli? – Groto mówił roztrzęsionym głosem. Nienaturalny spokój turianina wytrącał go z równowagi. Cały czas trzymał pięści w górze, na wypadek, gdyby intruz zrobił jakiś ruch.

– Naprawdę jesteś aż tak głupi? Nie zdajesz sobie sprawy z tego, że doskonale wiedzieli, co planowałeś zrobić dziś wieczorem? Wiedzieli o tym od chwili, kiedy poprosiłeś o ludzką kobietę.

– O... o czym ty mówisz?

Turianin zrobił jeden krok do przodu. Groto odsunął się o dwa kroki do tyłu, potrząsając pięściami jak bokser. Cofnąłby się jeszcze dalej, ale doszedł już do ściany na drugim końcu pokoju – nie miał już żadnej możliwości manewru.

– Sanktuarium nie pozwala, żeby jego małżonki były w jakikolwiek sposób ranione czy dręczone – chłodno wyjaśnił Saren. Kiedy mówił, powoli przesunął się do przodu, co chwilę stawiając kolejny, ostrożny krok. – Mają podgląd we wszystkich pokojach – *Krok*. – W momencie, w którym położyłbyś łapę na tej kobiecie, wpadłby tu wściekły kroganin i urwałby ci głowę. – *Krok*.

– Ja nie... Ja przecież nic nie zrobiłem! – zaprotestował batarianin, w końcu opuszczając pięści. Czuł się jak głupiec wymachując nimi, podczas, gdy ten mężczyzna zachowywał się tak spokojnie.

Krok.

– Przekonałem ich, żeby pozwolili mi się tym zająć – kontynuował Saren, zupełnie ignorując ten gest dobrej woli. – Chodziło im o to, żeby nie niepokoić innych gości. – *Krok*. – Ale przypomniałem im, że te ściany są zupełnie dźwiękoszczelne. – *Krok*. – I że ty przecież zapłaciłeś już za pokój. – *Krok*.

Turianin znalazł się dokładnie naprzeciw niego, chociaż cały czas był spokojny i rozluźniony. Groto znowu uniósł pięści do góry.

– Cofnij się, albo...

Nigdy już nie udało mu się skończyć tego zdania, bo w tym momencie Saren kopnął go między nogi. Oślepiające błyskawice przeraźliwego bólu rozerwały wnętrzności Groto. Upadł na podłogę, ból był tak mocny, że mógł tylko pojękiwać.

Saren chwycił go za poły nowo nabytej marynarki i z powrotem rzucił sobie do stóp, potem błyskawicznym ruchem dłoni dźgnął go kciukiem w jedno z wewnętrznych oczu, rozerwał gałkę oczną i częściowo go oślepił. Batarianin zwiotczał, tracąc przytomność pod wpływem silnego bólu i szoku.

Odzyskał przytomność po paru sekundach, w chwili, kiedy Saren wyłamał mu łokieć prawej ręki. Wyjąc z bólu zwinął się w kłębek i zaczął kołysać się do przodu i do tyłu, podczas gdy jego ciało odczuwało ból, które przekraczał wszystkie jego dotychczasowe wyobrażenia.

– Napawasz mnie obrzydzeniem – szepnął Saren klękając, żeby chwycić za przegub lewej ręki Groto. Naciągnął zdrową rękę batarianina, unieruchamiając stawy i zaczął dociskać coraz mocniej. – Chciałeś torturować niewinną ofiarę dla własnej przyjemności, ty chory draniu.

– Torturowanie jest użyteczne jedynie wtedy, kiedy ma jakiś cel – dodał Saren, jednak jego słowa zagłuszyło chrupnięcie lewego łokcia Groto i towarzyszący mu przeraźliwy wrzask.

Saren odsunął się od targanego konwulsjami mężczyzny pozwalając, żeby fale bólu kołysały jego ciało. Minęła prawie minuta, zanim szok znieczulił pokiereszowane kończyny do tego stopnia, żeby Groto mógł znowu mówić.

– Zapłacisz za to – zawył z podłogi Groto, wciąż łkając z bólu. Z pustego oczodołu spływały mu łzy, pomieszane ze śluzem rozgnieczonego oka, ściekając do ust, z których wyszła bulgotliwa parodia groźby. – Nie wiesz kim jestem? Jestem z Błękitnych Słońc!

– A myślisz, że dlaczego przyszedłem za tobą aż tutaj?

Paniczne przerażenie rozlało się po twarzy Groto, kiedy w końcu zrozumiał.

– Jesteś Widmem – wymamrotał. – Proszę, powiedz mi, czego chcesz – błagał.

– Cokolwiek to jest, dam ci to.

– Chcę informacji – odparł Saren. – Powiedz mi, co wiesz o Sidonie.

– Wynajęto nas, żebyśmy zdobyli tę bazę. – wyznał okaleczony mężczyzna.

– Kto was wynajął?

– Nie wiem. Miałem do czynienia tylko z pośrednikami. Nigdy go nie widziałem, nie wiem też, jak się nazywa.

Saren westchnął i uklęknął na podłodze obok Groto. Istniało wiele egzotycznych metod przesłuchiwania, milion sposobów zdawania ofierze bólu i karania jej. Ale turianie byli ludem bardzo praktycznym, a on osobiście preferował brutalną skuteczność prostych, podstawowych technik. Chwycił bezwładną lewą rękę mężczyzny za przegub, zacisnął mocno dłoń na jednym z jego palców i zaczął odginać go do tyłu.

– Nie! – wykrzyknął batarianin. – Nie! Proszę... powiedziałem prawdę. To wszystko, co wiem! Musisz mi uwierzyć!

Trzymał się tej wersji nawet po złamaniu mu trzech kolejnych palców na wysokości środkowej kostki, co przekonało Sarena o tym, że mówił prawdę.

– W jaki sposób dostaliście się do wnętrza bazy? – zapytał Saren, zmieniając pytanie.

– Ten facet, który nas wynajął – Groto wycharczał głosem zdartym od dopiero co wydanego, kolejnego przeraźliwego krzyku. – Miał kogoś tam wewnątrz.

– Podaj mi nazwisko.

– Błagam – teraz już wydawał z siebie cienki, skowyczący pisk. – Nie znam jego nazwiska. Nawet mnie tam nie było.

Saren chwycił za następny palec i strumień słów popłynął znowu.

– Poczekaj! Nie wiem, kto to był w środku bazy! Ale... ale mogę ci powiedzieć coś innego. Po ataku wprowadziliśmy tam kogoś z zewnątrz. Wolnego łowcę nagród. Dużego kroganina o imieniu Skarr.

– Dobrze – powiedział Saren, rozluźniając uścisk wokół nienaruszonego palca.

– Mów dalej.

– Na Sidonie coś poszło nie tak. Ktoś przeżył nasz atak. Takie drobne niedopatrzenie. Skarr został wynajęty, żeby ją dopaść. To kobieta. Jest na Elizjum. Nie wiem, jak się nazywa.

– Co jeszcze? Dlaczego to właśnie was wynajęto do ataku na bazę?

– Nie mam pojęcia – głosem pełnym strachu wyszeptał Groto. – Nikt nie informował nas o żadnych szczegółach. Pracodawca bał się, że ktoś może je rozgadać. Nie chciał... nie chciał, żeby WiDMO się o tym dowiedziało.

Dla pewności Saren złamał mu jeszcze dwa kolejne palce.

– Proszę – załkał Batarianin, kiedy skończył krzyczeć. – To nie ja ci jestem potrzebny. W jakimś magazynie, facet, który nas wynajął, spotkał się ze Skarrem. Porozmawiaj z kimś, kto tam był.

Turianina nie zdziwiło, że jego ofiara podsuwa mu kogoś innego w zamian siebie. W większości wypadków przesłuchiwanie postępowało właśnie w ten sposób. Zwykle świadczyło to o tym, że przesłuchanie zbliża się do końca, kiedy poddawany mu zdał sobie sprawę z tego, że nie ma już do zaoferowania żadnych użytecznych informacji, zdradzenie współtowarzyszy bądź sojuszników wydawało mu się jedynym sposobem uniknięcia dalszych tortur.

– Gdzie mogę znaleźć kogoś, kto był w tym magazynie? – Widmo zażądało odpowiedzi.

– Ja... ja nie wiem – drżącym głosem wyznał Groto. – Oni wszyscy bez przerwy towarzyszą pracodawcy. Wynajął ich do osobistej ochrony.

– Więc wygląda na to, że mam tylko ciebie.

– To wszystko, co wiem – słabo sprzeciwił się batarianin, jego głos był zupełnie pozbawiony jakichkolwiek śladów przebiegłości lub nadziei. – Nawet, jeśli złamiesz każdą kość mojego ciała, nie będę mógł ci powiedzieć nic więcej.

– Zobaczymy – obiecał Saren.

* * *

Dla Sarena to była naprawdę długa noc. W czasie przesłuchania pogrążony w szoku batarianin jeszcze trzy razy tracił przytomność. Za każdym razem, kiedy tak się działo, Saren

musiał po prostu siedzieć i czekać, aż tamten znowu się ocknie – torturowanie kogoś, kto nie mógł odpowiedzieć, było zupełnie pozbawione sensu.

W końcu okazało się, że Groto mówił prawdę. Sarenowi nie udało się już nic więcej z niego wydobyć. Co prawda już wcześniej miał takie podejrzenia, ale musiał mieć stuprocentową pewność. Zbyt wiele od tego zależało.

Ktoś wynajął Błękitne Słońca. Ktoś dysponujący wystarczającą władzą i bogactwem, by zapewnić sobie na wyłączność ich lojalność. Ktoś, kto zadbał o szczególne zabezpieczenia, żeby upewnić się, że WiDMO nic na ten temat nie wywęszy. Saren musiał się dowiedzieć, kto rozkazał zaatakować Sidon. I z jakiego powodu. Stawką mogło być życie miliardów istnień, a on nie zamierzał się wahać ani chwili. Będzie torturował tego żałosnego najemnika bez końca, jeśli istniała, choć najmniejsza szansa na to, że dowie się czegoś, co pomoże mu rozwiązać tę sprawę.

Jednak wszystkie jego czyny miały swoje konsekwencje. Dźwiękoszczelny pokój wzmagał przenikliwe wrzaski i przejmujące wycie jego ofiary. Krzyki wręcz fizycznie dręczyły uszy Sarena, w wyniku czego, mocno rozbolała go głowa.

Następnym razem, pomyślał, masując sobie skronie, wezmę ze sobą zatyczki do uszu.

Położył batarianina na łóżku – po części ze względu na własną wygodę. Łatwiej mu było tam nad nim pracować, niż bez przerwy pochylać się, żeby dosięgnąć ciała leżącego na podłodze. Teraz Groto leżał bez ruchu na plecach, pogrążony w głębokim śnie, spowodowanym przez krańcowe wycieńczenie psychiczne i fizyczne.

Nie było tego zbyt dużo, ale Saren zdobył ważną wskazówkę, która mogła poprowadzić go dalej. Znał Skarra z opowieści, wiedział też, że łowca nagród udał się do Elizjum. Bez trudu powinien go tam wytropić.

Najpierw, pomyślał, musi zrobić porządek w tym tutaj. Aresztowanie Groto nie wchodziło w grę, zwróciłoby tylko uwagę i zaalarmowało tego, kto wynajął Błękitne Słońca, że WiDMO zainteresowało się tą sprawą. Prościej – i bezpieczniej – było po prostu pozbyć się ciała.

Saren lekko przyłożył dłonie do obu stron głowy batarianina, a potem z dziką siłą wykręcił ją poza granice oporu, łamiąc jego wydłużony kark. Szybka i bezbolesna śmierć.

Mimo wszystko, nie był przecież potworem.

.11.

Anderson wysiadł na Elizjum razem z trzystoma innymi pasażerami, którzy zabukowali sobie miejsce na odlatujący z Cytadeli wahadłowiec transportu publicznego.

Port lotniczy roił się od podróżnych. Gęsty tłum był mieszaniną wszystkich znanych gatunków istot inteligentnych galaktyki, niektórzy właśnie przyjechali, inni mieli zaraz odlecieć, większość czekała w długich, krętych kolejkach na odprawę celną i inne graniczne formalności. Na Elizjum zawsze dbano o bezpieczeństwo – jednak po ataku na pobliski Sidon, dbałość ta przekroczyła wszystkie znane do tej pory Andersonowi granice.

Jednak w żadnym razie tego nie potępiął. Idealnie usytuowane w pobliżu zespołu kilku przekąźników o podstawowym i paru o bardziej drugorzędym znaczeniu, Elizjum było zbyt ważnym ośrodkiem transportowym i przemysłowym, żeby Przymierze mogło je narazić na groźbę ewentualnych zamachów terrorysty czy nych. Kolonia istniała zaledwie od pięciu lat, ale w tym czasie zdążyła stać jednym z najbardziej prężnych portów handlowych Pogranicza. Ilość jej mieszkańców wzrastała wręcz lawinowo. Ostatnio przekroczyła milion, licząc całą różnorodność rezydujących tu przedstawicieli innych ras, którzy stanowili prawie połowę całej populacji. Niestety, w wyniku tej dysproporcji, olbrzymią część odwiedzających Elizjum stanowili Nieludzie, którzy podlegali podwyższonym standardom kontroli granicznej.

Stan podwyższonej gotowości służb ochrony sprawił, że dla większości spośród podróżnych procedury przylotów i odlotów stały się o wiele dłuższe i bardziej uciążliwe. Nawet ludzie musieli być przygotowani na poważne opóźnienia, ponieważ część personelu, którą oddelegowano do obsługi gości obcych gatunków, pomniejszała ilość tych, którzy mogli zająć się obywatelami Przymierza.

Na szczęście dla Andersona, jego wojskowe dokumenty umożliwiły mu obejście długich kolejek. Strażnik na stanowisku odprawy granicznej Przymierza, zeskanował odcisk papilarny jego kciuka, przez kilka sekund studiował jego papiery, po czym przepuścił go salutując.

Oficjalnie rzecz biorąc, Anderson nie przybył tu, rzecz jasna, w żadnej misji. Był po prostu jednym z żołnierzy Przymierza na przepustce w wielkim porcie – była to na tyle wiarygodna

przykrywka, żeby uniknąć przyciągania czyjejkolwiek uwagi i ukryć prawdziwy cel jego wizyty.

Jon Grissom był ojcem Kahlee Sanders. Wszystko wskazywało na to, że byli ze sobą skłóceni, jednak wciąż była szansa na to, że Grissom będzie mógł w jakiś sposób pomóc Andersonowi w śledztwie. Sidon znajdował się w odległości zaledwie kilku godzin od Elizjum. Z zarejestrowanych danych wynikało, że Sanders właśnie tutaj przybyła tuż po samowolnym oddaleniu się ze służby. I chociaż wyglądało na to, że Grissom nie kontaktował się z córką co najmniej od dziesięciu lat, to tajemnicą poliszynela był fakt, że najbardziej znany z żołnierzy Przymierza przeszedł na wcześniejszą emeryturę i zamieszkał jak pustelnik w stolicy największej ludzkiej kolonii na Pograniczu.

Anderson wciąż nie mógł uwierzyć w to, że Sanders była zdrajczynią. To zupełnie nie pasowało do wszystkiego, czego się o niej dowiedział. Wiedział jednak, że w jakiś sposób była w to zamieszana. Jej nagłe zniknięcie nie mogło być tylko zbiegiem okoliczności. Być może zaangażowała się w to i kiedy sprawy ją przerosły, spanikowała i uciekła. Doskonale mógł sobie ją wyobrazić, jak przybywa na Elizjum – przerażona, samotna, nie mając pojęcia, komu może zaufać. Nieważne, czy byli ze sobą skłóceni – najprawdopodobniej pierwszą osobą, do której powinna zwrócić się o pomoc, był jej ojciec.

Po sprawdzeniu swojego sprzętu w hotelowym pokoju, Anderson wynajął samochód i pojechał do peryferyjnej dzielnicy, pełnej stojących często w sporym oddaleniu posiadłości. Dość dużo czasu zajęło mu odnalezienie domu Grissoma. Tabliczki adresowe na domach były tu tak niepozorne, że prawie niewidoczne. Najwyraźniej mieszkający tu ludzie bardzo cenili sobie swoją prywatność.

Wysiadł z samochodu i zaczął iść przez rozległy teren posiadłości, w stronę zadziwiająco małego domu, położonego tak daleko od drogi, jak tylko było to możliwe. Anderson nie rozumiał, dlaczego Grissom postanowił zniknąć wszystkim z oczu. Szanował tego człowieka i jego bohaterską przeszłość, ale nie potrafił wytłumaczyć sobie, jak można tak po prostu odejść. Żaden żołnierz nie powinien w ten sposób odwracać się plecami do Przymierza.

Nie jesteś tu po to, żeby kogokolwiek osądzać, przypomniał sobie w myślach, kiedy zbliżał się do drzwi. Nacisnął przycisk dzwonka i czekał, mimowolnie przyjąwszy pozycję na baczność. *Jesteś tu po to, żeby znaleźć Kahlee Sanders.*

Dopiero po kilku minutach usłyszał, że ktoś nadchodzi z przeciwległej strony domu, narzekając pod nosem. Po chwili drzwi otworzyły się, odsłaniając kontradmirała Jona Grissoma w całej chwale i okazałości.

Dłoń, którą Anderson chciał zaszalutować na powitanie bohatera, zamarła przy jego biodrze. Stojący przed nim mężczyzna ubrany był jedynie w podziurawiony, znoszony szlafrok i bokserki. Włosy miał długie i nieuczesane, a jego twarz częściowo ukryta była za czarno-białą

szczecinią trzydniowego zarostu. Spojrzenie miał twarde i pełne goryczy, a twarz jakby na stałe wykrzywioną w gniewnym grymasie.

– O co chodzi? – zapytał oschle.

– Sir – odparł Anderson. – Jestem komandor porucznik David And...

Grissom przerwał mu:

– Wiem, kim pan jest. Spotkaliśmy się na Arcturusie.

– To prawda, sir – przyznał Anderson, czując lekką dumę z tego, że został rozpoznany. – Jeszcze przed Wojną Pierwszego Kontakt. Dziwię się, że pan mnie jeszcze pamięta.

– Jestem na emeryturze, ale to nie znaczy, że jestem zupełnie zgrzybiały. – Pomimo wypowiedzianego żartu, w tonie głosu Grissoma nie było ani śladu wesołości.

Na chwilę zapanowała niezręczna cisza. Anderson usiłował dopasować swoje wspomnienia ikonicznej, dawnej świetności Grissoma do tego rozczochranego zrzędy, który stał przed nim w tej chwili. W końcu Grissom przerwał milczenie.

– Posłuchaj, synu. Jestem na emeryturze. Więc wracaj z powrotem do piekła i powiedz swoim przełożonym, że nie zamierzam udzielać żadnych wywiadów, nie będę nigdzie przemawiał ani występował tylko dlatego, że ktoś zaatakował jedną z naszych baz wojskowych. Skończyłem z tym syfem.

Anderson natychmiast zaatakował, przekonany o tym, że starszy mężczyzna właśnie popełnił błąd.

– Jak pan dowiedział się o tym, że Sidon został zaatakowany?

Grissom spojrzał na niego jak na idiotę.

– We wszystkich wiadomościach bez przerwy o tym trąbią.

– Nie dlatego tu jestem – powiedział Anderson, starając się ukryć swoje zakłopotanie. – Mogę wejść do środka?

– Nie.

– Proszę, sir. Mam do pana sprawę, o której wolałbym nie mówić tutaj, na zewnątrz.

Grissom wciąż nie ruszał się z miejsca, blokując przejście, żeby Anderson nie mógł wejść do środka.

Porucznik w końcu zdał sobie sprawę z tego, że dyplomatyczne i taktowne zachowanie jest w tym miejscu zupełnie niestosowne. Trzeba było zacząć zachowywać się równie bezceremonialnie, co gospodarz.

– Proszę opowiedzieć mi o Kahlee Sanders, sir.

– O kim?

Ten stary człowiek był naprawdę niezły. Anderson spodziewał się, że jakoś zareaguje na wspomnienie o swojej dawno zaginionej córce, o swojej jedynej potomkini. Ale Grissom nie dał nic po sobie poznać.

– O Kahlee Sanders – powtórzył Anderson, w zauważalny sposób mocniejszym głosem. Nie było zbyt prawdopodobne, żeby ktokolwiek mógł go usłyszeć – najbliżsi sąsiedzi mieszkali w zbyt dużej odległości. Ale musiał coś zrobić, żeby przekroczyć próg tego domu. – O pańskiej córce. O żołnierzu, który samowolnie oddalił się ze służby na Sidonie zaledwie kilka godzin przed atakiem na bazę. O kobiecie, której szukamy, ponieważ jest podejrzana o zdradę Przymierza.

Gniewny wyraz twarzy Grissoma stał się grymasem czystej nienawiści.

– Zamknij się i wpakuj swoją dupę do środka – mruknął, odsuwając się na bok.

Znalazłszy się w środku, Anderson podążył za niechętnym gospodarzem do małego salonu. Grissom usadowił się w jednym z miękkich foteli, ale porucznik stał, czekając na zaproszenie. Po paru sekundach upewnił się, że takowe zaproszenie nigdy nie nastąpi i również usiadł w jednym z foteli.

– W jaki sposób dowiedzieliście się o istnieniu Kahlee? – w końcu spytał Grissom, mówiąc tak obojętnym tonem, jakby rozmawiali o pogodzie.

– W tych czasach nie ma tajemnic, których nie można by odkryć – odparł Anderson. – Wiemy, że po raz ostatni widziano ją tu, na Elizjum. Muszę wiedzieć, czy pojawiła się tu, żeby z panem porozmawiać.

– Nie rozmawiałem ze swoją córką od czasu, kiedy była podlotkiem – powiedział Grissom. – Jej matka nie uważała, żebym był dobrym materiałem na męża czy ojca, a ja za bardzo nie chciałem się z nią w tej sprawie spierać. Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli po prostu zniknę z ich życia.

– Hej – Grissom nagle sobie coś przypomniał. – Kiedy rozmawialiśmy po raz ostatni, powiedział pan, że jest pan zaręczony. Że dziewczyna czeka na pana na Ziemi, prawda? Więc teraz musi już pan być żonaty. Gratulacje.

Starał się wytrącić Andersona z równowagi. Grissom cholernie dobrze wiedział, jak trudną sprawą było małżeństwo dla każdego żołnierza Przymierza. Jego z pozoru niewinne pytanie miało zirytować jego młodego gościa. Być może wyglądał na niegroźnego, wypalonego starego człowieka, ale w głębi duszy zachował wiele ze swojej dawnej waleczności.

Anderson nie zamierzał dać się wpuścić w maliny.

– Sir, potrzebuję pańskiej pomocy. Pańska córka jest podejrzana o zdradę Przymierza. Czy to dla pana nic nie znaczy?

– A dlaczego miałyby to coś dla mnie znaczyć? – odparował Grissom. – Ledwo ją znam.

– Jak pan widzi, ja bez trudu ustaliłem stopień waszego pokrewieństwa. W takim razie istnieje możliwość, że robi to także ktoś inny.

– Co? A więc myślicie, że obchodzi mnie moja reputacja? – kpiąco odparł Grissom. – Myślicie, że pomogę wam, ponieważ nie chcę, żeby ludzie dowiedzieli się o tym, że wielki

admirał Grissom ma nieślubną córkę, która jest oskarżona o zdradę? Ha! To wy przejmujecie się takimi pierdołami. Mnie to w ogóle nie obchodzi.

– Nie to miałem na myśli, sir – odparł Anderson, nie dając się sprowokować. – Trafiłem tutaj po śladach Kahlee, do pańskiego domu. A to oznacza, że ktoś inny także mógłby tu trafić po jej śladach. Przyszedłem do pana, bo chcę pomóc pańskiej córce. Ale następna osoba, która tu za nią trafi – a obaj wiemy, że będą następne osoby – będzie być może chciała ją skrzywdzić.

Grissom powoli przechylił się do przodu i oparł głowę na dłoniach, rozważając słowa Andersona. Minęło kilka długich chwil, zanim znowu usiadł prosto. Oczy miał mokre od łez.

– Ona nie jest zdrajczynią – powiedział szeptem. – Nie miała z tym nic wspólnego.

– Ja panu wierzę, sir – powiedział Anderson, głosem pełnym współczucia i życzliwości. – Ale niewielu innych panu uwierzy. Dlatego właśnie chcę ją znaleźć. Zanim coś jej się stanie.

Grissom nic nie męwił, po prostu siedział w fotelu i przygryzał dolną wargę.

– Nie pozwolę, żeby przydarzyło jej się coś złego – zapewnił go Anderson. – Daję panu na to moje słowo.

– Przyszła tutaj – w końcu przyznał Grissom i głęboko westchnął. – Powiedziała, że ma poważne kłopoty. Że ma to coś wspólnego z Sidonem. Nie pytałem jej o żadne szczegóły. Sądzę... sądzą, że obawiałem się tego, co mogła mi powiedzieć.

Przechylił się do przodu i znowu złożył głowę w dłoniach.

– Nigdy nie byłem przy niej, kiedy dorastała – wymamrotał, jego głos brzmiał tak, jakby zaraz miał się rozplakać. – Nie mogłem teraz jej odmówić. Byłem jej to winien.

– Rozumiem, panie admirale – powiedział Anderson i wyciągnął rękę, żeby położyć ją na ramieniu Grissoma w geście pocieszenia. – Ale musi mi pan powiedzieć, dokąd się udała.

Grissom uniósł głowę i spojrzał na niego. Wyglądał bezbrinnie i słabo.

– Podałem jej nazwisko kapitana jednego z tutejszych frachtowców. Nazywa się Ehrring. Jego okręt nazywa się „Gossamer”. Pomaga tym, którzy chcą zniknąć. Odleciała wczoraj w nocy.

– Dokąd się udała?

– Nie pytałem. Ehrring zwykle zajmuje się wszystkimi szczegółami. Musi pan z nim porozmawiać.

– A gdzie go znaleźć?

– „Gossamer” wyleciał dzisiaj rano w rejs handlowy gdzieś w okolice Odległej Krawędzi. Wróci, co najmniej za parę tygodni.

– Nie mamy tyle czasu, sir.

Grissom podniósł się z fotela. Teraz trzymał się prościej niż tuż po przybyciu Andersona, jakby jego mięśnie usiłowały sobie przypomnieć jak to jest stać dumnie na baczność.

– Sądzę więc, że musicie po prostu wysłać tam swoje patrole i znaleźć go, żołnierzu. Tylko on może was doprowadzić do mojej córki.

Anderson żywo poderwał się na nogi.

– Proszę się nie martwić, panie admirale. Nie pozwolę, żeby coś jej się stało.

Zaczął salutować, ale Grissom odwrócił głowę w drugą stronę.

– Nie trzeba – mruknął, najwyraźniej zawstydzony. – Nie zasługuję na to. Już nie.

Zamiast tego Anderson wyciągnął w jego stronę prawą dłoń. Starszy mężczyzna wahał się przez chwilę, a potem uściśnął ją z zadziwiającą siłą.

– Jest pan lepszym człowiekiem, niż mi kiedykolwiek udało się być. Przymierze ma szczęście, skoro pan w nim służy.

Porucznik nie wiedział, co mógłby na to odpowiedzieć, więc tylko skinął głową. Grissom ujął go mocno pod ramię i odprowadził do frontowych drzwi.

– Niech pan pamięta o swojej obietnicy – powiedział na pożegnanie – że zadba pan o to, żeby nic nie stało się mojej córce.

* * *

Grissom obserwował, jak porucznik opuszcza teren jego posiadłości na umieszczonym przy drzwiach wejściowych, małym ekranie systemu ochrony domu. Odwrócił się od ekranu dopiero w chwili, kiedy młody mężczyzna wsiadł do swojego samochodu i odjechał. Potem powolnym krokiem wrócił na tyły domu i stuknął jeden raz w drzwi swojej sypialni.

W sekundę później otworzyła je Kahlee Sanders i zapytała:

– Kto to był?

– Jakiś wpychający nos w nie swoje sprawy koleś z Przymierza, który odkrył, że jesteśmy rodziną. Posłałem go w pogoń za białym królikiem. Spędzi najbliższe dwa tygodnie w okolicy Odległej Krawędzi, ścigając jednego z moich starych przyjaciół.

– Jesteś pewien, że to kupił? – spytała Kahlee.

– Dałem mu dokładnie to, czego chciał – powiedział Grissom z cynicznym uśmiechem na twarzy. – Szansę pomocy i starego, złamanego bohatera przypominającego sobie po części, kim był kiedyś.

– Ale to nie nim powinniśmy się martwić – kontynuował Grissom. – Naprawdę ciężko zacznie się robić, jeśli będziemy mieć do czynienia z kimś bezpośrednio powiązany z atakiem na Sidon.

Kahlee chwyciła go za rękę i mocno ścisnęła ją w swoich dłoniach.

– Dziękuję – powiedziała, patrząc do góry w oczy ojca. – Naprawdę.

Pokiwał głową i odsuwał się od niej niezgrabnie, dopóki nie puściła jego ręki.

– Poczekamy jeszcze kilka dni – powiedział, odwracając się i zostawiając ją w zaciszu jej pokoju. – A potem znajdziemy jakiś sposób, żebyś mogła bezpiecznie opuścić tę planetę.

* * *

Po oświetlonej księżycowym światłem ziemi, posiadłości Grissoma, cicho i pospiesznie przemykał się masywny cień, zmierzając prosto w stronę domu.

Skarr, w razie potrzeby, potrafił poruszać się bezszelestnie, nawet w zakrywającym całe ciało pancerzu. Pancerz, co prawda trochę spowalniał jego ruchy, ale i tak zwykle raczej polegał na swojej sile, a nie na szybkości reakcji.

Nie widać było, żeby paliły się jakieś światła w małym domu, który, według tego, co Skarr się dowiedział, należał do ojca kobiety, którą ścigał. Był zaskoczony, kiedy jego batariański handlarz informacjami podał mu nazwisko bohatera Przymierza, jednak w żaden sposób nie zmieniło to jego planów. Znaczyło to jedynie, że kiedy będzie już po wszystkim, wokół sprawy rozejdzie się gęstszy smród.

Kroganin nie wiedział, czy Kahlee Sanders znajduje się w tym domu, ale nawet, jeśli jej tam nie było, to jej ojciec prawdopodobnie wiedział, jak ją znaleźć. Skarr był pewien, że uda mu się skłonić tego człowieka do mówienia... oczywiście pod warunkiem, że najpierw go przez przypadek nie zabije. Dlatego właśnie wybrał się tutaj z podstawowym ekwipunkiem – był uzbrojony jedynie w pistolet i swój ulubiony nóż.

Zatrzymał się pod jedynymi drzwiami wejściowymi, nasłuchując jakichkolwiek odgłosów życia. Odczepił od pasa swój omniklucz. Za jego pomocą włamał się do systemu alarmowego budynku i wyłączył go. Przypiął omniklucz z powrotem do pasa, wziął do ręki pistolet i otworzył drzwi lekkim pchnięciem.

Jego oczy wciąż przyzwyczajały się do ciemności. Po chwili, jedną nogą przestąpił przez próg. Wiązka grubego śrutu wystrzelona z obrzyna trafiła go prosto w pierś.

Pole ochronnej bariery kinetycznej zareagowało na uderzenia pocisków błękitnymi rozbłyskami, odbijając większość z nich. Część przedarła się przez osłonę bariery kinetycznej tylko po to, żeby odbić się rykoszetem od ablacyj nych płyt jego pancerza, albo utkwić w znajdującej się pod nimi, grubej warstwie wyściółki. Tylko kilka przebiło wszystkie warstwy ochronne i wbiło się w ukryte pod nimi ciało.

Siła zmasowanych trafień zwała kroganina z nóg, wytrąciła pistolet z jego ręki i wyrzuciła go z powrotem za próg domu, gdzie ciężko zwałił się na ziemię.

Grissom zerwał się ze swojego fotela, na którym od przybycia Kahlee siedział każdej nocy na warcie i uniósł broń do kolejnego strzału. Rozpoznał błękitne błyski kinetycznej bariery ochronnej intruza, która zabsorbowała większą część wystrzału. Jednak przy tak bliskiej

odległości część pocisków powinna przedrzeć się przez osłony i jeszcze jeden dobry strzał powinien załatwić sprawę.

Leżący na plecach Skarr, wyciągnął zza pasa swój nóż i cisnął nim w kierunku atakującego go człowieka. Ostrze ugrzęzło głęboko w mięśniu lewego bicepsa Grissoma, kiedy ten po raz drugi naciskał spust – w wyniku tego zachwiał się i strzelił gdzie indziej, niż zamierzał. Zamiast odstrzelić kroganinowi głowę, wyrwał okazałą dziurę w ziemi tuż za nim.

Lufa obrzyna wyslizgnęła się z drętwiejącej dłoni Grissoma. Skarr poderwał się i znalazł się wewnątrz domu, zanim stary człowiek zdążył wymierzyć ponownie, używając swojej niezranionej ręki. Wrzeszcząc ze wściekłości, kroganin uderzeniem swojej potężnej pięści wytrącił mu broń z ręki – obrzyn poleciał daleko i walnął z hukiem o podłogę salonu. Potem chwycił człowieka obiema rękami i cisnął nim do tyłu z taką siłą, że połamała się gipsowa ściana, na którą wpadł.

Ostrze wyslizgnęło się z ramienia Grissoma, kiedy pozbawiony tchu osuwał się na podłogę. Obcy stanął nad nim, przechylając głowę lekko na bok, żeby móc dobrze mu się przyjrzeć jednym ze swoich zimnych, gadzich oczu. Grissom nie był tchórzem, ale poczuł, że serce zaciska mu się ze strachu, kiedy spojrzął w nieruchomą, czarną źrenicę.

Potem usłyszał głośne *krak-krak-krak* - dobrze znany odgłos wystrzałów z karabinu szturmowego Przymierza Hahne-Kedar P15-25 – i kroganin zatoczył się do tyłu. Został trafiony trzy razy w zbudowany z mięśni i kości garb na plecach, ale wciąż stał o własnych siłach.

W drzwiach stał porucznik Anderson z bronią w ręku. Wszedł do środka i wystrzelił jeszcze sześć razy, kiedy kroganin odwrócił się twarzą w jego stronę. Teraz celował niżej, starając się uszkodzić jego nogi. Jedna z wystrzelonych przez niego kul trafiła w odsłonięty staw kolanowy w miejscu, w którym łączyły się ze sobą płytki nogawic pancerza.

Wyjął z wściekłości i bólu, kroganin po raz drugi upadł na ziemię, kurczowo chwytając się za zranioną nogę.

– Wystarczy jeden twój ruch, a następna kula trafi prosto między twoje oczy – ostrzegł Anderson, mierząc w nasadę kościanego grzebienia, biegnącego przez czubek głowy kroganina.

Grissom był pod wrażeniem. Zwalenie z nóg chronionego okrywającym całe ciało pancerzem człowieka nie było łatwym zadaniem – nie mówiąc już o kroganinie.

– Cieszę się, że cię tu widzę – powiedział, kiedy udało mu się złapać oddech.

– Chyba nie spodziewał się pan, że dałem się ogłupić temu małemu przedstawieniu, które wykonał pan dla mnie parę dni temu – odparł Anderson nie przestając celować w leżącego w rogu kroganina. – Od tamtej chwili obserwowałem pański dom przez cały czas.

Grissomowi z trudem udało się wstać. Jego lewa ręka wciąż zwisała bezwładnie, prawą dłoń przyciskał do obficie krwawiącej rany. Z jego ust wydobył się jęk bólu.

– Twój przyjaciel jest ranny – mruknął kroganin.

Anderson ani na chwilę nie pozwolił rozproszyć swojej uwagi.

– To twardy gość. Przeżyje to.

Kroganin krwawił z postrzałowej rany w kolanie. Pancierz na piersiach miał upstrzony małymi otworami, wyściółka pod nim była spalona i rozerwana. Z trzech spośród nich wyciekały strużki ciemnej krwi. Anderson zakładał, że co najmniej jeden ze strzałów oddanych w plecy przeciwnika dotarł na tyle głęboko, by również wyrządzić jakieś szkody. Ale widział już o wiele ciężiej poranionych krogan, którzy wciąż byli w stanie skutecznie działać.

Ten obcy na podłodze był jak zraniona bestia – wściekły, zdesperowany i nieobliczalny. Co prawda głośno dyszał, ale trudno było powiedzieć, czy sapie tak z bólu, wyczerpania, czy z czystej wściekłości. Jego porwana bliznami, okrutna twarz, była maską intensywnej koncentracji. Jego mięśnie były napięte, jakby zbierał się do jakiegoś ruchu.

Jednak, gdyby tylko spróbował się poruszyć, Anderson strzeliłby mu w głowę z odległości niecałych trzech metrów. Nawet kroganin nie mógłby tego przeżyć.

Usłyszał odgłos otwieranych drzwi i czyjeś kroki w korytarzu.

– O mój boże! Jesteś ranny! – krzyknęła jakaś kobieta.

Anderson nie był na tyle głupi, żeby odwrócić głowę. Jednak na ułamek sekundy spojrzął w kierunku źródła tego głosu. I właśnie tyle czasu potrzebował kroganin.

Uderzył pięścią w powietrze, posyłając falę uderzeniową skoncentrowanej energii, która przetoczyła się przez pokój. Anderson nigdy jeszcze nie został zaatakowany przez żadnego biotyka. Nie sądził też, że kroganin może dysponować taką mocą. W ułamku sekundy zorientował się, że coś się dzieje, został wessany w potężny wir i odrzucony do wnętrza salonu, gdzie z impetem upadł na podłogę. Czuł się, jakby znajdował się we wnętrzu komory sztucznej grawitacji w chwili, kiedy ktoś włączył polaryzację pola. Doznał działania momentalnej, przemożnej, niemożliwej do odparcia siły.

Nie zdążył w porę dojść do siebie na tyle, żeby uchwycić karabin, który wypadł mu z rąk, nie zdążył też sięgnąć po leżące w pobliżu obrzyna. Kroganin, pomimo odniesionych ran, w jakiś sposób znów stał na własnych nogach i nagle znalazł się prawie przy nim, wymachując pięścią z siłą, która mogła bez trudu zgnieść czaszkę Andersona. Skulił się i przewrócił na bok, unikając ciosu. Pięść olbrzyma wylądowała na rogu blatu stołu, który pod wpływem siły ciosu rozpadł się w drzazgi.

Zapanował kompletny chaos. Grissom krzyczał do Kahlee, każąc jej uciekać, a ona wrzeszczała do Andersona, żeby użył któregoś z karabinów. Kroganin, rycząc z wściekłości,

skakał po pokoju, ciskając meblami, jakby były zrobione z balsy. Anderson uskakując walczył o życie, unikając zabójczych trafień tylko dlatego, ponieważ jego przeciwnik kulał przez swoje zranione kolano.

Kątem oka dostrzegł, jak Kahlee rzuca się do boju, w desperackiej próbie sięgnięcia po porzucony obrzyn. Kroganin także ją zobaczyli ruszył w kierunku młodej kobiety. Zabiłby ją na miejscu, gdyby następna kula nie trafiła go w szew pancerza na biodrach, wytrącając go z równowagi i zatrzymując.

Anderson obrócił głowę i zobaczył, że w drzwiach, w których ona sam stał zaledwie parę minut temu, stoi jakiś turianin i strzela do kroganina z pistoletu. Porucznik nie miał pojęcia, kim był ten mężczyzna, ani dlaczego się tu znalazł... był po prostu zadowolony z tego, że ktoś jeszcze stanął w tej walce po ich stronie.

Większość z kul odbijała się rykoszetem od powierzchni pancerza kroganina. Bestia przykucnęła i próbowała chronić głowę – jedyne nieosłonięte miejsce ciała. Po chwili, obejrzał się na turianina i potężnym susem wyskoczył przez okna salonu, rozbijając szybę w deszcz ostrych odłamków. Wylądował na trawie, uderzając w nią ramieniem, i jednym płynnym ruchem ciała w bok, znowu stanął na nogach. Odbiegł kuśtykając. Z powodu przestrzelonej nogi poruszał się niezgrabnie, ale i tak biegł o wiele szybciej, niż w jakichkolwiek warunkach (zdaniem Andersona) powinno się poruszać stworzenie jego wielkości.

Turianin wyszedł na zewnątrz i oddał kilka strzałów w ciemność, potem odwrócił się i z powrotem wszedł do domu.

– Nie zamierzasz go gonić? – Grissom zapytał ich nieznanego sprzymierzeńca. Wciąż siedział na podłodze, ale za pomocą paska swojego szlafroka zacisnął ramię nad uszkodzonym bicipsem, powstrzymując upływ krwi.

– Nie z takim uzbrojeniem – odpowiedział turianin, unosząc pistolet do góry. – Poza tym, tylko głupiec stawia czoło kroganowskiemu biotytkowi w pojedynkę.

– Myślę, że tak naprawdę admirał Grissom chciał powiedzieć – powiedział Anderson wstając i wyciągając w stronę przybysza rękę – że bardzo dziękuje za ocalenie życia nas wszystkich.

Turianin wpatrywał się w wyciągniętą w jego stronę dłoń, ale nie odpowiedział tym samym. Porucznik, zawstydzony tą odmową, wycofał dłoń z powrotem.

– Wiem, dlaczego on tutaj jest – powiedział Grissom przez zaciśnięte z bólu zęby, skinąwszy głową w stronę Andersona. – A jaka jest twoja historia?

– Siedziałem Skarrowi na ogonie od dwóch dni – odparł turianin. – I czekałem, aż zrobi jakiś ruch.

– Siedziałeś mu na ogonie? – zapytała Kahlee, która właśnie podeszła do ojca, żeby przyjrzeć się jego ranie. – Po co? Kim jesteś?

– Mam na imię Saren. Jestem Widmem. Chcę zadać parę pytań.

.12.

Anderson i Saren siedzieli naprzeciw siebie w kuchni, patrzyli na siebie z dwóch stron stołu nie odzywając się. Salon byłby znacznie wygodniejszym miejscem, ale żaden z foteli nie przetrwał rozpetanego przez kroganina szału zniszczenia.

Jak wszyscy turianie, Saren miał twarz zakrytą maską zbudowaną z twardej chrząstki. Jednak maska Sarena miała blady, kościany odcień. Wyglądała jak powierzchnia nagiej czaszki. Przypominała Andersonowi pochodzące ze starej Ziemi malowidła, przedstawiające Królową Tego Świata, czyli ucieleśnienie samej śmierci.

Kahlee, w sypialni na tyłach domu zajmowała się ranami Grissoma. Admirał próbował protestować, ale wyraźnie osłabł z powodu utraty znacznej ilości krwi i w jakiś sposób, udało jej się namówić go do położenia się na łóżku. W jego apteczce znalazła wojskowy zestaw połowy, w skład, którego wchodziła wystarczająca dawka medigelu, żeby ustabilizować stan jego rany. Teraz już zakładała mu opatrunek.

Chciała zabrać go do szpitala, albo przynajmniej wezwać karetkę, ale Widmo stanowczo odmówiło.

– Po tym, jak odpowiesz na moje pytania – powiedział tylko.

Anderson wiedział już w tym momencie, że nie polubi Sarena. Każdy, kto świadomie przedłużał cierpienie członka czyjejś rodziny, żeby wyrzucić na tego kogoś wpływ, musiał być sadystą i bydlakiem.

– On teraz odpoczywa – powiedziała Kahlee, wychodząc z prowadzącego do sypialni korytarza. – Dałam mu środek uspokajający.

Weszła do kuchni i usiadła obok Andersona, instynktownie siadając po tej samej stronie, co drugi przedstawiciel jej rodzaju.

– Pospiesz się i zadaj mi te swoje pytania – powiedziała prosto z mostu – żebyś mogła jak najszybciej zawieźć ojca do szpitala.

– Współpracuj ze mną to tym szybciej będziemy to mieć za sobą – zapewnił ją Saren i przystąpił do zadawania pytań. – Opowiedz mi o bazie wojskowej na Sidonie.

– Została doszczętnie zniszczona w wyniku ataku terrorystów – odpowiedział Anderson, wtrącając się, zanim Kahlee zdążyła powiedzieć coś obciążającego dla siebie.

Turianin przez chwilę wpatrywał się w niego, a potem powiedział:

– Nie traktuj mnie jak głupka, człowieku. Kroganin, który o mało co nie pozabijał was wszystkich, to łowca nagród o imieniu Skarr. Śledziłem go przez ostatnie dwa dni.

– Ale co to ma wspólnego z nami? – zapytała Kahlee. Mówiła tak niewinnym głosem, że sam Anderson prawie uwierzył w jej pełne zaskoczenia zdziwienie.

– Został wynajęty przez tego kogoś, kto rozkazał zaatakować Sidon – Saren odpowiedział patrząc spode łba. – Przysłali go tu, żeby wyeliminował jedyną osobę, która ocalała z całej załogi bazy. Czyli ciebie.

– Wygląda na to, że ty wiesz o tym wszystkim więcej od nas – Anderson przystąpił do kontrataku.

Turianin z hukiem walnął pięścią w stół.

– Dlaczego zaatakowano tę bazę! Nad czym tam pracowaliście?

– Nad prototypowymi technologiami – odparła Kahlee, zanim Anderson zdążył się odezwać. – To były eksperymentalne typy broni dla potrzeb wojsk Przymierza.

Saren lekko przechylił głowę na bok. Był zaskoczony.

– Eksperymentalne technologie wojskowe? I to wszystko?

– Co masz na myśli mówiąc „i to wszystko”? – Anderson aż prychnął z niedowierzania, podążając za kłamstwem tak zgrabnie podsuniętym przez Kahlee.

– To raczej nie wystarczy, żeby uzasadnić zaatakowanie silnie strzeżonej placówki badawczej Przymierza – odparł turianin.

– Pogranicze znajduje się na skraju wybuchu wojny – nie poddawał się Anderson. – Wszyscy wiedzą, że stawką jest nasze albo batariańskie panowanie nad tym rejonem. Dlaczego nie mieliby zaatakować naszej stacji badawczej, w której pracowaliśmy nad nową bronią?

– Nie – niskim, spokojnym głosem stwierdził Saren. – Musiało tam być coś więcej. Coś przede mną ukrywacie.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. A potem turianin po prostu wyjął swój pistolet i położył go na stole.

– Prawdopodobnie nie zdajecie sobie sprawy z pełnego zakresu uprawnień agentów WiDMO – powiedział groźnie. – Mam prawo podjąć wszelkie działania, które uznam za stosowne w czasie prowadzonych przeze mnie dochodzeń.

– A więc zamierzasz nas pozabijać? – Kahlee wykrzyczała to pytanie głosem pełnym zdziwienia i niedowierzania.

– Zawsze postępuję według dwóch prostych zasad – wyjaśnił Saren. – Pierwsza z nich brzmi: nigdy nie zabijaj nikogo bez powodu.

– A jak brzmi druga? – podejrzliwie zapytał Anderson.

– Zawsze możesz znaleźć powód, żeby kogoś zabić.

– Biotyka – Kahlee w końcu zdradziła tajemnicę. – Próbowaliśmy znaleźć sposób, żeby uczynić z ludzi biotyków.

Turianin przez chwilę rozważał jej wytłumaczenie, a potem spytał:

– Z jakim skutkiem?

– Byliśmy blisko – młoda kobieta przyznała łagodniejszym tonem głosu. – Znaleźliśmy garstkę ludzi z ukrytymi zdolnościami biotycznymi. Głównie dzieci. Zdolności te były o wiele słabsze niż w wypadku innych gatunków, ale przy użyciu wzmacniających węzłów i odpowiedniego szkolenia, mieliśmy jednak wkrótce nadzieję osiągnąć jakieś znaczące rezultaty. Parę tygodni temu zakończyliśmy serię implantacyjnych zabiegów chirurgicznych na kilku spośród najbardziej obiecujących kandydatów. Żaden z nich nie przeżył ataku.

– Wiesz, kto wydał rozkaz ataku? – spytał, zmieniając taktykę.

Kahlee potrząsnęła głową.

– Batarianie, najprawdopodobniej. Byłam na przepustce, kiedy to się stało.

– Więc dlaczego cię teraz ścigają? – naciskał Saren.

– Nie mam pojęcia! – krzyknęła i z rozdrażnienia uderzyła pięścią w stół. – Być może myślą, że mogę odtworzyć program i umożliwić jego kontynuację. Ale przecież zniszczyli całą dokumentację. Pozabijali wszystkie obiekty badawcze. Cała nasza praca na nic!

Złożyła głowę na skrzyżowanych rękach i zaczęła płakać.

– A na dodatek wszyscy nie żyją – wymamrotała pomiędzy kolejnymi spazmami wstrząsającego ją płaczu. – Wszyscy moi przyjaciele. Doktor Qian. Oni wszyscy... nie żyją.

Anderson położył dłoń na jej ramieniu, starając się ją jakoś pocieszyć. Turianin siedział na swoim krześle i obojętnie przyglądał się tej scenie. Po paru sekundach odsunął się od stołu i wstał.

– Dowiem się, kto rozkazał zaatakować Sidon – powiedział im, chowając pistolet do kabury i szykując się do odejścia. – I dlaczego.

Przy drzwiach zatrzymał się jeszcze i odwrócił w ich stronę:

– I jeśli mnie okłamaliście, to też się o tym dowiem.

W chwilę później już go z nimi nie było – po prostu zniknął w ciemnościach.

Kahlee nie przestała płakać. Anderson przyciągnął ją do siebie, żeby ją uspokoić. Doskonale poradziła sobie z Sarenem – przedła kłamstwa zawierające w sobie dość nitek prawdy, żeby cała historia brzmiała wiarygodnie i tworzyła czytelny wzór. Ale teraz w jej reakcji nie było nic fałszywego. Ludzie na Sidonie naprawdę byli jej przyjaciółmi i wszyscy zostali zabici.

Przycisnęła głowę do jego piersi, szukając pociechy w bliskości drugiej istoty ludzkiej. Po paru minutach łzy przestały płynąć z jej oczu i łagodnym ruchem odsunęła się od niego.

– Przepraszam za ten wybuch płaczu – powiedziała i wybuchła ponurym, nerwowym śmiechem, jednocześnie przecierając dłońmi oczy.

– Nie ma sprawy – odparł Anderson. – Dużo ostatnio przeszłaś.

– Co teraz będzie? – zapytała. – Zamierzasz mnie aresztować?

– Jeszcze nie – przyznał. – Nie zmieniłem zdania od czasu mojej rozmowy z twoim ojcem, kilka dni temu. Uważam, że nie jesteś zdrajczynią. Ale musisz mi powiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. I nie chcę wysłuchać kolejnej historyjki, takiej, jaką wcisnęłaś temu turianinowi. Chcę poznać prawdę.

Pokiwała głową i pociągnęła nosem.

– Nie powinnam cię o to prosić po tym, jak narażałeś życie w naszej obronie. Ale czy nie moglibyśmy najpierw zabrać taty do szpitala?

– Oczywiście.

Okazało się, że zawiezenie Grissoma do szpitala nie jest taką prostą sprawą. Był dużym mężczyzną, a zaaplikowany mu przez Kahlee środek uspokajający zupełnie go zamroczył. Dosłownie przelewał się przez ręce. I w ogóle nie chciał współpracować.

– Zostawcie mnie w spokoju – mamrotał, kiedy bezskutecznie usiłowali ściągnąć go z łóżka i postawić na nogach.

Kahlee stanęła po jednej stronie łóżka i chwyciła go pod zdrowe ramię. Z drugiej strony, Anderson niezgrabnie podtrzymywał go w pasie i przez plecy, starając się nie dotykać zranionego bicepsa. Jednak za każdym razem, kiedy usiłowali podnieść Grissoma do pozycji siedzącej, on po prostu, po chwili całą siłą swojego bezwładnego ciężaru, osuwał się z powrotem.

Córka próbowała przemówić mu do rozsądku, mrużąc za każdym razem, kiedy usiłowali go podnieść.

– Musimy... uhm... zawieźć cię... uhm... do szpitala. Uhm!

– Przecież przestało krwawić – sprzeciwiał się słabym głosem, niewyraźnie wymawiając słowa pod wpływem silnego środka uspokajającego. – Po prostu dajcie mi spać.

– Spróbujmy zrobić to w inny sposób. – powiedział Anderson w końcu do Kahlee wstając, i przechodząc na jej stronę. Usiadł na skraju łóżka tyłem do admirała i przełożył sobie zdrową rękę starego człowieka przez ramię i plecy. Z pomocą Kahlee udało mu się stać, podnosząc niebagatelny ciężar Grissoma w zaimprovizowanym naprędcie nosidle.

– Postaw mnie na ziemi, gówniarzu jeden! – wyjęczał Grissom.

– Został pan dźgnięty w ramię i rzucony o ścianę przez bardzo wkurzonego kroganina – powiedział Anderson, stawiając pierwszy, niepewny krok w stronę przedpokoju. – Ktoś musi

pana przebadać.

– Ty głupi sukinsynu – wymamrotał Grissom. – Przez to wszyscy dowiedzą się o tym, że Kahlee się tutaj ukrywa.

Anderson zawahał się na chwilę, potem chwiejnie cofnął się o krok i w pół usiadł, w pół przewrócił się na łóżko, pozwalając Grissomowi osunąć się na pościel.

– Jest za ciężki? – zapytała Kahlee, przejmując się stanem ich obu.

– Nie – odparł Anderson, lekko dysząc z wysiłku. – Ale ma rację. Jeśli zabierzemy go do szpitala, koniec z tobą.

– O czym ty mówisz?

– Wszystkie porty i służby bezpieczeństwa w całym mieście są w stanie podwyższonej gotowości z powodu ataku na Sidon. Jeśli przywieziemy do szpitala taką wcieloną legendę Przymierza, jaką jest admirał Jon Grissom z obrażeniami tego rodzaju, to ochrona po prostu wyskoczy przez dach. Wtedy nie będzie już żadnych cholernych szans na to, że uda nam się wywieźć cię bezpiecznie z tej planety. Wierzę w to, że jesteś niewinna, Kahlee, ale wszyscy pozostali sądzą inaczej. Aresztuj ą cię na miejscu, bez żadnych pytań.

– Więc może po prostu zostanę w tym domu – powiedziała.

– Nikt nie wie, że tu jestem. Nikt nie wie nawet, że jesteśmy spokrewnieni.

– Pewnie, masz rację. Nikt oprócz mnie, Widma i tego kroganina... Wszyscy jakoś do tego doszliśmy, Kahlee. Jak dużo czasu musi minąć, zanim ktoś inny na to wpadnie i zacznie tu węszyć? Zanim to wszystko się zaczęło, nikt nie wiedział kim jesteś, nikt się tobą nie przejmował. Ale teraz jesteś podejrzana o zdradę – twoje zdjęcie i nazwisko pojawia się, w każdym wiadomościach. Dziennikarze na pewno zaczną kopać w twojej przeszłości, starając się dowiedzieć o tobie wszystkiego, co tylko się da. Prędzej czy później ktoś w końcu odkryje, czyją jesteś córką.

– Więc, co możemy zrobić?

Na jej pytanie niespodziewanie odpowiedział Grissom.

– Wynosić się do diabła z tej planety – mruknął. – Znam ludzi, którzy pomogą ci się prześlizgnąć przez stanowisko odpraw. Muszę tylko rano do nich zadzwonić.

Powiedziawszy to, Grissom przewrócił się na drugi bok i zaczął chrapać, w końcu poddając się działaniu środka uspokajającego. Anderson i Kahlee zostawili go w sypialni i poszli do kuchni.

– Twój ojciec jest całkiem bystrym gościem – powiedział Anderson.

Kahlee pokiwała głową, ale powiedziała tylko:

– Jesteś głodny? Jeśli mamy tu tkwić aż do rana, to chyba lepiej będzie, jeśli coś zjemy.

W lodówce znaleźli trochę chleba, jakąś wędlinę w plasterkach i trzydzieści sześć puszek piwa. Rzucając jedną z nich Andersonowi, Kahlee powiedziała:

– Gdzieś tutaj musi mieć też coś mocniejszego, jeśli masz ochotę.

– Wystarczy mi piwo – odparł Anderson, otwierając puszkę i biorąc głęboki łyk. Był to wytwór jakiegoś miejscowego browaru, jeszcze nigdy dotąd nie pił piwa tej marki. Miało ostry, gorzkawy posmak. – Będzie dobrze pasować do kanapek.

– To nie jest porządny posiłek – tłumaczyła się, kiedy usiedli do stołu.

– Jest w porządku – odpowiedział. – Smakuje trochę dziwnie z zimnym chlebem. Kto trzyma chleb w lodówce?

– Moja mama zawsze trzymała chleb w lodówce – odparła. – Sądzę, że to jedyna kwestia, w której moi rodzice mogli dojść do porozumienia. Niestety potrzeba znacznie więcej, żeby w ogóle można zacząć myśleć o małżeństwie.

Po tej krótkiej wymianie zdań jedli w milczeniu, pozwalając uspokoić się swoim wzburzonym umysłem. Kiedy skończyli, Anderson zebrał oba talerze i odstawił je na blat kuchennej szafki. Potem wyjął z lodówki kolejne piwo dla niej i dla siebie, i wrócił do stołu.

– Okay, Kahlee – powiedział, wręczając jej puszkę. – Wiem, że to była długa i ciężka noc. Ale teraz musimy porozmawiać. Zgadzasz się?

Pokiwała twierdząco głową.

– Nie musisz się spieszyć – powiedział jej. – Po prostu zacznij od początku i dokładnie opowiadaj dalej. Muszę wiedzieć wszystko.

– W bazie na Sidonie nie prowadziliśmy badań nad biotyką – zaczęła cichym, łagodnym głosem, a potem się uśmiechnęła. – Ale sądzą, że ty już o tym wiesz.

Ma ładny uśmiech, pomyślał Anderson, ale na głos powiedział:

– W każdym razie, to była niezła zmyłkowa historyjka dla tego Widma. Ale jeśli dowie się, co się tam naprawdę działo... – urwał, przypominając sobie słowa, jakimi ambasador Goyle ostrzegła go przed Widmami.

Saren uratował im wszystkim życie. Zastanawiał się, czy naprawdę zdobyłby się na zamordowanie tego turianina, gdyby okazało się to niezbędne dla utrzymania w tajemnicy sekretu ludzkości. A zresztą, gdyby nawet spróbował to zrobić, to czy by mu się udało?

– W każdym razie wykazałaś się przytomnością umysłu i refleksem – powiedział jej po dłuższej chwili.

Kahlee bez trudu przyjęła komplement i mówiła dalej. W miarę upływu czasu ton jej głosu nabierał siły i przekonania.

– Na Sidonie zajmowaliśmy się jedną, ściśle określoną dziedziną. Konstruowaniem i badaniem sztucznej inteligencji. Wiedzieliśmy, że to ryzykowne, ale dla pewności, że nic nie pójdzie nie tak, postępowaliśmy według rygorystycznie określonych protokołów bezpieczeństwa. Zaczęłam pracować na Sidonie dwa lata temu jako analityk

niskopoziomowych systemów. Od początku podlegałam bezpośrednio doktorowi Qianowi, który kierował całym projektem.

– Ludzie bez przerwy używają słowa „geniusz” – powiedziała, nie starając się ukryć swojego podziwu. – Ale on naprawdę był geniuszem. Jego umysł, jego badania, sposób, w jaki myślał, wszystko to było na tak wysokim poziomie ponad nami wszystkimi, ponad całą resztą, że z trudem udawało nam się zaledwie mgliście to pojąć. Jak olbrzymia większość ludzi w bazie robiłam to, co kazał mi zrobić doktor Qian. Cokolwiek to było. W połowie wypadków nawet nie rozumiałam, dlaczego właściwie to robię.

– Dlaczego nie byłaś na Sidonie w chwili ataku? – zapytał Anderson, delikatnie kierując ją w stronę związanej z omawianą sprawą części opowieści.

– Parę miesięcy temu zauważyłam pewne zmiany w zachowaniu doktora Qiana. W laboratorium zaczął spędzać coraz więcej czasu. Zaczął pracować na obie zmiany. Prawie w ogóle nie spał. Ale bez przerwy miał zapas tej swojej desperackiej, gorączkowej energii.

– Był jakimś rodzajem maniaka?

– Nie sędzę. Nigdy wcześniej nie widziałam nic, co by na to wskazywało. Ale nagle zaczęliśmy składać przeróżne części nowego hardware’u w systemy. Kierunek naszych badań diametralnie się zmienił. Zupełnie porzuciliśmy konwencjonalne praktyki i zaczęliśmy postępować według nowych, skrajnie rewolucyjnych teorii. Używaliśmy prototypowej technologii i urządzeń, w nigdy dotąd niespotykany sposób.

– Najpierw pomyślałam, że doktor Qian dokonał jakiegoś wielkiego przełomu. Że doszedł do czegoś, co spowodowało, że w pewnym sensie eksplodował. Na początku to było bardzo radosne odczucie. Jego ekscytacja była zaraźliwa. Ale po pewnym czasie zrobiłam się bardziej podejrzliwa.

– Podejrzliwa?

– Trudno to wytłumaczyć. Coś zmieniło się w doktorze Qianie. On cały się odmienił. Pracowałam z nim przez prawie dwa lata. Przestał przypominać samego siebie. Widać było, że dzieje się coś bardzo złego. On nie zaczął po prostu ciężiej pracować. Raczej popadł w obsesję. Jakby coś z zewnątrz... nim sterowało.

– Można też było wyczuć, że coś ukrywa. Że ma jakiś sekret, którego nie chce zdradzić nikomu innemu z zespołu. Wcześniej, jeśli czegoś od ciebie potrzebował, wdawał się w przyprawiające o ból głowy szczegóły, tłumacząc ci, dlaczego twoja praca jest taka ważna. Powiedziałby ci, w jaki sposób wiązało się to z wszystkimi innymi aspektami projektu chociaż, jak sędzę, doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że nikt inny nie jest w stanie pojąć pełni złożoności rzeczy, nad którymi pracował.

– Ale w ciągu ostatnich miesięcy było inaczej. Przestał komunikować się z zespołem. Wydawał polecenia, ale ich nie tłumaczył. Zachowywał się, jak zupełnie inna osoba. Więc

zaczęłam kopać w bankach danych. Włamałam się nawet do zastrzeżonych dokumentów doktora Qiana, żeby zrozumieć, co się dzieje.

– Co zrobiłaś? – Anderson był wyraźnie zszokowany. – Nie wierzę ci... jak ci się udało to zrobić?

– Moją specjalnością jest szyfrowanie i algorytmy zabezpieczeń – powiedziała z małą nutką dumy w głosie. Potem zaczęła mówić jak ktoś, kto chce się przed czymś obronić. – Posłuchaj, wiem, że to było nielegalne. Wiem, że wystąpiłam przeciw swemu zwierzchnikowi, że sensie wojskowym było to pogwałcenie ciągłości łańcucha dowodzenia. Ale ciebie tam nie było. Nie możesz zrozumieć, jak dziwnie zaczął się zachowywać doktor Qian.

– I co udało ci się znaleźć?

– On nie tyle nadał naszemu projektowi zupełnie nowy kierunek. Nasze badania wyszły zupełnie poza planowany zakres. Wszystkie te nowe teorie, nowy sprzęt – wszystko to miało służyć przygotowaniu naszych sieci neuronowych do połączenia z jakimś rodzajem artefaktu obcego pochodzenia!

– I co z tego? – powiedział Anderson, wruszając ramionami. – Prawie wszystkie ważniejsze osiągnięcia, jakich dokonaliśmy w ciągu ostatniego dwudziestolecia są oparte na pochodzących od protean artefaktach. Na dodatek to nie dotyczy tylko nas – cała galaktyczna społeczność w ogóle nie zaistniałaby, gdyby nie kompatybilność technologii obcych sobie gatunków. Gdyby nie ona, wszystkie gatunki w obrębie Przestrzeni Cytadeli, wciąż tkwiłyby zamknięte wewnątrz swoich systemów słonecznych.

– To coś innego – nie dawała się przekonać. – Weźmy na przykład przekaźniki masy. Rozumiemy sposób ich działania tylko w ograniczonym zakresie. Wiemy, jak ich używać, ale nie pojmujemy ich w takim stopniu, żeby móc samodzielnie zbudować jeden z nich. Na Sidonie próbowaliśmy stworzyć sztuczną inteligencję, prawdopodobnie najbardziej niszczącą broń, jaką można rozprzestrzenić po całej galaktyce. A doktor Qian chciał wprowadzić do tego projektu element, który znajdował się nawet poza jego zakresem pojmowania świata.

Anderson pokiwał głową. Przypomniał sobie niesławny Projekt Manhattan z pierwszej połowy dwudziestego wieku, o którym na Akademii uczył się na zajęciach z historii. Pragnąc za wszelką cenę stworzyć broń atomową, pracujący nad projektem naukowcy, wystawili się w czasie eksperymentów na niebezpieczne dawki promieniowania. Dwóch spośród nich zmarło jeszcze w czasie powadzenia prac nad projektem. Wielu innych zachorowało na raka lub w inny sposób odczuło przykre, długofalowe skutki napromieniowania.

– My nie mieliśmy powtarzać błędów przeszłości – powiedziała Kahlee, nawet nie starając się ukryć zawodu, jaki odczuwała. – Myślałam, że doktor Qian jest o wiele mądrzejszy.

– Miałas zamiar zameldować dowództwu o jego przemianie i jej konsekwencjach, prawda?

Młoda kobieta powoli pokiwała głową.

- Chciałaś postąpić słusznie, Kahlee – powiedział, zauważając niepewność jej reakcji.
- Trudno mi w to uwierzyć, kiedy wszyscy moi przyjaciele zginęli.

Anderson nie miał wątpliwości – cierpiała na klasyczny przypadek poczucia winy ocalałej osoby. Ale chociaż było mu z tego powodu przykro, to wciąż potrzebował więcej informacji.

- Kahlee... musimy jeszcze w jakiś sposób dojść do tego, kto to zrobił. I dlaczego.

– Być może ktoś chciał powstrzymać doktora Qiana – podsunęła szeptem. – Może moje poszukiwania zaalarmowały jeszcze kogoś innego. Kogoś postawionego jeszcze wyżej. I ci na górze postanowili zamknąć projekt na dobre.

- Myślisz, że zrobił to ktoś z Przymierza? – Anderson aż osłupiał z przerażenia.

– Sama nie wiem, co mam myśleć! – zaczęła krzyczeć. – Wiem tylko, że jestem zmęczona, zastraszona i chcę tylko, żeby to wszystko się wreszcie skończyło!

Przez chwilę myślał, że znowu wybuchnie płaczem, ale tak się nie stało. Zamiast tego spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

– Więc, wciąż zamierzasz pomóc mi dojść do tego, kto za tym wszystkim stoi? Nawet, jeśli okaże się, że jest w to zamieszany ktoś z Przymierza?

– Jestem po twojej stronie – zapewnił ją Anderson. – Ale nie wierzę, żeby za tym stał ktoś z Przymierza. Jednak, jeśli okaże się, że jest inaczej, to zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby go dopaść.

- Wierzę ci – powiedziała po chwili milczenia. – I co teraz?

Była wobec niego zupełnie szczerą. Więc teraz on musiał odpłacić jej tym samym.

– Dowództwo Przymierza uważa, że temu, kto zaatakował bazę, tak naprawdę chodziło o doktora Qiana. Myślą, że być może on wciąż żyje.

- Ale w wiadomościach mówią, że nikt nie ocalał!

– Nie można być tego pewnym. Większość ciał wyparowała na miejscu.

– Ale dlaczego dopiero teraz? – zapytała Kahlee. – Prace w ramach tego projektu trwały od wielu lat.

– Może dopiero teraz się o tym dowiedzieli. Być może zaalarmował ich nagły zwrot w badaniach doktora Qiana. A może ma to jakiś związek z tym odkrytym przez niego artefaktem obcego pochodzenia.

- A być może to ja ich zmusiłam do wykonania tego ruchu.

Anderson nie zamierzał pozwolić jej podążyć tą drogą rozumowania.

– To nie jest twoja wina – powiedział, przechylając się do przodu i lekko ściskając jej rękę.
– To nie ty rozkazałaś zaatakować Sidon. To nie ty pomogłaś im obejść system zabezpieczeń bazy – wzięła głęboki oddech i wymówił ostatnie słowa powoli i z przekonaniem – Kahlee, nie jesteś za to odpowiedzialna.

Puścił jej dłoń i odsunął się.

– Chcę, żebyś pomogła mi dojść do tego, kto jest za to odpowiedzialny. Musimy ustalić, czy jeszcze ktoś inny wiedział o tym proteańskim artefakcie.

– To nie był wytwór Protean – poprawiła go. – A przynajmniej tak wynikało z notatek doktora Qiana.

– Więc czyj? Asari? Turian? Batarian?

– Nie. Nie został wytworzony przez żaden z tych gatunków. Prawdę mówiąc sam Qian nie wiedział, co to dokładnie było. Wiedział tylko, że było stare. Mogło nawet pochodzić z czasów poprzedzających protean.

– Z czasów poprzedzających protean? – powtórzył Anderson, chcąc upewnić się, że dobrze usłyszał.

– Tak przynajmniej uważał doktor Qian – powiedziała, wzruszając ramionami.

– Gdzie to znalazł? I gdzie to jest teraz?

– Nie sądzę, żeby to kiedykolwiek było na terenie bazy. Doktor Qian nie przywiózłby tam tego aż do chwili, w której mógłby w pełni zintegrować to z resztą projektu.

– A mógł to znaleźć gdziekolwiek – przyznała po chwili zastanowienia. – Co parę miesięcy opuszczała bazę na tydzień albo dwa. Zawsze uważałam, że w czasie tych wyjazdów składa w Dowództwie Przymierza raporty o stanie badań, ale teraz już wcale nie jestem pewna, czy w tym czasie nie robił czegoś innego. W czasie swoich nieobecności, mógł być przecież gdziekolwiek indziej.

– Ale ktoś spoza bazy musiał przecież o tym wiedzieć – naciskał Anderson. – Powiedziałaś, że doktor Qian się zmienił, że nadał waszym badaniom zupełnie inny kierunek. Czy był ktoś, kto chociaż nie był osobiście zaangażowany w wasze prace badawcze, to mógł jednak zauważyć, że dzieje się coś niezwykłego?

– Nic mi jakoś... czekaj! Sprzęt komputerowy do naszych nowych badań! Wszystkie te urządzenia pochodziły od jednego dostawcy z Camali!

– Z Camali? Wasz dostawca był batarianinem?

– Nigdy nie kontaktowaliśmy się z nim bezpośrednio – wytłumaczyła, mówiąc bardzo szybko. – Podejrzone transakcje sprzętem komputerowym są monitorowane na terenie całej Przestrzeni Cytadeli i natychmiast donosi się o nich Radzie. Od chwili rozpoczęcia prac w ramach tego projektu, skorzystaliśmy z usług setek podstawionych firm, na których konto składaliśmy pojedyncze zamówienia.

Zamówienia zbyt małe, żeby przyciągnąć czyjąś uwagę. Konfigurowaliśmy sprzęt na miejscu, w bazie, i integrowaliśmy go z istniejącą infrastrukturą naszego hardware'u.

– Doktor Qian chciał uniknąć problemów z kompatybilnością wewnątrz sieci neuronowych, więc zadaliśmy o to, żeby prawie cały sprzęt pochodził od jednego dostawcy. Firma nazywa się Dah'tan, to chyba nazwa fabryki.

W jakiś zagmatwany sposób wszystko to zaczynało dla Andersona nabierać sensu. Biorąc pod uwagę obecne napięcie w stosunkach między ludźmi a batarianami, nikt nigdy nie podejrzewałby, że główny dostawca tajnej placówki badawczej Przymierza mógłby mieć siedzibę na Camali.

– Jeśli ktoś ze strony dostawcy zauważyłby określony, powtarzający się porządek naszych zamówień – kontynuowała Kahlee. – To mógłby w końcu domyślić się, czym się zajmujemy.

– Kiedy tylko Grissom pomoże nam wydostać się z tej planety – zadeklarował Anderson – to złożymy małą wizytę w fabryce Dah'tan.

.13.

W ciemnościach bezksiężycowej, elizejskiej nocy, Saren szedł w stronę pozostawionego przy drodze pojazdu. Wiedział, że ludzie, z którymi rozmawiał w tamtym domu coś przed nim zataili. W bazie na Sidonie działo się coś więcej, niż byli skłonni przyznać.

Jako agent WiDMO miał prawo wydobyć informacje przy użyciu siły z każdego, nawet z żołnierzy Przymierza. Ale posiadanie tego prawa i rzeczywista zdolność uczynienia tego, co teoretycznie wolno było mu zrobić, to dwie zupełnie różne rzeczy.

Elizjum było światem Przymierza. Nie miał pojęcia, czy któryś z sąsiadów Grissoma nie zawiadomił policji lub innych tutejszych władz porządkowych po strzelaninie ze Skarrem. Nie było to zbyt prawdopodobne – dom stał osobno i był bardzo oddalony od najbliższych posiadłości. Ale Saren nie mógł podejmować tego ryzyka. Jeśli miejscowe władze Przymierza odkryłyby turianina, brutalnie torturującego dwoje ich żołnierzy, jego status nietykalnego Widma niewiele by mu pomógł.

Poza tym, to przecież nie o nich mu chodziło. Ci ludzie nie mieli istotnego znaczenia w prowadzonym przez niego śledztwie. Prawdopodobnie wiedzieli coś na temat tego, dlaczego Skarr został wysłany, żeby ich wytropić, jednak turianin szczerze wątpił, żeby mieli jakiegokolwiek pojęcie o tym, kto wynajął łowcę nagród.

Najważniejszy był więc kroganin. Był kluczem. Saren bez większego trudu podążył jego tropem na Elizjum. Teraz musiał po prostu znów złapać jego ślad. Pogranicze było dzikim rejonem Przestrzeni Cytadeli, ale nawet tutaj prawie niemożliwe było, niezwracające niczyjej uwagi podróżowanie pomiędzy poszczególnymi światami. Mniejsze statki teoretycznie, mogły co prawda wylądować w dowolnym miejscu każdej zamieszkaney planety. Ale na każdym ze skolonizowanych światów natychmiast wykryto by każdą jednostkę, która wylądowałaby poza obszarem któregoś z portów kosmicznych. Natychmiast pojawiłoby się wojsko postawione w stan pełnej gotowości bojowej, z zamiarem aresztowania wszystkich, którzy znajdowałiby się na pokładzie nielegalnego przybysza... oczywiście pod warunkiem, że wcześniej po prostu nie zestrzeliliby pirackiego okrętu z nieba.

A to oznaczało, że Skarr musiał skorzystać, z któregoś z kosmicznych portów. Nawet, jeśli jakimś cudem, udałooby mu się prześlizgnąć przez rygorystycznie teraz przestrzegane odprawy graniczne, to i tak niespecjalnie mógł wtopić się w tłum. Jako Widmo, Saren miał oczy i uszy praktycznie na wszystkich rozrzuconych w przestrzeni Skylliańskiego Pogranicza światach. Dokądkolwiek, uda się stąd łowca nagród, to tak, któryś z informatorów Sarena na pewno go zauważy.

Mógłby po prostu wydać rozkaz aresztowania Skarra, jednak szczerze wątpił, żeby kroganin dałby pojmać się żywcem. Jeśli zginąłby na którejś z planet w zwykłej strzelaninie z policją, to w żaden sposób nie przybliżyłoby Sarena do tego, kto stał za atakiem na Sidon. Nie, lepiej będzie po prostu znowu go odnaleźć i podążyć za nim, tak, jak zrobił to na Elizjum. Być może w końcu kroganin doprowadzi go prosto do swojego pracodawcy.

* * *

Edan Had'dah znowu musiał spędzić noc we wnętrzu tego odrażającego magazynu na peryferiach Hatre. Znowu siedział na tym niewygodnym krześle, czekając na przybycie Skarra. I znowu był w towarzystwie swojej przybocznej gwardii. Tych samych najemników Błękitnych Słońc, którzy towarzyszyli mu w czasie pierwszego spotkania z kroganinem. A dokładnie mówiąc, w towarzystwie tych, którzy je przeżyli.

Ale tym razem, Edan wiedział, że ma przewagę. Kahlee Sanders wciąż żyła. Zapłacił łowcy nagród naprawdę duże pieniądze, a Skarr sfuszerował robotę. Tym razem, przysięgł sobie Edan, to on będzie dyktował warunki ich spotkania.

Magazyn był pełen olbrzymich skrzyń i kontenerów, służących do przewozu towarów na pokładach międzygwiazdnych frachtowców. W głębi pomieszczenia wygospodarowano niewielką przestrzeń, w której Edan mógł prowadzić swoje interesy. Z tego miejsca zwykle trudno byłoby usłyszeć, gdyby ktoś zajechał pod frontowe drzwi budynku. Ale to głośnie łomotanie nie pozostawiało żadnych wątpliwości – kroganin przybył na spotkanie.

– Upewnijcie się, że nie będzie miał przy sobie broni – zawołał Edan do dwóch batariańskich najemników, którzy ruszyli po nowoprzybyłego. – Żadnej! – dodał pracodawca, z żywą wyrazistością przypominając sobie nóż, ostatnio przemycony przez Skarra.

Od drzwi dobiegały odgłosy głośnie kłótni. Chociaż nie mógł wyraźnie usłyszeć wypowiedzianych przy wejściu słów, to jednak bez trudu rozpoznał basowe tony głosu kroganina, przypominającego grzmoty odległej burzy. Po minucie jeden z batarian wrócił samotnie.

– Kroganin nie chce oddać swojej broni – zameldował.

– Co? – zapytał Edan, zaskoczony.

– Nie chce oddać swojej broni. I ma na sobie pełny pancerz.
– Nie spotkam się z nim, jeśli jest uzbrojony – przyrzekł sobie Edan.
– Właśnie to mu powiedziałem – odparł najemnik, przechylając głowę na lewo w błagalnym geście. – A on się tylko zaśmiał. Powiedział, że z radością stąd odejdzie, uznając wasze interesy za zakończone.

Edan zaklął pod nosem. Kroganin otrzymał całą zapłatę z góry. W normalnych warunkach batarianin nigdy nie zgodziłby się na coś takiego, ale jeśli się miało do czynienia z osobnikiem o takiej reputacji, jak Skarr, trzeba było sobie pozwolić na wyjątek od reguły.

– Pozwólcie mu zatrzymać przy sobie broń – uległ w końcu. – I przyprowadźcie go tu pod eskortą.

– Czy to rozsądne w wypadku tego kroganina?

– Powiedz swoim ludziom, że tym razem mogą go zabić, jeśli tylko spróbuje zrobić coś niewłaściwego. I upewnij się, że ten łowca nagród będzie słyszał, jak to mówisz.

Najemnik uśmiechnął się, ciesząc się z szansy rewanzu i z powrotem odszedł w kierunku drzwi. Wrócił, najwyraźniej czymś zdenerwowany, w towarzystwie łowcy nagród. Edan nigdy dotąd nie widział krogańskiego Wodza-w-Boju w pełnym, bitewnym pancerzu. To był przerażający widok, jakby w jego stronę nadjeżdżał żywy czołg. Jedyne, co mógł w tej chwili zrobić, to z trudem powstrzymać się przed daniem kroku do tyłu.

Skarr nie trzymał broni w rękach, cały jego arsenał był umocowany do jego pancerza: dwa pistolety na każdym z bioder, składany karabin szturmowy i potężny obrzyn wisały mu na plecach. Jego pancerz miał na piersiach kilka niewielkich dziurek, otoczonych wyblakłą już teraz krwią, której zaschłe strugi plamiły powierzchnię pancerza pod ranami, stanowiąc nieme świadectwo boju, jaki stoczył na Elizjum.

Błękitne Słońca uważnie mu się przyglądały. Lufy dziewięciu karabinów szturmowych bacznie śledziły każdy jego krok. Kroganin najwyraźniej, w ogóle się tym nie przejmował; spojrzenie jego oczu bez przerwy utkwione było w tym, który go wynajął. Zbliżał się do niego długimi, ciężkimi krokami, nieubłagane *klamp-klamp-klamp* jego stąpanie było w tym momencie jedynym dźwiękiem rozlegającym się we wnętrzu magazynu. Przez krótką chwilę Edan myślał, że olbrzym się nie zatrzyma – że będzie szedł dalej, miażdżąc pod stopami wątłe ciało batarianina, jego ciało. Jednak zatrzymał się w odległości niecałego metra. Teraz wyraźnie słychać było jego gniewny, chrapliwy oddech.

– Nie wykonałeś zadania – powiedział Edan. Miał zamiar wypowiedzieć te słowa ze zjadliwością pogardliwego oskarżenia, ale kiedy tak stał w masywnym cieniu tego ogromnego mordercy, w jego głosie nie pojawił się ani ślad zamierzonej brawury.

– A ty nie powiedziałeś mi, że będę miał do czynienia z Widmami! – odwarknął Skarr.

– Z Widmami? – Edan zapytał ze zdziwieniem w głosie. – Jesteś pewien?

– Rozpoznam Widmo, kiedy je zobaczę! – ryknął Skarr. – A zwłaszcza tego turiańskiego gnoja!

Kąciki ust Edana opadły w dół, dając wyraz jego niezadowoleniu, jednak nic nie powiedział. To nie wyglądało dobrze. Wiedział, że Skarr mówi o Sarenie. Ten turianin miał najgorszą reputację ze wszystkich Widm na całym Pograniczu. Był znany z trzech rzeczy. Swojego okrucieństwa, swojej niezachwianej lojalności wobec Rady i ze swojej skuteczności.

– Mam zwyczaj nigdy nie podejmować się spraw, w które, w jakiś sposób zaangażowane są Widma – powiedział Skarr głosem, który zniżył się do posępnego warkotu. – Doskonale zdawałeś sobie z tego sprawę. Oszukałeś mnie, batarianinie.

– Moi strażnicy zaczną do ciebie strzelać, jeśli zrobisz jeden nieostrożny ruch – pospiesznie powiedział Edan, wyczuwając ukrytą groźbę. – Możesz mnie zabić, ale wtedy sam nie wyjdiesz stąd żywy.

Kroganin rozejrzał się, obracając swoją wielką głową dookoła. Przyjrzał się uważnie uzbrojonym najemnikom i ocenił swoje szanse. Widać doszedł do wniosku, że tej bitwy nawet jemu nie uda się wygrać, bo powoli odsunął się o krok dalej od Edana.

– Wygląda na to, że siedzimy w tym razem – prychnął. – Ale będziesz musiał zapłacić mi dwa razy więcej.

Edan zamrugał ze zdziwienia. Nie w tę stronę miały pójść negocjacje według jego oczekiwań.

– Nie możesz się targować, ponieważ straciłeś przewagę profesjonalisty – wytknął. – Nie wykonałeś zlecenia. Jeśli w ogóle mielibyśmy o czymś mówić, to ja powinienem cię poprosić o zwrot części twojego honorarium. Albo po prostu rozkazać moim ludziom wyeliminować cię w tej chwili.

Skarr wybuchnął głośnym, tubalnym śmiechem i powiedział:

– Masz rację, Sanders wciąż żyje. Prawdopodobnie właśnie, w tej chwili rozmawia z Sarenem, mówiąc mu wszystko, co wie. Jak myślisz, ile czasu musi minąć, zanim on zorientuje się, że ty stoisz za tym wszystkim? Ile czasu musi minąć, zanim pokaże się na Camali?

Batarianin nie odpowiedział na żadne z dwóch pytań.

– Prędej czy później to Widmo wpadnie na twój trop – ostrzegł łowca nagród, ciągnąc dalej swój wywód. – A kiedy już cię namierzy, to będziesz miał szansę przeżyć spotkanie z nim tylko pod warunkiem, że będziesz miał u swojego boku mnie.

Edan złożył swoje dłonie razem, formując z nich pięciopalczystą iglicę. Robił tak wtedy, kiedy intensywnie o czymś myślał. Kroganin miał rację, teraz potrzebował jego pomocy bardziej, niż kiedykolwiek. Ale nie miał zamiaru przyznawać się do kolejnej porażki.

– A więc dobrze – jednak dał za wygraną. – Podwoję twoją zapłatę. Ale w zamian za to będziesz musiał coś dla mnie zrobić.

Skarr nie powiedział ani słowa. Po prostu czekał na dalszy ciąg wypowiedzi batarianina.

– Nigdy nie byłem na Sidonie – wyjaśnił Edan. – Sanders nic nie wie na temat mojej tożsamości. Po zniszczeniu wszystkich znajdujących się na terenie bazy danych, pozostała tylko jedna nić łącząca mnie z tym atakiem: camalijski dostawca doktora Qiana.

– Wytwórnia Dah'tan – Skarr odezwał się po trwającym krótką chwilę wahaniu, w czasie którego poskładał w całość pasujące do siebie kawałki układanki. Po raz kolejny Edan był pod wrażeniem prędkości, z jaką działał umysł tego kroganina. – Czy Sanders wie o tym dostawcy?

– Trudno powiedzieć – przyznał Edan. – Ale jeśli tylko o tym wspomni, to to Widmo natychmiast uda się do tamtej fabryki. Nie zamierzam podejmować tego ryzyka.

– Czego więc ode mnie chcesz?

– Rozkazuję ci wrócić na tę planetę, żebyś mógł zmasać z jej powierzchni Wytwórnię Dah'tan. Masz zlikwidować cały personel, całą ich księgowość i wszystkie dokumenty. Zrównaj to z powierzchnią ziemi. Niech po tej fabryce nie zostanie dosłownie nic. Nic.

– Tylko po to kazałeś mi wrócić? – odwrętnął Skarr. – Naprawdę jesteś aż tak głupi? Saren na pewno kazał mi obserwować swoim ludzom. Prawdopodobnie jest już w drodze tutaj i stara się mnie dokładnie namierzyć. Jeśli zaatakujemy Dah'tan, to pojawi się tam w ciągu godziny. W ten sposób praktycznie sam go doprowadzisz do swojego dostawcy!

– Przecież mógł się dowiedzieć o Dah'tan od Sanders – sprzeciwił się Edan. Tym razem nie zamierzał się wycofywać. Miał już dość ciągłego tracenia twarzy wobec tego bydlaka. – Możesz tam wejść, wykonać swoją robotę i zniknąć, zanim Saren w ogóle pojawi się na tej planecie – nalegał. – A kiedy dotrze do Dah'tan, wszystkie dowody zostaną zniszczone, a ciebie i moich ludzi dawno już tam nie będzie. I nie znajdzie nic, co mogłoby nas obciążyć. Po prostu będziecie musieli pracować szybko.

– Właśnie przez zbytni pośpiech popełnia się najwięcej błędów – nie zgodził się łowca nagród. – Nie lubię takich niechlujnych zadań. Powiedz swoim ludzom, żeby zrobili to beze mnie.

– To nie podlega negocjacom! – wrzasnął Edan, w końcu tracąc panowanie nad sobą. – Wynająłem cię, żebyś kogoś zabił! Nawaliłeś! Żądam czegoś za pieniądze, które ci płacę!

Skarr z niedowierzaniem potrząsnął głową.

– Wiesz, że popełniłeś błąd, sprowadzając mnie tu z powrotem tylko po to, żeby mi to powiedzieć. Myślałem, że jesteś na tyle inteligentny, żeby nie kierować się w interesach swoją dumą i urażoną ambicją.

– A więc się myliłeś – odparł Edan, już spokojniejszym tonem. Teraz jego głos był zimny jak lód. To było coś więcej, niż zwykła duma. W batariańskiej kulturze przykładano się niezwykłą wagę do kastowej hierarchii społeczeństwa. On był osobą o wysokiej pozycji społecznej. Gdyby po prostu wybaczył kroganinowi jego niepowodzenie, oznaczałoby to z jego strony potwierdzenie faktu, że są sobie równi... a tego nie zamierzał robić w żadnym razie.

Kroganin jeszcze raz dokładnie przyjrzał się rozstawionym we wnętrzu magazynu najemnikom, którzy mierzyli do niego gotowymi do strzału karabinami.

– Fabryka Dah'tan jest dobrze strzeżona – powiedział w końcu. – W jaki sposób, w ogóle dostaniemy się do środka?

– Niektórzy ich pracownicy figurują na mojej liście płac – odpowiedział Edan z wyczuwalną odrobiną samozadowolenia w głosie. W końcu udało mu się zapędzić Skarra do narożnika. Teraz układali się na warunkach określonych przez niego.

– Naprawdę uważasz, że ci *hrakhors* są na tyle dobrzy, żeby poradzić sobie z tą robotą? – zapytał łowca nagród, podejmując ostatnią próbę wyjścia z narożnika ringu, tego ambicjonalnego pojedynku.

– Skoro byli na tyle dobrzy, żeby poradzić sobie z żołnierzami Przymierza na Sidonie...

– Ale przecież tam spieprzyli sprawę! – sprzeciwił się Skarr.

– Dlatego właśnie tym razem posyłam z nimi ciebie – z radością oznajmił Edan.

* * *

Anderson wyciągnął swój wojskowy identyfikator i przyłożył kciuk do ekranu przenośnego skanera trzymanego przez strażnika Przymierza obsługującego bramkę przejścia granicznego. Młody człowiek, który w energicznym podskoku stanął na baczność, kiedy się do niego zbliżali, spojrzął na ekran komputera, żeby potwierdzić prawidłowość odczytu.

– Sir. – Strażnik potwierdził zgodność lakonicznym skinieniem głowy i oddał mu identyfikator. Porucznik z całych sił starał się nie powstrzymywać oddechu, kiedy Kahlee umieściła swój kciuk na ekranie skanera, podając swój sfałszowany identyfikator i optyczną dyskietkę zawierającą także podrobione rozkazy wyjazdu, które kupili wcześniej tego samego dnia.

Człowiek, który je sfabrykował, pojawił się w domu wcześniej rano, w niecałe dziesięć minut po telefonie Grissoma. Był młody – zdaniem Andersona, miał co najwyżej dwadzieścia lat. Ubrany był w sfatygowane, cywilne ciuchy. Miał czarne, długie i tłuste włosy. Jego twarz pokryta była czarnym meszkiem, który prawdopodobnie nazywał brodą. Wyglądał, jakby nie

brał prysznic, od co najmniej tygodnia. Admirał nie powiedział, kim jest ten młody mężczyzna. Nie powiedział też, skąd go zna.

– On jest profesjonalistą – powiedział tylko Andersonowi. – Pracuje szybko i w żadnym razie was nie zakabluje.

Zaraz po przybyciu, dzieciak z nieskrywanym zdziwieniem spojrzął na rozbite okna, połamane meble i dziurę wypaloną w trawie, w miejscu, gdzie trafiła wiązka wystrzelonych z obrzyna naboju, która miała pozbawić kroganina głowy. Jednak o nic ich nie zapytał. A w każdym razie, nie o żadną z tych rzeczy.

– Czego potrzebujecie? – to jedyne, co powiedział po wejściu do środka, stawiając na kuchennym stole niepozorną walizkę, którą ze sobą przyniósł.

– Czegoś, co pozwoli im się dostać do zastrzeżonych części ładunkowych portu – odpowiedział na to pytanie Grissom. – I jeszcze jakiegoś przebrania i nowego identyfikatora dla Kahlee. Muszą wylecieć dzisiaj.

– Za ekspresowe terminy pobieram dodatkową opłatę – ostrzegł.

Grissom tylko pokiwał głową i powiedział:

– Zapłacę w ten sam sposób, co zwykle.

Młody człowiek otworzył swoją walizkę, która zawierała mnóstwo różnego rodzaju narzędzi, urządzeń i tak dziwnych gadżetów, że Anderson nawet nie próbował odgadnąć, do czego służą. Używając części z nich, w ciągu pół godziny stworzył wyświetlające się na ekranie pozaobrazowe informacje z odpowiednimi zezwoleniami. W ciągu następnych dwudziestu minut zakodował nowe dane Kahlee do jej wojskowego identyfikatora – według nich była kapral Suzanne Weathers.

– To nie zadziała – ostrzegł Anderson. – Nie mają w swoim systemie żadnych danych na temat kapral Weathers.

– Będą je mieli w dwadzieścia minut po tym, jak stąd wyjdę – chłopak zapewnił ich z pyszałkowatym uśmiechem na twarzy. – Po prostu, dodam kapral Weathers do systemu. Potem odwzoruję wszystkie dane Kahlee i zablokuję w systemie dostęp do nich. Kiedy zeskanują jej kciuk, na ich ekranach pojawi się Weathers, a nie Sanders.

– Masz dostęp do bazy danych Przymierza? – z niedowierzaniem zapytał Anderson.

– Tylko do portowych baz danych. W żadnym razie, nie próbujcie używać tego identyfikatora, kiedy opuścicie Elizjum.

– Nie sądziłem, że można infiltrować systemy komputerowe Przymierza – powiedział Anderson, zarzucając przynętę, żeby złowić informację.

– Na pewno można zaufać temu gościowi? – dzieciak zapytał Grissoma.

To zabawne, pomyślał Anderson. Mam co do ciebie te same wątpliwości.

– Przynajmniej dzisiaj – odparł Grissom. – Niemniej, kiedy zobaczysz go następnym razem, być może będziesz chciał się odwrócić i odejść w inną stronę.

– Przymierze stosuje solidne zabezpieczenia – przyznał młody człowiek. Mówił nonszalanckim, swobodnym głosem, chociaż ani na chwilę nie przerywał pracy. – Trudno jest dostać się do środka, ale nie jest to niemożliwe.

– A jak sobie radzisz z czystkami? – zapytała Kahlee. Anderson spojrzał na nią pytająco, więc wytłumaczyła mu, czym są czystki. – Co dziesięć godzin, Przymierze przeprowadza pełny przegląd swoich systemów, żeby namierzyć i poddać kwarantannie wszystkie przychodzące dane. Dzięki temu mogą zidentyfikować nielegalne dane i podążyć ich tropem aż do źródła.

– Przed załadowaniem do systemu umieściłem w wiązce danych mały, autoregresywny algorytm – wyjaśnił młodzieniec, bezwstydnie się przechwalając. – Taki drobiazg mojego pomysłu. W chwili, kiedy będą dokonywać przeglądu, twoje dane z powrotem wrócą na swoje miejsce, a wszelki ślad po kapral Weathers i tych lewych rozkazach zaginie raz na zawsze. Nie będą w stanie namierzyć czegoś, czego nie będzie w systemie.

Kahlee z uznaniem pokiwała głową, fałszerz puścił do niej oko i posłał jej pożądlivy uśmiezek, w wyniku czego, pięści Andersona mimowolnie się zacisnęły. To nie była zazdrość. Chociaż tak to wyglądało. Był teraz odpowiedzialny za Kahlee. To naturalne, że instynktownie chciał się nią opiekować. Ale musiał uważać, żeby nie przesadzić ze swoją troskliwością.

Na szczęście nikt niczego nie zauważył. Wszyscy skupiali uwagę na młodym człowieku i jego pracy.

– Mogą mieć też twój fizyczny opis, list gończy, czy coś w tym rodzaju – ostrzegł Kahlee. – Lepiej zmieńmy twój wygląd, tak na wszelki wypadek.

Cyfrowo przetworzył fotografię Kahlee w jej identyfikatorze. Skrócił i przyciemnił jej włosy, zmienił kolor oczu i skóry. Potem kazał jej połknąć garść pigułek zmieniających pigmentację skóry. Nałożył jej soczewki kontaktowe, ufarbował włosy i za pomocą nożyczek upodobił jej fryzurę do tej, którą widać było na podretuszowanym zdjęciu. Zdaniem Andersona trochę za bardzo mu się to podobało, przez parę minut wmasowywał farbę w jej włosy, a potem długo zwlekał ze ścinaniem, trzymając jej śliczne loki w ręku.

Kiedy wreszcie skończył z jej włosami, skóra Kahlee była już prawie tak ciemna jak Andersona. Dzieciak stanął na wprost Kahlee i trzymając obok jej twarzy wydruk jej zdjęcia z identyfikatora, porównywał zgodność kopii z oryginałem.

– Całkiem niezłe – orzekł z uznaniem, chociaż nie do końca wiadomo było, czy mówi o efekcie swojej pracy, czy o samej Kahlee.

– Twoja skóra już jutro zacznie się rozjaśniać – powiedział, podając jej „odświeżoną” kartę identyfikacyjną Przymierza. – Więc bądź ostrożna. Nie będziesz już pasować do zdjęcia.

– To już nie będzie miało znaczenia – stwierdziła, wzruszając ramionami. – Kapral Weathers nie będzie już wtedy istnieć w systemie, prawda?

Nie odpowiedział, tylko znów mrugnął do niej, a jego palce znacząco dotknęły jej dłoni, kiedy odbierała od niego identyfikator. Anderson musiał się powstrzymać, żeby nie walnąć tego mydłka prosto w pysk. *Ona nie jest twoją żoną*, zwrócił się w myślach do siebie. *Pomaganie jej nie nadrobi ośmiu lat zaniedbywania Cyntii.*

Kiedy wszystko, co trzeba było zrobić i powiedzieć, zostało już zrobione i powiedziane, porucznik musiał jednak przyznać, że dzieciak wykonał kawał dobrej, fałszerskiej roboty. Przeszedł specjalne szkolenie, które miało go nauczyć rozpoznawać fałszywe dokumenty i chociaż wiedział, że te, które ma przed sobą są podrobione, to i tak nie potrafiłby ich odróżnić od oryginałów.

Jednak prawdziwym testem skuteczności działania fałszerza była ta chwila:

odczyt linii papilarnych jej kciuka na skanerze odprawy granicznej.

– Dziękuję bardzo, kapral Weathers – powiedział strażnik, oddając Kahlee przerobiony identyfikator, po sprawdzeniu na ekranie jej tożsamości. – Muszą państwo iść do zatoki trzydziestej drugiej. To na samym końcu portu.

– Dziękujemy – z miłym uśmiechem odpowiedziała Kahlee. Strażnik skinął głową, niedbale zasalutował Andersonowi i usiadł, wracając do papierkowej roboty, którą zajmował się przedtem. Odwrócili się i odeszli.

– Obróć się i sprawdź, czy wciąż nas obserwuje – szepnął Anderson, kiedy oddalili się na tyle, że strażnik nie mógł już ich usłyszeć. Wciąż kierowali się w stronę wskazanej zatoki numer trzydzieści dwa, ale oczywiście tak naprawdę mieli się udać gdzie indziej.

Kahlee obejrzała się, nieśmiało spoglądając przez ramię. Gdyby strażnik jeszcze na nich patrzył, pewnie pomyślałby, że wydał się jej się na tyle atrakcyjny, żeby zaszczyliła go jeszcze jednym, pożegnalnym spojrzeniem. Jednak całą jego uwagę skupiał stojący na jego biurku ekran i klawiatura, w którą stukał jak wzór młodego urzędnika.

– Droga wolna – powiedziała Kahlee.

– To tutaj – powiedział Anderson, i skręcając ostro w stronę wejścia do zatoki numer siedemnaście, pociągnął ją za sobą.

W zatoce stał stary handlowy frachtowiec, wózek załadunkowy i mnóstwo okazałych skrzyń. Na pierwszy rzut oka wyglądało na to, że w zatoce nikogo nie ma. Dopiero po chwili, zza burty statku wyszedł niski, mocno zbudowany mężczyzna.

– Mieliście jakieś problemy ze strażnikiem? – zapytał.

Kahlee potrząsnęła głową.

– Wie pan, dlaczego tu jesteśmy? – zapytał Anderson. Nawet nie zadawał sobie trudu pytania mężczyzny o nazwisko – wiedział, że i tak nie usłyszałby szczerzej odpowiedzi.

– Grissom wprowadził mnie w temat.

– Skąd pan zna mojego ojca? – z ciekawości spytała Kahlee.

Przez dłuższą chwilę uważnie jej się przyglądał, a potem powiedział:

– Gdyby chciał, żebyś to wiedziała, to prawdopodobnie sam by ci powiedział. Odlatujemy za parę godzin. Chodźcie za mną – dodał odwracając się.

Większość wnętrza statku wypełniały różne towary. Ledwo znaleźli miejsce, w którym w miarę swobodnie mogli przysiąść, ale nic nie mogli na to poradzić. Po wprowadzeniu ich na pokład mężczyzna zamknął szczelnie drzwi, zostawiając ich w kompletnej ciemności.

Kahlee siedziała tuż obok niego, ale w tej ciemności Anderson, nie mógłby nawet, w razie potrzeby podać jej chusteczki. Czuł za to jej udo przyciskające się do jego nogi – po prostu nie było dość miejsca, by mogli siedzieć dalej od siebie. Ta bliskość była bardzo niepokojąca. Nie był z żadną kobietą, od chwili orzeczenia separacji między nim a Cyntią.

– Niespecjalnie się cieszę na te najbliższe sześć godzin – powiedział, próbując rozproszyć te niewłaściwe myśli za pomocą rozmowy. Chociaż mówił półgłosem, jego słowa zabrzmiały w tej smolistej ciemności nienaturalnie głośno.

– Bardziej martwi mnie to, co zrobimy, kiedy dotrzemy na Camalę – odparła Kahlee, jako pozbawiony ciała głos z mroku.

– Ci z Dah'tan raczej nie będą chcieli ot tak sobie udostępnić nam swoich dokumentów.

– Ciągłe nad tym pracuję – przyznał Anderson. – Mam nadzieję, że w czasie tej podróży przyjdzie mi do głowy jakiś sensowny plan.

– Będziemy mieli mnóstwo czasu na myślenie – stwierdziła Kahlee. – Tu nie ma nawet dość miejsca, żeby się położyć i przespać.

Po paru minutach milczenia, Kahlee odezwała się, niespodziewanie zmieniając temat rozmowy.

– Przed śmiercią mojej matki obiecałam jej, że nigdy więcej nie odezwę się do mojego ojca.

Andersona na chwilę wytrąciło z równowagi to osobiste wyznanie, ale szybko się z tego otrząsnął.

– Myślę, że by cię teraz zrozumiała.

– To musiał być dla ciebie prawdziwy szok – ciągnęła dalej. – Kiedy zobaczyłeś najślawniejszego żołnierza Przymierza w takim stanie.

– Trochę mnie to zaskoczyło – przyznał. – Kiedy studiowałem na Akademii, twój ojciec był zawsze przedstawiany jako wcielenie wszystkiego, na czym Przymierze opiera swoją siłę: odwagi, determinacji, samopoświęcenia i honoru. Więc trochę dziwne wydaje mi się to, że taki człowiek zna ludzi tego rodzaju, którzy mogą nas w ten sposób wywieźć z tej planety.

– Jesteś rozczarowany? – zapytała. – Ponieważ dowiedziałeś się, że wielki Jon Grissom zadaje się z fałszerzami i przemytnikami?

– Biorąc pod uwagę sytuację, w jakiej się znaleźliśmy, byłbym hipokrytą, gdybym powiedział tak – zażartował. Kahlee się nie zaśmiała.

– Kiedy przez tak długi czas słuchasz podobnych opinii o jakimś człowieku, to zakładasz, że go znasz – powiedział poważniejszym tonem. – Wtedy łatwo jest pomylić czyjąś reputację z nim samym. I kiedy w rzeczywistości spotkasz tę osobę, orientujesz się, że tak naprawdę nigdy, w ogóle jej nie znałeś.

– Taaak – powiedziała Kahlee, zamyślając się nad czymś głęboko. A potem przez długi, długi czas się nie odzywali.

.14.

Jella pracowała w dziale kadr i księgowości Wytwórni Dah'tan od czterech lat. Była wzorowym pracownikiem. Świetnie zorganizowanym, odpowiedzialnym i skrupulatnym – miała wszystkie idealne cechy dla kogoś na jej stanowisku. Jej pracę oceniano zwykle powyżej przeciętnej, a nawet uznawano ją za „doskonałą”. Jednak zgodnie z warunkami określonymi w umowie o pracę, była członkiem „personelu pomocniczego”. Najwyraźniej nie była dla swojej firmy osobą niezbędną. Na samym szczycie pracowniczej hierarchii stali projektanci sprzętu. Wprowadzane przez nich innowacje najsilniej napędzały popyt na produkowane w fabryce urządzenia. Pracownicy działu produkcji, fizycznie tworzyli produkty wytwórni. A ona jedynie równoważyła statystykę sprzedaży z inwentaryzacją zasobów.

Dla wszystkich członków zarządu była jedynie wymienialnym pionkiem... i jej płaca to odzwierciedlała. Jella pracowała równie ciężko, jak wszyscy inni, ale płacono jej drobną część tego, co dostawali projektanci i bezpośredni wytwórcy. To nie było w porządku. Dlatego właśnie nie czuła wyrzutów sumienia, kiedy okradała swoją firmę.

Na dodatek, przecież nie sprzedawała najważniejszych tajemnic swoich pracodawców. Nigdy nie zrobiła w tym względzie nic na tyle poważnego, żeby przyciągnąć czyjąś uwagę. Ściągała jedynie małe kropelki z przelewającego się, firmowego wiadra. Czasem zmieniała po prostu polecenia sprzedaży, czy dokonywała drobnych zmian w księgach inwentaryzacyjnych. Zdarzało jej się również zadbać o to, by część zapasów sprzętu została na noc w magazynie nie zarejestrowana i niezabezpieczona. Następnego dnia rano okazywało się, że w tajemniczy sposób zniknęła. Zabrana przez kogoś z opłacanych przez zleceniodawcę pracowników magazynu.

Jella nigdy nie miała pojęcia, kto konkretnie zabrał brakujący sprzęt, podobnie jak nie miała pojęcia, kto stał za tymi kradzieżami. I to jej jak najbardziej odpowiadało. Raz czy dwa razy w miesiącu odbierała w swoim biurze anonimowy telefon, potem robiła to, o co ją poproszono i w ciągu paru dni zapłata wpływała na jej prywatne konto bankowe.

Dzisiaj nie było inaczej. A w każdym razie, tak właśnie zapewniała samą siebie w myślach, kiedy szła korytarzem, starając się zachowywać normalnie w nadziei, że nikt nie zwróci na nią

uwagi. Jednak w tej dzisiejszej prośbie było coś dziwnego. Poproszono ją, żeby wyłączyła jedną z kamer przemysłowych i skasowała kody alarmowe w jednym z wejść na teren fabryki. Ktoś chciał się niepostrzeżenie wkraść do wnętrza budynku... i to na dodatek w środku dnia pracy.

Ten ktoś niepotrzebnie, głupio ryzykował. Jeśli nawet uda im się dostać do środka, to na pewno zostaną wykryci. Wytwórnia Dah'tan utrzymywała regularne oddziały strażników, patrolujące cały teren. I jeśli zostaną złapani, mogą wypłać, że to Jella ich wpuściła. Ale oferta była zbyt kusząca, żeby ją odrzucić – mieli jej zapłacić trzy razy więcej niż kiedykolwiek do tej pory. I tak w końcu chciwość zwyciężyła ze zdrowym rozsądkiem.

Zatrzymała się w pobliżu jednego z wyjść przeciwpożarowych, dokładnie pod skierowaną na drzwi kamerą systemu ochrony. Szybko rozejrzała się dookoła, żeby upewnić się, że nikt jej nie obserwuje, sięgnęła w górę śrubokrętem, który znalazła w ogólnie dostępnym schowku na narzędzia i z całej siły wbiła go w tył kamery, odłączając zasilanie.

Przerwany kabel zaskrzył i poraził ją prąd. Wydała z siebie cichy okrzyk i wypuściła śrubokręt z ręki, pod wpływem porażenia czuła w palcach lekkie mrowienie. Pospiesznie schyliła się i podniosła śrubokręt z wykładziny, rozglądając się dookoła. Nikt nie zauważył, jak dokonywała tego drobnego aktu sabotażu. Korytarz dalej był pusty.

Spojrzała w górę na kamerę i dostrzegła wydobywającą się z za niej wąską tasiemkę dymu. Sprawa była załatwiona. Jeśli ktokolwiek w pomieszczeniu monitoringu, spojrzełby na ekran pokazujący obraz z tej kamery, mógłby stwierdzić, że jest zepsuta. Jednak strażnicy rzadko spoglądali na monitory w ciągu dnia, kiedy cały budynek pełen był pracowników, a po korytarzach krążyły liczne patrole. Tylko głupiec chciałby włamywać się do fabryki w środku dnia pracy.

Nawet, jeśli dostrzegli usterkę, to na całym terenie zakładu było ponad sto kamer. W ciągu każdego tygodnia psuła się, co najmniej jedna z nich. Co najwyżej ktoś może zanotować w rozpisce bieżących zadań, żeby naprawiono ją przed końcem zmiany. Zadowolona z siebie Jella ruszyła korytarzem w stronę wyjścia awaryjnego.

Wstukała na panelu kontrolnym kod pracowniczy i otworzyła zamek. Oczywiście nie użyła własnego kodu. Jedną z zalet pracy w jej dziale było to, że miała bezpośredni dostęp do danych osobowych. Znała kody wejściowe do budynku połowy pracowników wytwórni.

Kiedy na panelu umieszczonym przy drzwiach zamiast czerwonej zapaliła się zielona dioda, Jella nie miała już nic więcej do zrobienia. Musiała tylko wrócić do biura i dalej pracować, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

Ale kiedy usiadła za swoim biurkiem, złe przeczucia, które towarzyszyły jej od chwili otrzymania tego zlecenia, wzmożyły się jeszcze bardziej, w wyniku, czego zaczęła czuć się

coraz gorzej. Po jakiś dwudziestu minutach She'n'ya, kobieta, z którą dzieliła niewielkie biurowe pomieszczenie, zauważyła, że dzieje się z nią coś niedobrego.

– Dobrze się czujesz, Jella? Dostałaś strasznych rumieńców.

Żołądek prawie wyskoczył jej przez gardło na dźwięk głosu drugiej kobiety.

– Nie... nie czuję się najlepiej – odparła, mając nadzieję, że w jej głosie nie słychać wyrzutów sumienia, które odczuwała wręcz jako mdłości. – Chyba coś musiało mi zaszkodzić – dodała, podrywając się na nogi i biegnąc do łazienki, żeby zwymiotować.

W dziesięć minut później, kiedy zaczęła się strzelanina, wciąż była w łazience.

* * *

Zadanie, które mieli wykonać było proste i jasno określone, ale Skarrowi i tak się nie podobało. Cały dzień zabrało im przygotowanie wszystkiego, co uznał za konieczne do jego realizacji: materiałów wybuchowych, grupy uderzeniowej złożonej z trzydziestu najemników i jego samego, oraz trzech pojazdów transportowych.

Ze względów bezpieczeństwa, a także by zadbać o poufność przeprowadzanych tu transakcji, Wytwórnia Dah'tan została umiejscowiona na trzech akrach prywatnej posiadłości, znajdującej się na dalekich peryferiach Hatre. Każdy kilometr drogi, którą musieli pokonać żeby tam dotrzeć, powoli zżerał cierpliwość Skarra, a także ograniczony czas, który mieli na wykonanie zadania. W porcie kosmicznym Hatre na pewno zauważył go ktoś, kto zawiadomił o jego przybyciu Sarena. Widmo było już najprawdopodobniej w drodze na Camalę... był coraz bliżej, z każdą mijającą sekundą.

Cała wytwórnia mieściła się w jednym budynku, wewnątrz którego znajdowały się magazyny, właściwy dział produkcyjny i część administracyjna. Teren otoczony był zbudowanym z drucianej siatki płotem, na którym umieszczono w pewnych odstępach tabliczki z napisami „Teren prywatny” i „Zakaz wstępu”, zredagowanymi w kilku używanych na Camali batariańskich dialektach.

To jednak w żaden sposób nie powstrzymało Skarra i jego najemników. Samochody po prostu przejechały przez płot, gniojąc go pod ciężkimi kołami i popędziły w stronę samotnie majaczącego na horyzoncie budynku. Po przejechaniu pół kilometra zostawili samochody i dalej poszli pieszo, przez jałowy, pustynny teren posiadłości. Żeby uniknąć wykrycia podeszli do fabryki od strony, po której nie było ramp załadunkowych magazynów. I rzeczywiście, dotarli do ściany fabryki niezauważeni.

Skarr z ulgą stwierdził, że znajdujące się na tyłach budynku wyjście awaryjne jest otwarte – opłacany przez Edana pracownik wykonał polecenie. Teraz musieli szybko zabrać się do pracy, żeby zdążyć, zanim pojawi się Saren.

Korporacyjna paranoja była tak samo częścią batariańskiej kultury, jak rygorystycznie przestrzegany system kastowy. Fabryka Dah'tan nie różniła się pod tym względem od reszty społeczeństwa. Nie chcąc powierzać nikomu poufnych informacji, wszystkie dokumenty i archiwa trzymano na miejscu. Zniszczenie fabryki było jednoznaczne ze zniszczeniem wszystkich wskazówek i dowodów, które mogłyby prowadzić z powrotem do Edana.

W każdym z samochodów przyjechało dziesięciu najemników. Skarr zostawił na zewnątrz ośmiu snajperów, którzy mieli kryć wszystkie wyjścia z budynku – po dwóch z każdej strony. Pozostałych rozdzielił na siedem trzyosobowych drużyn infiltracyjnych.

– Bomby detonują za piętnaście minut – przypomniał im Skarr. Na skrzyżowaniu korytarzy, drużyny rozdzieliły się, kierując się w stronę różnych rejonów fabryki. Ich celem było umieszczenie w strategicznych miejscach ładunków wybuchowych. Na tyle silnych, żeby zamienić cały budynek w stos ruin i popiołów. Po drodze mieli rozkaz likwidować wszystkich napotkanych strażników i pracowników. Wszyscy, którym ewentualnie mogło się udać uciec z budynku, mieli zostać zabici przez czekających na zewnątrz snajperów. A ci, którym udało się skutecznie ukryć gdzieś we wnętrzu budynku fabryki, mieli zginąć w chwili wybuchu, lub spłonąć w pożarze spowodowanym przez ładunki zapalające.

Po rozstawieniu snajperów i rozesłaniu drużyn infiltracyjnych po całym terenie kompleksu, sam Skarr miał do wykonania jedno, ściśle określone zadanie. Edan podał mu imię, opisał wygląd i położenie biura swojego kontaktu w fabryce Dah'tan. Młoda kobieta raczej nie wiedziała nic o swoim pokątnym pracodawcy, jednak batarianin nie chciał zostawiać za sobą żadnych do końca, niezłatwionych spraw.

Kroganin szybkim krokiem przemierzał długie korytarze, idąc w stronę znajdującego się w pobliżu głównego wejścia, skrzydła administracyjnego budynku. Gdzieś z oddali dobiegł go odgłos strzelaniny i krzyki jakiś batarian – masakra się zaczęła.

Po chwili, rozległo się wycie syren. Skarr skręcił za róg i prawie wpadł na dwóch strażników, biegnących w stronę źródła alarmu. Batarianie zawahali się na krótką chwilę, wytrąceni z równowagi widokiem uzbrojonego po zęby kroganina, stojącego na środku korytarza jak mały czołg. Skarr wykorzystał okazję i walnął kolbą swojego karabinu szturmowego w twarz jednego ze strażników, zwalając go z nóg. W tym samym momencie, rzucił się całym ciałem na drugiego strażnika, sam jego ciężar wystarczył, żeby obaj upadli na podłogę. Kiedy już leżeli, Skarr przystawił lufę swojego karabinu do szczęki przeciwnika i pociągnął za spust, odstrzelując większą część głowy małego nieszczęśnika.

Pierwszy ze strażników właśnie próbował się podnieść, wciąż oszołomiony i obficie krwawiący z ust. Co prawda, wystrzelił ze swojego pistoletu jedną serię, ale chyba niezbyt dobrze widział, bo udało mu się tylko zrobić rząd dziur w suficie nad miejscem, w którym na

podłodze leżał Skarr i bezgłowy trup jego kolegi. Skarr wystrzelił ponad podłogą, rwąc na strzępy kostki i łydki przeciwnika.

Batarianin krzyknął i przewrócił się do przodu, wypuszczając pistolet z rąk, którymi musiał jakoś zamortyzować upadek. Kolejna wystrzelona przez Skarra seria zakończyła sprawę w chwili, kiedy jego ciało dotknęło podłogi.

Łowca nagród natychmiast zerwał się na nogi i powłókł się korytarzem w stronę biura kontaktu Edana. Drzwi były zamknięte, ale po prostu wkopał je do środka, bez trudu wrywając je z zawiasów. Na podłodze siedziała skulona młoda batarianka. Zdążyła tylko w połowie ukryć się za biurkiem. Kiedy zobaczyła pokrytego krzepnącą krwią kroganina, stojącego w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą były drzwi, zaczęła krzyczeć.

– Żegnaj, Jella – powiedział Skarr.

– Nie! Proszę! Ja nie jestem...

Nie zdążyła dokończyć, bo łowca nagród nacisnął spust. Wystrzelona z karabinu seria przeorała jej ciało i rzuciła je na tylną ścianę pomieszczenia.

Skarr rzucił okiem na zegarek. Do chwili detonacji ładunków zostało jeszcze siedem minut. Jakaś jego część chciała spędzić ten czas we wnętrzu budynku, w poszukiwaniu kolejnych ofiar. Wiedział jednak, że nie jest to rozsądny pomysł. Zbyt łatwo mógł się zapomnieć w nieopanowanej żądzy krwi, którą odziedziczył po swoich starożytnych przodkach. Pograżony w bitewnym szale, łatwo mógłby zatracić poczucie czasu w czasie tak pięknej rzezi. A nie miał zamiaru ocknąć się wewnątrz budynku w chwili wybuchu.

Szybko ruszył z powrotem w stronę wyjścia, ignorując słodkie okrzyki bólu i przerażenia dobiegające echem z wnętrza wszystkich korytarzy, które mijał po drodze.

* * *

Jella zrobiła wszystko, co mogła, by nie słyszeć nieustającego staccato strzałów i przerażających krzyków swoich współpracowników. Ukryła się w biegnącym nad łazienką kanale wentylacyjnym – był ciasny, ale jakoś udało jej się wcisnąć do środka. Oczami wyobraźni doskonale widziała rozgrywające się na zewnątrz sceny i nie miała najmniejszego zamiaru opuszczać swojej kryjówki.

Czas biegł z dobijającą powolnością. Odgłosy strzelaniny zdawały się nie cichnąć od wielu godzin, choć w rzeczywistości trwały zaledwie od paru minut. Usłyszała dochodzące zza drzwi łazienki głosy i zaczęła się wciskać jeszcze dalej w głąb prostokątnego szybu.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do środka wpadło dwóch strzelających z automatycznych pistoletów maszynowych batarian. Zasypali całe wnętrze łazienki gradem kul, rozdzierając

grube, blaszane drzwi szafek na wstążki, rozbijając ceramiczne toalety i dziurawiąc w wielu miejscach biegnące na ścianach rury doprowadzające wodę.

Na szczęście kryjówka Jelli znajdowała się wysoko przy suficie nad jedną z kabin – wcześniej wdrapała się szczyt przegrody między kabinami, żeby zdjąć pokrywę kanału wentylacyjnego. Potem wślizgnęła się do jego wnętrza stopami do przodu i, kiedy już była bezpiecznie ukryta w środku szybu, umieściła pokrywę w tym samym miejscu, w którym znajdowała się przedtem.

Ze swojego punktu obserwacyjnego miała świetny widok na to, co działo się w łazience, jednak zamknęła oczy i zakryła uszy dłońmi, żeby osłonić się przed ogłuszającym hukiem wystrzałów. Odważyła się otworzyć oczy dopiero w chwili, kiedy strzelanina umilkła.

Mężczyźni krzatali się po wnętrzu łazienki, głośno chlupocząc nogami w wyciekającej z podziurawionych rur wodzie, która rozlewała się po wyłożonej kafelkami podłodze jak miniaturowe jezioro.

– Nikogo tu nie ma – powiedział jeden z nich, wzruszając ramionami.

– Szkoda – odparł drugi. – Miałem nadzieję, że uda nam się złapać jakąś kobietę, wziąć ją z nami i trochę się z nią zabawić.

– Zapomnij o tym – odpowiedział tamten, potrząsając głową. – Ten kroganin nigdy by na to nie pozwolił.

– To Edan nam płaci, a nie on – odwarknął jego towarzysz. Jella natychmiast domyśliła się, o kim mowa: Edan Had'dah był jednym z najbogatszych, najpotężniejszych i otoczonych najgorszą sławą obywateli Camali.

– To powiedz mu to prosto w twarz – ze śmiechem powiedział pierwszy z mężczyzn, po czym przykucnął i przyczepił coś do powierzchni ściany. – Chodźmy stąd. Musimy wyjść z budynku przed upływem dwóch minut.

Mężczyźni wyszli na korytarz i oddalili się, ich kroki jeszcze przez chwilę odzywały się słabnącym echem. Jella powoli podczołgała się do przodu żeby zobaczyć, co przyczepili do ściany. To coś miało wielkość pudełka na śniadanie, ze wszystkich stron wystawały jakieś druty. Nie miała za sobą żadnego wojskowego szkolenia ani doświadczenia w tym względzie, jednak i bez tego oczywiste było, że jest to rodzaj bomby.

Na chwilę znieruchomiała, nasłuchując odgłosów wystrzałów. Przestali już strzelać. W nagłej ciszy słyhać było tylko ciche *bip-bip-bip* mechanizmu zegarowego bomby. Jella jednym uderzeniem wypchnęła pokrywę szybu wentylacyjnego i zeskoczyła na podłogę. Wyskoczyła z łazienki sprintem i pobiegła w stronę tego samego wyjścia przeciwpożarowego, które wcześniej otworzyła, niechcący pozwalając się dokonać tej strasznej rzezi.

Ale teraz nie mogła o tym myśleć. Nie patrząc na mijane po drodze ciała swoich współpracowników dobiegła do drzwi i otworzyła je uderzeniem ramienia. Na zewnątrz leżało

dwóch mężczyzn z magazynu, obaj z dziurami w czołach.

Jella zawahała się, spodziewając się, że za chwilę podzieli ich los. Ale ci, którzy zabili tych mężczyzn uciekli. Nie chcieli tu być, kiedy budynek wybuchnie. Kiedy jej zszokowany umysł w końcu pojął, że wciąż nie straciła życia, młoda kobieta opuściła głowę między ramiona i zaczęła biec. Zdążyła zrobić jakieś pół tuzina kroków, zanim eksplozja przemieniła otaczający ją świat w morze ognia i bólu, a potem w ciemność.

* * *

Kiedy Saren przyjechał na teren Wytwórni Dah'tan, zastał tam tylko dymiące zgliszcza i ruiny. Załogi strażackie zgasiły wszystkie ogniska ognia, ale z budynku została tylko przepalona na wylot skorupa. Dwa górne piętra zawaliły się, a jedna ze ścian głównych przewróciła się do środka, zamieniając wnętrze budynku w stos spalonego gruzu. Ekipy ratownicze przeszukiwały to pobojowisko, ale znajdowały jedynie martwe szczątki ofiar.

Z przyzwoitej odległości, parę dziennikarskich ekip filmowało dymiące pozostałości fabryki, starając się nie przeszkadzać członkom ekip ratunkowych, jednocześnie próbowali złapać jakieś dramatyczne ujęcia, nadające się do pokazania w wiadomościach.

SAREN ZAPARKOWAŁ SWÓJ POJAZD OBOK NICH, WYSIADŁ I POMASZEROWAŁ W STRONĘ RUIN.

– Hej! – zawołał jeden z batariańskich ratowników widząc, jak się zbliża i biegnąc w jego stronę, żeby go zatrzymać. – Nie można tu wchodzić. To zakazane.

Saren spojrzał na niego przeciągle i wyjął swój identyfikator.

– Przepraszam, sir – powiedział batarianin, zatrzymując się przechylając głowę w geście oznaczającym szacunek dla rozmówcy. – Nie wiedziałem, że jest pan Widmem.

– Ktoś to przeżył? – zapytał Saren.

– Tylko jedna osoba – odparł tamten. – Młoda kobieta. W chwili eksplozji była na zewnątrz budynku. Wybuch pozbawił ją nóg, ma ciężkie poparzenia dziewięćdziesięciu procent powierzchni ciała. W tej chwili jest w drodze do szpitala. To cud, że przeżyła, ale nie sądzę, żeby udało jej się...

– Proszę zebrać członków swojej ekipy i odejść stąd – zażądał Saren, nie dając mu dokończyć.

– Co? Nie możemy tego zrobić! Wciąż szukamy ocalałych.

– Nikt więcej tego nie przeżył. Nie macie tu już nic do roboty.

– A co z ciałami? Nie możemy ich tak po prostu zostawić pod gruzami.

– Jutro rano ciała wciąż będą w tym samym miejscu. Proszę się wynosić. To rozkaz. I weźcie ze sobą tych cholernych dziennikarzy.

Batarianin przez chwilę wahał się, co zrobić. Potem potwierdził rozkaz kolejnym przechyleniem głowy i poszedł zwołać swoją ekipę. W pięć minut później pojazdy służb ratunkowych i dziennikarzy odjechały z terenu spalonej fabryki. Saren w samotności i spokoju mógł obejść pobojowisko w poszukiwaniu jakiś tropów i wskazówek.

* * *

– O, mój boże – zachnęła się Kahlee, kiedy wynajęty przez nich pojazd wspiął się na wzniesienie, z którego dostrzegł to, co kiedyś było Wytwórnią Dah'tan. – Wszystko jest zupełnie zniszczone!

Zbliżał się już zmierzch, ale ogromne pomarańczowe słońce Camali wciąż stało nad horyzontem, wyraziście oświetlając ogrom zniszczeń.

– Wygląda na to, że ktoś dotarł tu przed nami – stwierdził Anderson patrząc na to spode łba.

– Gdzie są ekipy ratownicze? – zawołała Kahlee z przejęciem. – Przecież musieli się już o tym dowiedzieć!

– Nie mam pojęcia – przyznał Anderson, zatrzymując pojazd. – Coś tu jest nie tak, jak trzeba. Poczekaj tutaj.

Wyskoczył z pojazdu i ruszył w kierunku pozostałości budynku pieszo, z pistoletem w dłoni, lekko przygięty do ziemi. Kiedy był w odległości niecałych dwudziestu metrów pojedynczy strzał odbił się rykoszetem od powierzchni ziemi tuż przed jego stopami.

Anderson zastygł w bezruchu. Był na otwartej przestrzeni, idealnie wystawiony na strzał. Strzelec mógł go bez trudu zabić, jeśli taka była jego intencja. Wobec tego był to strzał ostrzegawczy.

– Rzuć broń i podejdź w tę stronę – zawołał czyjś głos ze znajdujących się przed nim ruin. Anderson zrobił, co mu kazano. Położył pistolet na ziemi i ruszył dalej bez broni.

W chwilę później zza odłamka muru ukazała się znajoma sylwetka turianina z karabinem wymierzonym w klatkę piersiową Andersona.

– Co tu robisz? – zażądało odpowiedzi Widmo.

– To samo, co ty – odparł Anderson, wkładając wiele wysiłku w to, by jego głos brzmiał pewnie, choć sam się tak nie czuł. – Próbuję ustalić, kto stał za atakiem na Sidon.

Saren prychnął z niesmakiem, ale nie opuścił broni.

– Okłamałeś mnie, człowieku – w jego ustach słowo „człowieku” brzmiało jak obraźliwe wyzwisko.

Anderson nic nie odpowiedział. Widmo samo znalazło drogę do fabryki Dah'tan. Był na tyle sprytny, żeby samemu poskładać w całość kawałki układanki.

– Tworzenie sztucznej inteligencji to pogwałcenie Konwencji Cytadeli – pomimo jego milczenia Saren mówił dalej. – Zamelduję o tym Radzie.

Anderson znowu nic na to nie powiedział. Miał wrażenie, że mówiąc to, co mówi, Saren wciąż szuka informacji. Ale czegokolwiek ten turianin szukał, Anderson nie zamierzał być tym, który niechcący pomoże mu to znaleźć.

– Kto stał za atakiem na Sidon? – zapytał Saren, głosem aż ciężkim od groźby. Zadając pytanie, przyłożył celownik karabinu do oka i wymierzył w sam środek klatki piersiowej porucznika.

– Nie wiem – przyznał Anderson, wciąż stojąc w zupełnym bezruchu.

Saren strzelił w ziemię tuż przy jego stopie.

Drgnął, ale nie zrobił kroku do tyłu.

– Powiedziałem przecież, że nie wiem! – wrzasnął, pozwalając wybuchnąć swojemu gniewowi. Był prawie pewien, że Saren zamierza go zabić, ale nie miał najmniejszego zamiaru paść na kolana i błagać go o życie. Nie zamierzał pozwalać na to, żeby jakiś turiański bandyta go upokarzał!

– Gdzie jest Sanders? – warknął Saren, zmieniając taktykę.

– Gdzieś, gdzie jest bezpieczna – odwarknął mu Anderson. Za cholerę nie było takiej możliwości, żeby pozwolił temu potworowi zbliżyć się jeszcze bardziej do Kahlee!

– Ona cię okłamuje – powiedział mu Saren. – Wie o tym wszystkim dużo więcej, niż ci powiedziała. Powinieneś jeszcze raz ją dokładnie wypytać.

– Ty prowadź swoje dochodzenie, a ja będę prowadził swoje.

– Więc być może powinienem teraz skupić się na odnalezieniu jej – powiedział, głosem aż lękim od jawnej groźby – i jeśli ją znajdę, moje przesłuchanie wyjawia wszystkie jej najgłębiej skrywane tajemnice.

Anderson poczuł, jak napinają mu się mięśnie, jednak nic już więcej o Kahlee nie powiedział.

Zdawszy sobie sprawę z tego, że człowiek nie zamierza dać się podpuścić, turianin po raz kolejny zmienił temat.

– Jak tu trafiłeś?

– Skończyłem odpowiadać na pytania – beznamyślnie stwierdził Anderson. – Jeśli zamierzasz mnie zabić, zrób to teraz.

Turianin uważnie, powoli rozejrzał się dookoła, w świetle gasnącego dnia przeszukując przestrzeń aż po horyzont. Sprawiał wrażenie kogoś, kto właśnie podjął jakąś decyzję. Po chwili opuścił lufę karabinu.

– Jestem Widmem Rady – oświadczył, tembr szlachetnej dumy dodał mocy jego głosowi. – Jestem sługą sprawiedliwości, przysięgłem ochraniać i bronić społeczność galaktyki. Zabicie cię byłoby bezcelowym aktem, człowieku.

Jego słowa znowu były lekko zawołowaną obrazą.

Saren odwrócił się i odszedł, kierując się stroną ledwo widocznej w oddali sylwetki małego pojazdu terenowego.

– Proszę bardzo, idź sobie pogrzebać w tych gruzach, jeśli to sprawi, że poczujesz się lepiej – zawołał jeszcze przez ramię. – Nic tutaj nie znajdziesz.

Anderson nie wykonał żadnego ruchu, dopóki Saren nie wspiął się do kabiny swojego pojazdu i nie odjechał. Kiedy w tumanach pustynnego pyłu zniknął mu wreszcie z oczu, odwrócił się i podniósł z ziemi swój pistolet. Było prawie zupełnie ciemno. Teraz przeszukiwanie pobojowiska nie miało już żadnego sensu. A zresztą uwierzył turianinowi, kiedy ten powiedział, że nie ma czego szukać na terenie byłej fabryki Dah'tan.

Ponieważ musiał się poruszać ostrożnie w gęstniejących ciemnościach nocy, dobrych kilka minut zajęło mu dojście do własnego pojazdu.

– Co się stało? – zapytała Kahlee, kiedy wspiął się do środka. – Wydawało mi się, że widziałam, jak z kimś rozmawiasz.

– Z Sarenem – powiedział jej. – Z tym turiańskim Widmem.

– Co on tutaj robi? – spytała, zaniepokojona wspomnieniem ich ostatniego spotkania i samym wspomnieniem jego imienia.

– Szuka dowodów – powiedział Anderson.

– Co ci powiedział? Czego chciał?

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć jej jakiegoś kojącego kłamstwa, która mogłoby uspokoić jej wzburzony umysł. Ale ona również była częścią tego wszystkiego. Musiał powiedzieć jej prawdę. A przynajmniej większą część prawdy.

– Myślę, że poważnie rozważał możliwość zabicia mnie.

Kahlee aż zatkało z przerażenia.

– Nie wiem tego na sto procent – dodał szybko. – Być może się mylę. Trudno rozpoznać intencje turianina.

– Nie wmawiaj mi takich bzdur – zdenerwowała się. – Nie powiedziałabyś czegoś takiego, gdybyś nie był tego pewien. Powiedz mi, co się tam dokładnie stało.

– Próbował wyciągnąć ze mnie jakieś informacje – powiedział Anderson. – Zorientował się już, że okłamaliśmy go na temat tego, nad czym pracowaliście w bazie na Sidonie.

– Dah'tan nie jest znany z produkcji biotycznych implantów – przyznała Kahlee.

– Nic mu nie powiedziałem. Kiedy zdał sobie sprawę z tego, że nie zamierzam pomóc mu w śledztwie, zaczął patrzeć na mnie w ten swój twardy, bezwzględny sposób. Wtedy właśnie

pomyślałem, że chce mnie zabić.

– Ale cię nie zabił – jej słowa były na pół stwierdzeniem, na pół pytaniem.

– Tylko powoli rozejrzał się dookoła, jakby sprawdzał, czy w pobliżu nie ma nikogo innego. A potem po prostu odszedł.

– Chciał się upewnić, że przyjechałeś tutaj sam! – zawołała, dochodząc do tej samej konkluzji, co on. – Nie mógłby cię zabić, gdyby w pobliżu mogli być jacyś świadkowie!

Anderson pokiwał głową.

– W świetle powszechnie obowiązujących przepisów, każde Widmo ma prawo zrobić wszystko, co zechce. Jednak Rada nie pochwała nieuzasadnionych morderstw. Jeśli on by mnie zabił i ktoś by o tym zameldował, musieliby interweniować.

– Naprawdę myślisz, że Rada podjęłaby jakiegokolwiek kroki, gdyby Widmo zabiło człowieka?

– Ludzkość ma teraz większe polityczne znaczenie, niż którakolwiek z obcych ras ma ochotę przyznać, – wyjaśnił Anderson. – Mamy dość okrętów i żołnierzy, żeby każda inna rasa musiała dwa razy pomyśleć przed wejściem z nami w jakikolwiek konflikt. Rada musi trzymać naszą stronę. Jeśli rozeszłaby się wieść o tym, że Widmo bez uzasadnienia zabiło jednego z oficerów Przymierza, po prostu musieliby coś zrobić.

– Więc, co robimy dalej?

– Wracamy z powrotem do miasta. W najbliższej więzce danych muszę przesłać wiadomość do ambasador Goyle.

– Dlaczego? – ostro zapytała Kahlee. – Po co chcesz to zrobić? – jej nagłe zdenerwowanie przypomniało mu o tym, że dla Przymierza wciąż miała status dezertera.

– Saren wie, że ludzkość prowadziła nielegalne badania nad sztuczną inteligencją. Zamierza donieść o tym Radzie. Muszę ją ostrzec, żeby przygotowała się na polityczną falę uderzeniową.

– No tak, oczywiście – odparła Kahlee, w jej głosie słychać było zarówno ulgę, jak i zakłopotanie. – Przepraszam, ale pomyślałam, że...

– Robię wszystko, co mogę, żeby ci pomóc – powiedział, starając się nie okazać, jak bardzo zabolowało go jej podejrzenie – ale musisz mi w końcu zaufać.

Wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jego dłoni.

– Nie przywykłam do tego, że ludzie o mnie dbają – powiedziała przepaszającym tonem. – Moja matka zawsze była zajęta, a ojciec... sam przecież wiesz. Przyzwyczałam się do tego, że tylko ja sama troszczę się o siebie. Ale zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo ryzykujesz, pomagając mi. To może cię kosztować karierę. A może nawet życie. Jestem ci za to wdzięczna. I wierzę ci... Davidzie.

Nikt nigdy nie mówił do niego po imieniu. Nikt oprócz matki i żony. *Byłej żony*, poprawił się. Przez krótką chwilę miał ochotę powtórzyć Kahlee to, co Saren powiedział o przesłuchiowaniu jej, ale w porę ugryzł się w język.

Kahlee go pociągała, przyznał to już w myślach. Ale musiał pamiętać, jak wiele ciężkich chwil ostatnio przeszła. Łatwo było ją teraz zranić, była samotna i przestraszona. Gdyby powtórzył jej groźby Sarena, mogłoby to jeszcze bardziej ją zdestabilizować. I chociaż dzięki temu być może bardziej chciałaby uznać go za swojego obrońcę, co mogłoby ich do siebie zbliżyć, to Anderson nie zamierzał w tak podły sposób wykorzystywać sytuacji.

– Jedźmy już – powiedział, delikatnie wysunął dłoń spod jej dłoni i zawrócił pojazd w stronę mglistej łuny widniejącego w oddali miasta.

Saren stał obok szpitalnego łóżka i patrzył, jak leżąca na nim młoda batarianka walczy o życie... chociaż w jej obecnym stanie trudno byłoby naocznie stwierdzić, do jakiego należy gatunku. Jej pochodzenie zdradzały jedynie cztery gałki oczne – jedyna część jej ciała, która nie była pokryta grubą warstwą bandażu, owijających ją od czubka głowy, aż do kikutów amputowanych tuż ponad kolanami nóg. Kilkanaście przewodów i rurek biegło z jej ciała do stojącej obok maszyny, podtrzymującej jej procesy życiowe. Monitorującej pracę organów, podtrzymującej cyrkulację płynów odżywczych i wstrzykującej nieprzerwany strumień lekarstw, środków przeciwbólowych i medyzelu a nawet oddychającej za nią.

Batarianie byli mistrzami nauk medycznych, standard opieki medycznej w ich szpitalach należał do najwyższych w całej Przestrzeni Cytadeli. W normalnych warunkach członkowie personelu medycznego czuwaliby bezpośrednio przy niej dwadzieścia cztery godziny na dobę, ale w tej chwili w pokoju nie było nikogo oprócz ich dwojga. Saren odesłał lekarzy i pielęgniarki zaraz po tym, jak opisali mu jej aktualny stan. I zamknął za nimi i drzwi.

– Nie może pan tego zrobić! – protestował lekarz dyżurny. – Ona jest zbyt słaba. Nie przeżyje tego! – jednak ostatecznie ani on, ani nikt inny spośród członków personelu, nie miał na tyle odwagi, żeby sprzeciwić się bezpośredniemu rozkazowi Widma.

Ogólnie rzecz biorąc, batarianie byli twardą i odporną rasą, ale nawet kroganin mógłby nie przeżyć tego, co przeszła ta pacjentka. Najoczywistszym uszkodzeniem jej ciała był brak obu nóg, jednak Saren wiedział, że najstraszniejsze były jej poparzenia. Pod bandażami jej skóra była przepalona na wylot, widać było spod niej osmalone i popękane tkanki wewnętrzne. Co prawda w umieszczonym w piwnicach szpitala laboratorium, rosły już hodowane z jej materiału genetycznego kawałki skóry przeznaczone do przeszczepów, ale musiał minąć co najmniej tydzień, zanim chirurdzy plastyczni będą mogli przystąpić do rekonstrukcji.

Wybuch uszkodził także jej organy wewnętrzne, ciśnienie wywołane eksplozją wcisnęło do wnętrza jej układu oddechowego gorące jak ogień powietrze i trujący dym, niszcząc go nieodwracalnie. Tylko stado nieustannie popiskujących maszyn, utrzymywało ją przy życiu,

usiłując zastąpić działanie uszkodzonych części systemów jej ciała do chwili, kiedy dostatecznie urosną jej sklonowane organy wewnętrzne. Jednak, tak samo, jak w wypadku tkanki skórnej, do tego czasu musiało minąć jeszcze wiele dni.

Chociaż była podłączona do życiodajnych maszyn, w każdej chwili groziła jej galopująca infekcja i spowodowana traumatycznym szokiem niewydolność serca. Nawet, jeśli udałoby jej się przeżyć najbliższy tydzień, to jej osłabione ciało mogłoby nie przetrwać masowej ilości zabiegów chirurgicznych, koniecznych do naprawienia wszystkich zniszczeń.

Jednak, w tej chwili spokojnie odpoczywała. Za pomocą leków wprowadzono ją w stan lekkiej śpiączki, żeby jej organizm całą swoją energię mógł poświęcić zdrowieniu. Zgodnie z planem samoistnie miała wybudzić się ze śpiączki za trzy, cztery dni, kiedy jej stan powinien pewnym stopniu się poprawić.

Jednak fakt, że lekarze najpierw chcieli się przekonać, czy pacjentka w ogóle odzyska przytomność, żeby potem ewentualnie zacząć pracować nad protezami, mającymi zastąpić jej nogi, powiedział Sarenowi wszystko, co chciał wiedzieć o jej rzeczywistej kondycji. Mimo wszystkich cudownych technik medycznych, życie organiczne wciąż było kruche i delikatne. W tej sytuacji raczej nieprawdopodobne było, żeby tej kobiecie udało się przeżyć.

Ale Sarenowi wcale nie zależało na tym, żeby Jella przeżyła. Dla niego była tylko świadkiem tego, co stało się w Dah'tan – na dodatek była jedynym żyjącym świadkiem. Zidentyfikowano ją na podstawie zestawienia pobranego od niej materiału genetycznego z bankiem danych pracowników wytwórni. Była szeregowym pracownikiem działu księgowości. I Saren chciał zadać jej tylko jedno pytanie.

Wziął do ręki strzykawkę, którą na jego rozkaz niechętnie przygotował mu lekarz dyżurny i wstrzyknął jej zawartość do jednego z dożylnych wenflonów. Było wysoce nieprawdopodobne, żeby ta kobieta wiedziała cokolwiek o ataku na Dah'tan, a jeszcze mniej prawdopodobne było, żeby wiedziała coś o Sidonie. Ale wszyscy pozostali pracownicy wytwórni zginęli, a Saren miał przeczucie, że ta kobieta nie ocalała jedynie przez ślepy traf. Może otrzymała jakieś ostrzeżenie, może wiedziała coś, czego nie wiedzieli inni – coś, co prawie umożliwiło jej ucieczkę. To musiał być strzał na naprawdę duży dystans, ale Saren był tego typu strzelcem, który lubował się w takich wyzwaniach.

Jedna z maszyn zaczęła wydawać z siebie głośny, elektroniczny pisk, reagując na nagłe przyspieszenie pracy serca spowodowane wstrzykniętą przez Widmo do jej systemu amfetaminą. Jej ciało zaczęło się trząść, potem mocno dygotać, a potem zeszywniało, wtedy kobieta nagle usiadła. Otworzyła powieki oczu, chociaż znajdujące się pod nimi gałki zostały ugotowane na twardo i oślepienie przez ogień. Próbowwała krzyknąć, ale jej popalone gardło i zatrute płuca pozwoliły jej wydać z ust jedynie spazmatyczne rżenie, ledwo słyszalne zza maski oddechowej.

Wciąż pozostając w pozycji siedzącej, dostała napadu konwulsyjnych drgawek. Rzucając się jak ryba wyrzucona na brzeg, przez chwilę waliła rękami w metalowe ramy szpitalnego łóżka i potrząsała wszystkimi podłączonymi do jej ciała przewodami. Po paru sekundach opadła na plecy i wyczerpana walczyła o oddech. Potem znowu zamknęła ślepe oczy.

Saren przysunął usta do jej spalonych uszu i powiedział głośno:

– Jella? Jella? Jeśli mnie słyszysz, obróć głowę w moją stronę! – najpierw nie było żadnej reakcji, potem jej głowa powoli obróciła się z jednej strony w drugą.

– Muszę się dowiedzieć, kto to zrobił! – Saren wrzeszczał, starając się przebić przez okrywającą ją zasłonę leków i bólu. – Podaj mi tylko nazwisko. Rozumiesz, co mówię? Podaj mi nazwisko!

Wyciągnął rękę i odchylił jej maskę tlenową, żeby mogła mówić swobodniej. Jej usta poruszyły się, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Jella! – wrzeszczał. – Głośniej, Jella! Nie pozwól, żeby to się upiekło temu draniowi! Kto ci to zrobił?

Jej słowa były zaledwie odrobinę głośniejsze od szeptu, ale Saren usłyszał je bardzo wyraźnie.

– Edan. Edan Had'dah.

Zadowolony, nasunął jej na usta maskę oddechową i wyciągnął z kieszeni kolejną strzykawkę. Jej zawartość powinna znów pogrążyć ją w śpiączce, dając jej minimalną szansę przeżycia.

Zawahał się przed podaniem lekarstwa. Jako Widmo, doskonale znał reputację zidentyfikowanego przez nią mężczyzny. Był to bezwzględny biznesmen, który operował po obu stronach batariańskiego prawa i zawsze dbał o to, żeby nie angażować się w nic, co mogłoby przyciągnąć uwagę Rady, albo jej agentów. Nigdy do tej pory nie wykazywał żadnego zainteresowania badaniami nad sztuczną inteligencją.

Bieg myśli Sarena został nagle zakłócony przez Jellę, która nagle zaczęła kaszleć i dławić się w swoim łóżku. Wnętrze jej maski oddechowej pokryło się drobnymi, ciemnymi plamkami zmieszanej z ropą krwi, wydobywającej się z wnętrza poparzonych płuc.

Czuł, że za atakiem na Sidon stało coś więcej, niż batariański nacjonalizm czy antyludzki terrorizm. Edan nie mieszał polityki z interesami. I nie chodziło tu tylko o pieniądze – Edan miał mnóstwo innych możliwości zarobku, które nie pociągały za sobą ryzyka zainteresowania, ze strony Widm. Działo się tutaj coś naprawdę dziwnego. Coś, co chciał wysledzić i zrozumieć aż do samych podstaw.

Jella zaczęła rzucać się w konwulsjach. Po chwili miarowy sygnał maszyny przeszedł w ciągły, wysoki pisk – wskazania spadły poniżej wartości krytycznej. Saren stał bez ruchu.

Patrząc na wciąż obniżające się odczyty jej funkcji życiowych, rozważał swoje dalsze posunięcia.

Edan wybudował sobie wsporną rezydencję w pobliżu miasta Ujon, stolicy Camali. Saren szczerze wątpił, żeby znajdował się tam w tej chwili. Edan był ostrożnym i rozważnym batarianinem. Nawet, jeśli był pewien, że nikt nie wie o jego powiązaniach z Sidonem, to i tak na pewno zaszył się gdzieś w ukryciu w chwili, kiedy dowiedział się, że ktoś przeżył atak. Tak dla pewności. I w tej chwili, mógł być gdziekolwiek.

Nie, poprawił się Saren, ignorując przejmujące dźwięki wydawane przez maszyny i gwałtowne spazmy wciąż wstrząsające ciałem Jelli. *Edan nie zaryzykowałby przejścia przez odprawę graniczną.* Nie zrobiłby tego, jeśli istniałby, chociaż cień szansy na to, że ktoś wie o jego udziale w tej sprawie. A to oznaczało, że prawdopodobnie wciąż ukrywał się gdzieś na Camali.

Ale na tej planecie istniało wiele miejsc, w których mógłby się przycziąć. Kontrolował mnóstwo górniczych i rafineryjnych przedsięwzięć. Mnóstwo kopalń i szybów rozsianych po całej powierzchni planety. Najprawdopodobniej ukrył się właśnie w jednym z tych miejsc. Drobnostka, trzeba tylko zorientować się, w którym. Na Camali były ich dosłownie setki. Dokładne przeszukanie wszystkich zajęłoby kilka miesięcy. A Saren nie sądził, żeby dysponował tak dużą ilością czasu.

Jella wciąż konwulsyjnie rzucała się na łóżku, wijąc się w bólach. Jej wyniszczone ciało walczyło o przeżycie. Ale robiła się coraz słabsza, powoli opuszczały ją resztki sił. Saren bezmyślnie obracał w palcach gotowy zastrzyk podskórny, który mógłby uratować jej życie. Nie przestając myśleć o Edanie czekał, aż wyzionie ducha.

Było jasne, że ludzie nie wiedzieli, kto stał za tymi atakami, więc Saren nie widział żadnego powodu, żeby dzielić się swoją wiedzą z Radą. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Powie im, oczywiście, o nielegalnych badaniach nad sztuczną inteligencją prowadzonych w placówce na Sidonie. Dzięki temu Przymierze popadnie w poważne kłopoty, co odciągnie uwagę wszystkich od jego prywatnego śledztwa na temat udziału i roli Edana. Postanowił, że dopóki nie dowie się na sto procent, dlaczego batarianin uważał, że zyski, które mógłby osiągnąć, wynagradzają poniesione ryzyko, nie miał zamiaru umieszczać nazwiska Edana w swoich raportach. Jedyne, co musiał teraz zrobić, to znaleźć jakiś sposób, by go odnaleźć.

W dwie minuty później Jella w końcu znieruchomiła. Turianin zbadał jej ciało w poszukiwaniu oznak życia, potwierdzając to, co wcześniej powiedziały mu monitory: nie żyła. Dopiero teraz wpompował zawartość strzykawki do kroplówki, wiedząc, że jest już za późno, by mogła zadziałać. Potem odłożył pustą strzykawkę na sam środek blatu stolika, stojącego u wezłowania łóżka.

Powoli podszedł do drzwi, otworzył zamek i przekręcił gałkę. Na zewnątrz czekał lekarz zajmujący się Jellą, niecierpliwie przechadzając się po korytarzu. Odwrócił twarz w stronę turianina, który wyszedł z pokoju jego pacjentki.

– Słyszeliśmy maszyny... – powiedział doktor i zamilkł w pół słowa.

– Miał pan rację – powiedział mu Saren. Jego głos wyzbyty był wszelkich emocji. – Jella była za słaba. Nie przeżyła tego.

* * *

Ambasador Goyle maszerowała stanowczym krokiem przez pofalowane, zielone pola Prezydium, w stronę widniejącej w oddali Wieży Cytadeli. Jej zwawe, pełne energii ruchy kontrastowały z łagodną sieliskością otoczenia. Niezmałcone piękno symulowanego światła słonecznego, odbijające się w położonym pośrodku doliny jeziorze, w żaden sposób nie rozpozgażowało jej ponurego nastroju. Odebrała będącą ostrzeżeniem wiadomość od Andersona niecałą godzinę przed tym, jak kazano jej się stawić przed Radą Cytadeli. To nie mógł być zbieg okoliczności. Wiedzieli już o badaniach nad sztuczną inteligencją. A to oznaczało, że trzeba będzie zapłacić za to cholernie wysoką cenę.

Idąc, przeglądała w myślach różne ewentualne scenariusze rozwoju wydarzeń, planując dokładnie, co ma powiedzieć, w każdym z możliwych wypadków. Tłumaczenie się niewiedzą, w ogóle nie wchodziło w grę. Sidon był powszechnie rozpoznawaną bazą Przymierza. I nawet, jeśli uwierzyliby w jej fałszywe zapewnienia o tym, że nic nie wiedziała o prowadzonych tam badaniach, to nie było sposobu, by oddzielić to, co działo się w tej konkretnej bazie od całego rodzaju ludzkiego, będącego członkiem społeczności Cytadeli. Byłoby to możliwe tylko wtedy, jeśli ona sama byłaby marionetką, figurantką pozbawioną realnej władzy.

Pozostawała jeszcze taktyka skruchy i przeprosin, jednak Goyle szczerze wątpiła, czy takie zachowanie miałoby jakikolwiek wpływ na surowość kar, jakie Rada wymierzyłaby Przymierzowi i całej ludzkości. Na dodatek, podobnie jak fałszywe tłumaczenie się niewiedzą, mogłoby to zostać odczytane jako oznaka słabości.

Kiedy doszła w końcu do podstawy Wieży, wiedziała już, że ma tylko jedno wyjście. Sama musi pierwsza przystąpić do ataku.

Po jej lewej stronie stała rzeźba, będąca wiernym odwzorowaniem przekaźnika masy. Sześciometrowej wysokości replika największego technologicznego osiągnięcia protean witała gości wchodzących do samego serca najwspanialszej stacji kosmicznej w całej galaktyce. Było to doskonałe dzieło sztuki, ale ambasador Goyle nie była w tej chwili w nastroju do podziwiania go.

Podeszła do strażników stojących przy jedynym wejściu do Wieży i czekała niecierpliwie aż potwierdzą jej tożsamość. Z satysfakcją zauważyła, że jeden ze strażników był człowiekiem. Ilość ludzi zatrudnianych na kluczowych stanowiskach w całej Cytadeli rosła z dnia na dzień. Kolejny dowód na to, jak bardzo w ciągu kilku ostatnich lat, zaczęto doceniać znaczenie jej gatunku w galaktycznej społeczności. Fakt ten tylko wzmocnił postanowienie, które przed chwilą podjęła – myśląc o tym wsiadła do windy, która miała zawieźć ją do znajdującej się na szczycie Wieży Komnaty Rady.

Ściany windy były przezroczyste. Kiedy wystrzeliła w stronę sztucznego nieboskłonu, zobaczyła rozciągający się u swoich stóp obszar całego Prezydium. Kiedy wjechała wyżej, mogła sięgnąć wzrokiem poza krawędź wewnętrznego pierścienia Cytadeli. W oddali widać było migoczące światła okręgów, wykraczające poza zakres pola widzenia, wzdłuż pięciu gwiazdzystych ramion Cytadeli.

Widok był oszałamiający, ale ambasador zmusiła się, żeby go zignorować. Nie przez przypadek cały ogromny splendor Cytadeli można było zobaczyć właśnie z tego miejsca. Chociaż w teorii, trzy indywidua tworzące Radę nie dzierżyły żadnej oficjalnej władzy wykonawczej, to praktycznie rzecz biorąc, zarządzały całą cywilizowaną galaktyką. Perspektywa spotkania z nimi twarzą w twarz, była czymś odrobinę poniżającym, nawet dla kogoś tak wyrobionego politycznie jak najważniejszy ambasador Przymierza. Była również na tyle doświadczona, by wiedzieć, że długa podróż windą na szczyt Wieży miała spowodować, by goście poczuli się tu przytłoczeni i pełni respektu na długo przed samym spotkaniem z Radą.

W ciągu niecałej minuty znalazła się na szczycie, w końcu winda zwolniła i zatrzymała się. Pod wpływem zmiennego przyspieszenia i nagłej zmiany wysokości zrobiło jej się trochę niedobrze. Być może zresztą był to zwykły odruch nerwowy. Drzwi windy otworzyły się i wyszła z niej do długiego holu, pełniącego funkcję przedpokoju Komnaty Rady.

U końca holu znajdowały się prowadzące w górę potężne schody, z szerokimi pasażami rozchodzącymi się w obie strony u ich stóp. Sześcioro gwardzistów – dwóch turian, dwóch salarian i dwie asari, po parze z każdego z reprezentowanych w Radzie gatunków – stało wyprężonych w postawie na baczność po obu stronach schodów. Minęła ich nie zwracając na nich uwagi. Ich obecność tutaj miała jedynie znaczenie reprezentacyjne i symboliczne.

Wspięła się po schodach, pokonując po jednym stopniu naraz. Po chwili, weszła na tyle wysoko, by, pomiędzy obniżającymi się ścianami, dostrzec całą wspaniałość Komnaty Rady. Pomieszczenie to przypominało rzymskie amfiteatry ze starożytnej Ziemi, miało owalny kształt i otoczone było, z każdej strony miejscami dla tysięcy widzów. Po obu jego końcach znajdowały się wbudowane w podłogę platformy, wykonane z tego samego praktycznie niezniszczalnego materiału, co reszta stacji. Schody, po których się wspinała, kończyły się na

szczytce jednej z tych platform, Sceny Petenta. Z tego miejsca można było spojrzeć przez całą długość rozległego wnętrza komory na przeciwną scenę, na której zasiadła Rada, by rozpatrzyć jej sprawę.

Kiedy ambasador Goyle wyszła na Scenę Petenta i zbliżyła się do podium, z ulgą stwierdziła, że żadne z siedzeń dla widzów nie było dziś zajęte. Chociaż ich ostateczna decyzja miała zostać ogłoszona publicznie, to widać Rada chciała utrzymać temat tego spotkania z przedstawicielem Przymierza, w tajemnicy. Fakt ten jeszcze bardziej umocnił jej postanowienie. Jakaś jej część obawiała się do tej pory, że odbędzie się tu jedynie rodzaj publicznego przedstawienia, niedającego jej szans na rzeczywistą obronę poczynań ludzkości.

W przeciwnym końcu sali, członkowie Rady byli już na swoich miejscach. Pośrodku, dokładnie naprzeciw ambasador Goyle, siedziała radna asari. Po jej lewej stronie, czyli po prawej stronie Goyle, siedział turianin. Po prawej stronie asari siedział reprezentant salarian. Nad każdym z nich znajdowało się wysokie na pięć metrów holograficzne przedstawienie ich popiersi, pozwalające petentom wyraźnie, pomimo dużej odległości dzielącej obie sceny, widzieć reakcje każdego z członków Rady.

– Nie ma tutaj potrzeby zachowywać zbędnych pozorów – powiedział turianin, rozpoczynając procedurę posiedzenia w zadziwiająco nieformalny sposób. – Jeden z agentów WiDMO poinformował nas, że w jednej ze swoich placówek na obszarze Skylliańskiego Pogranicza, ludzkość prowadziła nielegalne badania nad sztuczną inteligencją.

– Ta placówka badawcza została zniszczona – przypomniała im ambasador Goyle, próbując grać na ich uczuciach. – W wyniku tego, w żaden sposób nie spowodowanego ataku, straciły życie dziesiątki niewinnych ludzi.

– Omawianie przebiegu tego zdarzenia nie jest celem tej audyencji – powiedziała asari, jej głos był chłodny i beznamiętny, chociaż zwykle przedstawiciele tego ludu wysławiali się łagodnie, a nawet poetycko. – Zebraliśmy się tu, żeby porozmawiać o samej bazie na Sidonie.

– Pani ambasador – wtrącił się salarianin – na pewno rozumie pani, jakie zagrożenia dla całej galaktyki niesie za sobą sztuczna inteligencja?

– W placówce badawczej na Sidonie, Przymierze zastosowało wszelkie możliwe i konieczne zabezpieczenia – odparła Goyle, odmawiając przeprosin za to, co się stało.

– Jedyńm dowodem na to są dla nas pani słowa – odparował turianin. – A właśnie udowodniliście, że waszemu gatunkowi nie można wierzyć.

– Proszę tego nie odebrać jako ataku na waszą rasę – asari usiłowała złagodzić ostrość sądów turianina. – Ludzkość jest nowym członkiem naszej galaktycznej społeczności i zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, by odpowiednio ją w naszym gronie przywitać.

– Czy częścią tego przywitania był podbój Shanxi przez turian, w czasie Wojny Pierwszego Kontaktu?

– W czasie tego konfliktu, Rada interweniowała, biorąc stronę ludzkości – przypomniał jej salarianin. – Turianie szykowali się właśnie do zmasowanego kontrataku i zbierali całą swoją flotę. Gdyby nie nasze wstawiennictwo, straciłyby życie miliony ludzi.

– Ja sam w pełni popierałem wtedy stanowisko Rady – zauważył turianin. – W odróżnieniu od wielu spośród moich współplemieńców, nie jestem źle nastawiony wobec Przymierza ani ludzkości jako takiej. Lecz nie uważam także, żeby trzeba było traktować was w sposób uprzywilejowany.

– Kiedy zaprosiliśmy ludzkość do stania się częścią Przestrzeni Cytadeli – powiedziała asari, ignorując słowa turianina i płynnie kontynuując swoją wcześniejszą wypowiedź – zgodziliście się przestrzegać praw i konwencji uchwalonych przez tą Radę.

– Chcecie nas tylko ukarać dla przykładu, ponieważ wypieramy batarian z rejonu Pogranicza – Goyle wystąpiła z oskarżeniem. – Wiem, że ich ambasada zagroziła wystąpieniem z Cytadeli, jeśli nie zostaną podjęte żadne kroki w tej sprawie.

– Znamy ich zdanie na ten temat – przyznał salarianin – ale nie podjęliśmy żadnego działania. Pogranicze jest obszarem, do którego żaden z gatunków nie rości sobie wyłącznego prawa własności, a polityką Rady jest nieingerowanie w regionalne spory, jeśli nie mają one bezpośredniego wpływu na stabilność całej Przestrzeni Cytadeli. Chcemy chronić autonomię każdego z gatunków we wszystkich dziedzinach, pod warunkiem, że jego działania nie zagrażają galaktyce jako całości.

– Tak, jak wasze badania nad sztuczną inteligencją – dodał turianin.

Goyle aż potrząsnęła głową z rozdrażnienia.

– Nie jesteście chyba na tyle naiwni, żeby sądzić, że tylko ludzkość zajmuje się tym zagadnieniem!

– To nie naiwność, ale mądrość każe nam tak myśleć – odparła asari.

– Was, ludzi, nie było tu jeszcze, kiedy rasa quarian upadła, powalona przez stworzonych własnymi rękami gethy – przypomniał jej salarianin. – Zagrożenie, jakie może ze sobą nieść stworzenie inteligentnych, sztucznych form życia, nigdy nie zostało równie wyraziście zilustrowane. Ludzie po prostu nie są w stanie pojąć, że ryzyko, jakie niesie to za sobą, jest o wiele za duże.

– Ryzyko? – Goyle musiała się powstrzymać od krzyku, gdy odpierała dalsze werbalne ataki. – To wy ryzykujecie, chowając głowy w piasek w nadziei, że niebezpieczeństwo samo minie.

– Gethy wciąż gdzieś tam są – kontynuowała. – Syntetyczne życie to rzeczywistość. Stworzenie prawdziwej sztucznej inteligencji – a może nawet całej rasy sztucznych, inteligentnych istot – jest czymś nieuchronnym. Być może już gdzieś tam są, tylko czekając, aż ktoś je odkryje. Jeśli teraz nie będziemy studiować syntetycznego życia, rzecz jasna w

kontrolowany sposób, to jak możemy mieć nadzieję skutecznie przeciwstawić mu się w razie potrzeby?

– Doskonale zdajemy sobie sprawę z tego, że z tworzeniem syntetycznego życia w sposób nieodłączny wiążą się pewne zagrożenia – zauważyła asari. – Ale nie musimy automatycznie zakładać, że nie będziemy mieli innego wyjścia, niż wejście z nimi w konflikt. Taki sposób myślenia wynika z próżnej zarozumiałości rodzaju ludzkiego.

– Inne gatunki istot inteligentnych są zwolennikami stosowania w praktyce filozofii wzajemnej koegzystencji – wyjaśnił salarianin, dość nauczycielskim tonem.

– Dostrzegamy siłę, jaka wynika z jedności i współpracy. Jednak ludzkość zdaje się wciąż wierzyć w to, że współzawodnictwo jest kluczem do wszelkiego powodzenia.

Jesteście bardzo agresywnym i antagonistycznym gatunkiem.

– Wszystkie gatunki rywalizują o władzę i wpływy – odparowała ambasador. – Jedynym powodem, dla którego wasza trójka może tu siedzieć i ferować wyroki dla całej reszty galaktyki jest to, że rasy Rady kontrolują Flotę Cytadeli!

– Rasy Rady ponoszą niewyobrażalnie duże koszty, wspierając nasze wysiłki zapewnienia powszechnego pokoju w galaktyce – ze złością oświadczył turianin. – W służbie dobra wszystkich ras, pozwalamy swobodnie dysponować naszymi pieniędzmi, okrętami, a nawet życiem milionów naszych obywateli!

– Rozporządzenia Rady często okazują się sprzeczne z interesami naszych własnych gatunków – przypomniał jej salarianin. – Wiecie o tym z własnego doświadczenia. Po Wojnie Pierwszego Kontaktur turianie zostali zobowiązani do wypłacenia Przymierzu znacznych odszkodowań wojennych, chociaż można było się spierać o to, czy konflikt ten wynikł z ich winy, czy też z winy ludzi.

– Teoretyczne podstawy filozofii, nieodłącznie wiążą się z praktyką każdego działania – zgodziła się asari. – Nie przeczy my faktowi, że wszystkie indywidua jako takie, a także wszystkie kultury i rasy w całości, zawsze będą próbowały po – szerzyć zakres swoich wpływów i posiadanego terytorium. Jednak wierzymy, że najlepiej można to osiągnąć, jeśli zrozumie się potrzebę wzajemności, którą wy, ludzie, określicie wyrażeniem „dawaj i bierz”. Właśnie ta potrzeba sprawia, że chcemy poświęcać się dla dobra innych. Czy może pani szczerze powiedzieć to samo o ludzkości?

Ambasador nie odpowiedziała na to pytanie. Jako najwyższy rangą przedstawiciel Przymierza na Cytadeli, dogłębnie przestudiowała tajniki międzygwiazdnej polityki. Doskonale znała wszystkie podjęte w ciągu ostatnich dwóch stuleci postanowienia Rady. I chociaż w decyzjach Rady można było zauważyć niezwykle subtelne uprzedzenie wobec ludzkości jako takiej, to jednak wszystko, co przed chwilą powiedzieli jej członkowie, było w

istocie prawdą. Asari, salarianie, a nawet turianie w skali całej galaktyki zasłużyli sobie na miano bezinteresownych i altruistycznych ras.

Była to jedna z tych rzeczy, z którymi wciąż nie mogła sobie poradzić – ta delikatna równowaga, która inne rasy utrzymywały pomiędzy własnymi interesami a dobrem ogółu wszystkich innych sprzymierzonych w społeczności Cytadeli. Integracja i wtapianie się kultur nowych gatunków istot inteligentnych, w szerszą międzygwiazdną wspólnotę, zachodziło niemal zbyt łatwo. Wydawało się wręcz nienaturalne. Na swój użytek tłumaczyła to tym, że dla wszystkich odbywających międzygwiazdne podróże ras, wyjściowym zbiorem wspólnym, była proteańska technologia. Dawała im ona punkt styczności, jakieś poczucie wzajemnego podobieństwa, na którym można było budować wspólną przyszłość. Dlaczego, więc ludzkość nie zaadaptowała się w nowym otoczeniu tak samo gładko i szybko, jak wszyscy inni?

– Nie zebraliśmy się tutaj po to, by prowadzić polityczne spory – powiedziała w końcu ambasador Goyle, nie odpowiadając na ostatnie pytanie radnej asari. Nagle poczuła się zmęczona. – Co planujecie zrobić w związku z Sidonem? – nie było sensu ciągnąć tego dalej. I tak nie miała sposobu, żeby przekonać członków Rady do zmiany zdania.

– Będą musiały zostać wyciągnięte odpowiednie sankcje wobec ludzkości i wobec samego Przymierza – poinformował ją turianin. – Popełniliście poważne przestępstwo i kara musi odpowiadać jego powadze.

Być może jest to po prostu, część procesu asymilacji ludzkości w obrębie międzygwiazdnej społeczności, ze znużeniem pomyślała Goyle. Wstępna faza stopniowej, nieuchronnej ewolucji, która ustawi Przymierze w jednej linii z resztą podległych Radzie Cytadeli gatunków.

– Częścią tych sankcji będzie przydzielenie przez Radę pewnej liczby przedstawicieli, którzy będą monitorować poczynania Przymierza w rejonie Skylliańskiego Pogranicza – teraz odezwał się salarianin, który zaczął szczegółowo opisywać sposób ukarania krnąbrnej ludzkości.

A być może, w jakiś fundamentalny sposób różnimy się od większości pozostałych gatunków, pomyślała Goyle, tylko w połowie słuchając wygłaszanego właśnie wyroku. Może nie potrafimy się dopasować, bo coś jest z nami nie tak. Było parę innych gatunków, takich jak kroganie, które z samej swojej natury były wojownicze i wrogie. Jednak ostatecznie kroganie cierpieli z tego powodu, ponieważ wzniewając gniew i strach całej galaktyki, stawali się coraz mniej liczni i jako rasa praktycznie zaczynali wymierać. Czy takie również było przeznaczenie ludzkości?

– Ci wyznaczeni przez Radę przedstawiciele będą również przeprowadzali regularne inspekcje wszystkich ludzkich placówek i kolonii, w tym również Ziemi, żeby upewnić się, że postępujecie zgodnie z prawami i przepisami Cytadeli.

Może jesteśmy z natury wrody wobec innych.

Ludzkość bez wątplenia była agresywnym gatunkiem. A także pewnym siebie, bezlitosnym i stanowczym w swoich dążeniach. Ale czy to naprawdę były wady? Przymierze rozprzestrzeniło się o wiele szybciej i o wiele dalej, niż jakikolwiek inny gatunek w historii Cytadeli. Według jej ostrożnych szacunków, za jakieś dwadzieścia, trzydzieści lat Przymierze będzie dość potężne, by móc rywalizować z rasami Rady. I nagle wszystko nabrało dla niej sensu.

Oni się nas boją! Obezwładniające znużenie, które jeszcze przed chwilą odczuwała ambasador Goyle, w jednej chwili zniknęło, odegnane przez to jedno oszałamiające objawienie. *Oni naprawdę się nas boją!*

– Nie! – powiedziała ostro, przerywając salarianinowi, który jednostajnym głosem ciągnął swoją listę żądań.

– Nie? – powtórzył, zaskoczony. – Co ma oznaczać to „nie”?

– Nie zgadzam się na te warunki – o mało co, nie popełniła strasznego błędu. Pozwoliła tym obcym manipulować sobą, pozwoliła im wpływać na swój umysł, w wyniku czego, zaczęła wątpić w swoją własną wartość i wartość całego swojego gatunku. Ale teraz nie zamierzała już się przed nimi więcej płaszczyć. Nie zamierzała przeproszać ich za to, że ludzkość zachowuje się w typowy dla ludzi sposób.

– To nie są negocjacje – ostrzegł ją turianin.

– I tu się właśnie mylicie – odparła z dzikim uśmiechem. Ludzkość wybrała ją na swojego reprezentanta, na swojego obrońcę i szermierza. Miała obowiązek bronić każdego mężczyzny, każdej kobiety i każdego dziecka na Ziemi i w całej przestrzeni Przymierza. Właśnie teraz jej potrzebowali i ona będzie za nich walczyć!

– Pani ambasador, być może nie udało się pani zrozumieć całej powagi tej sytuacji – zasugerowała asari.

– To wy czegoś nie rozumiecie – brzmiała stanowcza odpowiedź Goyle. – Sankcje, które proponujecie, zaszkodzą ludzkości w zbyt dużym stopniu. Przymierze nigdy nie zgodzi się na nie. Ja również się na nie nie zgodzę.

– Naprawdę myśli pani, że ludzkość może skutecznie sprzeciwić się Radzie? – z niedowierzaniem zapytał turianin. – Szczerze wierzy pani w to, że moglibyście wygrać wojnę przeciw naszym zjednoczonym siłom?

– Tego nie powiedziałam – swobodnie przyznała Goyle – ale na pewno nie poddałybyśmy się tak łatwo. Na dodatek nie sądzę, żebyście chcieli przystąpić do wojny z takiego powodu, jak ten. W każdym razie nie z nami. Koszty byłyby zbyt duże. Stracilibyśmy zbyt dużo żołnierzy i okrętów w konflikcie, którego wszyscy wolelibyśmy uniknąć.

– Nie muszę chyba wspominać o wpływie, jaki mogłoby to wywrzeć na wszystkie pozostałe rasy. Jesteśmy dominującym gatunkiem na obszarach całego Skylliańskiego

Pogranicza i Attykańskiego Trawersu. Ekspansja Przymierza napędza ekonomię tych regionów, a nasi żołnierze i nasze okręty pomagają utrzymać tam porządek.

Sądząc po widocznych na hologramach wyrazach twarzy całej trójki, ambasador trafiła w czuły punkt. Żeby nie stracić impetu, wysunęła kolejne argumenty, zanim którykolwiek z członków Rady zdążył jej odpowiedzieć.

– Ludzkość jest głównym partnerem handlowym dla połowy zrzeszonych w Przestrzeni Cytadeli gatunków. Włączając w to wasze trzy rasy. Stanowimy ponad piętnaście procent mieszkańców samej Cytadeli, w służbach zajmujących się jej ochroną i zarządzaniem pracują tysiące ludzi. Jesteśmy częścią galaktycznej społeczności od niecałych dziesięciu lat, a już staliśmy się zbyt ważni, a nawet, pozwolę sobie powiedzieć, staliśmy się niezbędnymi i nie możecie nas tak po prostu stąd wyrzucić!

Ciągnęła swoją tyradę, nie przestając mówić nawet wtedy, kiedy brakło jej oddechu. Technikę tę wypracowała jeszcze na początku swojej kariery politycznej.

– Mogę przyznać, że popełniliśmy błąd. Powinniśmy za to ponieść jakiś rodzaj kary. Ale ludzie chętnie podejmują ryzyko. W naszej naturze leży przekraczanie barier. Tacy właśnie jesteśmy. Czasem posuwamy się za daleko, ale to wciąż nie daje wam prawa, żeby nas skarcić, jak jacyś nadopiekuńczy rodzice!

– Ludzkość wciąż musi się wiele nauczyć o tym, jak postępować z innymi gatunkami istot inteligentnych. Ale wy również musicie się wiele nauczyć o tym, jak trzeba postępować z nami. I lepiej, żebyście nauczyli się tego szybko, ponieważ my, ludzie, zamierzamy tu zostać!

Kiedy ambasador Goyle w końcu przestała mówić, w Komnacie Rady zapanowała pełna oszołomienia cisza. Trzej przedstawiciele najpotężniejszego rządu galaktyki popatrzyli na siebie, potem wyłączyli mikrofony i holograficzne projektory, żeby naradzić się na osobności. Z drugiego końca dużego pomieszczenia ambasador Goyle nie była w stanie odczytać wyrazów ich twarzy, ani usłyszeć żadnego z wypowiedzianych przez nich słów bez użycia jakiejś wzmacniającej dźwięk szpiegowskiej technologii. Jednak jasne było, że odbywa się między nimi gorąca dyskusja.

Ta ich debata trwała dobrych kilka minut. W końcu osiągnęli jakiś rodzaj porozumienia i ponownie włączyli swoje mikrofony i holograficzne projektory.

– Pani ambasador, w takim razie, zastosowanie, jakiego rodzaju kar pani proponuje? – zapytała radna asari.

Goyle nie była pewna, czy to pytanie ma szczerą intencję, czy też być może chcą wpędzić ją w jakąś pułapkę. Jeśli zaproponuje zbyt lekką karę, mogą po prostu odprawić ją z kwitkiem i zmusić ludzkość do zaakceptowania pierwotnie postawionych warunków, czego konsekwencje mogły być fatalne.

– Proponuję grzywny pieniężne, rzecz jasna – zaczęła, próbując określić podstawowe minimum, które zdołałyby zaakceptować. Chociaż nie zechciałaby tego w tym momencie przyznać, jednak Goyle doskonale wiedziała, że ważne było również zniechęcenie innych gatunków istot inteligentnych Cytadeli do badań nad sztuczną inteligencją. – Zgodzimy się na wyznaczone sankcje, jednak muszą one być ściśle określone: ograniczone pod względem zakresu, obszaru i czasu trwania. Sprzeciwimy się wszystkim jednostronnym, podejmowanym w sposób pryncypialny działaniom. Rozwój naszego społeczeństwa nie może być powstrzymywany przez zbyt drastyczne restrykcje. Na jutro mogę przygotować zespół negocjatorów Przymierza, którzy pomogą wypracować szczegóły akceptowalnego dla obu stron rozwiązania.

– A co z inspektorami wyznaczanymi do nadzoru wszystkich operacji Przymierza? – zapytał salarianin.

Sformułował to w postaci pytania. Była to bardziej prośba niż rozkaz. Wtedy Goyle zorientowała się, że wygrała. Oni nie byli gotowi, żeby opierać się ze wszystkich sił, ona natomiast była dostatecznie zdeterminowana.

– Do tego nie zamierzamy dopuścić. Podobnie jak inne gatunki, ludzkość jest rasą niezależnych istot. Nie zgodzimy się, żeby obcy nadzorcy patrzyli nam przez ramię na wszystkie drobiazgi, które robimy.

Goyle wiedziała, że zamiast tego prawdopodobnie zwiększą ilość agentów wywiadu, monitorujących wszystkie ludzkie aktywności, ale nic nie mogła na to poradzić. Każdy z gatunków szpiegował wszystkie inne – taka była natura wszelkiej władzy, niezbędny mechanizm każdej politycznej maszyny. Wszyscy wiedzieli, że Rada zajmuje się szpiegostwem i zbieraniem informacji tak samo, jak inni. Jednak wzmożenie aktywności kontrwywiadu Przymierza było o niebo lepszym rozwiązaniem, niż udzielenie nieograniczonego dostępu do wszelkiego rodzaju danych całym stadom oficjalnie wyznaczonych przez Cytadelę obserwatorów.

Nastąpiła kolejna długa chwila ciszy, jednak tym razem członkowie Rady nie naradzali się już między sobą. W końcu milczenie przerwała asari:

– Tak więc ustaliliśmy dalszy tok postępowania. Negocjatorzy obu stron spotkają się jutro. Niniejszym ogłaszam to spotkanie Rady za zakończone.

Goyle skromnie skinęła głową, z trudem zachowując obojętność. Odniosła wielkie zwycięstwo, ale rozkoszowanie się nim nic by jej nie dało. Jednak, kiedy zeszła po schodach prowadzących ze Sceny Petenta i szła w stronę windy, która miała zawieźć ją z powrotem na poziom Prezydium, na jej ustach pojawił się przebiegły, pełen samozadowolenia uśmiech.

.16.

Głos czytającej wiadomości kobiety nigdy nie zmieniał swojego brzmienia, ani nie okazywał żadnych emocji, nawet, kiedy opisywała szczegóły najbardziej doniosłych i poruszających wydarzeń.

– Oprócz grzywny, w ramach kary za pogwałcenie Konwencji Cytadeli, Przymierze dobrowolnie zgodziło się na liczne sankcje handlowe. Większość spośród tych sankcji dotyczy gałęzi przemysłu, zajmujących się wytwarzaniem rdzeni napędu i produkcji pierwiastka zero. Ekonomisci ostrzegają, że na Ziemi ceny energii mogą podskoczyć nawet o dwadzieścia procent w ciągu...

Anderson wyłączył wiadomości za pomocą pilota.

– Myślałam, że będzie o wiele gorzej – powiedziała Kahlee.

– Goyle jest twardym negocjatorem – wyjaśnił Anderson – ale i tak sędzę, że dopisało nam szczęście.

Siedzieli we dwoje na skraju łóżka w jednym z hoteli Hatre'u. Anderson wynajął pokój na swoje nazwisko, jak zawsze obciążając kosztami Przymierze. Dzielenie we dwoje jednoosobowego pokoju wynikało jedynie z potrzeby sytuacji: wciąż nie wspomniał o Kahlee nikomu z dowództwa Przymierza, a mogłoby wydać się podejrzanę, gdyby wynajął drugi pokój... albo chociaż pokój z dwoma łózkami.

– I co teraz będzie? – zapytała Kahlee. – Jakie są nasze dalsze plany?

Anderson wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Oficjalnie rzecz biorąc, dochodzenie stało się sprawą Widm, ale wciąż jest w nim wiele niedokończonych wątków, których Przymierze nie powinno ot tak sobie zostawić.

– Niedokończonych wątków?

– Ty, na przykład. Wciąż nie mamy żadnego solidnego dowodu na to, że nie jesteś zdrajczynią. Musimy zdobyć coś, co pozwoli oczyścić twoją kartotekę. I wciąż nie wiemy, kto był prawdziwym zdrajcą, ani dokąd zabrano doktora Qiana.

– Dokąd zabrano doktora Qiana? Co masz na myśli?

– Ambasador Goyle jest przekonana, że doktor Qian wciąż żyje i jest przetrzymywany gdzieś w niewoli – wyjaśnił Anderson. – Ona uważa, że to właśnie z jego powodu zaatakowano bazę. Jej zdaniem ktoś potrzebował jego wiedzy i umiejętności tak bardzo, że był w stanie zabijać, żeby móc z nich skorzystać.

– To niedorzeczne – upierała się Kahlee. – A co z tym znalezionym przez niego artefaktem obcego pochodzenia? Przecież to był prawdziwy cel tego ataku!

– Na razie nikt inny o tym nie wie – przypomniał jej Anderson. – Tylko ty i ja.

– Sądziłam, że mogłeś przekazać to dalej – powiedziała, spuszczać oczy.

– Nie zrobiłbym czegoś takiego, nie powiedziawszy ci o tym wcześniej – zapewnił ją Anderson. – Jeśli przekazałbym im tego rodzaju informację, od razu chcieliby wiedzieć, skąd ją mam. I musiałbym im powiedzieć o tobie. A myślę, że jeszcze nie jesteśmy na to gotowi.

– Ty naprawdę się o mnie troszczysz – szepnęła.

W jej pełnej przynębnienia reakcji było coś dziwnego, jakby była czymś zakłopotana albo zawstydzona.

– Kahlee? Co się dzieje?

Młoda kobieta wstała z łóżka i przeszła na drugą stronę pokoju. Zatrzymała się tam, wzięła głęboki oddech i odwróciła się twarzą w jego stronę.

– Muszę ci coś powiedzieć – powiedziała ponurym głosem. – Dużo ostatnio o tym myślałam. Od chwili, kiedy opowiedziałeś mi o swoim spotkaniu z Sarenem w Dah'tan.

Nic nie powiedział, tylko skinął głową, żeby mówiła dalej.

– Kiedy po raz pierwszy zobaczyłam cię w domu mojego ojca, nie zaufałam ci od razu. Nawet po tym, jak walczyłeś z tym kroganinem nie byłam pewna, czy postępowałeś wobec mnie tak szlachetnie, ponieważ naprawdę mi wierzyłeś, czy też po prostu chciałeś mnie przeciągnąć na swoją stronę, żebym powiedziała ci wszystko, co wiem o Sidonie.

Anderson prawie otworzył usta, żeby powiedzieć, że ona może mu w pełni zaufać, ale potem zmienił zdanie. Lepiej, żeby sama do tego doszła.

– A potem pojechaliliśmy do Dah'tan i natknąłeś się tam na Sarena i... ja wiem, co tam się naprawdę stało, Davidzie. Wiem nawet to, czego mi nie powiedziałeś.

– O czym ty mówisz? – zaprotestował. – Powiedziałem ci o wszystkim, co się tam wydarzyło!

Potrząsnęła głową.

– Nie o wszystkim. Powiedziałeś, że Saren zastanawiał się, czy cię nie zabić, a potem zmienił zdanie, ponieważ pomyślał, że mogą się pojawić jacyś świadkowie. Ale ty przecież nawet nie wspomniałeś mu o tym, że przyjechałeś tam z kimś jeszcze, prawda?

– Nie musiałem mu tego mówić. Sam do tego doszedł.

– Ale jeśli by do tego nie doszedł, zabiłby cię na miejscu! Woląłeś postawić swoje życie na szali, niż powiedzieć temu Widmu, że jestem w pobliżu!

– Zbyt drobiazgowo i niewłaściwie to interpretujesz – powiedział Anderson, niezręcznie przesuając się na łóżku. – W ogóle nie myślałem o tym, co mam mówić, a potem on po prostu sobie poszedł.

– Jesteś strasznym kłamcą, poruczniku – powiedziała z lekkim uśmiechem. – Ale prawdopodobnie wynika to z tego, że jesteś również dobrym człowiekiem.

– Podobnie jak ty – zapewnił ją.

– Nie – powiedziała, znowu potrząsając głową. – Nie do końca. Nie jestem dobrym człowiekiem. I prawdopodobnie, dlatego potrafię tak dobrze kłamać.

– A więc okłamywałaś mnie? – Anderson usłyszał w głowie słowa ostrzeżenia, wypowiedziane przez Sarena w czasie ich spotkania przy ruinach fabryki Dah'tan. *Ona cię okłamuje. Wie o tym wszystkim dużo więcej, niż ci powiedziała.*

– Wiem, kto był zdrajcą w bazie na Sidonie. Mam na to dowody. I wiem też, w jaki sposób możemy dowiedzieć się, dla kogo to zrobił.

Anderson poczuł się, jakby właśnie został spoliczkowany. Sam nie wiedział, co bolało go bardziej: fakt, że Kahlee go oszukiwała, czy też fakt, że dla Sarena było to oczywiste od samego początku.

– Proszę – powiedziała, widząc po wyrazie jego twarzy, jak bardzo poczuł się zraniony. – Musisz mnie zrozumieć.

– Rozumiem cię – powiedział łagodnie. – Po prostu musiałaś być sprytna i bardzo ostrożna. *A ja byłem zbyt zaślepiiony i zbyt głupi, żeby widzieć, jak rzeczy wyglądają naprawdę.*

Rozwód musiał go kosztować więcej, niż mu się do tej pory wydawało. Był tak zdesperowany i samotny, że wyobraził sobie, że między nim a Sanders istnieje jakaś specjalna więź, podczas, gdy łączył ich tylko fakt, że oboje w jakiś sposób powiązani byli z atakiem na bazę Przymierza. Poświęcając wszystko, żeby być jak najlepszym żołnierzem, zrujnował swoje małżeństwo. Teraz, kiedy już był po rozwodzie, pozwolił, żeby jego uczucia wpływały na sposób, w jaki wykonywał swoje zadanie. Cyntia na pewno śmiałaby się z pokrętej ironii tej sytuacji.

– Miałam zamiar ci o tym powiedzieć – przekonywała go Kahlee. – Tej pierwszej nocy. Po tym, jak obroniłeś nas przed kroganinem. Grissom ostrzegł mnie, żebym tego nie robiła.

– Ale jemu o tym powiedziałaś.

– On jest moim ojcem!

Jest człowiekiem, którego właściwie nie znasz, pomyślał Anderson, ale nie powiedział tego na głos. Logicznie rzecz biorąc rozumiał, czemu postąpiła w ten sposób, ale ani trochę nie umniejszało to siły tego bolesnego ukłucia zawodu. Wykorzystała go. Bawiła się nim w ciągu

całego dochodzenia, wydzielając mu dla odwrócenia uwagi małe dawki informacji – tak, by nie poznał całej prawdy. Od początku znała odpowiedzi, których tak długo poszukiwał.

Anderson wziął długi, głęboki oddech i udało mu się zapanować nad swoimi emocjami. Nie było sensu dłużej się nad tym rozwodzić. Było już po wszystkim. Sprawa zamknięta. Myślenie o tym, jak Kahlee nim manipulowała, w żaden sposób nie pomoże mu w wykonaniu zadania. Nie pomoże też pomścić wszystkich tych, którzy zginęli na Sidonie.

– Więc, kto jest tym zdrajcą? – zapytał, wystudiowanie obojętnym tonem głosu.

– Doktor Qian. To chyba oczywiste.

Anderson nie mógł w to uwierzyć.

– A więc twierdzisz, że jeden z najbardziej szanowanych i wpływowych naukowców Przymierza zdradził i pomógł wymordować członków osobiście przez siebie zebranego zespołu? Dlaczego?

– Przecież już ci na to pytanie odpowiedziałam! Obawiał się, że projekt zostanie zamknięty. Musiał jakoś się zorientować, że zamierzam na niego donieść. Więc uznał, że będzie mógł dalej studiować tą odkrytą przez siebie obcą technologię tylko pod warunkiem, że zniszczy całą placówkę i zwali winę na mnie!

– Naprawdę myślisz, że byłby w stanie z tego powodu posunąć się do masowego mordu? – Anderson wciąż był sceptyczny. – Z powodu badań naukowych?

– Powiedziałam ci wcześniej, że sprawiał wrażenie kogoś ogarniętego jakąś obsesją, pamiętasz? To go zmieniło. On... on zaczął myśleć, jak ktoś zupełnie inny, obcy.

Podeszła do niego i uklękła przed nim na jedno kolano, po czym chwyciła go za opuszczone wzdłuż ciała dłonie.

– Wiem, że trudno ci mi uwierzyć po tym, jak tyle przed tobą zataiłam. Ale Qian był naprawdę nieobliczalny. Dlatego postanowiłam na niego donieść – wyjaśniła.

– Wiedziałam, że dużo ryzykuję – ciągnęła dalej. – Ale nie zdawałam sobie sprawy z powagi sytuacji, aż do chwili, kiedy dowiedziałam się o zniszczeniu bazy. Dopiero wtedy zrozumiałam, jak bardzo niebezpiecznym człowiekiem stał się doktor Qian, jak daleko mógł się posunąć. Byłam tym przerażona!

Jej reakcje były w pełni zrozumiałe, ale Anderson nie chciał tego wysłuchiwać. W każdym razie nie teraz. Wstał, oswobodził się z uścisku jej dłoni i przeszedł na drugą stronę pokoju. Chciałby móc jej uwierzyć, ale wszystko to wyglądało dosyć nieprawdopodobnie. Czy szanowany naukowiec i wykładowca mógł nagle zmienić się w potwora, zdolnego do wyrznięcia swoich przyjaciół i współpracowników, z powodu jakiegoś wykonanego wieki temu przez obcą rasę urządzenia?

– Powiedziałaś, że masz na to jakiś dowód? – zapytał, odwracając się do niej twarzą.

Wyjęła z kieszeni małą optyczną dyskię i podniosła ją do góry.

– Skopiowałam jego prywatne dokumenty. Na wypadek, gdybym musiała się z kimś targować – rzuciła mu dyskietkę, a on złapał ją bardzo ostrożnie, obawiając się, że mógłby ją uszkodzić. – Przekaż ją dowództwu Przymierza. Są na niej dowody na to, że mówię prawdę.

– Dlaczego, po prostu nie dałaś mi tego wcześniej?

– Nie wiedziałam, czy Qian działał na własną rękę. Ma w Przymierzu znaczne wpływy i znajomości, zna osobiście wszystkich polityków i admirałów. Gdybym dała ci tę dyskietkę, a ty przekazałbyś ją komuś, kto był z nim w zмовie... – nie dokończyła zdania. – Dlatego ci o tym nie powiedziałam, Davidzie. Musiałam być stuprocentowo pewna.

– Ale dlaczego zrobiłaś to teraz? Co się zmieniło?

– Masz w Przymierzu ludzi, którym ufasz. A ja w końcu uznałam, że mogę zaufać tobie.

Wsunął dyskietkę do kieszonki koszuli i z powrotem usiadł obok niej na łóżku.

– Powiedziałaś też, że wiesz, w jaki sposób można ustalić, z kim współpracował Qian?

– Wszystkie jego prywatne dokumenty z Sidonu, są na tej dyskietce – odparła. – Duża część z nich to notatki na temat tych dodatkowych badań. Rzeczy, które zachowywał tylko dla siebie. Nie mogłam tuż przed ucieczką włamać się do wszystkich. Ale na pewno są tutaj udokumentowane wszystkie rozliczenia finansowe. Trzeba je dekodować i prześledzić wszystkie transakcje aż do ich źródeł, co być może doprowadzi nas do tego, kto fundował całą tę operację.

Anderson ze zrozumieniem pokiwał głową.

– Po prostu trzeba iść wzdłuż strumienia pieniędzy.

– Dokładnie.

Przez chwilę, w milczeniu siedzieli obok siebie na skraju hotelowego łóżka, nie odzywając się do siebie i nie odsuwając się od siebie. Anderson wykonał pierwszy ruch... wstał z łóżka i podszedł do wieszaka po swoją marynarkę.

– Musimy dostarczyć te dane ambasador Goyle – powiedział. – To oczyści twoje imię i pozwoli nam się dowiedzieć, z kim współpracował doktor Qian.

– Co dalej? – zapytała, energicznie wstając z łóżka po swoją kurtkę. – Co zrobimy potem?

– Potem zacznę ścigać tego, kto stał za atakiem na Sidon. Ale zrobię to już bez ciebie.

Kahlee znieruchomiała z jedną ręką w rękawie swojej kurtki.

– Co ty wygadujesz?

Wciąż bolało go, że przez tak długi czas mu nie ufała, ale nie dlatego to zrobił. Jego zranione uczucia były jego własnym problemem, nie jej. Ona po prostu zrobiła wszystko, żeby przetrwać całe to zamieszanie, a on, szczerze mówiąc, nie miał prawa jej za to winić. To nie była jej wina, że pozwolił sobie na emocjonalne zaangażowanie. Ale teraz tylko on sam był odpowiedzialny za to, żeby coś takiego już nigdy więcej się nie powtórzyło.

– Ten kroganin wciąż cię szuka. Musimy przygotować się do wywiezienia cię z tej planety w jakieś inne miejsce, w którym będziesz bezpieczna.

– Poczekaj chwilę! – zaprotestowała ze złością. – Nie możesz tak po prostu mnie teraz zostawić! To moi przyjaciele zginęli na Sidonie! Mam prawo i obowiązek uczestniczyć w tym aż do końca!

– Teraz zrobi się naprawdę ostro – powiedział. – Jesteś człowiekiem Przymierza, ale oboje zdajemy sobie sprawę z tego, że nie jesteś żołnierzem. Jeśli się do mnie przyłączysz, to tylko mnie spowolnisz, albo będziesz mi wręcz zawadzać.

Patrzyła na niego z wyrzutem, ale najwyraźniej nie potrafiła znaleźć żadnych sensownych kontrargumentów.

– Zrobiłaś już to, co do ciebie należało – dodał, stukając dłonią w schowaną w kieszeni dyskiętkę. – Wykonałaś już swoją część roboty. Ale moja dopiero się zaczyna.

* * *

– To niedopuszczalne! – wrzasnął doktor Shu Qian.

– Te rzeczy potrzebują czasu – odparł Edan Had'dah, mając nadzieję jakoś go uspokoić. Od rana obawiał się tego spotkania.

– Czasu? Jakiego czasu? Na co? Przecież nic nie robimy!

– Tu na Camali jest Widmo! Musimy poczekać, aż da sobie spokój i opuści planetę.

– A jeśli nie zrezygnuje z poszukiwań? – zapytał Qian, teraz jego głos przeszedł już w pisk.

– Zrezygnuje. Po zniszczeniu Sidonu i Dah'tan nie zostało już nic, co pozwalałoby łączyć moje nazwisko z tą sprawą. Musimy być cierpliwi. On w końcu odleci.

– Obiecał mi pan, że będę mógł kontynuować moje badania! – warknął Qian, zorientowawszy się, że temat Widma nie daje mu zbyt dużych możliwości do narzekania. – Nie mówił mi pan przedtem, że będę tracił swój cenny czas, tkwiąc w bebechach jakiejś obmierzłej rafinerii!

Wolną ręką batarianin pomasażował miejsce nad wewnętrzną parą oczu, próbując powstrzymać rodzący się ból głowy. Ludzie w ogólności byli bardzo męczący. Uważał ich za niepotrzebnie hałaśliwy, grubiański i chamski gatunek. Jednak jego osobiste relacje z doktorem Qianem, okazały się szczególną udawką.

– Skonstruowanie takiego laboratorium, jakiego pan potrzebuje, to naprawdę trudne zadanie – przypomniał jęczącemu doktorowi. – Samo dostosowanie sprzętu na Sidonie zajęło panu wiele miesięcy, a tym razem będziemy zaczynać od zera.

– Nie mielibyśmy tego problemu, gdyby nie uznał pan za stosowne zniszczyć mojego laboratorium i fabryki naszego dostawcy! – oskarżył go Qian.

Prawdą mówiąc, to Qian wpadł na pomysł zniszczenia bazy Przymierza. Kiedy tylko zorientował się, że Kahlee Sanders zniknęła, skontaktował się z Edanem i zażądał, żeby jego batariański wspólnik przystąpił do działania. I sam dostarczył

plany placówki i kody dostępu do bazy.

– Nie mogliśmy pozwolić na to, żeby dokumenty księgowe Dah'tan wpadły w ręce tego Widma – wyjaśnił Edan, co najmniej po raz dziesiąty. – Poza tym, są jeszcze inni dostawcy. Moi ludzie już pracują nad budową pańskiego nowego laboratorium. Powstaje ono daleko za granicami Przestrzeni Cytadeli, z dala od ciekawskich oczu Rady. Nie możemy jednak nabyć wszystkiego, czego potrzebujemy, na drodze jednego, ogromnego zakupu. Wtedy na pewno zwrócilibyśmy na siebie ich uwagę.

– Ale wy już przyciągnęliście ich uwagę! – wrzasnął człowiek, wracając jeszcze raz do tematu Widma.

Qian był niezwykle pobudzony od czasu ataku na Sidon. Z każdym mijającym dniem jego poirytowanie wzrastało, stawał się coraz bardziej zaczepny i paranoiczny w swoich sądach. Na początku Edan myślał, że zachowuje się tak z powodu dręczącego go poczucia winy, że zdrada własnej rasy doprowadziła doktora do tak nagłego umysłowego rozstroju. Jednak po niedługim czasie zorientował się, że prawdziwą przyczyną tego stanu ducha ekscentrycznego naukowca było coś zupełnie innego.

Qian miał obsesję na punkcie artefaktu obcego pochodzenia. Tylko on go tak naprawdę obchodził, myślał o nim dzień i noc. Zdawało się, że doktor odczuwa rzeczywisty fizyczny ból, kiedy nie może pracować nad rozszyfrowaniem jego tajemnic.

– To Widmo nas teraz szuka – chrapliwym szeptem ostrzegł go doktor. – A tak prawdę mówiąc, on szuka właśnie *tego!*

Nie musiał precyzować, co miał na myśli. Jednak praktycznie niemożliwe było, żeby ktoś natknął się na ten artefakt przez przypadek – wciąż znajdował się tam, gdzie odnalazł go jeden z oddziałów Edana, eksplorujących odległe zakątki przestrzeni kosmicznej, orbitując, nad nie naniesioną na mapy planetą w odległym systemie, gdzieś w okolicy Mgławicy Perseusza. Jego położenie znali tylko oni dwaj i niewielki zespół badaczy, który się na niego natknął, a Edan zadbał, żeby jego wysłannicy pozostali na powierzchni nienazwanej planety, w zupełnej izolacji od reszty wszechświata.

Gdyby Edan wcześniej wiedział, jak bardzo nieracjonalnie może zachowywać się ten przeklęty doktor, zaaranżowałyby wszystko zupełnie inaczej. Jednak, prawdę mówiąc, w tej trudnej sytuacji nie tylko Qian zachowywał się irracjonalnie. Dawniej Edan ściśle przestrzegał zasady, by nigdy nie wchodzić w żadne bezpośrednie układy z ludźmi. W ciągu wszystkich tych długich lat, kiedy, nie zawsze zgodnie z prawem, budował swoją fortunę i swoje małe imperium, nigdy nie zrobił nic takiego, co mogłoby zwrócić uwagę Widm.

Jednak, prawie od samego początku, od chwili, kiedy udał się obejrzeć niezwykle znalezisko swojej ekspedycji badawczej, zaczął zachowywać się inaczej, niż do tej pory. Ci, którzy znali go wcześniej, mogliby uznać jego kolejne decyzje za skrajnie niezgodne z jego charakterem i życiową postawą. Jednak takimi sądami mogli szafować jedynie ci, którzy nie zdawali sobie sprawy z ogromnej wartości i przełomowego znaczenia tego odkrycia.

– To nie jest tam bezpieczne – kontynuował Qian, teraz jego głos brzmiał jak błagalne skomlenie. – Powinniśmy to przemieścić. Gdzieś bliżej.

– Niech pan nie będzie głupi! – warknął Edan. – Czegoś tej wielkości nie można tak po prostu przenieść do innego systemu! Chyba, że użylibyśmy statków holowniczych, a w tak bliskiej odległości od Mgławicy, na pewno przyciągnęłoby to uwagę gethów! Czy może sobie pan wyobrazić, co by się stało, gdyby to wpadło w ich ręce?

Qian nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, co i tak nie zamknęło mu ust.

– Więc zostawmy to tam, gdzie jest – powiedział tonem cynicznym i sarkastycznym zarazem. – Podczas, gdy pańscy tak zwani eksperci gniją na powierzchni tamtej planety usiłując pojąć, co właściwie znaleźli na jej orbicie, ja utknąłem tutaj, zmuszony do tej idiotycznej bezsilności!

W zespole ekspedycji badawczej, który odkrył tajemniczy artefakt, było paru naukowców. Głównym celem wyprawy było poszukiwanie nie odkrytych dotąd tworów proteańskiej technologii – Edan, rzecz jasna miał nadzieję, że jego imperium się na tym wzbogaci. Jednak żaden z tych naukowców nie był specjalistą w dziedzinie sztucznej inteligencji. Qian miał rację, mówiąc, że przekraczało to ich kompetencje, a nawet zdolności pojmowania.

Edan przez długi czas usilnie poszukiwał kogoś posiadającego wiedzę, która pozwoliłaby mu poznać potencjalne możliwości znaleziska. Po wydaniu milionów kredytów na bardzo intensywne – i równie dyskretne – poszukiwania, przyparty do muru musiał pogodzić się z faktem, że jedynym odpowiednim kandydatem był ten człowiek.

Zapominając o swojej dumie, kazał swoim przedstawicielom zacząć ostrożnie przybliżać się do Qiana. Powoli wprowadzali doktora coraz głębiej w istotę sprawy, odwołując się do jego zawodowej dumy i przyrodzonej, naukowej ciekawości, odsłaniaли jedynie drobne, najbardziej kuszące szczegóły odkrycia. Te dziwaczne zaloty trwały przez ponad rok, a ich kulminacją była wizyta Qiana w odległym systemie, kiedy na własne oczy, po raz pierwszy zobaczył odnaleziony po tysiącach lat artefakt.

Efekty tej wizyty było dokładnie takie, jak przewidywał Edan. Qian rozpoznał i zrozumiał, co odkryli. Zdał sobie sprawę z tego, że znalezisko znacznie przekraczało zakres sporów między ludźmi a batarianami. Rozpoznał w nim olbrzymi potencjał, możliwość fundamentalnych zmian w skali całej galaktyki. I oddał się w całości wysiłkom, mającym na celu urzeczywistnienie tego potencjału.

Ale w takie dni jak ten, Edan zastanawiał się, czy nie popełnił wtedy błędu.

– Pańscy ludzie to idioci – skonstatował Qian. – Doskonale zdaje pan sobie sprawę z tego, że nie są w stanie osiągnąć żadnego znaczącego postępu bez mojej pomocy. Ledwo udaje im się wykonać podstawowe odczyty i zebrać proste dane badawcze bez jakichś głupich błędów.

Batarianin westchnął.

– To potrwa tylko jakiś czas. Dopóki to Widmo się nie wycofa. Wtedy będzie miał pan wszystko, czego pan chce. Nieograniczony dostęp do artefaktu, laboratorium na powierzchni tamtej planety, pełne zaopatrzenie i odpowiednią asystę.

– Hmm! – prychnął Qian. – To by mogło nam znacznie pomóc. Potrzebuję specjalistów z tego zakresu. Ludzi na tyle inteligentnych, żeby byli w stanie w ogóle pojąć, czym się zajmujemy. Takich ludzi jak moi pracownicy z placówki na Sidonie.

– Ci ludzie nie żyją! – wrzasnął Edan, w końcu tracąc cierpliwość. – Sam pan pomógł ich zabić, pamięta pan? Zamieniliśmy ich w popiół!

– Nie wszystkich – powiedział Qian z uśmiechem na twarzy. – Kahlee Sanders wciąż żyje.

Edan z zaskoczenia zamilkł na dłuższą chwilę.

– Znam jej możliwości – nalegał Qian. – Potrzebuję jej przy tym projekcie. Bez niej będziemy mieć kilkumiesięczne opóźnienie, być może nawet kilkuletnie.

– Więc może powinniśmy natychmiast wysłać do niej zaproszenie? – sarkastycznie spytał Edan. – Na pewno z ekscytacją przyjmie naszą propozycję.

– Nie powiedziałem, że będziemy składać jej jakąkolwiek propozycję – odparł Qian. – Po prostu sobie weźmiemy i w jakiś sposób nakłonimy, żeby nam pomogła. Jestem pewien, że ma pan ludzi, którzy potrafią być bardzo przekonujący. Proszę się tylko upewnić, że w żaden sposób nie uszkodzą jej zdolności poznawczych.

Edan pokiwał głową. Być może doktor nie był tak nieracjonalny, jak mu się wcześniej wydawało. Mimo to, mieli do rozwiązania jeszcze jeden problem.

– A w jaki sposób mielibyśmy ją znaleźć?

– Nie mam pojęcia – Qian wzruszył ramionami. – Jestem pewien, że pan coś wymyśli. Może jeszcze raz trzeba wysłać na jej poszukiwania tamtego kroganina.

.17.

Już po raz drugi w ciągu ostatnich tygodni, ambasador Goyle kroczyła przez zielone pola Prezydium na spotkanie z Radą Cytadeli. Kiedy ostatnio pokonywała tę drogę, była wezwana przez Radę, by wytłumaczyć się z pogwałcenia przez ludzkość Konwencji Cytadeli. Jednak tym razem to ona poprosiła o audiencję.

Tak jak poprzednio, minęła migoczące wody jeziora, które znajdowało się pośrodku tej sielskiej scenerii. I znowu minęła replikę przekaźnika masy. Jednak tym razem, kiedy wjeżdżała windą na szczyt Wieży Cytadeli, pozwoliła sobie na podziwianie widoków.

Podczas ostatniej swojej tutaj wizyty odniosła zwycięstwo, opierając się woli Rady. Ale służąc przez tak wiele lat w dyplomacji, nauczyła się między innymi tego, że pokaz siły nie był jedynym sposobem osiągnięcia założonego celu. Na przestrzeni całej znanej galaktyki, Przymierze zdążyło już zyskać sobie reputację organizacji z natury wrogiej i agresywnej. Jej ostatni występ bez wątplenia tylko ugruntował to przekonanie w umysłach członków Rady. Jednak dzisiaj zamierzała pokazać im ludzkość od innej strony.

Wjechała na szczyt wieży, wyszła z windy, minęła wyprężonych na baczność gwardzistów i weszła po schodach prowadzących na Scenę Petenta. Po drugiej stronie komnaty, członkowie Rady właśnie pojawili się gdzieś spoza platformy i zajmowali swoje miejsca. Ich ruchy pełne były dostojnej precyzji.

Właściwe odczytywanie mowy ciała przedstawicieli innych gatunków było trudną sztuką, jednak ambasador Goyle po latach praktyki osiągnęła w niej wyjątkową biegłość. Sądząc po sztywności i oficjalności postawy ich ciał, spodziewali się, że spotkanie to będzie równie nieprzyjemne, jak poprzednie. W duchu uśmiechnęła się do samej siebie. Tego na pewno się po niej nie spodziewali. Zaskoczenie ich i wytrącenie z równowagi na samym początku spotkania, dawało jej przewagę w późniejszych negocjacjach.

– Witamy panią, ambasador Goyle – przywitała ją radna asari, kiedy już usiedli na swoich miejscach i włączyli mikrofony oraz holograficzne projektory.

– Dziękuję, że zgodziliście się ze mną spotkać, szanowni członkowie Rady – odpowiedziała.

– Pomimo pewnych nieporozumień w czasie ostatniej audiencji, wciąż pozostajecie członkami społeczności Cytadeli – stwierdził turianin. – I w żadnym razie, nie zamierzamy podważać waszego prawa do widzenia się z nami, pani ambasador.

Goyle zrozumiała subtelne implikacje jego słów i tonu jego głosu. Nie żywili urazy. Byli ponad małostkową złością. Ich intencje były czyste, a sądy bezstronne. Zgadzając się na spotkanie z nią, dowodzili jedynie, że rasy Rady były moralnie wyższe i bardziej cywilizowane od ludzi.

– Jaki jest cel tej audiencji? – zapytała asari, znacznie bardziej neutralnym tonem. Chociaż mogła uważać się za zwierzchniczkę turianina, to o wiele lepiej od niego maskowała swoje prawdziwe odczucia. Takie przynajmniej wrażenie odnosiła Goyle.

– W czasie naszego ostatniego spotkania stwierdziliście, że ludzkość musi się nauczyć stosować w praktyce filozofię wzajemnie korzystnej koegzystencji – powiedziała. – Przyszłam tu dzisiaj po to, by udowodnić wam, że wasze słowa do nas dotarły.

– A jak mianowicie zamierza to pani zrobić? – zapytał salarianin.

– Przyniosłam ze sobą podarunek dla Rady.

– Wydaje się pani, że można kupić naszą przychylność, pani ambasador? – ostrym tonem zapytał turianin.

Dokładnie takiej reakcji z jego strony spodziewała się Goyle. Gdyby udało jej się spowodować, żeby w tej sytuacji to członkowie Rady zdawali się sprawiać więcej trudności, to bardziej prawdopodobne byłoby, że w końcu ulegną jej żądaniom.

– Nie chciałam nikogo obrazić – pokornie przeprosiła, uśmiechając się w głębi duszy. – To nie jest forma przekupstwa, a raczej dar naszej wolnej woli.

– Proszę mówić dalej – poprosiła asari. Z całej trójki, Goyle najtrudniej było ją rozgryźć. Nie przez przypadek również, ambasador miała najmniejsze zaufanie do swojej zdolności manipulowania opiniami tej enigmatycznej członkini Rady.

– Zdaję sobie sprawę z tego, że na Sidonie ludzkość popełniła poważny błąd. Błąd, którego szczerze żałujemy. Żeby to jakoś naprawić, chciałabym zaoferować Radzie kopie wszystkich tajnych dokumentów z zakresu badań prowadzonych w bazie na Sidonie.

– To jest... bardzo wspaniałomyślny dar – po chwili wahania powiedział salarianin. – Mogę zapytać, dlaczego chcecie się z nami dzielić tymi informacjami?

– Być może nasze badania okażą się użyteczne dla reszty galaktycznej społeczności. Może nawet przyczynią się do nawiązania pokojowych stosunków z gethami.

– Wydawało nam się, że cała dokumentacja została zniszczona w czasie ataku – podejrzliwie powiedział turianin.

Goyle spodziewała się takiej właśnie reakcji. Prawdopodobnie uważali, że dokumenty zostały podrobione, a przynajmniej oczyszczone z kluczowych danych, lub w ten czy inny

sposób ocenzone. Jednak sami bez trudu będą w stanie stwierdzić, czy zostały sfałszowane. Po dokładnym przejściu wszystkich plików ambasador zdecydowała się, w całości przekazać je Radzie. Nie było w nich nic bardziej obciążającego od tego, co wiedzieli już do tej pory. Co najwyżej dokumenty te mogły zdjąć część odpowiedzialności z Przymierza, udowadniając im, że Qian działał poza oficjalnie wyznaczonym zakresem działań.

– Porucznik Kahlee Sanders, której udało się przeżyć atak, skopiowała te dokumenty przed zniszczeniem bazy.

Teraz, kiedy Qian współpracował z batarianami, przekazanie wyników jego badań w ręce czołowych ekspertów stowarzyszonych ras, wydawało się najrozsądniejszym rozwiązaniem. Dzięki temu będą chcieli się odwzajemnić, broniąc Przymierza w wypadku, gdyby batarianie chcieli wykorzystać pracę Qiana do stworzenia sztucznej inteligencji, służącej do zniszczenia ludzkości. Poza tym, eksperci Przymierza, którzy przeglądali te dokumenty zapewnili ją, że praktycznie całe badanie pozostawało na poziomie czysto teoretycznym. Potrzeba było lat, a może nawet dziesięcioleci, zanim te abstrakcyjne szeregi algorytmów będą mogły znaleźć praktyczne zastosowanie.

– W danych tych wspomina się, o niezidentyfikowanym wytworze starożytnej technologii obcego pochodzenia, odkrytym gdzieś poza granicami Przestrzeni Cytadeli – poinformowała ich Goyle.

– Jakiego rodzaju to technologia? – zainteresował się salarianin.

– Nie wiemy tego – przyznała. – Najwyraźniej ma to jakiś związek z syntetyczną inteligencją, ale poza tą wzmianką, Qian świadomie powstrzymywał się od podawania jakichkolwiek szczegółów. Z jego notatek jasno wynika, że jego zdaniem artefakt ten znacznie przewyższa pod względem technicznym wszystkie bieżące osiągnięcia zamieszkujących Przestrzeń Cytadeli gatunków.

– Czy zostało to stworzone przez protean? – zapytała asari.

– Z notatek Qiana wynika, że raczej nie. Z drugiej strony, jak wspomniałam, nie znamy szczegółów tego odkrycia. Jednak mamy pewne wskazówki wskazujące na to, że zdaniem doktora mogłoby być ono wykorzystane w jakimś związku z gethami.

– Z gethami? – natychmiast zapytał Salarianin. – W jaki sposób?

– To nie jest do końca jasne. Być może uważa, że mogłoby mu ono, w jakiś sposób umożliwić komunikowanie się z nimi. A może nawet kontrolowanie ich. Mamy zbyt mało informacji, żeby móc stwierdzić to na sto procent. Sądzymy jednak, że technologia ta niesie za sobą poważne zagrożenie. Nie tylko dla Przymierza, ale dla całej galaktyki.

– I waszym zdaniem ten, kto zaatakował Sidon, jest teraz w jej posiadaniu? – zapytał salarianin.

– Tak, to jest możliwe – odparła z wahaniem. – Wszystko wskazuje na to, że przedmiot, o którym mówimy, nigdy nie znajdował się bezpośrednio na Sidonie. Notatki Qiana są trochę... enigmatyczne.

– Sugeruje pani, że był umyślowo niezrównoważony? – zapytała asari.

– Owszem, istnieją dowody potwierdzające tę tezę.

– Więc, czy możemy być pewni, że ta technologia rzeczywiście istnieje? – dopytywał się salarianin. – Być może ścigamy jedynie złudzenie szaleńca?

– Jednak, jeśli ten artefakt istnieje naprawdę – ostrzegła ich. – nie możemy popełnić błędu zignorowania tego faktu.

– Musimy odnaleźć osoby odpowiedzialne za atak na Sidon – zgodził się turianin. – Zanim rozprzestrzenią tą technologię po całej galaktyce!

– Powinniście zacząć od Edana Had'daha. To batarianin z Camali. Porucznik David Anderson, człowiek, którego wysłaliśmy żeby przeprowadził dochodzenie w tej sprawie, uważa, że to właśnie on stał za tym atakiem. Wasi pracownicy będą mogli to potwierdzić, kiedy prześlemy wam wszystkie dokumenty.

Nastąpiła krótka przerwa, w czasie, której członkowie Rady naradzili się przy wyłączonych mikrofonach i projektorach holograficznych.

– Przekażemy te informacje prowadzącemu dochodzenie w tej sprawie agentowi WiDMO – poinformował ją salarianin, kiedy skończyli naradę.

– Rada jest winna pani wdzięczność za przedstawienie nam tej sprawy – powiedziała asari.

– Przymierze nie zamierza sprzeciwiać się Radzie – wyjaśniła Goyle. – Wciąż jesteśmy nowymi aktorami na galaktycznej scenie, ale zależy nam, by okazać naszą szczerą chęć współpracy i zgodnego współzycia, z innymi gatunkami istot inteligentnych Cytadeli.

Widziała po wyrazach ich twarzy, że przeciagnęła ich na swoją stronę. Teraz nadszedł czas, by uderzyć.

– Kahlee Sanders, pracownica naukowa, która uciekła z Sidonu, ukrywa się w tym momencie na Camali – kontynuowała, natychmiast przechodząc do prośby, którą teraz musieli spełnić. – Mamy powody sądzić, że jej życie jest w niebezpieczeństwie, dopóki pozostaje na tej planecie. Przymierze chciałoby dostać pozwolenie na jej ewakuację. Jeden z naszych okrętów wylądowałby na powierzchni Camali, gdzieś z dala od oficjalnych lądowisk tamtejszych portów i wzięłby ją bezpiecznie na swój pokład.

– To uzasadniona i możliwa do zrealizowania prośba – po chwili zastanowienia powiedział turianin. – Rada może wynegocjować z batariańskimi władzami zgodę na to lądowanie.

– Mam do przedstawienia Radzie jeszcze jedną prośbę – dodała ambasador Goyle, stosując jedną z podstawowych, choć jednocześnie najbardziej skutecznych, technik negocjacyjnych: najpierw małe tak, potem duże. Skłonienie kogoś do niewielkiego ustępstwa, tworzy w

kontaktach z nim klimat porozumienia i współpracy. Potem można przystąpić do negocjowania poważniejszych żądań.

– Porucznik Anderson, oficer Przymierza, który ustalił, że to Edan Had'dah jest odpowiedzialny za atak na naszą placówkę, także jest w tej chwili na Camali.

– I chcielibyście go również stamtąd ewakuować? – zgadł salarianin.

– Prawdę mówiąc chcielibyśmy, żeby towarzyszył waszemu Widmu w pościgu za Edanem Had'dah.

– Dlaczego? – zapytała asari. Goyle nie była pewna, czy zadając to pytanie, kierowała się podejrzliwością, czy zwykłą ciekawością.

– Z kilku powodów – przyznała ambasador. – Sądzymy, że doktor Qian może wciąż pozostawać przy życiu. Gdyby został pojmany, chcielibyśmy, żeby stanął przed sądem Przymierza, by odpowiedzieć za zamordowanie naszych ludzi na Sidonie. Poza tym, uważamy, że mogłoby to stanowić świetną lekcję pogładową dla porucznika Andersona. Reputacja Widm jest powszechnie znana. Są przedstawicielami Rady i strażnikami Przestrzeni Cytadeli. Praca u boku waszego agenta mogłaby pomóc porucznikowi lepiej zrozumieć metody, jakich Widma używają do ochrony międzygwiazdznego pokoju i stabilności galaktyki.

Na chwilę zawahała się i przestała mówić, żeby jak najlepiej sformułować kolejny argument. Ta prośba mogła odnieść skutek odwrotny do zaplanowanego, ale jej przedłożenie było właściwym celem tej audiencji. Prawdopodobnie zresztą członkowie Rady zdążyli już dojść do tego wniosku na własną rękę.

– Mamy też nadzieję, że wasz agent mógłby rzetelnie ocenić zachowanie i skuteczność działań porucznika Andersena, w czasie wykonywania tego zadania. I jeśli ta ocena okazałaby się korzystna, to być może byłaby możliwość, by uznać porucznika za odpowiedniego kandydata na Widmo.

– Przyjmowanie kogoś do grona Widm to bardzo długi i skomplikowany proces – zaprotestował turianin. – Przechodzący go osobnicy muszą najpierw wykazać się wzorową długoletnią służbą wojskową lub wywiadowczą, zanim w ogóle rozpatrzy się, czy mogą dostąpić tego zaszczytu.

– Porucznik Anderson służył w oddziałach Przymierza przez prawie dziesięć lat – zapewniła ich ambasador. – Ukończył elitarny program szkoleniowy operacji specjalnych N7. Przez cały okres służby zebrał wiele pochwał, zaszczytnych medali i wyróżnień. Mogę dostarczyć Radzie jego akta w każdej chwili.

– Kandydaci muszą przejść serię rygorystycznych oszacowań – wyjaśnił salarianin, znajdując kolejny powód do sprzeciwu. – Ocenia się ich przeszłość, konstrukcję psychiczną, skłonności i zdolności. Zwykle proces przygotowań obejmuje także wieloletni okres terminowania u wybranego mistrza i ćwiczenia polowe.

– Nie proszę o to, byście od razu przyznali mu status Widma – wyjaśniła ambasador. – Proszę jedynie o to, byście pozwolili mu towarzyszyć Sarenowi w czasie wykonywania tego zadania i ocenili jego zdolności, by potem móc stwierdzić, czy nadaje się do tej roli.

– Wasz gatunek jest nowym członkiem naszej społeczności – powiedziała asari, w końcu nazywając po imieniu rzecz, wokół której wszyscy przez długi czas płasali cicho na paluszkach. Teoretycznie rzecz biorąc, Widmem mógł zostać przedstawiciel każdego z gatunków Cytadeli. Jednak w praktyce prawie zawsze Widma wybierano spośród ras Rady.

Ta predylekcja była w pełni zrozumiała, dając przedstawicielom danych gatunków bezpośredni dostęp do Rady, razem z upoważnieniem do działania poza granicami galaktycznego prawa, w razie uzasadnionej konieczności rzecz jasna. W jakiś sposób wyróżniało się te gatunki i potwierdzało ich duże znaczenie wśród innych. Uczynienie ludzi agentami WiDMO byłoby równoznaczne z rozesłaniem po całej galaktyce wiadomości stwierdzającej, że Rada uważa ludzi za gatunek równy turianom, salarianom i asari. Co nie było zbyt oddalone od prawdy, dlatego właśnie ambasador Goyle usiłowała to na nich wymóc.

– Wiele gatunków istot inteligentnych było częścią Cytadeli przez długie stulecia, a mimo to, żadne z Widm nie pochodziło z ich grona – kontynuowała asari.

– Spełnienie waszej prośby mogłoby spowodować wśród nich uzasadnione resentymy.

– Jestem pewna, że podobne resentymy spowodowało wśród nich przystąpienie turian do bezpośredniego uczestnictwa w Radzie – ambasador Goyle udzieliła natychmiastowej riposty.

– Ta sytuacja miała miejsce w bardzo szczególnych warunkach – wtrącił się salarianin, lojalnie stając po stronie turiańskiego radnego. – Turianie mieli zasadniczy wpływ na zakończenie Rebelii Krogańskich. Uratowali wtedy życie miliardów istot.

Mieli też flotę prawie tak potężną, jak floty asari i salarian wzięte razem, w myślach dodała Goyle, ale odezwała się innymi słowami.

– W czasie naszego ostatniego spotkania powiedzieliście, że ludzkość musi wykazać się gotowością do poświęceń dla dobra innych. Mogłam targować się o to ustępstwo, używając jako karty przetargowej danych z Sidonu, ale zdecydowałam się oddać je wam dobrowolnie, właśnie dla dobra ogółu. Teraz natomiast, oferuję wam wsparcie jednego z najlepszych żołnierzy Przymierza w zażegnaniu niebezpieczeństwa, które mimowolnie pomogliśmy stworzyć. W zamian proszę was tylko o to, żebyście rozpatrzyli, czy porucznik może być ewentualnym kandydatem na Widmo.

Rada nie udzieliła natychmiastowej odpowiedzi. Ambasador zdawała sobie sprawę z tego, że wciąż do końca jej nie ufali, prawdopodobnie z powodu jej trochę beczelnego zachowania w czasie ostatniej audiencji. Ale był czas na polityczne gierki, i był czas na okazanie uległości. Musiała pokazać im, że Przymierze chce pracować również dla ich dobra.

– W tym momencie nie stawiam żadnych żądań. Nie proszę was o żadne obietnice ani zobowiązania. Wierzę, że to doświadczenie przyniesie znaczne korzyści porucznikowi Andersonowi i całemu Przymierzu. Wierzę, że umocni więź łączącą ludzkość z resztą Cytadeli. I szczerze wierzę w to, że pozwoli lepiej zrozumieć nam nasze obowiązki i odpowiedzialność wobec większej galaktycznej społeczności. Jednak, jeśli nie zgodzicie się spełnić mojej prośby, chętnie uznam mądrość waszej decyzji.

Spodziewała się, że, aby omówić jej prośbę, członkowie Rady odbędą kolejną tajną konferencję. Jednak, ku jej zaskoczeniu, asari po prostu obdarzyła ją ciepłym uśmiechem i powiedziała.

– Tak, więc udało się pani postawić na swoim, pani ambasador. Rada spełni waszą prośbę.

– Dziękuję, wam, członkowie Rady – odparła Goyle. Natychmiastowa zgoda wytrąciła ją z równowagi, ale robiła, co mogła, żeby nie okazać, jak bardzo jest nią zaskoczona.

– Niniejszym ogłaszam to spotkanie Rady za zakończone – powiedziała asari. Członkowie Rady powstali ze swoich miejsc i zniknęli, schodząc po schodach prowadzących na ich platformę.

Goyle odwróciła się i całą drogę powrotną za szczytu Sceny Petenta, przebyła w ponurym zamyśleniu. W najdrobniejszych szczegółach przestudiowała wszystkie decyzje Rady podjęte w ciągu ostatnich pięciu stuleci. W każdym z przypadków decyzje Rady podejmowane były jednogłośnie. Jeśli jej członkowie nie zgadzali się ze sobą w jakiejś kwestii, debatowali na jej temat aż do momentu osiągnięcia wzajemnego porozumienia.

Dlaczego więc radna asari samodzielnie, bez konsultacji z innymi, zdecydowała się spełnić jej prośbę?

Kiedy dotarła do windy i weszła do jej środka, w jej głowie nagle pojawiła się odpowiedź na to pytanie. W jakiś sposób przewidzieli, że o to poprosi, zanim w ogóle zdążyła sformułować swoją prośbę. Musieli wiedzieć, dokąd ich prowadziła i zdążyli przedyskutować to w czasie krótkiej narady, którą odbyli po tym, jak wspomniała o Edanie Had'dah. Zdecydowali, jak odpowiedzą na jej prośbę, zanim w ogóle zaczęła o tym mówić.

Ambasador Goyle myślała do tej pory, że to ona pociągała za sznurki. Że w czasie tych negocjacji, podobnie, jak w czasie poprzedniej audiencji, manipulowała Radą na swoją korzyść. Poprzednio udało jej się wytrącić ich z równowagi i na chwilę stracili czujność – ale teraz dobrze przygotowali się do spotkania z nią. Tym razem to oni pociągali za sznurki, prowadząc ją przez istniejący już tekst, jak aktorzy podczas inscenizacji sztuki, z góry znający jej zakończenie. I dopiero w ostatnim akcie, na chwilę pokazali swoje karty, w subtelny sposób odsłaniając oczywistą i niemiłą dla niej prawdę. Na dodatek musieli wiedzieć, że ona to zauważy.

Zjeżdżając windą w dół, ambasador Goyle usiłowała się pocieszyć i utwierdzić się w przekonaniu, że w wyniku tego spotkania dostała dokładnie to, czego od niego oczekiwała. Ale nie przywykła do tego, by nią manipulowano i nie mogła przestać zadawać sobie pytanie, czy przypadkiem nie popełniła błędu.

Dlaczego Rada tak chętnie zgodziła się spełnić jej prośbę? Czy naprawdę uważała, że ludzkość jest już na to gotowa? A może spodziewali się, że Anderson zawiedzie, w nadziei, że będą mogli użyć tego niepowodzenia jako wymówki do ostatecznej odmowy?

W każdym razie, doświadczenie to zrodziło w niej nowy, głęboki szacunek dla członków Rady i ich umiejętności negocjacyjnych i dyplomatycznych. Uważała się do tej pory za biegłego polityka, ale teraz poczuła się jak nowicjusz odchodzący ze spotkania z prawdziwymi mistrzami sztuki dyplomacji.

W ten sposób, przesłali jej jednoznacznie brzmiącą wiadomość: co najmniej równie dobrze jak ona potrafili uprawiać politykę. Jeśli Przymierze mogło mieć jakąś przewagę w swoich relacjach z Radą, to teraz już ją utraciło. Ambasador zdała sobie sprawę z tego, że kiedy po raz następny będzie musiała stawić się przed nimi, nie będzie mogła pozbyć się wątpliwości. Niezależnie od tego, jak dobrze będzie przygotowana i uważna, gdzieś z tyłu głowy dręczyć ją będzie niepewność. Nie będzie wiedziała, czy to ona prowadzi negocjacje, czy też jest przez nie prowadzona. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że tego właśnie chcieli członkowie Rady.

.18.

– Jesteśmy prawie na miejscu, poruczniku Sanders – zwrócił się do niej kierowca. Musiał krzyczeć, żeby usłyszała go przez ryk silnika zatłoczonego, sześciokołowego opancerzonego transportera, który pędził przez pustynię otaczającą Hatre. – Jeszcze tylko parę kilometrów do miejsca spotkania.

Oprócz kierowcy, w transporterze jechało z nią pięciu innych marines. Stanowili zebrany w ostatniej chwili zespół, który miał ją ochraniać do chwili opuszczenia planety. Ona i kierowca siedzieli z przodu, pozostali tłoczyli się z tyłu. Kiedy przyszły rozkazy, czterech spośród żołnierzy było już na Camali, pozostali dwaj przybyli z Elizjum ostatniej nocy, wykonując instrukcje przesłane przez dowództwo Przymierza.

Jechali batariańskim pojazdem, wypożyczonym przez miejscowe władze na „prośbę” Rady. Wszystko to było częścią wypracowanej przez ambasador Goyle umowy, według której miano ją bezpiecznie przetransportować z Camali na terytorium Przymierza.

Silnik wył, kiedy wspinali się na jedną z ogromnych piaszczystych wydm, które rozciągały się w jednostajnym rytmie aż poza horyzont, w stronę zachodzącego słońca. Za dwadzieścia minut miało się zrobić zupełnie ciemno, ale wtedy powinna już być na pokładzie fregaty Przymierza, która wylądowała tu specjalnie dla niej.

– Dziwi mnie, że batarianie, w ogóle zgodzili się na coś takiego – kierowca znowu musiał wrzeszczeć, żeby podtrzymać konwersację. – Zwykle nie zezwalają na żadne lądowania poza portami kosmicznymi. A już szczególnie okrętom Przymierza.

Doskonale rozumiała jego ciekawość. Wiedział, że to jakaś poważniejsza sprawa, ale jego rozkazy były jednoznaczne – miał ją jedynie podwieźć na miejsce, z którego przejmie ją ktoś inny. Nie mógł wiedzieć o jej związkach z Sidonem, i nikt nie powiedział mu o mętnych, zakulisowych układach, jakie musiała zawrzeć z Radą ambasador Goyle, żeby umożliwić tę tajną ewakuację. Kahlee milczała. Nie miała najmniejszego zamiaru zaspokajać jego cholernej ciekawości.

Zastanawiała się, na jakie ustępstwa Przymierze musiało się zgodzić, żeby umożliwić całą tę akcję. Co musiało ofiarować w zamian? Anderson prawdopodobnie coś na ten temat

wiedział, ale w ciągu dwóch dni, które nastąpiły po jej wyznaniu winy, powiedział do niej może z tuzin słów.

Nie miała mu tego za złe. On jej zaufał, a ona go wykorzystała, przynajmniej tak wyglądało to w jego oczach. Kahlee aż za dobrze wiedziała, jak bardzo zdrada może zboleć. A teraz pospiesznie przemieszczano ją w jakieś nieznane miejsce, by ją chronić, podczas, gdy Anderson zostawał na Camali, żeby spróbować wytropić doktora Qiana.

Dużo zastanawiała się nad tym, czy skontaktować się z nim, kiedy to wszystko się skończy. Najpierw przyciągnęła ją do niego konieczność: była samotna, przerażona i bardzo potrzebowała kogoś, na kim mogłaby się oprzeć. Kogoś innego od jej gburowatego, drażliwego ojca, którego prawie nie знаła. Ale chociaż spędzili ze sobą zaledwie parę dni, czuła w głębi serca, że była szansa na to, by zostali kimś więcej niż tylko przyjaciółmi.

Niestety wątpiła, żeby teraz chciał mieć jeszcze z nią cokolwiek do czynienia. Nie po tym, jak go tak dotkliwie zraniła. Myśl, że prawdopodobnie nigdy go już więcej nie zobaczy, poruszyła ją bardziej, niż mogła się tego spodziewać.

– Niech pani się mocno trzyma! – nagle krzyknął kierowca, wrywając ją z cikliwych rozmyślań nagłym skrętem kierownicy. Transporter skręcił tak gwałtownie, że prawie przewrócił się na bok. – Mamy towarzystwo!

* * *

Z położonego w odległości kilku kilometrów punktu obserwacyjnego na szczycie małej skały, Saren, trochę oślepiiony przez zachodzące słońce, rozpoznał jednak sylwetkę opancerzonego transportera piechoty, którym jechała porucznik Kahlee Sanders.

Wczoraj, po otrzymaniu uaktualniających rozkazów od Rady Cytadeli, przeszedł przez całe spektrum stanów emocjonalnych. Najpierw poczuł się oburzony i zszokowany. Kazali mu pracować z człowiekiem! Tylko dlatego, bo członkowie Rady uważali, że muszą się w jakiś sposób odwdziaczyć Przymierzu za podzielenie się z nią informacją, dotyczącą dochodzenia w sprawie Sidonu. Informacją, którą Saren uzyskał wcześniej na własną rękę!

Wiedział, że za atakiem stał Edan Had'dah. Ale ponieważ zataił tę informację przed Radą, musiał udawać, że jest wdzięczny za przekazanie mu jej przez Przymierze. A teraz musiał pozwolić jednemu z ludzi pracować u swego boku, aż do chwili zamknięcia dochodzenia. Na dodatek nie był to jakiś tam sobie, pierwszy z brzegu człowiek, tylko ten przeklęty porucznik Anderson, który do tej pory wciąż przeszkadzał mu w śledztwie.

Ale kiedy dalej czytał uaktualnienia rozkazów, jego gniew powoli przemienił się w ciekawość. Wiedział o udziale batarianina w całej sprawie, ale nie miał pojęcia o istnieniu tego niezwykłego wytworu obcej technologii, o którym wspomniano w aktach pochodzących z

Sidonu. Choć podano tam na jego temat tylko parę faktów, to wydawało się, że ten artefakt mógł być reliktem pochodzącym z czasów zagłady protean.

Sarena zawsze intrygowało nagłe i tajemnicze zniknięcie protean. Jaki niewyobrażalny, katastrofalny w skutkach ciąg wydarzeń w ciągu niecałego stulecia, mógł doprowadzić do zniknięcia imperium, które rządziło całą znaną galaktyką? Praktycznie wszystkie ślady po proteanach zostały zatarte i zniszczone. Przetrwały tylko przekaźniki masy i Cytadela, świadczące o niegdysiejszej potędze tej rasy.

Tłumaczono to na setki sposobów, jednak wszystko to były jedynie czcze spekulacje. Prawda o przyczynie wyginięcia protean, wciąż pozostawała nieodgadnioną tajemnicą... a ten starożytny wytwór obcej technologii mógł być jednym z kluczy do jej wyjaśnienia.

Z tego, co udało mu się zrozumieć po złożeniu w jedną całość chaotycznych zapisków Qiana, podejrzewał, że natknęli się na jakiś rodzaj statku międzygwiazdowego, albo orbitującej stacji kosmicznej. Czegoś, co posiadało sztuczną inteligencję, pozwalającą na monitorowanie własnego stanu technicznego, a może nawet umożliwiającą naprawy swoich kluczowych systemów bez pomocy organicznych opiekunów, takich jak strażnicy Cytadeli.

Z notatek wynikało również, że zdaniem doktora odkrycie to mogło, pewnego dnia zostać użyte do zawiązania sojuszu z gethami... a może nawet do zapanowania nad nimi. Implikacje tego faktu, były oszałamiające: niezliczone armie sztucznych istot, miliardy żołnierzy, których absolutną lojalność mógłby zapewnić sobie ktoś, komu udałoby się zrozumieć sposób, w jaki działali i wpłynąć na procesy ich sztucznej inteligencji.

Kiedy dokładniej wczytywał się w otrzymane dokumenty, jego ciekawość przemieniła się w zimną, wykalkulowaną satysfakcję. Kiedy już ustalił nazwisko swojej ofiary, najtrudniejszą częścią zadania stało się zlokalizowanie Edana. Prawdopodobnie przyczał się gdzieś jak jakiś mały owad, schowany głęboko w podziemnym bunkrze na terenie jednej ze swoich niezliczonych rafinerii, rozsianych na pokrytym piachem i skałami pustynnym obszarze o powierzchni tysiąca kilometrów kwadratowych. Wygrzebanie go stamtąd mogło być bardzo czasochłonnym i niezbyt przyjemnym zajęciem.

Na pewno właśnie tak by to wyglądało, gdyby nie otrzymał od Rady uaktualniających danych. Zwierały one między innymi szczegółowo opisany plan ewakuacji porucznik Sanders z powierzchni tej niegościnniej planety. Saren wiedział, że Skarr wciąż był gdzieś na Camali. Nie doniesiono mu o tym, by tego olbrzymiego kroganina widziano, w którymś z międzygwiazdnych portów. Więc prawdopodobnie siedział w jakiejś zatęchłej dziurze razem z Edanem.

A Edan wynajął Skarra po to, by kroganin zabił tę młodą kobietę. Saren wystarczająco dobrze znał batariańską kulturę by wiedzieć, że Edan nie będzie chciał stracić twarzy

wynajmując kogoś, kto nie wykonał zleconego mu zadania. I jeśli przydarzy się taka sposobność, znowu wyśle Skarra w pogoń za Sanders.

Saren zrobił wszystko, żeby ta dogodna sposobność przydarzyła się w sposób jak najbardziej widoczny. Wiedział, że Edan ma swoich szpiegów na każdym poziomie władz Camali, zwłaszcza we wszystkich międzygwiazdnych portach. Musiał tylko upewnić się, że prośba Rady o pozaplanowe lądowanie okrętu Przymierza na pustyni została wprowadzona do oficjalnej, rządowej bazy danych.

Tak niezwykła prośba na pewno przyciągnie czyjąś uwagę. W sposób nieunikniony wieść o niej, krążąc wewnątrz łańcucha lojalnych podwładnych i sprzedajnych sługusów, w końcu dotrze do Edana. A Saren był pewien, że batarianin jest na tyle inteligentny, żeby od razu zorientować się, kogo Przymierze w ten sposób chce przejąć z powierzchni planety.

Jedyną skazą tego planu była jego zbytnia, rzucająca się w oczy oczywistość. Jeśli Edan wyczuje, że to pułapka, to na pewno nie wyśle nikogo na umówione miejsce lądowania.

Wciąż obserwując przez swoją dalekosiężną lornetkę wiozący żołnierzy Przymierza transporter, Saren zobaczył nagle, że pojazd wykonuje nagły zakręt – tak nagły, że kierowcaomalże nie stracił nad nim panowania. Skierował wzrok na pobliskie wydmy i ujrzał obłoki pyłu wzbijane przez zbliżające się cztery inne pojazdy. Małe, szybkie terenowe wozy piechoty z zamontowanymi na dachach małymi działkami, osaczały wolniej szy od nich transportowiec ze wszystkich czterech stron naraz.

Edan jednak połknął przynętę.

* * *

– Niech to szlag! – krzyknął jeden z siedzących z tyłu żołnierzy, kiedy pocisk wystrzelony z jednego ze ścigających ich pojazdów eksplodował na tyle blisko, żeby zakołysać zawieszeniem ich transportera.

Kierowca robił, co mógł, by uniknąć trafień wystrzeliwanych w ich stronę pocisków. Co chwile zmieniając kierunek, kluczył po wydmach i wjeżdżał w znajdujące się między nimi niewielkie wąwozy, za wszelką cenę próbując uniemożliwić napastnikom dokładne wycelowanie działek. Zgodnie ze swoją oficjalną nazwą, ich transporter był dobrze opancerzony. Jednak był to jedynie pojazd transportowy. Nie był przeznaczony do prowadzenia walki. Nie miał zamontowanych działek ani karabinów, a płyty pancerza okrywającego jego korpus i podwozie miały chronić pasażerów głównie przed ostrzałem snajperskim i wybuchami min lądowych. W wypadku broni przeciwpancernej, takiej jak zamontowane na dachach ścigających ich wozów działka, pancerz transportera mógł jedynie odwlec nieunikniony koniec.

Jeden z siedzących z tyłu marines krzyczał coś do mikrofonu swojego radia, próbując zawiadomić nadlatującą fregatę Przymierza o tym, że zostali zaatakowani.

– Mayday! Mayday! Znaleźliśmy się pod wrogim ostrzałem. Teren lądowania jest zagrożony! Powtarzam, teren lądowania jest zagrożony!

– Na ogonie siedzi nam, co najmniej czterech drani! – krzyknął do niego kierowca, podczas, gdy ich pojazd podskakiwał i trząśł się, jadąc po usianej skalnymi odłamkami powierzchni między wydmami.

– Ścigają nas cztery pojazdy przeciwnika! – krzyknął radiowiec. – „Iwo Jima”, czy mnie słyszysz?

– Tu „Iwo Jima” – odezwał się chrypiący głos. – Słyszemy was dobrze. Będziemy na miejscu za czternaście minut! Trzymajcie się!

Obsługujący radio żołnierz, w odruchu frustracji uderzył pięścią w opancerzoną boczną ścianę ich pojazdu, krzycząc:

– Nie uda nam się przetrwać cholernych czternastu minut!

– Musisz ich wyprzedzić! – krzyknął z tyłu inny z żołnierzy.

– A myślisz, że co robię, do cholery!?! – odkrzyknął mu kierowca.

Wjechali na szczyt kolejnej wydmy i pocisk eksplodował tuż za nimi, wyrzucając pojazd w powietrze z taką siłą, że wylądował dopiero po przeleceniu czterech metrów. Antywstrząsowe amortyzatory wchłonęły większą część siły uderzenia, ale mimo tego, że Kahlee była przypięta pasami do siedzenia, to w chwili lądowania z całej siły wyrzuciła głowę w sufit transportera. W wyniku uderzenia boleśnie przegryzła sobie język i teraz miała w ustach smak gorącej krwi.

Znacznie bardziej ucierpieli jadący z tyłu żołnierze. Siedzieli stłoczeni w metalowym wnętrzu. Żaden z nich nie był przypięty pasami bezpieczeństwa. Zostali zrzućeni ze swoich siedzeń, ciśnięci o dach, i z powrotem rzućeni na podłogę, gdzie przez chwilę tworzyli kłębowisko zderzających się sobą, kolan, łokci i czaszek.

Z tyłu słycać było okrzyki zdziwienia i jęki bólu, po których nastąpiły skierowane do kierowcy wiązki soczystych przekleństw i wyzwisk.

Zignorował ich zupełnie i mruknął pod nosem.

– Są zbyt szybcy. Nie uda nam się im uciec.

Mówił tak cicho i niewyraźnie, że Kahlee nie wiedziała, czy zwraca się do niej, czy też mówi do siebie. Oczy miał szeroko otwarte i wpatrzone w trudną, wyboistą i drogę. Zastanawiała, jak długo wytrzyma to napięcie.

– Świetnie sobie radzisz – zapewniła go Kahlee. – Po prostu utrzymaj nas przy życiu jeszcze przez kilka minut. Na pewno dasz radę!

Kierowca nie odpowiedział, tylko pochylił się do przodu, prawie przyciskając się do kierownicy. Bez słowa ostrzeżenia wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni, mając nadzieję

zaskoczyć przeciwnika tym desperackim i chaotycznym manewrem. Siła odśrodkowa ponownie prawie przewróciła ich pojazd na bok. Przez kilka sekund transporter balansował na granicy katastrofy, żeby po chwili opaść z kolejnym silnym wstrząsem.

Kiedy już wszystkie sześć kół z powrotem toczyło się po ziemi, kierowca nacisnął do deski pedał gazu i znowu gwałtownie przyspieszyli, zostawiając za sobą wielkie obłoki pyłu i piachu. Siedząca na przedzie Kahlee śledziła poczynania napastników. Dwa spośród ścigających ich pojazdów jechały szerokim łukiem, próbując ich wyprzedzić i zajechać im drogę z przodu. Pozostałe dwa, tak jak wcześniej jechały ich śladem, co chwilę strzelając z zamontowanych na dachach działek. Teraz jednak, po nagłej zmianie kierunku jazdy, żołnierze Przymierza jechali prosto na swoich niedawnych prześladowców.

– Graliście kiedyś w cykora, dupki jedne?! – wrzasnął kierowca i nie zdejmując nogi z gazu skierował wolniejszy, lecz o wiele cięższy pojazd transportowy w stronę jednego z dwóch słabiej opancerzonych wozów przeciwnika.

Bezpiecznie przypięta do siedzenia Kahlee nie miała żadnego wpływu na to, co miało za chwilę nastąpić. Odległość dzieląca oba pojazdy zmniejszała się w okamgnieniu i mogła jedynie tuż przed kraksą napiąć mięśnie całego ciała. W ostatniej chwili, mniejszy z pojazdów usiłował skrócić w prawo, ale było już za późno by uniknąć zderzenia. Stępiony przód maski transportera rąbnął w przednią, lewą stronę pojazdu przeciwnika, który do końca usiłował przed nim umknąć, w wyniku czego, zamiast centralnie, uderzony został z ukosa. Jednak przy łącznej prędkości prawie dwustu kilometrów na godzinę, to ukośne „muśnięcie” wystarczyło w zupełności.

Mniejszy z pojazdów praktycznie przestał istnieć. Siła uderzenia zmiażdżyła całą jego konstrukcję. Obie osie popękały, a koła i drzwi wystrzeliły w powietrze. Dokoła w piasek wszędzie wbijały się jakieś oderwane od całości, trudne do zidentyfikowania kawałki metalu. Zbiornik paliwowy pękł, coś zaiskrzyło i potężny wybuch pochłonął to, co zostało z wozu przeciwnika, redukując jego pozostałości do stosu topniejącego żelastwa. Kierowca, który zginął w pierwszych ułamkach sekundy, został wchłonięty przez olbrzymią kulę ognia, która zatrzymała się dopiero po przebyciu kolejnych kilkuset metrów.

Pozostali pasażerowie, ciśnięci potworną siłą zderzenia, zostali porzuceni chaotycznie w różne miejsca przy prędkości ponad stu kilometrów na godzinę. Kończyny ich ciał popękały i poodrywały się, karki i kręgosłupy połamały się, podobnie jak kości ich czaszek. Kiedy ich ciała wylatywały przez porwane na strzępy metalowe płyty pancerza, spore kawałki mięsa pooddziały się od kości i pospadały w różnych miejscach na jasny piach. Wszędzie widać było ich krwawe plamy.

Solidniej zbudowany transporter przetrzymał zderzenie w całości, chociaż przód jego maski złożył się jak akordeon. Odbiwszy się od mniejszego wozu zaczął dachować i

przekoziółkowawszy się kilkanaście razy, w końcu zatrzymał się zwrócony podwoziem w stronę nieba. Kahlee była ledwo przytomna. Ogłuszona wstrząsem zderzenia i zdezorientowana przez napływającą do głowy krew poczuła, że ktoś sięga do zapięcia jej pasów. Instynktownie próbowała tego kogoś powstrzymać, a potem usłyszała ludzki głos, krzyczący, żeby się natychmiast uspokoiła.

Próbowała się skoncentrować. Pojazd już się nie poruszał, ale jej świat nie przestawał wirować. Kierowca wciąż był przypięty pasami obok niej. Kierownica oderwała się i ostry koniec jej kolumny wbił się w jego klatkę piersiową jak potężna dzida. Jego martwe oczy wciąż były szeroko otwarte. Szklane źrenice znieruchomiały w spojrzeniu, które zdawało się spoczywać na niej z ciężarem oskarżenia.

Zdała sobie sprawę z tego, że musiała na kilka sekund stracić przytomność. Jeden z marines był teraz na zewnątrz ich pojazdu. Sięgając przez rozbite okno, próbował rozpiąć przytrzymujące ją pasy bezpieczeństwa. Przestała mu się w końcu opierać i sama sięgnęła rękami w górę, a właściwie w dół i wsparła je mocno o odwrócony dach, żeby nie upaść na niego głową.

W sekundę później zapięcie puściło. Udało jej się nie uderzyć głową w dach, za to boleśnie zahaczyła kolanem o roztrzaskaną tablicę rozdzielczą transportera. Czyjeś mocne ręce chwyciły ją za ramiona i przez rozbite przednie okno wyciągnęły na zewnątrz.

W końcu mogła usiąść w normalnej pozycji. Nadmiar krwi odpłynął z wnętrza jej głowy. Kahlee powoli odzyskiwała przytomność i zdolność normalnego widzenia. Jakimś cudem wszyscy jadący z tyłu żołnierze przeżyli to zderzenie. W szóstkę, razem z Kahlee, schowali się w cieniu leżącego na dachu transportera, wykorzystując go jako tymczasową osłonę.

Ktoś zaczął strzelać. Nie było to ciężkie *thung-thung-thung* działek przeciwpancernych, tylko raczej ostre *rat—rat—rat*, które rozpoznała jako odgłos wystrzałów z karabinu szturmowego. Słyszała też metaliczne stuknięcia kul odbijających się rykoszetem od opancerzonego transportera.

Kahlee nie miała nawet przy sobie pistoletu, ale marines wydobyli swoją broń z wnętrza pojazdu. Niestety zostali przygwożdżeni nieustającym strumieniem strzałów przeciwnika i nie mogli jej użyć. W ciągłym deszczu pocisków, nawet chwilowe wychylenie się zza osłony byłoby zbyt ryzykowne.

– Dlaczego nie używają tych swoich dział? – wrzasnęła, próbując przekrzyczeć huk strzelaniny.

– Chyba chcą wziąć nas żywcem! – okrzyknął jeden z marines posyłając jej spojrzenie, które mówiło, że i tak wszyscy doskonale wiedzą o tym, że wrogowi chodzi o przeżycie jednej, ściśle określonej osoby.

– Próbuja nas obejść z flanki! – krzyknął inny spośród piątki żołnierzy, wskazując na horyzont.

Jeden z widocznych w oddali pojazdów przyspieszył. Był tak daleko, że prawie nie było go widać. Zakreślał dookoła nich szeroki łuk, daleko poza zasięgiem automatycznych karabinów marines.

Kahlee nagle przestała zwracać uwagę na okrążający ich pojazd wroga. Usłyszała dochodzący z góry ogłuszający ryk. Dźwięku rdzenia napędu silników statku kosmicznego wchodzącego w atmosferę nie można było pomylić z niczym innym. Spojrzała w górę i zobaczyła pikujący z nieba niewielki okręt Przymierza.

– To „Iwo Jima”! – radośnie zawołał jeden z marynarzy.

Statek poruszał się bardzo szybko, nurkując prosto w stronę próbującego objechać ich z flanki pojazdu napastników. W odległości niecałych pięćdziesięciu metrów od ziemi wyhamował i otworzył ogień. Jeden, dobrze wymierzony strzał lasera zmienił pojazd przeciwnika w kawał roztopionego metalu.

„Iwo Jima” przechylił się i zmienił kierunek lotu, kierując się prosto w stronę dwóch pozostałych wrogich pojazdów. Marines zaczęli wznosić spontaniczne okrzyki radości. Kawaleria przybyła im na ratunek!

* * *

Skarr dostrzegł opadającą z nieba fregatę na długo przed tym, jak wystrzeliła wiązkę morderczych promieni, które zniszczyły pierwszy z wozów Błękitnych Słońc. Jej pojawienie się było niewygodnym, ale nie niespodziewanym zdarzeniem.

Pospiesznie, ale z chłodnym wyczuciem celu, wyskoczył ze swojego wozu i zaczął wykrzykiwać rozkazy. Postępując zgodnie z jego poleceniami, najemnicy szybko wyładowali z wozu i złożyli przenośne działo akceleracji masy, które wieźli na tyle ich pojazdu.

Podczas, gdy fregata Przymierza ostrzeliwała swoimi laserami bezbronne wozy najemników, Skarr zajął się uzbrojeniem działka. Załadował magazynek amunicji, zawierający setki małych, wybuchowych pocisków. Kiedy fregata zwróciła się w ich stronę, zakreślając po niebie długi, łagodny łuk, ustawił parametry celownika i skierował go na cel. I kiedy usłyszał okrzyki radości schowanych za przewróconym transporterem żołnierzy, nacisnął spust.

Obronny system laserowy GARDIAN fregaty „Iwo Jima”, służący do namierzania i niszczenia zbliżających się wrogich pocisków, nie poradził sobie z ogromną ilością wystrzelonych w jego stronę z bliskiej odległości pocisków. W normalnych warunkach pociski zostałyby unieszkodliwione i odbite przez kinetyczne osłony okrętu. Jednak w czasie

lądowania każdej międzygwiazdnej jednostki, osłony musiały być wyłączone. Skarr słusznie podejrzewał, że „Iwo Jima” nie zdążył ich jeszcze reaktywować.

Setki małych, wybuchowych pocisków wniknęły do wnętrza okrętu, w chwili detonacji wyrwijąc w jego kadłubie dziury wielkości pięści. Znajdująca się na pokładzie załoga została dosłownie poszatkowana przez nagłą ulewę płonących szrapneli, odbijających się rykoszetem po całym wnętrzu okrętu. „Iwo Jima” wyrwał się spod kontroli i zwałił się na powierzchnię planety, gdzie pochłonęła go kula ognistej eksplozji. Wszędzie dookoła spadał deszcz różnej wielkości odłamków i najemnicy jak jeden mąż, czmychnęli do wnętrza wozu. Skarr, nic sobie nie robiąc z ulewy śmiertelnych szrapneli, uniósł swój karabin szturmowy i dziarskim krokiem ruszył w kierunku przewróconego transportera.

Kierował się prosto w jego stronę wiedząc, że znajdujący za pojazdem żołnierze nie będą mogli zobaczyć, jak nadchodzi. Stanowiący ich osłonę transporter zasłaniał im również widok na wszystko, co znajdowało się dokładnie naprzeciw nich.

Kiedy zbliżał się do transportera, najemnicy za jego plecami rozstawili się w tyralierę, żeby móc strzelać zza jego boków. Położyli na przewróconym pojeździe stały, gęsty ogień zaporowy, unieruchamiając chowających się z drugiej strony żołnierzy.

Ignorując nieustającą strzelaninę, kroganin podszedł do transportera na odległość niecałych dziesięciu metrów. Wszystkie mięśnie jego ciała naprężyły się, kiedy zaczął skupiać swoje biotyczne zdolności. Reakcja ta automatycznie spowodowała biologiczne sprzężenie zwrotne we wzmacniających modułach wszczepionych chirurgicznie na całym obszarze jego układu nerwowego. Zaczął gromadzić ciemną energię, przyciągając ją do siebie i wchłaniając w taki sam sposób, w jaki czarna dziura pochłania światło. Prawie dziesięć sekund zajęło mu zgromadzenie maksymalnej dawki. Wtedy Skarr wyrzucił pięść do przodu i posłał zgromadzoną moc w kierunku celu.

Leżący na dachu transportowca wystrzelił w powietrze nad głowami zdziwionych żołnierzy Przymierza i wylądował w odległości ponad dziesięciu metrów za nimi. Ten niespodziewany manewr zupełnie wytrącił ich z równowagi – byli zaskoczeni i nagle wystawieni na strzały przeciwnika. Ich szkolenie nie przygotowało ich do sytuacji takich jak ta. Nie wiedząc, jak mają zareagować, po prostu znieruchomieli: kucająca na piasku pustyni mała grupa skulonych postaci.

Zostaliby zabici w tym momencie, gdyby nie fakt, że ich przeciwnicy byli tak samo zaskoczeni, jak oni. Najemnicy przestali strzelać i w całkowitym zaskoczeniu patrzyli, jak krogański biotyk, jednym widmowym ciosem pięści usuwa sobie z drogi ważący cztery tony transporter.

– Rzućcie broń! – warknął Skarr.

Marines wykonali jego polecenie wiedząc, że bitwa była przegrana. Powoli wstali i podnieśli ręce nad głowy, pozwalając swoim karabinom szturmowym upaść w piach. Kahlee zrobiła to samo, co oni, wiedząc, że nie ma innego wyboru.

Kroganin przybliżył się i chwycił ją za ramię, ściskając z taką siłą, że z ust wydarł jej się jęk bólu. Jeden z marines poruszył się w ich stronę, jakby chciał jej pomóc, ale po sekundzie się wycofał. Była z tego zadowolona – nie mógłby jej pomóc i na pewno zostałaby zabity.

Najemnicy mierzyli z karabinów w swoich więźniów. Skarr w połowie zaciągnął, w połowie zaniósł Kahlee do jednego z pojazdów. Wrzucił ją do środka i wszedł za nią.

– Zabijcie ich – powiedział do swoich ludzi, wskazując ruchem głowy pojmanych żołnierzy.

Głośny huk wielu wystrzałów zagłuszył wyrywający się z gardła Kahlee krzyk.

* * *

Saren od początku do końca oglądał tę scenę przez swoją lornetkę, ani razu nie ruszywszy się ze swojego punktu obserwacyjnego. Zdziwił się, kiedy Skarr zamiast zabić Sanders, wziął ją do niewoli. Najwyraźniej jej udział w całej tej sprawie był poważniejszy, niż do tej pory sądził. Ale prawdą mówiąc, niczego to za bardzo nie zmieniało.

Najemnicy weszli do kabin swoich pojazdów i odjechali. Zmierzchało, więc żeby rozproszyć gęstniejącą ciemność, włączyli światła.

Saren zeskoczył ze swojego stanowiska obserwacyjnego i podbiegł do zaparkowanego w pobliżu małego pojazdu zwiadowczego. Pojazd ten był specjalnie przystosowany do nocnych misji szpiegowskich. Przednie światła wyposażone były w matujące przesłony, które miały rozpraszać strumień światła i kierować go w dół, w stronę ziemi, tworząc słabą poświatę, ledwo widoczną z odległości kilometra.

W przeciwieństwie do nich, silne wiązki światła pojazdów najemników, jaśniały jak kierunkowe latarnie w ciemnościach pustynnej nocy. Bez trudu mógłby je dostrzec z odległości dziesięciu kilometrów.

Wszystko układało się po jego myśli. Teraz musiał jedynie podążyć za nimi, a oni zaprowadzą go prosto do kryjówki Edana.

.19.

Anderson nie mógł przestać się denerwować przed tym spotkaniem. Mimo tego, że Rada oficjalnie zgodziła się spełnić prośbę ambasador Goyle, wciąż prześladowało go wspomnienie jego ostatniego spotkania z Edanem w ruinach fabryki Dah'tan. Przez kilka długich chwil myślał wtedy, że turianin zabije go, albo postrzeli i zostawi na pewną śmierć. Kiedy ambasador Goyle ujawniła, że Saren prawdopodobnie nienawidzi Przymierza jako takiego, nie zdziwiło go to w najmniejszym stopniu.

– Teoretycznie rzecz biorąc, dane osobowe Widm są ściśle tajne – powiedziała mu. – Ale nasz wywiad mimo to dokopał się do interesujących informacji. Wygląda na to, że w czasie Wojny Pierwszego Kontakt Saren stracił brata.

Porucznik zdawał sobie sprawę z tego, że wielu spośród turian wciąż gorzko przeżywało ten konflikt – szczególnie ci, którzy w czasie jego trwania stracili kogoś z rodziny. Podejrzewał, że Saren należał do osobników tego typu, którzy nie tylko głęboko odczuwają urazę, lecz również bezustannie ją pielęgnują. Być może jego uczucia miały swoje źródło w pragnieniu pomśzczenia śmierci brata, ale po ośmiu latach pragnienie to urosło do postaci czegoś znacznie mroczniejszego: stało się wynaturzonym, zaropiałym wstrętem do całego rodzaju ludzkiego.

I chociaż bardzo zależało mu na złapaniu osób odpowiedzialnych za atak na Sidon, to jednak ani trochę nie uśmiechała mu się perspektywa pracy u boku Sarena. Miał złe przeczucia. Podobnie jak wtedy, kiedy „Hastings” odebrał nadany z Sidonu sygnał SOS. Jednak dostał jasno sformułowane rozkazy i zamierzał je wykonać.

Fakt, że turianin spóźnił się już o ponad godzinę, w żaden sposób nie poprawiał jego samopoczucia. Chcąc jakoś załagodzić istniejące pomiędzy nimi napięcie, Anderson pozwolił mu wybrać godzinę i miejsce spotkania. Saren wyznaczył spotkanie na dziesiątą trzydzieści przed południem, w małym, obskurnym barze w zaniedbanej dzielnicy na obrzeżach Hatre. To był ten rodzaj lokalu, w którym klienci ostentacyjnie nie zwracają uwagi na rozmowy pozostałych gości. Nikt tutaj nie chciał wiedzieć, czym zajmują, albo o czym rozmawiają osoby przy innych stolikach.

Zresztą było bardzo mało prawdopodobne, żeby ktoś w ogóle mógł ich podsłuchiwać. O tej porze było tu pusto – prawdopodobnie Turianin, właśnie dlatego wybrał tę godzinę. To miało sens, ale kiedy Anderson siedział samotnie w kącie opiekując się swoim drinkiem, nie mógł przestać zastanawiać się nad tym, w jaką grę Saren gra z nim tym razem.

Dlaczego go tutaj nie było? Czy chciał mu po prostu zagrać na nosie? A może był to manewr, który miał na jakiś czas usunąć go z jego drogi, żeby Widmo mogło spokojnie kontynuować swoje dochodzenie?

W dwadzieścia minut później właśnie zdecydował się wyjść, kiedy przez drzwi wkroczył ten, na którego czekał. Barman i drugi z klientów spojrzeli na niego, kiedy wchodził, a potem odwrócili spojrzenie, kiedy Saren przemierzał pomieszczenie szybkimi, nerwowymi krokami.

– Spóźniłeś się – powiedział Anderson, kiedy turianin usiadł przy jego stoliku. Nie spodziewał się słów przeprosin, ale czuł, że należy mu się przynajmniej jakieś wytłumaczenie.

– Pracowałem – brzmiała cierpka odpowiedź.

Turianin wyglądał na wymęczonego, jakby nie spał całą noc. Anderson skontaktował się z nim wczesnym popołudniem poprzedniego dnia, tuż po tym, jak przekazał Kahlee zespołowi marines, który miał pomóc jej bezpiecznie wydostać się z Camali. Zastanawiał się, czy Saren pracował nad tą sprawą od tamtej pory bez chwili przerwy. Czy próbował doprowadzić dochodzenie do końca, zanim będzie zmuszony przyłączyć się do swojego niechcianego, ludzkiego partnera.

– Powinniśmy pracować razem – przypomniał mu Anderson.

– Otrzymałem wiadomość od członków Rady – pełnym pogardy głosem, odpowiedział Saren. – I zamierzam spełnić ich życzenie.

– Miło mi to słyszeć – oschle odpowiedział Anderson. – Kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem myślałem, że zamierzasz mnie zabić – nie było sensu niczego ukrywać. Chciał wiedzieć dokładnie na czym stoi, w kontaktach z tym Widmem. – Czy aż do chwili zakończenia zadania mam bez przerwy oglądać się przez ramię?

– Nigdy nikogo nie zabijam bez powodu – przypomniał mu Saren.

– A mi się zdawało, że zawsze potrafisz znaleźć powód, żeby kogoś zabić – odciął się porucznik.

– Ale teraz mam bardzo dobry powód, żeby zachować cię przy życiu – zapewnił go Saren. – Jeśli zginiesz, Przymierze będzie chciało mojej głowy. A Rada może okazać się skłonna spełnić to życzenie. A przynajmniej odwołać mnie z funkcji Widma.

– Prawdę mówiąc, w ogóle nie obchodzi mnie to czy żyjesz, czy umarłeś, człowieku – kontynuowało Widmo, jakby mówiło o wczorajszej pogodzie. – Ale nie zamierzam zrobić niczego, co mogłoby zagrozić mojej dalszej karierze.

Chyba, że będziesz pewien, że ujdzie ci to na sucho, pomyślał Anderson. A na głos zapytał:

– Dostałeś przesłane przez nas dokumenty?

Saren pokiwał głową.

– Więc, co zrobimy dalej? Jak znajdziemy Edana?

– Ja już go znalazłem – z wyraźnym zadowoleniem oznajmił Saren.

– W jaki sposób? – ze zdziwieniem zapytał Anderson.

– Jestem Widmem. To moja praca.

Zorientowawszy się, że nie usłyszy żadnych innych wyjaśnień, Anderson nie pytał o to więcej.

– Gdzie on jest?

– W bunkrze na terenie rafinerii piezo – odparł Saren i rzucił na stół plik architektonicznych rysunków. – Tu są jej plany.

Anderson prawie zapytał go o to, skąd je wziął, ale w porę ugryzł się w język. Przepisy wymagały, żeby każda z rafinerii piezo, co pół roku przechodziła inspekcję. Rozkład wszystkich instalacji musiał być, więc dostępny dla wszystkich inspektorów. Dla kogoś z takimi uprawnieniami, jakimi dysponowały Widma, zdobycie dokumentów tego rodzaju nie było niczym skomplikowanym.

– Wykonałem zwiad w okolicy – kontynuował Saren. – Rafineria otoczona jest przez osiedle pracownicze. Zabezpieczenia są tam naprawdę niewielkie. Jeśli poczekamy do zapadnięcia nocy, powinniśmy dostać się do środka niezauważeni.

– A co potem? Po prostu wkradniemy się po cichu do bunkra i zabijemy Edana?

– Wolałbym, pojmać go żywcem. Chcę go przesłuchać.

Coś w tonie głosu, kiedy mówił o przesłuchaniu spowodowało, że Andersona przeszedł dreszcz. Zdążył już się zorientować, że Saren ma skłonności do okrucieństwa. Łatwo można było wyobrazić sobie, że torturowanie więźniów uważa za przyjemną część swojej pracy.

Turianin musiał dostrzec jego reakcję.

– Nie lubisz mnie, prawda?

Nie było sensu go okłamywać. Zresztą Saren i tak by mu nie uwierzył.

– Nie lubię cię. Zresztą ty także nie jesteś moim największym fanem. Ale szanuję twoją zawodową skuteczność. Jesteś Widmem i myślę, że w tym, co robisz, jesteś naprawdę cholernie dobry. Mam nadzieję, że czegoś się przy tobie nauczę.

– A ja mam nadzieję, że ty nie spieprzysz mi dochodzenia – odparł Saren.

Anderson nie dał się podpuścić.

– Powiedziałeś, że wejdziemy na teren rafinerii po zmroku. Co będziemy robić do tej pory?

– Muszę trochę odpocząć – stanowczo stwierdził turianin, potwierdzając podejrzenia Andersona, że całą noc był na nogach. – Rafineria znajduje się, w odległości jakiś dwóch

godzin jazdy od miasta. Jeśli wyruszymy w dwie godziny po zachodzie słońca, dotrzemy na miejsce o północy. Będziemy mieli dość czasu, żeby zdążyć wejść i wyjść przed świtem.

Turianin odsunął swoje krzesło od stołu. Najwyraźniej uważał, że to koniec spotkania.

– Spotykamy się tutaj o szesnastej zero zero – powiedział, odwrócił się i odszedł.

Anderson poczekał aż wyjdzie z lokalu, rzucił na stół parę kredytów za swojego drinka, wstał i również wyszedł. Na Camali używano standardowej dwudziestogodzinnej miary czasu, a jeszcze nawet nie było dwunastej. Nie było mowy o tym, żeby spędził kolejne cztery godziny w tej speluncie.

Poza tym, od poranka poprzedniego dnia nie rozmawiał z ambasadorem Goyle. Teraz była dobra pora na to, żeby sprawdzić, jak sobie radzi Kahlee. Oczywiście wyłącznie z zawodowej ciekawości.

* * *

– Czy to bezpieczne połączenie, poruczniku? – zapytała go ambasador Goyle.

– Na tyle bezpieczne, na ile to możliwe na opanowanej przez batarian planecie – odpowiedział jej Anderson.

Połączył się z nią za pomocą wideo konferencji w czasie rzeczywistym. Komunikowanie się którejs z kolonii Pogranicza z Cytadelą w czasie rzeczywistym, było bardzo skomplikowanym i kosztownym procesem, ale Anderson przekonał się, że Przymierze mogło sobie na to pozwolić.

– Spotkałem się z Sarenem. Wygląda na to, że pozwoli mi się za sobą ciągnąć.

W transmisji była sekunda opóźnienia, w czasie, której sygnał był kodowany i dołączany do priorytetowej wiązki danych, transmitowany do orbitującej wokół Camali boi komunikacyjnej, przekazywany za pomocą extranetu do terminala pani ambasador na Cytadeli, gdzie ulegał rozkodowaniu. To opóźnienie czasowe było ledwo zauważalne, powodowało jedynie chwilowe zatrzymywanie się i migotanie obrazu ambasador na monitorze terminalu Andersona.

– Co jeszcze panu powiedział, poruczniku? – w jej zachowaniu było coś śmiertelnie poważnego.

– Czy stało się coś złego, pani ambasador?

Nie odpowiedziała od razu, żeby dobrać najodpowiedniejsze słowa:

– Jak pan wie, wczoraj wysłaliśmy frachtowiec „Iwo Jima”, który miał przejąć porucznik Sanders. Kiedy przybyli na miejsce, nasi ludzie na powierzchni planety byli już pod wrogim ostrzałem.

– Co się stało? – spytał Anderson, znając odpowiedź na swoje pytanie.

– „Iwo Jima” wkroczył do akcji, żeby im pomóc, a potem straciliśmy z nim kontakt. Kiedy udało nam się przekonać lokalne władze, żeby wysłały na miejsce zdarzenia ekipy ratownicze, było już za późno. Wszyscy żołnierze, którzy towarzyszyli Sanders, zginęli. „Iwo Jima” został zniszczony. Nie ocalał nikt z jego załogi.

– Co z porucznik Sanders? – zapytał, słysząc, że ambasador nie wymieniła jej wśród ofiar.

– Zaginął po niej wszelki ślad. Sądzimy, że mogła zostać wzięta do niewoli. Rzecz jasna o dokonanie tego ataku podejrzewamy Edana Had’dah i doktora Qiana.

– W jaki sposób dowiedzieli się o tej akcji ewakuacyjnej? – Anderson gniewnie zażądał odpowiedzi.

– Prośba o pozwolenie o lądowanie poza wyznaczonymi obszarami została wprowadzona do systemu bazy danych wydziału transportu miasta Hatre – powiedziała mu ambasador. – Ktoś musiał tam znaleźć tę informację i przekazać ją Edanowi Had’dah.

– Ale kto umożliwił ten przeciek? – chciał wiedzieć, przypominając sobie obawy Kahlee, że ktoś z dowództwa Przymierza może współpracować z doktorem Qianem.

– Nie można tego ustalić. Nie możemy mieć nawet pewności, że było to rozmyślne posunięcie. To mógł być przypadek. Zwykły błąd.

– Z całym należnym szacunkiem, pani ambasador, ale oboje wiemy przecież, że to stek bzdur!

– Ale w żadnym razie nie zmienia to pańskiego zadania, poruczniku – ostrzegła go. – Dalej musi pan ściagać doktora Qiana.

– Co z porucznik Sanders?

Ambasador Goyle westchnęła.

– Uważamy, że wciąż żyje. Miejmy nadzieję, że znajdując doktora Qiana, znajdzie pan również ją.

– Czy coś jeszcze, pani ambasador? – zapytał, trochę bardziej oschle, niż zamierzał. Wciąż był wstrząśnięty wiadomością o tym, że ktoś znowu zdradził Kahlee. I chociaż nie podejrzewał ambasador, to jednak właśnie ona przygotowała całą tę ewakuację. Więc nie mógł jej, choć trochę nie obwiniać za to, co się stało.

– W czasie trwania tej misji Saren będzie pana poddawał ocenie – przypomniała mu ambasador, z właściwą sobie przenikliwością, zwracając jego uwagę w stronę priorytetów. – Niech pan się sprawi jak najlepiej, to pomoże nam przebyć długą i wyboistą drogę do ostatecznego udowodnienia Radzie, że ludzie także mogą być agentami WiDMO.

– Nie muszę chyba panu mówić, jak bardzo poprawiłoby to sytuację Przymierza – dodała.

– Wiem o tym, pani ambasador – odparł półgłosem. Wiedział, że ona ma rację. Dla dobra sprawy musiał odłożyć na bok swoje uczucia.

– Wszyscy liczymy na pana, panie poruczniku – powiedziała na pożegnanie. – Proszę nas nie zawieść.

* * *

Saren nie spóźnił się na ich drugie spotkanie. Prawdę mówiąc, pojawił się na nim przed czasem – Anderson zastał go oczekującego przy tym samym stoliku, przy którym siedzieli poprzednio. O tej porze w barze było więcej klientów, ale jeszcze nie było tłoczno.

Anderson podszedł do turianina i usiadł po przeciwnej stronie stołu. Nie tracił czasu na zbędne grzeczności i od razu przeszedł do rzeczy.

– Czy widziałeś cokolwiek wskazującego na obecność Kahlee Sanders, w czasie zwiadu w okolicach kryjówki Edana?

– To już nie jest mój problem – powiedział mu Saren. – Ani twój. Skup się lepiej na Edanie i Qianie.

– To nie jest odpowiedź – Anderson nie dawał za wygraną. – Widziałeś ją, czy nie?

– Nie zamierzam pozwolić, żeby życie jednego człowieka zawadzało mi w czasie dochodzenia! – syknął Saren. Coś w tonie jego głosu włączyło jakiś pstryczek w mózgu Andersena. Światło zapaliło się i nagle wszystko stało się zrozumiałe.

– To ty ustawiłeś ten przeciek na temat akcji ewakuacyjnej! I właśnie w ten sposób odnalazłeś Edana. Użyłeś Kahlee jako przynęty, potem śledziłeś jego ludzi aż do rafinerii i dzisiaj w nocy zbadałeś jej teren. Dlatego spóźniłeś się na poranne spotkanie!

– To był jedyny sposób! – gniewnie odpowiedział Saren. – Gdyby nie to, znalezienie Edana mogłoby zająć długie miesiące. Miesiące, których może nam zabraknąć! Zresztą nie muszę się przed tobą tłumaczyć. Dostrzegłem taką możliwość i wykorzystałem ją.

– Ty sukinsynu! – krzyknął Anderson, sięgając rękami przez stół, żeby złapać go za gardło. Ale turianin był dla niego za szybki. Odskoczył poza zasięg rąk Andersona i złapał go za wyciągnięte w jego stronę nadgarstki, wytrącając go z równowagi.

Kiedy porucznik przechylił się do przodu, Saren puścił jedną z jego rąk i z całej siły przekręcił drugą, wykręcając mu ją na plecy. Turianin wykorzystał siłę ciężkości ciała człowieka, przeciw niemu i rzucił go na ziemię. Wciąż wykręcając mu ręką za plecami, przycisnął kolano do tylnej strony jego ramienia i przygwoździł go do podłogi.

Anderson walczył przez kilka sekund, ale nie mógł się uwolnić. Poczł, że Saren zwiększa nacisk na jego ramię i znieruchomiał, zanim turianin uznał za stosowne złamać mu rękę. Kiedy bójka się zaczęła, wszyscy goście baru poderwali się ze swoich miejsc, jednak kiedy zobaczyli, że człowiek został skutecznie obezwładniony i nie ma już najmniejszych szans na pokaz dobrej walki, usiedli z powrotem i zajęli się swoimi drinkami.

– Oto, co znaczy być Widmem – szepnął Saren, wciąż przyciskając go do ziemi. Pochylił się tak nisko, że Anderson czuł na swoim uchu jego gorący oddech. – Trzeba umieć poświęcić życie jednej istoty dla dobra milionów. Badania Qiana, stanowią zagrożenie dla wszystkich ras zamieszkujących przestrzeń Cytadeli. Dostrzegłem możliwość powstrzymania go kosztem utraty życia kilkudziesięciu osobników. Matematyka to prosta rzecz, człowieku... ale niewielu ludzi umie się nią posługiwać.

– Zrozumiałem – powiedział Anderson, starając się mówić spokojnie. – A teraz mnie puść.

– Jeszcze raz zrób coś takiego, a cię zabiję – ostrzegł, zanim go uwolnił. Anderson nie wątpił, że mówi poważnie. Poza tym, walczenie z Sarenem w tym barze nie przyniosłoby mu żadnych korzyści. Jeśli naprawdę chciał pomóc Kahlee, musiał nauczyć się jak być mądrym, a nie niepotrzebnie impulsywnym.

Wstał i przez dłuższą chwilę przyglądał się turianinowi. Został po prostu obezwładniony, a urażona została jedynie jego duma. Wobec tego Anderson przecesał palcami włosy i usiadł z powrotem przy stole. Zorientowawszy się, że człowiek zamierzał trzymać swoje emocje na uwięzi, turianin zrobił to samo.

– W miejscu, w którym to się wydarzyło, nie znaleziono ciała Kahlee – powiedział Anderson, wracając do rozmowy w miejscu, w którym ją przerwali. Chciał opracować skuteczny plan uwolnienia jej, ale nie wiedział nawet, gdzie była przetrzymywana. I chociaż był bardzo zdenerwowany, to jednak musiał w jakiś sposób przeciągnąć turianina na swoją stronę. – Byłeś tam? Widziałeś, co się stało?

– Wasi żołnierze zostali zaatakowani przez Skarra i najemników Błękitnych Słońc – powiedział mu Saren. – Kiedy nie było już żadnej nadziei, wasi żołnierze próbowali się poddać, ale najemnicy zastrzelili ich wszystkich.

– Co z Kahlee? Czy ona wciąż żyje?

– W każdym razie żyła, kiedy po raz ostatni ją widziałem – przyznał Saren. – Zawieźli ją do rafinerii. Zakładam, że musi im być do czegoś potrzebna.

– Jeśli wiedzą o tym, że się tam pojawimy, to w każdej chwili mogą ją zabić – powiedział Anderson.

– To nie ma dla mnie znaczenia.

Porucznik musiał wykorzystać każdą posiadaną przez siebie drobinę wojskowej dyscypliny, żeby nie zaatakować go po raz kolejny, ale jakoś udało mu się usiedzieć nieruchomo na krześle.

– Ale dla mnie ta kobieta ma znaczenie – powiedział, starając się mówić spokojnie. – Więc chcę z tobą zawrzeć pewną umowę.

Turianin wzruszył ramionami, co było naprawdę uniwersalnym gestem wyrażającym brak zainteresowania:

– Jaką umowę?

– Nie chcesz, żebym tu był. Robisz to tylko dlatego, bo takie są rozkazy Rady. Zaprowadź mnie do kryjówki Edana i daj mi szansę na uratowanie Kahlee, a obiecuję, że aż do chwili zakończenia naszej wspólnej misji, będę się trzymał z dala od ciebie.

– Co masz na myśli mówiąc o „szansie na uratowanie Kahlee”? – podejrzliwie zapytał turianin.

– Jeśli dowiedzą się, że ich odnaleźliśmy, prawdopodobnie ją zabiją. Więc kiedy będziemy w rafinerii, pozwolisz mi pierwszemu wejść do środka. Daj mi trzydzieści minut na odnalezienie Kahlee, zanim zajmiesz się Edanem i Qianem.

– A jeśli ktoś cię zauważy? – zapytał turianin. – Rafineria ma swoją ochronę. Nie wspominając o najemnikach Edana. Zaalarmujesz ich i wszyscy będą w stanie gotowości. To mi utrudni pracę.

– Nie – spierał się Anderson. – To ci ułatwi pracę. Ja przyciągnę ich uwagę i odwrócę ją od ciebie. Będą tak skupieni na mnie, że nawet nie zauważą, jak wślizgniesz się do środka z innej strony.

– Jeśli wpakujesz się tam w kłopoty, na pewno nie przybędę ci na ratunek – ostrzegł go Saren.

– W życiu bym się tego nie spodziewał.

Saren przez całą długą minutę rozważał tę propozycję. W końcu skinął głową na znak zgody.

– Masz trzydzieści minut. I ani sekundy więcej.

.20.

Żaden z nich ani razu nie odezwał się w czasie długiej, nocnej drogi przez pustynię. Saren siedział za kierownicą, patrząc przez przednią szybę swojego zwiadowczego pojazdu, podczas gdy Anderson studiował plany rafinerii. Miał nadzieję znaleźć w nich jakąś wskazówkę, co do tego, gdzie przetrzymywana była Kahlee. Wszystko jednak wskazywało na to, że na terenie rafinerii było mnóstwo miejsc, które można było wykorzystać w charakterze tymczasowego, jednoosobowego więzienia. Wobec tego skupił się na zapamiętaniu jak największej ilości szczegółów przestrzennego rozplanowania rafinerii, żeby nie mieć trudności z odnajdywaniem właściwej drogi, kiedy znajdzie się już na miejscu.

Po godzinie zobaczyli w oddali przymgloną poświatę – rozjaśniające ciemności światła rafinerii. Na terenie zakładu pracowano na dwie dzienne i dwie nocne zmiany, na każdej z nich pracowało dwustu robotników. Piezo wydobywane było tutaj przez całą dobę. Żeby zatrzymać tutaj tak duża ilość siły roboczej, rafineria oferowała wszystkim robotnikom i ich rodzinom darmowe wyżywienie i zakwaterowanie w otaczającym zakład osiedlu pracowniczym. Zbudowane z prefabrykatów jednakowe budynki, dodatkowo chroniły rafinerię dużym okręgiem, ogrodzoną płotem z drucianej siatki.

Znajdowali się w odległości zaledwie kilkuset metrów od skraju pracowniczego osiedla, kiedy Saren w końcu zatrzymał ich pojazd.

– Stąd pójdziemy pieszo – powiedział.

Anderson zanotował sobie w pamięci miejsce, w którym zaparkowali. Po odnalezieniu Kahlee miał przecież wrócić tu w zupełnych ciemnościach. Saren raczej nie będzie się kłopotał szukaniem go, jeśli się zgubi.

Wziął swój pistolet, ale zawahał się, sięgając po karabin szturmowy. Pistolet wyposażony był w tłumik, a automatyczny, samopowtarzalny karabin nie – wystarczył jeden oddany z niego wystrzał i wszyscy będą wiedzieli, że tam jest. Na dodatek przy użyciu pistoletu można było dokładniej celować. Karabinem prowadziło się bardziej chaotyczny, zmasowany ostrzał.

– Będziesz tego potrzebować – doradził Saren, widząc jego niezdecydowanie.

– Większość ludzi na terenie tej rafinerii to zwykli robotnicy – odparł Anderson.

- Nawet nie będą uzbrojeni.
- Edan jest chroniony przez najemników Błękitnych Słońc. Tam w środku na pewno spotkasz całe ich stado.
- Nie o to mi chodzi. Po prostu nie chcę przypadkowo postrzelić niewinnych cywilów. Saren wybuchnął nieprzyjemnym gorzkim śmiechem.
- Ciągłe nic nie rozumiesz, prawda, człowieku? Większość spośród mieszkających na tym osiedlu robotników ma broń. Ta rafineria to ich jedyne źródło utrzymania. Nie są żołnierzami, ale kiedy włączą się alarmy, będą się starali bronić tego miejsca.
- Nie przyjechalśmy tu po to, żeby zniszczyć ich rafinerię – sprzeciwił się Anderson. – Mamy tylko znaleźć Qiana, Edana i Kahlee, i to wszystko. Potem stąd odjedziemy.
- Ale oni tego nie wiedzą. Kiedy usłyszą syreny i odgłosy strzelaniny pomyślą, że to jakiś terrorystyczny atak na ich zakład pracy. Nie będziesz w stanie starannie wybierać celów, kiedy połowa z nich zacznie biegać dookoła w dzikiej panice, a druga połowa zacznie do ciebie strzelać.
- I jeśli nie chcesz stracić życia w czasie tej akcji – dodał Saren – to lepiej nastaw się na to, że będziesz strzelać również do cywilów, jeśli akurat staną na twojej drodze. Bo oni na pewno nie będą się wahać ani chwili.
- Konieczność to jedna sprawa, ale jak możesz z taką obojętnością podchodzić do zabijania niewinnych ludzi? – zapytał z niedowierzaniem.
- To kwestia praktyki. Wielu lat praktyki.
- Anderson potrząsnął głową i wziął swój karabin szturmowy, chociaż obiecał sobie, że użyje go dopiero w razie absolutnej konieczności. Złożył go i przytwierdził do zaczepów umieszczonych na tylnej stronie pancerza, tuż ponad pasem. Potem umieścił pistolet na biodrze, żeby w każdej chwili móc po niego sięgnąć.
- Rozdzielamy się – powiedział Saren. – Ja kieruję się na wschód, ty obejdiesz teren z drugiej strony.
- Obiecałeś dać mi trzydziestominutowe fory, zanim sam wejdiesz do środka – stanowczym głosem przypomniał mu Anderson.
- Dostaniesz swoje trzydzieści minut, człowieku. Ale jeśli nie będzie cię tutaj, przy naszym pojeździe, kiedy wrócę, to odjadę bez ciebie.

* * *

Poruszając się w zupełnych ciemnościach, Anderson szybko przemierzył przestrzeń dzielącą go od skraju osiedla. Mimo późnej pory panował tam duży ruch. Z powodu czterozmianowego trybu szycht wydobywczych, zawsze był w okolicy ktoś, kto niedawno

skończył pracę, albo właśnie się do niej wybierał. Osiedle przypominało małe miasto. Mieszkało w nim ponad tysiąc rodzin – mężowie, żony a nawet dzieci tłoczyli się na ulicach, pozdrawiając się nawzajem i załatwiając jakieś codzienne sprawy.

Wśród tylu niczego nie podejrzewających ludzi, Anderson bez trudu powinien wtopić się w tłum. Narzucił na siebie długi, luźny płaszcz połowy, żeby zakryć pancierz i broń. Chociaż większość obsługi rafinerii stanowili batarianie, to było tu dość przedstawicieli innych ras, w tym również ludzi, żeby nikt nie zwracał na niego uwagi.

Pewnym, szybkim krokiem, torując sobie drogę łokciami, wszedł w tłum kłębiący się na ulicach osiedla. Parę razy skinięciem głowy pozdrowił mijających go ludzi. Idąc pospiesznie długimi krokami, coraz bardziej zbliżał się do płotu odgradzającego zabezpieczony teren rafinerii. Wiedział, że ma naprawdę niewiele czasu, ale biegnąc, na pewno zwróciłby na siebie czyjąś uwagę.

Po pięciu minutach wyszedł z zabudowanego terenu. Budynki mieszkalne pracowników otaczały rafinerię ciągłym, równym pierścieniem, ale nikt nie chciał mieszkać tuż przy metalowym płocie. Wewnętrzna krawędź pierścienia osiedla urywała się, w odległości dobrych stu metrów od ogrodzenia, pozostawiając szeroki pas puste, nieoświetlonej ziemi, na którym stało tylko parę publicznych toalet.

Anderson utrzymywał dotychczasowe, szybkie tempo marszu do chwili, kiedy na tyle oddalił się od świateł osiedla, żeby nikt nie mógł go stamtąd dostrzec. Zresztą każdy, kto zobaczyłby go znikającego w ciemności pomyślałby, że udaje się z pilną potrzebą do jednej z ubikacji i nie zwracałby na niego dłużej uwagi.

Bezpiecznie ukryty w ciemności założył parę noktowizyjnych gogli i biegiem dotarł do płotu. Przy użyciu specjalnych nożyc wyciął w siatce dziurę na tyle dużą, żeby się przez nią przecisnąć. Przed wejściem za obręb ogrodzenia odrzucił płaszcz – w środku tylko by mu przeszkadzał. Kiedy znalazł się po drugiej stronie, wziął do ręki pistolet, chociaż wciąż miał nadzieję, że nie będzie musiał go użyć.

Od tego momentu jego zadanie, z każdą chwilą stawało się coraz trudniejsze. Był na terenie, na którym obowiązywał zakaz wstępu. Małe oddziały strażników patrolowały ogrodzoną płotem przestrzeń. Jeśli któryś z nich by go zauważył, to albo zaczęliby do niego strzelać, albo podnieśliby alarm – a najprawdopodobniej zrobiliby obie te rzeczy naraz. Jednak uniknięcie spotkania z nimi nie powinno być zbyt trudne. Widział światła ich latarek o wiele wcześniej, niż oni mogliby zobaczyć jego ciemną, skuloną sylwetkę.

Ostrożnie stąpając po piaszczystym podłożu, zbliżył się do narożnika rafinerii. Cały kompleks zakładu rafinerii był ogromny – główny, masywny, liczący cztery piętra budynek mieścił właściwy zakład wydobywczy. Ze wszystkich stron otaczało go całe mnóstwo

dwupiętrowych dobudówek, w których mieściły się magazyny, środki transportu, administracja i dział obsługi technicznej, do którego zmierzał Anderson.

Kiedy dotarł do budynku obsługi technicznej, skierował się w stronę małych drzwi przeciwpożarowych umieszczonych na jego tyłach. Były zamknięte, ale na zwykłą mechaniczną zasuwę, nie na żaden z tych droższych elektronicznych systemów antywłamaniowych. Na terenie położonej pośrodku pustyni rafinerii, zabezpieczano się, co najwyżej przed drobnymi złodziejaskami, nikt tutaj nie spodziewał żadnej poważniejszej akcji infiltracyjnej.

Anderson umieścił kroplę kleistego materiału wybuchowego we wnętrzu zamka, odsunął się o parę kroków i strzelił w niego z pistoletu. Wybuch był dość głośny, a jego rozbłysk jasny jak mała błyskawica – w każdym razie drzwi były otwarte. Poczekał, czy ktoś zareaguje na ten nietypowy hałas, ale nic się nie działo. Otworzył drzwi pchnięciem dłoni i wszedł do środka.

Znalazł się obok początku długiego ciągu szafek pracowniczych. Pomieszczenie było puste. Był sam środek pierwszej, nocnej zmiany i wszyscy pracownicy zostali wezwani do awarii lub konserwacji jakiegoś sprzętu. W jednym z rogów stał duży, plastikowy kosz na kółkach, wypełniony przeznaczonymi do prania kombinezonami mechaników. Z pewnym niesmakiem przeszukiwał jego zawartość, aż w końcu znalazł kombinezon pasujący na jego obleczone w pancerz ciało. Włożył go na siebie. Musiał odczepić od pancerza pistolet i karabin szturmowy – nie miał zamiaru, w razie potrzeby grzebać w ich poszukiwaniu pod kombinezonem jak pijak szukający zapalniczki. Wsunął pistolet do głębokiej, umieszczonej na biodrze kieszeni. Nie rozłożył karabinu, tylko owinął go w duży ręcznik znaleziony w koszu z brudami.

To przebranie było dalekie od doskonałości, ale powinno umożliwić mu swobodne poruszanie się po budynku bez przyciągania zbyt dużej uwagi. Widząc go przelotnie z dużej odległości, większość strażników powinna uznać, że jest jednym z udających się do pracy mechaników lub konserwatorów i zignorować go.

Podwinął rękaw kombinezonu i spojrzął na zegarek. Minęło już piętnaście minut. Musiał się pospieszyć, jeśli chciał odnaleźć i wyprowadzić Kahlee z terenu zakładu zanim Saren wkroczy do akcji.

* * *

Czekający na zewnątrz pracowniczego osiedla Saren, również spojrzął na zegarek. Upłynęło już piętnaście minut. Anderson bez wątplenia był już głęboko na terenie rafinerii – zbyt daleko, żeby móc zawrócić.

Turianin, podobnie jak przedtem Anderson, ukrył broń pod długim płaszczem i ruszył w stronę budynków osiedla.

Czekał już wystarczająco długo. Nadszedł już czas, by rozpocząć jego własne zadanie.

* * *

Anderson nawigował przez liczne korytarze i schody, prowadzące z działu obsługi technicznej do głównego budynku rafinerii. Serce zabiło mu mocniej, kiedy zobaczył pierwszego, idącego w jego stronę pracownika. Ale batariańska kobieta tylko rzuciła na niego okiem, potem odwróciła spojrzenie i minęła go, nie odezwawszy się ani jednym słowem.

Później minął jeszcze kilkoro pracowników rafinerii, ale żaden z nich nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi. W końcu zaczął odczuwać frustrację – nie miał czasu, żeby dokładnie przeszukać cały zakład. Zakładał, że trzymają Kahlee na którymś z niższych pięter, ale i tak potrzebował odrobiny szczęścia, jeśli chciał ją odnaleźć przed upływem wyznaczonego czasu.

A potem to zobaczył – tabliczkę z napisem „Zakaz wstępu”, umieszczoną przy schodach prowadzących w dół do miejsca, które, o ile dobrze pamiętał, było niewielkim składem podręcznego sprzętu. Znak był tak czysty, nowy i lśniący, że najwyraźniej powieszono go tu w ciągu kilku ostatnich dni.

Zszedł szybko po schodach. U ich stóp zobaczył dwóch mocno zbudowanych batarian z tatuażami Błękitnych Słońc na policzkach. Wyglądali na znudzonych, siedzieli rozwaleni na krzesłach ustawionych po obu stronach ciężkich, stalowych drzwi. Ich karabiny stały obok oparte o ścianę. Żaden z nich nie miał na sobie pancerza – co było zrozumiałe, biorąc pod uwagę warunki ich pracy. Prawdopodobnie musieli tu siedzieć cały dzień, a pancerz był ciężki i nie przepuszczał zbyt dużo powietrza. Noszenie go bez zdejmowania przez dłuższy czas niż parę godzin było bardzo niewygodne.

Strażnicy także go zauważyli, więc Anderson podszedł prosto do nich, nie zmieniając rytmu kroków. Na szczęście ostrzeżono ich, że mają spodziewać się turiańskiego Widma. Człowiek w kombinezonie konserwatora sprzętu nie wydał im się zbyt dużym zagrożeniem.

Kiedy stanął na małym, umieszczonym u stóp schodów podeście, jeden z najemników wstał i wymierzył lufę karabinu w klatkę piersiową Andersona. Porucznik znieruchomiał. Był w odległości niecałych pięciu metrów. Z tak bliskiej odległości nie miałyby szans na przeżycie, gdyby najemnik zdecydował się nacisnąć spust.

– Co to jest? – zapytał strażnik, wskazując lufą karabinu na owinięty w ręcznik karabin szturmowy, który Anderson dla wygody trzymał pod pachą.

– Mam tu parę narzędzi. Muszę je osuszyć.

– Połóż ten pakiet na ziemi.

Anderson zrobił, co mu kazano. Powoli i ostrożnie położył karabin na podłodze, uważając, żeby ręcznik nie odwinął się i nie ukazał tego, co zakrywał.

Teraz, kiedy Anderson nie miał w rękach niczego, co mogło być bronią, strażnik poczuł się na tyle rozluźniony, że opuścił lufę własnego karabinu.

– Co z tobą, człowieku? – zapytał oschle. – Nie umiesz czytać po batariańsku? – ostatnie pytanie spowodowało wybuch śmiechu jego partnera, który wciąż siedział na krześle.

– Potrzebuję czegoś z tego składziku – odparł Anderson.

– Nie z tego. Wynoś się stąd.

– Mam tu gdzieś przepustkę z biura – powiedział Anderson, grzebiąc w kieszeni, jakby szukał jakiejś karteczki. Batarianin przyglądał mu się z wyrazem znudzonego rozdrażnienia na twarzy, zupełnie nieświadomy tego, że Anderson właśnie obejmuje dłonią rękojeść pistoletu i kładzie palec na spuście.

Obszerne wnętrze przeznaczonej do noszenia narzędzi kieszeni kombinezonu, pozwoliło mu na tyle podnieść lufę pistoletu do góry, żeby wymierzyć mniej więcej w środek ciała batarianina. Nacisnął spust dwa razy. Kule przebiły drelich kombinezonu i zagłębiły się w brzuchu najemnika.

Zaskoczony batarianin wypuścił z rąk karabin, zachwiał się i odruchowo zasłonił dłońmi dziury w brzuchu. W końcu uderzył plecami o ścianę i powoli osunął się na podłogę, prędkie strumyczki krwi wypływały spomiędzy palców jego przyciśniętych do ran dłoni.

Jego partner przyglądał się temu ze zdumieniem. Dzięki dobremu tłumikowi, strzały z pistoletu brzmiały jak ciche *zip-zip*, którego nawet prawdopodobnie w ogóle nie usłyszał. Minęła co najmniej sekunda, zanim zorientował się, co się stało. Z wyrazem rosnącego przerażenia na twarzy sięgnął po własny karabin. Anderson wyciągnął pistolet z kieszeni i dwa razy strzelił w klatkę piersiową najemnika. Ten przechylił się na bok, spadł z krzesła i znieruchomiał.

Anderson skierował lufę pistoletu w stronę pierwszego ze strażników, który wciąż siedział nieruchomo, oparty plecami o ścianę.

– Proszę, nie – błagał najemnik, w końcu zorientowawszy się, kim jest Anderson. – To Skarr wydał rozkaz zabicia tamtych żołnierzy Przymierza. Ja w ogóle nie chciałem ich zabijać.

– Ale to zrobiłeś – odparł Anderson i strzelił batarianinowi dokładnie między oczy.

Wyswobodził się z kombinezonu, przyczepił pistolet z powrotem na biodrze, po czym odwinął z ręcznika i rozłożył swój karabin szturmowy. Potem wymierzył go w stronę drzwi i otworzył je kopnięciem.

.21.

Podobnie jak przedtem Anderson, Saren wszedł do kompleksu rafinerii przez wyjście awaryjne jednego z dwupiętrowych aneksów. Ale, podczas gdy porucznik przeszedł przez dobudowany od strony zachodniej budynek obsługi technicznej, Saren wszedł do środka przez stanowiący wschodnie skrzydło kompleksu magazyn. I w przeciwieństwie do swojego ludzkiego poprzednika, nie uznał za stosowne przywdziać żadnego przebrania.

Dwóch robotników magazynu zobaczyło go, kiedy wchodził. Ich twarze wyrażały zaskoczenie, a potem strach, na widok odzianego w pancerz turianina, z ciężkim karabinem szturmowym w rękach. Jedna szybka seria zakończyła ich życie, zanim zdążyli zawołać o pomoc.

Widmo szybko przeszło przez magazyn do głównego budynku. W przeciwieństwie do Andersona, agent dokładnie wiedział, dokąd idzie. Zszedł na najniższe poziomy kompleksu rafinerii, gdzie w wielkich kadziach roztapiano urobek skał i rud bogatych w pierwiastek zero, żeby zebrać z powierzchni wrzącego płynu wszelkie zanieczyszczenia i niepotrzebne składniki. Roztopiony płyn był potem przetaczany rurami do olbrzymiej wirówki, która oddzielała od reszty cenne piezo. Po drodze zabił trzech kolejnych pracowników.

Zorientował się, że zbliża się do celu, kiedy zaczął mijać wiszące na ścianach tabliczki z napisem „Wstęp wzbroniony”. Minął kolejny róg i otworzył kopnięciem drzwi z wymalowanym na nich napisem „Wstęp wyłącznie dla członków personelu”. Z wnętrza buchnęło gorące, parne powietrze, szczypiące w oczy i w płuca. We wnętrzu pół tuzina inżynierów stało lub chodziło po pomostach zawieszonych nad olbrzymimi zbiornikami i masywnym generatorem, używanym do ich podgrzewania. Monitorowali przebieg procesu rafinacji, by upewnić się, że cały sprzęt pracuje z maksymalną wydajnością i że wszystko działa prawidłowo, ponieważ w tym miejscu każda awaria mogła mieć śmiertelnie groźne skutki.

Wszyscy nadzorcy mieli na uszach słuchawki chroniące ich uszy przed ciągłym rykiem napędzających generator turbin. Jeden z nich dostrzegł Sarena i krzyknął coś w stronę

pozostałych. Jego słowa zginęły jednak w wytwarzanej przez turbiny ścianie dźwięku, podobnie zresztą jak odgłos wystrzałów, którymi turianin skosił ich wszystkich.

Ta rzeź trwała niecałą minutę. Agent WiDMO był przede wszystkim, brutalnie skuteczny. Kiedy zginął ostatni z inżynierów, spadając z pomostu do znajdującego się dwadzieścia metrów poniżej zbiornika pełnego roztopionej rudy, Saren przystąpił do realizacji kolejnej fazy swojego planu.

We wnętrzu rafinerii było zbyt wiele potencjalnych kryjówek. Zbyt dużo miejsc, w których Edan mógł się schronić za murem uzbrojonych najemników. Saren musiał zrobić coś, żeby wywabić go na zewnątrz. Parę ładunków wybuchowych rozmieszczonych w strategicznych miejscach powinno zapoczątkować katastrofalną w skutkach serię eksplozji w samym sercu rafinerii, uruchamiając alarm generalnej ewakuacji na terenie całego zakładu.

Saren zamocował i uzbroił ostami z ładunków i skierował się w stronę wyższych poziomów kompleksu. W chwili detonacji chciał się znaleźć poza zasięgiem fali uderzeniowej wybuchu.

* * *

Kahlee była głodna, spragniona i zmęczona. Ale przede wszystkim, była przerażona. Kroganin powiedział jej, że Qian przyjdzie się z nią zobaczyć w ciągu kilku najbliższych dni, ale nie powiedział jej nic więcej. Potem zaciągnął ją do jakiegoś magazynu i zamknął w małym składziku na jego tyłach. Od tej pory z nikim nie rozmawiała, ani nikogo nie widziała.

Nie była głupia, wiedziała, czemu ma to służyć. Nie wiedziała, czego chciał od niej Qian, ale oczywiste, że chcieli ją w ten sposób zmiękczyć, złamać jej wolę przed spotkaniem z nim. Na prawie cały dzień zostawili ją samą w tej ciasnej klatce, w zupełnej ciemności, bez jedzenia ani wody. Nie zostawili jej nawet wiadra, do którego mogłaby załatwić swoje potrzeby. Musiała zrobić to w kącie.

Po jakichś dwóch dniach takiego traktowania, Qian pewnie w końcu przyjdzie i złoży jej jakąś propozycję. Jeśli się na nią zgodzi, nakarmi ją i dadzą coś do picia. Jeśli odmówi, wrzucą ją z powrotem do tej tymczasowej celi i przyjdą po nią znowu po kolejnych trzech dniach.

Jeśli odmówi im po raz drugi, wtedy prawdopodobnie zaczną się dziać o wiele okropniejsze rzeczy. Zamiast ją głodzić i męczyć psychicznie, zaczną ją rzeczywiście, fizycznie torturować. Kahlee nie miała zamiaru w żaden sposób pomagać doktorowi Qianowi, ale była przerażona tym, co miało ją wkrótce spotkać. Ale najgorsza w tym wszystkim była świadomość, że w ostateczności i tak osiągną swój cel. To może zająć im wiele dni, może nawet tygodni, ale niekończące się tortury i męczarnie całego ciała w końcu ją złamią i wtedy da im to, czego od niej zażądadają.

W czasie pierwszych paru godzin spędzonych w zamknięciu, szukała w myślach jakiegoś sposobu oswobodzenia się, ale nic sensownego nie przyszło jej do głowy. Obmacała w ciemnościach drzwi schowka, ale były zamknięte od zewnątrz, a wewnętrzna klamka została usunięta. Na dodatek prawie pewne było, że jeśli w jakiś sposób udałoby jej się je otworzyć, to i tak po ich drugiej stronie spotkałaby strażników.

Nie mogła nawet uciec popełniając samobójstwo. I nie chodziło nawet o to, że jeszcze nie doszła do tego etapu. Rzecz w tym, że pomieszczenie, w którym ją zamknęto, było zupełnie puste: nie było w nim rur, na których można było się powiesić, ani nic ostrego, czym można byłoby podciąć sobie żyły. Przez krótką chwilę rozważała, czy nie zacząć do skutku walić głową o ścianę, ale skończyłoby się to jedynie utratą przytomności i mnóstwem niepotrzebnego bólu – a w najbliższej przyszłości spodziewała się zaznać obu tych rzeczy w nadmiarze.

Sytuacja była beznadziejna, ale Kahlee nie poddała się jeszcze ostatecznej, najgłębszej rozpacz. A potem usłyszała hałas: dźwięki słodsze od anielskiego śpiewu. Dźwięki wybawienia: dochodzące zza drzwi odgłosy strzelaniny.

* * *

Anderson kopnięciem otworzył drzwi, których pilnowali dwaj unieszkodliwieni strażnicy. Za nimi znajdowało się duże pomieszczenie magazynowe. Jednak cały sprzęt został z niego usunięty. Było puste, zostawiono w nim tylko niewielki stół i parę krzeseł.

Wokół stołu siedziało czterech kolejnych batariańskich najemników Błękitnych Słońc. Grali w karty. Z boku, w kącie, samotnie stał Skarr. Żaden z nich, podobnie jak strażnicy pod drzwiami, nie miał na sobie pancerza.

Kroganin był jego pierwszym celem – strumień kul uderzył go prosto w klatkę piersiową. Skarr rozrzucił ręce ciśnięty siłą uderzenia do tyłu i wypuścił z rąk karabin, który poleciał na drugą stronę pomieszczenia. Uderzył w ścianę plecami, odbił się od niej i przewrócił się twarzą w dół na podłogę, obficie krwawiąc z niezliczonych ran.

Najemnicy zareagowali na ten niespodziewany atak przewróceniem stołu i rozproszeniem się. Widząc, że Kahlee nie ma we wnętrzu tego pomieszczenia, Anderson po prostu zalał cały magazyn nieustającym strumieniem pocisków. Zlikwidował wszystkich czterech, zanim zdążyli w ogóle odpowiedzieć ogniem. To nie była porządna, honorowa walka, tylko masakra. Ale biorąc pod uwagę to, kim były ofiary, Anderson nawet nie czuł się źle w roli kata.

Kiedy skończył strzelać, zauważył małe drzwi w tylnej ścianie magazynu. Prawdopodobnie był za nimi zwykły schowek, ale wzmocniono je metalowymi płytami i zamknęto na solidny zamek.

– Kahlee? – krzyknął, podbiegając, żeby walnąć w drzwi pięścią. – Kahlee, jesteś tam w środku? Słyszysz mnie?

Z drugiej strony usłyszał jej przytłumiony głos:

– David? David! Proszę, wyciągnij mnie stąd!

Próbował szarpać zamek, ale nie chciał puścić. Przez chwilę rozważał, czy nie wysadzić go małym ładunkiem wybuchowym, tak, jak to zrobił przedtem z drzwiami przeciwpożarowymi budynku obsługi technicznej, ale obawiał się, że wybuch mógłby zranić Kahlee.

– Wytrzymaj jeszcze chwilę! – krzyknął do niej. – Muszę znaleźć klucz!

Obrzucił wzrokiem całe wnętrze, aż w końcu jego spojrzenie zatrzymało się na leżącym w kącie ciele kroganina. Wyciekała z niego duża kałuża krwi, z każdą chwilą coraz szerzej rozprzestrzeniająca się po podłodze. Jeśli ktokolwiek w tym pomieszczeniu miał klucz do tych drzwi, to na pewno był to kroganin. To było oczywiste.

Anderson podbiegł do ciała, przykucnął, położył karabin na podłodze, chwycił obiema rękami ramię kroganina i przewrócił go na plecy. Jego klatka piersiowa była bulgocącym bajorem krwi. Przynajmniej dwanaście pocisków przedarło się przez jego tułów. Całe jego ubranie przesiąknięte było lepkiem, ciemnym płynem.

Lekko krzywiąc usta, Anderson wyciągnął ręce, żeby przeszukać jego kieszenie. Oczy Skarra otworzyły się, jego ręka wystrzeliła w górę i chwyciła go za gardło. Z dzikim rykiem bestia wstała, w jednej, wyciągniętej ręce trzymając porucznika w powietrzu. Druga, zakrwawiona ręka kroganina zwisała bezwładnie wzdłuż jego boku.

To niemożliwe, pomyślał Anderson, wijąc się jak bezsilne dziecko, podczas gdy dłoń kroganina powoli wyciskała z niego życie. *Nikt nie może przeżyć tylu postrzałów. Nawet kroganin!*

Skarr musiał dostrzec graniczące z szokiem zdziwienie w jego oczach.

– Wy, ludzie, musicie się jeszcze dużo nauczyć o moim plemieniu – warknął. Kiedy mówił na jego ustach pękały bąbelki krwawej piany. – Szkoda, że nie będziesz żył, żeby móc opowiedzieć o tym swoim braciom.

Anderson wymachiwał rękami i nogami, ale kroganin trzymał go na odległość wyciągniętej ręki – jego kończyny były za krótkie, by dosięgnąć ciała olbrzyma. Wobec tego zaczął walić pięścią w masywne przedramię Skarra. Jego wysiłki wywoływały jedynie bulgocący śmiech, dobywający się z wnętrza klatki piersiowej kroganina.

– Powinieneś się cieszyć – powiedział mu łowca nagród. – Będziesz miał lekką śmierć. Nie jak ta samica.

Nagle pomieszczeniem magazynu targnął potężny wstrząs silnego wybuchu, który miał swoje źródło gdzieś w głębi rafinerii. Ściany zakołysały się i pojawiły się na nich rysy głębokich pęknięć, z sufitu spadło parę dużych kafli. Podłoga pod ich stopami zachwiała się i

wybrzuszyła, wytrącając Skarra z równowagi. W tej samej chwili, Anderson z całej siły targnął całym swoim ciałem, w wyniku czego wyswobodził się z morderczego uścisku i walcząc o oddech upadł na podłogę.

Skarr zachwiał się i lekko zatoczył, starając się ustać na nogach. Ale jego równowaga zakłócona była przez bezwładną, zranioną rękę, a poza tym, osłabł od utraty dużej ilości krwi. Po chwili, ciężko zwałił się na ziemię, zaledwie w odległości paru metrów od miejsca, w którym Anderson położył swój karabin szturmowy.

Wolny od uścisku łapy kroganina, Anderson wyciągnął swój pistolet i wystrzelił. Ale nie wymierzył go w kroganina. Jeśli seria z karabinu szturmowego nie powaliła ostatecznie Skarra, to pojedynczy strzał z pistoletu, mógłby co najwyżej spowolnić jego ruchy. Zamiast tego, Anderson wymierzył w leżący obok kroganina karabin i jednym celnym strzałem odsunął go poza zasięg łowcy nagród.

W całym budynku rozległy się włączone w chwili wybuchu syreny alarmów. Jednak Anderson miał na głowie inne, bardziej bieżące problemy. Uzbrojony jedynie w pistolet wiedział, że Skarra wykończyć może jedynie bezpośrednie trafienie w głowę. Ale kroganin zdążył wstać i ruszyć w jego stronę, zanim Andersonowi udało się dokładnie wymierzyć.

Kula trafiła kroganina w jego już sparalizowane ramię, ale nie zatrzymało go to ani na sekundę. Anderson rzucił się w bok i odtoczył parę metrów, z ledwością unikając stratowania na śmierć.

Teraz ryczący z wściekłości Skarr znalazł się pomiędzy nim a drzwiami, blokując jedyną drogę ucieczki. Anderson wycofał się do rogu i znowu uniósł broń do strzału. Ale spóźnił się o ułamek sekundy, bo kroganin zdążył uderzyć go szybkim biotycznym ciosem, który wytrącił pistolet z jego dłoni, prawie łamiąc mu rękę w nadgarstku.

Wiedząc, że nieuzbrojony człowiek nie ma w walce z nim najmniejszych szans, kroganin powoli zbliżał się do swojej ofiary. Anderson próbował wyminąć go w jakiś sposób, fingując ruchy, które miały zmylić jego czujność, żeby dorwać, któryś z leżących na podłodze karabinów. Ale kroganin nie dał się zmylić. Nawet z tyloma ranami, po utracie tak dużej ilości krwi był na tyle szybki, że za każdym razem odcinał mu drogę, powoli zapędzając porucznika w róg, z którego nie było ucieczki.

* * *

Wywołany wybuchem wstrząs rzucił Kahlee w ciemności, w których uderzyła twarzą w niewidzialną ścianę, wybijając sobie jeden z zębów i łamiąc nos. Upadła na podłogę i przykryła dłońmi pokiereszowaną twarz czując, jak po brodzie ścieka jej strumyczek gorącej krwi.

A potem dostrzegła wąski strumień padającego zza drzwi światła. Siła wybuchu musiała wyważyć drzwi z zawiasów. Ignorując piekący ból wstała i wycofała się, dopóki nie dotknęła plecami ściany. Potem zrobiła trzy energiczne kroki i z całych sił uderzyła ramieniem w drzwi.

Musiały być poważnie uszkodzone, ponieważ od razu ustąpiły. Powodowana siłą rozpędu wpadła do znajdującego się za nimi pomieszczenia. Z impetem upadła na ziemię, uderzając w nią tym samym ramieniem, którego użyła do wyważenia drzwi. Przypominający porażenie prądem wstrząs ostrego bólu targnął jej ramieniem – kość jej ręki wyskoczyła z torebki stawowej. Po chwili usiadła, zasłaniając oczy zdrową ręką – po tylu godzinach spędzonych w absolutnej ciemności jasne światło sprawiało jej wręcz fizyczny ból.

– Kahlee! – usłyszała krzyk Andersona. – Weź karabin i zastrzel go!

Mrużąc oczy, wciąż niewiele widząc, obmacywała podłogę dookoła, aż w końcu jej dłoń zacisnęła się na lufie karabinu szturmowego. Podciągnęła go w swoją stronę i chwyciła za rękojeść, kiedy tuż ponad nią zamajaczył jakiś ogromny cień.

Działając czysto instynktownie wymierzyła i pociągnęła za spust. W nagrodę usłyszała niemożliwy do pomylenia z niczym innym ryk wyjącego z bólu kroganina. Ogromny cień upadł do tyłu.

Wciąż desperacko mrugając w próbie odzyskania wzroku, dostrzegła w końcu sylwetkę ślaniającego się na nogach, trzymającego się za brzuch Skarra, patrzącego na nią z wściekłością i niedowierzaniem.

A potem w jej polu widzenia, tuż obok łowcy nagród, pojawił się Anderson. Przyłożył lufę pistoletu do boku czaszki kroganina i wystrzelił. Kahlee odwróciła wzrok o ułamek sekundy za późno – widok mózgu Skarra wyskakującego z drugiej strony jego głowy i rozpląszczającego się na ścianie miał ją prześladować w złych snach aż do końca jej dni.

A potem David pojawił się przy niej i przyklęknął obok.

– Nic ci nie jest? Możesz chodzić?

Pokiwała głową.

– Myślę, że ramię wyskoczyło mi ze stawu barkowego.

Przez chwilę o czymś myślał, a potem powiedział:

– Przepraszam cię za to, Kahlee – właśnie miała go spytać, za co ją przeprosza, kiedy chwycił ją za nadgarstek i obojczyk, i z całej siły pociągnął jej rękę w swoją stronę. Krzyknęła z bólu, prawie tracąc przytomność. Ramię było z powrotem na swoim miejscu.

David podtrzymał ją, żeby nie osunęła się na podłogę.

– Ty draniu – mruknęła, rozprostowując palce, żeby pozbyć się przykrego odczucia odrętwienia. – Dziękuję – dodała sekundę później.

Pomógł jej wstać i dopiero wtedy zobaczyła wszystkie pozostałe martwe ciała najemników. Anderson nic nie powiedział, tylko wręczył jej karabin odebrany jednemu z zabitych i wziął do

ręki swój.

– Lepiej, jak je weźmiemy – powiedział, przypominając sobie ponure uwagi Sarena na temat strzelania do cywilów. – I módlmy się, żebyśmy nie musieli ich użyć.

.22.

Eksplozja umieszczonych w samym sercu rafinerii ładunków wybuchowych miała dokładnie takie skutki, na jakie liczył Saren. W całym zakładzie zapanowały chaos i panika. Alarmy poganiały pędzących do wyjść awaryjnych pracowników, chcących za wszelką cenę uniknąć zagłady. Ale podczas, gdy wszyscy opuszczali teren zakładu, Saren coraz głębiej wchodził do jego wnętrza, poruszając się pod prąd pędzących na zewnątrz strumieni oszalałego tłumu. Nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi, wszyscy chcieli po prostu jak najszybciej uciec z tego miejsca.

Musiał działać szybko. Detonacja założonych przez niego ładunków była zaledwie pierwszym ogniwem reakcji łańcuchowej, która miała spowodować przegrzanie zbiorników z roztopioną rudą. Kiedy zbiorniki wybuchną, cała maszyna wytwórcza rafinerii stanie w płomieniach. Turbiny i generatory ulegną przeciążeniu, rozpoczynając serię eksplozji, które zamienią całą rafinerię w kupkę popiołów.

Cierpliwie przeszukując wzrokiem tłum uciekinierów, Saren w końcu dostrzegł to, czego szukał: niewielką, zwartą grupkę uzbrojonych po zęby najemników Błękitnych Słońc. Podobnie jak Saren, w przeciwieństwie do całej reszty tłumu, oni również wchodzili coraz głębiej do wnętrza rafinerii.

To było dziecinnie proste – musiał po prostu iść za nimi.

* * *

– Na co jeszcze czekamy! – histerycznie krzyknął Qian. Podniósł do góry małą metalową skrzynkę i nerwowo potrząsnął nią tuż przed twarzą Edana. W jej wnętrzu znajdowała się pamięć USB zawierająca wszystkie dane, jakie zebrali w czasie pracy nad projektem. – Tutaj mamy wszystko, czego nam potrzeba! Chodźmy już!

– Jeszcze nie – powiedział batarianin, starając się, aby jego głos brzmiał spokojnie, pomimo ryczących syren, które prawie zagłuszały jego myśli. – Poczekajmy na naszą eskortę – wiedział, że wybuchy, które wzbudziły alarm, nie były dziełem przypadku. Nie miał

najmniejszego zamiaru dobrowolnie wchodzić w zastawioną na niego pułapkę. A już na pewno nie miał zamiaru tego zrobić bez swoich ochroniarzy u boku.

– A co z nimi? – wrzasnął Qian, wskazując w stronę dwóch najemników, którzy prawdopodobnie w tej chwili nerwowo przestępowali z nogi na nogę za drzwiami pomieszczenia, w którym musiał siedzieć zamknięty od chwili ataku na Sidon.

– Oni nam nie wystarczą – odparł Edan. – Nie zamierzam niepotrzebnie ryzykować. Poczekamy na resztę...

Urwał, słysząc dobiegające z sąsiedniego pomieszczenia odgłosy wystrzałów i krzyki strażników, wtapiające się w ciągłe wycie syren. Potem nastąpiła chwila ciszy. A potem, w drzwiach pojawiła się postać nieznanego.

– Twoja eskorta już nie istnieje – powiedział odziany w pancerz turianin.

Chociaż nigdy dotąd się nie spotkali, Edan natychmiast go rozpoznał.

– Znam cię – powiedział. – Jesteś Widmem. Masz na imię Saren.

– To ty to zrobiłeś! – krzyknął Qian, wskazując drżącym palcem na Sarena. – To twoja wina!

– Zamierzasz nas teraz zabić? – zapytał Edan. Ku swojemu zdziwieniu, nie odczuwał strachu. Jakby od bardzo dawna wiedział, że tak chwila kiedyś musi nadejść. Teraz, kiedy stał w obliczu własnej śmierci, czuł tylko dziwny rodzaj spokoju.

Jednak turianin ich nie zabił. Zamiast tego, zadał im pytanie:

– Nad czym pracowaliście na Sidonie?

– Nad niczym! – krzyknął Qian, przyciskając do piersi metalową skrzynkę. – To należy do nas!

Edan natychmiast rozpoznał spojrzenie Sarena. Całą swoją fortunę oparł na tym, co wyrażało: na głodzie, na pożądaniu, na żądzy posiadania.

– Ty już wiesz – szepnął, zdając sobie z tego, jak wygląda prawda. – Ale nie wiesz wszystkiego. Nie znasz całej prawdy. Znasz tylko jej część, która sprawia, że chcesz wiedzieć więcej – na jego ustach pojawił się cień uśmiechu. Wciąż była szansa na to, że uda mu się zachować życie.

– Zamknij się! – wrzasnął na niego Qian. – On nam to odbierze!

– Nie sądzę – odparł Edan, zwracając się bardziej do Sarena niż do szalejącego naukowca. – My mamy coś, co jest mu potrzebne. Musi nas zachować przy życiu.

– Nie muszę zachowywać przy życiu was obu – ostrzegł Saren.

Coś w tonie jego głosu przebiło gęstniejącą zasłonę szaleństwa Qiana.

– Będziesz mnie potrzebował – nalegał, z na chwilę odzyskaną przytomnością umysłu. – Będziesz potrzebował mojej wiedzy i mojego doświadczenia – mówił szybko, był zdesperowany i przestraszony. Jednak nie wiadomo było, czy bardziej bał się śmierci jako

takiej, czy też tego, że straci możliwość kontynuowania swoich badań. – Beze mnie nigdy tego nie zrozumiecie. Nigdy nie zdołacie uwolnić jego pełnej mocy. Będę wam do tego niezbędnym!

Saren uniósł pistolet i skierował go w stronę mamroczącego człowieka, a potem spojrzął na Edana.

– Czy to prawda? – zapytał batarianina.

Edan wzruszył ramionami.

– Mamy kopie wyników wszystkich jego badań, a mój zespół zajmuje się bezpośrednim studiowaniem artefaktu. Qian jest błyskotliwym naukowcem, ale ostatnio stał się trochę... nieobliczalny. Myślę, że nadeszła już pora, by go kimś zastąpić.

W chwili, kiedy Edan skończył ostatnie zdanie, Saren nacisnął spust. Qian nagle zeszywniał i przewrócił się na plecy – pośrodku jego czoła ziała krwawa dziura. Metalowa skrzynka wysunęła się z jego rąk i upadła na podłogę, jednak znajdującej się w jej wnętrzu pamięci USB na pewno nic się nie stało, ponieważ chroniona była od wewnątrz gąbczastą wykładziną.

– A co mam zrobić z tobą? – zapytało Widmo, kierując lufę pistoletu w stronę batarianina.

Kiedy Edan był przekonany, że ma już żadnych szans na uratowanie życia, z rezygnacją, spokojnie był skłonny stawić czoło przeznaczeniu. Teraz, kiedy dostrzegł promyk nadziei, skierowany w jego stronę pistolet napełnił go mrozącym krew w żyłach strachem.

– Wiem, gdzie to jest – powiedział. – Jak to odnajdziesz bez mojej pomocy?

Saren skinął głową w stronę metalowej skrzynki.

– Prawdopodobnie we wnętrzu tego pudełka znajdę odpowiedzi na interesujące mnie pytania.

– Mam... mam wiele możliwości – Edan zaczął się jąkać, starając się znaleźć argument, który mógłby przekonać jego kata. – Znam odpowiednie osoby. Mam władzę i pieniądze. Koszty prowadzenia tego projektu są naprawdę astronomiczne. Jeśli mnie zabijesz, jak zamierzasz znaleźć fundusze?

– Nie ty jeden dysponujesz bogactwem i wpływami – przypomniał mu turianin.

– Bez trudu mogę znaleźć kolejnego fundatora. Nawet nie muszę w tym celu opuszczać Pogranicza.

– Pomyśl chociaż o tym, ile dla tej sprawy poświęciłem czasu i wysiłku! – wyznał Edan. – Jeśli mnie zabijesz, będziesz musiał zaczynać od zera!

Saren nie odpowiedział, ale przechylił głowę na bok, jakby rozważał słowa batarianina.

– Nie masz pojęcia, co można zrobić za pomocą tej rzeczy – naciskał Edan. – To wyjątkowy i niezwykły przedmiot, na skalę całej galaktyki! Nawet dysponując całym archiwum Qiana nie znajdziesz nikogo, kto byłby w stanie podjąć prace nad tym projektem w miejscu, w którym zostały przerwane. Uczestniczyłem w tym od samego początku. Mam

wiedzę i doświadczenie. Wiem, z czym mamy do czynienia. Nikt inny w całej galaktyce nie może ci zaoferować tego, co ja!

Z wyrazu twarzy turianina wynikało, że argumenty Edana zaczęły przemawiać mu do rozsądku.

– Jeśli mnie zabijesz, nie tylko stracisz moje finansowe wsparcie, ale stracisz też cały bagaż mojego doświadczenia. Owszem, możesz znaleźć innego sponsora projektu, ale to i tak zajmie ci bardzo dużo czasu. Jeśli mnie zabijesz, będziesz musiał zaczynać od początku. Chyba nie zamierzasz poświęcić trzech cennych lat mojej pracy nad fundamentami całego przedsięwzięcia tylko po to, żeby móc odczuć ulotną satysfakcję wynikającą z zastrzelenia mnie.

– Nie przeszkadza mi, że będę musiał poczekać jeszcze parę dodatkowych lat – odparł Saren, naciskając spust. – Z natury jestem bardzo, bardzo cierpliwy.

* * *

W chwili drugiego wybuchu, Kahlee i Anderson wciąż byli we wnętrzu głównego budynku rafinerii. Eksplozja rozpoczęła się w pobliżu kadzi z roztopioną rudą. Potężne gejzery płonącego płynu wystrzeliły na trzysta metrów w niebo. Potem rosnąca, ognista kolumna spłaszczyła się na podobieństwo grzyba, rozświetlając ciemności nocy, żeby po chwili opaść na ziemię w promieniu pół kilometra w postaci rozgrzanego do czerwoności, śmiertelnie groźnego deszczu.

– Nie przestawaj biec! – wrzasnęła Anderson, starając się przekrzyczeć syreny alarmów. Cała konstrukcja budynku była poważnie nadwyreżona pierwszymi dwoma wybuchami, kolejne mogły nastąpić w każdej chwili. – Musimy wydostać się na zewnątrz, zanim to wszystko się na nas zawali!

Biegł przodem, w jednej ręce ściskając karabin, drugą ciągnąc za sobą słabnącą, z każdą chwilą młodą kobietę. W końcu wybiegli z budynku i ruszyli w stronę ogradzającego zakład płotu. Porucznik nerwowo rozglądał się w poszukiwaniu jakichkolwiek śladów pościgu.

– Mój Boże! – krzyknęła Kahlee stając w miejscu, więc on siłą rzeczy musiał zrobić to samo. Obejrzał się i zobaczył, że wpatruje się w coś w oddali. Podążył za jej wzrokiem, i sam w myślach wyszeptał słowa modlitwy.

Całe osiedle pracownicze stało w ogniu. Ich dwójka w chwili drugiego wybuchu była chroniona przed deszczem roztopionej rudy przez ściany i dach rafinerii. Wszyscy znajdujący się w osiedlu pracowniczym – mężczyźni, kobiety i dzieci – nie mieli tego szczęścia. Wyglądało na to, że płoną wszystkie budynki. Byli zamknięci w pierścieniu wściekłego, pomarańczowego ognia.

– Nigdy nie uda nam się przez to przejść – jęknęła Kahlee i w poczuciu beznadziei osunęła się na ziemię, w końcu poddając się zmęczeniu.

Zakładem wstrząsnął kolejny wybuch. Anderson obejrzał się i zobaczył, że budynek rafinerii też już stoi w płomieniach. W ich jaskrawym, migotliwym świetle widział wypływające z wybitych okien ciemne opary – uwolnione przez wybuchy chmury toksycznych chemikaliów.

– Nie możemy tracić nadziei! – krzyknął Anderson, chwytając ją pod ramiona i stawiając na nogach. – Może nam się uda!

Kahlee tylko potrząsnęła głową. Widział to w jej oczach. Po tym wszystkim, co przeszła od chwili zniszczenia Sidonu, ta dzisiejsza noc zniszczenia przepełniła miarę jej wytrzymałości. Nie miała już nic, czym mogłaby się bronić przed rozpaczą.

– Ja już nie mogę. Jestem zbyt zmęczona – powiedziała, znowu osuwając się na ziemię. – Po prostu mnie tutaj zostaw.

Nie mógł nieść jej przez cały czas. Mieli zbyt dużą odległość do przejścia. Poza tym, obawiał się, że z jej ciężarem na plecach nie mogłby dostatecznie szybko przejść przez ulice płonącego osiedla – zamiast uratować się, mogli tam po prostu oboje spłonąć.

Kahlee nie zaciągnęła się, żeby służyć na pierwszej linii walki. Była naukowcem, zajmowała się myśleniem, nie walką. Ale wszyscy rekruci przechodzili takie samo podstawowe szkolenie – zanim stali się ludźmi Przymierza, musieli przecierpieć miesiące fizycznych katuszy. Uczono ich, jak przewycięzać i przekraczać granice wytrzymałości. A kiedy ich ciała buntowały się i chciały poddać się ze zmęczenia i wyczerpania, musieli umieć znaleźć jakiś sposób, żeby jednak iść dalej. Musieli przedzierać się przez powstrzymujące ich psychiczne ograniczenia i bariery, wkraczać w rejony wcześniej niedostępne nawet ich wyobraźni.

To był rytuał przejścia, więź łącząca wszystkie kobiety i wszystkich mężczyzn służących w Siłach Wojskowych Przymierza Układów. Doświadczenia te jednoczyły ich wszystkich i dawały im siłę. Przemieniały ich w żywe symbole – stworzone z krwi i kości manifestacje nieposkromionego, ludzkiego ducha.

Anderson wiedział, że teraz musi się do tego dowołać.

– Do cholery, Sanders! – zaczął na nią wrzeszczeć. – Ani mi się waż teraz rezygnować! Twój oddział się stąd wyciąga, więc weź swoją dupę w troki i ruszaj nogami ile sił! To jest rozkaz!

Jak każdy dobry żołnierz, Kahlee usłuchała jego rozkazów. Jakoś udało jej się stanąć o własnych siłach. Przez cały czas kurczowo ścisnęła w rękach wręczony jej przedtem karabin. Ruszyła wolnym, nieporadnym biegiem – siłą woli zmuszała swoje ciało do czegoś, co jej umysł uważał za niemożliwe do wykonania. Anderson przyglądał jej się przez chwilę, żeby

upewnić się, że się znowu nie podda, potem ruszył za nią, dostosowując swoje tempo do rytmu jej kroków. Razem zbliżali się do budynków, z których wydobywały się dymy, płomienie i krzyki.

Osiedle pracowników rafinerii zamieniło się w samo piekło. Buchające z pożogi ryki szalejących płomieni, mieszały się z krzykami bólu i przejmującym zawrotem głowy rodzin ofiar pożaru. Ta okropna kakofonia przerywana była rozdzierającymi uszy hukami kolejnych eksplozji, dochodzącymi z wnętrza płonącego budynku rafinerii.

Tłuste chmury czarnego dymu kłębiły się od ziemi do dachów, ogień przeskakiwał między kolejnymi budynkami, powoli obejmując cały teren osiedla. Żar był jak żyjąca, potężna istota, która chwyciła ich za ręce i za nogi, wbijając pod skórę ogniste pazury, kiedy przebiegali obok. Trujący dym bił ich po oczach i wlewał się w ich płuca, powoli ich podsuszając. Wszędzie wokół czuć było obrzydliwy, słodki odór płonących ciał.

Ciała leżały na ulicy, wśród nich było wiele dzieci. Część z nich była ofiarami deszczu roztopionej rudy, ich osmalone kości leżały w kałużach roztopionych ciał. Inni zginęli od poparzeń lub zatrucia dymem, ich zwłoki najczęściej zwinięte były w pozycji embrionalnej, pod wpływem mimowolnych skurczów płonących tkanek. Niektórzy zostali po prostu stratowani przez uciekających, ich kończyny były połamane i powykręcane w groteskowych pozach, a ich twarze zostały rozdeptane na miazgę pod stopami uciekającego tłumu ich własnych sąsiadów.

Wszystkie bitwy, w których Anderson uczestniczył, wszystkie walki, które stoczył, wszystkie okropności wojny, które oglądał na własne oczy, w najmniejszym stopniu nie przygotowały porucznika na groźbę tego, co musieli oglądać w czasie ich ucieczki z płonącej rafinerii. Nie mogli jednak ofiarom tej katastrofy w żaden sposób pomóc. Nie mogli nic dla nich zrobić. Mogli tylko pochylić głowy do dołu, pochylić się i biec dalej.

W czasie tej ich desperackiej ucieczki Kahlee parę razy potknęła się i upadła, ale Anderson za każdym razem pomagał jej wstać i zachęcał do dalszego biegu. I jakimś cudem udało im się wyjść z tego piekła żywcem... w samą porę, żeby zobaczyć, jak Saren wrzuca do wnętrza swojego pojazdu jakąś małą, metalową skrzynkę.

Turianin spojrział na nich z nieskrywanym zdziwieniem. W świetle płomieni pożerających znajdujące się za ich plecami osiedle, Anderson dostrzegł w jego oczach błysk niezadowolenia. Saren nie odezwał się do nich ani słowem i usiadł za kierownicą. Przez krótką chwilę Anderson myślał, że po prostu odjedzie i zostawi ich tam na pastwę losu.

– Wsiadajcie! – krzyknął turianin.

Być może spowodował to widok karabinów, które oboje wciąż trzymali w rękach. A może obawiał się, że w jakiś sposób zaszkodzi mu to, jeśli ich tak po prostu porzuci. Anderson w

tym momencie nie przywiązywał do tego zbyt dużej wagi. Był po prostu zadowolony, że Widmo na nich poczekało.

Pomógł Kahlee wsiąść do wnętrza pojazdu, a potem usiadł obok niej.

– Gdzie jest Edan? – zapytał, kiedy silnik zaczął pracować.

– Nie żyje.

– A doktor Qian? – zainteresowała się Kahlee.

– Też nie żyje.

Saren wrzucił przekładnię biegów pojazdu i ruszyli, wzbijając za sobą chmurę piachu. Anderson opadł na swoje siedzenie. Wszystkie myśli o leżącej z tyłu metalowej skrzynce ulotniły się z jego głowy, kiedy w końcu poddał się krańcowemu wyczerpaniu.

Wjeżdżali w ciemności nocy. Ponura scena śmierci i zniszczenia zostawała coraz dalej i dalej za ich plecami.

EPILOG

Anderson wyszedł z budynku ambasady Przymierza na Cytadeli prosto na zalaną sztucznym światłem słonecznym, rozległą przestrzeń Prezydium. Zszedł po schodach prowadzących w głąb doliny, na pokryte zieloną trawą łąki.

Kahlee czekała na niego w dole, nad brzegiem jeziora. Siedziała na trawie, zanurzając nagie stopy w wodzie. Podeszedł, usiadł ciężko obok niej i też zsunął buty, żeby zanurzyć stopy w chłodnej, odświeżającej wodzie.

– Ooch, to takie przyjemne.

– To było naprawdę długie spotkanie – powiedziała Kahlee.

– Bałem się, że znudzi ci się na mnie czekać.

– Akurat nie miałam nic innego do roboty – drażniła się z nim. – Ja już spotkałam się z panią ambasador. Poza tym uznałam, że jeszcze ci potowarzyszę, przynajmniej tyle jestem ci winna – dodała poważniejszym tonem.

– Nic mi nie jesteś winna – odparł, a potem pogrążyli się w przyjemnym, pozbawionym skrępowania milczeniu.

Od ich ucieczki z płonącej rafinerii na Camali minęły zaledwie cztery dni. Pierwszą noc spędzili w znajdującym się w pobliżu portu międzygwiazdowego, ośrodku medycznym. Zajęto się tam ich płucami, które przyswoiły spore ilości dymu, badano także stan ogólny pod względem możliwej inhalacji uwolnionych przez eksplozję do powietrza toksyn, Kahlee dostała też odżywcze kroplówki, które miały zwalczyć skutki odwodnienia, jakiego nabawiła się w czasie uwięzienia w magazynie rafinerii.

Następnego dnia spotkali się z całą grupą przedstawicieli Przymierza: z żołnierzami, których przydzielono im do ochrony i z pracownikami wywiadu, którzy wysłuchali ich wstępnych sprawozdań. Potem załadowano ich na pokład oczekującej specjalnie na nich fregaty i zabrano ich do Cytadeli, żeby mogli złożyć meldunki swoim przełożonym, i wszystkim innym ważnym osobom z dowództwa. Spotkania, przesłuchania i rozmowy trwały całe trzy dni, w czasie których usiłowano ustalić, co się tak naprawdę stało... i kto właściwie był za to odpowiedzialny.

Anderson podejrzewał, że ten długoterminowy polityczny opad radioaktywny może potrwać miesiące. A może nawet lata. Ale po spotkaniu z ambasadorem Goyle, z którego właśnie wyszedł, wszystkie te korowody się skończyły, przynajmniej dla niego. A właściwie dla nich obojga.

W tym momencie, po raz pierwszy od tej piekielnej nocy, mieli okazję przebywać ze sobą sam na sam. Miał ochotę objąć ją i mocno przytulić, ale nie był pewien, jak na to zareaguje. Chciał coś powiedzieć, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Więc po prostu siedzieli tam obok siebie, nad brzegiem spokojnego jeziora i nic nie mówili.

Kahlee w końcu przerwała to długie milczenie.

– Co powiedziała ambasadorka?

– Mniej więcej to, czego się spodziewałem – powiedział z westchnieniem. – Rada odrzuciła moją kandydaturę na Widmo.

– Bo Saren cię objechał – powiedziała z niesmakiem.

– Mój portret przedstawiony w jego raporcie nie należy do tych pochlebiających. Napisał w nim, że zignorowałem prawdziwy cel misji. Twierdzi, że narażę go na niebezpieczeństwo, ostrzegając znajdujących się wewnątrz rafinerii najemników swoim przedwczesnym wtargnięciem na jej teren. Udało mu się nawet obwinić mnie za te wybuchy!

– Przecież to same kłamstwa! – powiedziała Kahlee, z rozdrażnieniem wymachując rękami.

– Przemieszane z taką ilością prawdy, żeby można było w nie uwierzyć – zauważył. – Poza tym, on jest Widmem, jednym z najlepszych. Więc wiadomo, że to jemu uwierzą.

– A może Rada po prostu szuka pretekstu, żeby nie pozwolić ludziom zacząć służyć w WiDMO. Przymierze ma znać swoje miejsce w szeregu i nie wychylać się.

– Być może. Ale to już problem Goyle.

– A co z tą odkrytą przez Qiana technologią obcego pochodzenia? – zapytała Kahlee.

– Eksperci Rady badają teraz dokumenty z Sidonu – wyjaśnił Anderson. – To wszystko pozostaje w sferze teorii i domysłów. Prawdę mówiąc, chyba w ogóle nie wierzą w istnienie tego starożytnego artefaktu.

– Więc, po co kazał nam wykonywać te wszystkie dodatkowe badania? – zaprotestowała. – Co chciał w ten sposób osiągnąć?

Anderson wzruszył ramionami.

– Mówią, że Qian był psychicznie niezrównoważony. Uważają, że omamił Edana szalonymi perspektywami i fałszywymi obietnicami, które miały pokrycie jedynie w jego własnych psychotycznych mrzonkach. Sądzą, że krok po kroku wciągał cały projekt Sidonu w głąb swojego własnego szaleństwa.

– Co ambasadorka miała do powiedzenia na twój temat? – po chwili wahania zapytała Kahlee, o wiele łagodniejszym głosem, niż przed chwilą.

– Najpierw nie wydawała się zbyt zadowolona – przyznał. – Nie zostałem Widmem, a całe to zadanie zostawiło po sobie mnóstwo politycznego brudu, który ona sama musi teraz uprzątnąć.

– A co w sprawie cywilów, którzy zginęli w wyniku eksplozji? Przymierze chyba nie chce zwalić za to winy na ciebie, prawda? – w jej głosie było tyle szczerych emocji, że Anderson pożałował, że wcześniej nie objął jej i nie przytulił.

– Nie. Goyle nie szuka kozła ofiarnego. Rada utajniła wszystkie dokumenty, w jakiś sposób związane z Sarenem. Oficjalnie zostało uznane to za zwykłą przemysłową katastrofę. Kiedy ambasador uspokoiła nerwy, chyba doszła do wniosku, że ta misja nie okazała się kompletną porażką. Dowiedzieliśmy się, co tak naprawdę działo się na Sidonie, a odpowiedzialne za to osoby nie żyją. Myślę, że dzięki temu wciąż mam u niej jakiś kredyt zaufania.

– Więc nie zaszkodzi to twojej karierze wojskowej?

– Prawdopodobnie nie. Ale również nie pomoże.

– To dobrze – powiedziała, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Wiem, jak dużo dla ciebie znaczy bycie żołnierzem Przymierza.

Wyciągnął rękę i delikatnie chwycił ją za tył głowy, przechylił ją lekko do tyłu i przybliżył się do niej. Ich usta zetknęły się na ułamek sekundy, a potem go odepchnęła.

– Nie, Davidzie – szepnęła. – Nie możemy tego zrobić. Przykro mi.

– Dlaczego nie? – zapytał, zaskoczony.

– Na dzisiejszym rannym spotkaniu zaproponowano mi nową posadę. Chcą, żebym została członkiem zespołu badawczego, pracującego nad nowym projektem. Nawet dostałam awans.

– To świetnie, Kahlee! – wykrzyknął, szczerze podekscytowany. – Gdzie będziesz stacjonować?

Posłała mu błady uśmiech.

– To tajne.

Uśmiech na jego twarzy zgasł.

– Aha.

– Nie przejmuj się – powiedziała, starając się zbagatelizować sytuację. – Nie będziemy teraz zajmować się żadnymi nielegalnymi badaniami.

Nie odpowiedział, starając się przetrwać całą tę rozmowę.

– Możemy to jakoś sensownie urządzić – oświadczył nagle. – Między nami jest coś szczególnego. Musimy spróbować dać temu szansę, jesteśmy to winni sobie samym.

– Ze mną, pracującą nad ściśle tajnym projektem i tobą, zawsze na jakimś patrolu? – potrząsnęła głową. – Tylko byśmy oszukiwali samych siebie.

Chociaż nie było to łatwe ani przyjemne, musiał jej przyznać rację.

– Jesteś dobrym człowiekiem, Davidzie – powiedziała, próbując złagodzić ból odrzucenia.
– Ale nawet, gdybym ja nie wyjeżdżała teraz w niewiadome miejsce, to i tak nie sądzę, że moglibyśmy kiedykolwiek zostać kimś więcej, niż tylko parą przyjaciół. W twoim życiu wojsko zawsze będzie na pierwszym miejscu. Oboje dobrze o tym wiemy.

Pokiwał głową, ale nie mógł się zdobyć na spojrzenie jej prosto w oczy.

– Kiedy odlatujesz?

– Dziś wieczorem – powiedziała. – Muszę się zdążyć przygotować. Po prostu chciałam jeszcze się z tobą zobaczyć, być może po raz ostatni. Żeby podziękować ci... za wszystko.

Kahlee wstała, poprawiła włosy, potem pochyliła się i szybko pocałowała go w policzek.

– Do widzenia, żołnierzu.

Nie patrzył za nią, kiedy odchodziła. Zamiast tego patrzył przed siebie, na jezioro. Przez długi, naprawdę długi czas.

* * *

W odosobnieniu swojego małego, jednoosobowego pojazdu Saren przez długie godziny studiował dane z pamięci USB ze skrzynki doktora Qiana. Jego podejrzenia okazały się uzasadnione: ten obcy artefakt był jakimś rodzajem statku kosmicznego. Nazywał się „Suveren”. Był wspaniałym reliktem z czasów wyginięcia protean, ogromnym okrętem wojennym o wielkiej mocy.

Ale nie był tylko zwykłym okrętem. Jego systemy, budowa i zastosowane w nim technologie znacznie przewyższały wszystkie stosowane w przestrzeni Cytadeli rozwiązania. Jego wspaniałość i stopień skomplikowania dorównywały największym osiągnięciom protean – przekaźnikom masy i Cytadeli. Być może nawet je przewyższały. Jeśli Sarenowi udałoby się zrozumieć zasady jego działania, mógłby sam skorzystać z jego potęgi.

Przez całe swoje dotychczasowe życie przygotowywał się do chwili takiej jak ta. Wszystko, co kiedykolwiek zrobił – jego służba wojskowa, kariera w WiDMO – były jedynie preludiami do tego objawienia. Teraz nareszcie znalazł prawdziwy cel swojego życia. To przeznaczenie go tu doprowadziło.

Jak inaczej miał wytłumaczyć fakt, że wszystko, w tak doskonały sposób, pracowało na jego korzyść? Anderson nie został przyjęty do WiDM. Przymierze zostało politycznie upokorzone. Rada była przekonana, że artefakt w ogóle nie istnieje. A jedyna osoba, która mogła go wydać, nie żyła.

Ich śmierć miała jednak swoje koszty. Qian być może tracił kontakt z rzeczywistością, ale jeden rzut oka na jego notatki dowodził jego błyskotliwości – był prawdziwym geniuszem. Saren rozumiał fundamentalne założenia i teorie stojące u podstaw technologii sztucznej

inteligencji, ale zakres badań tego szalonego człowieka wielokrotnie przekraczał jego zdolności pojmowania. Musiał znaleźć kogoś równie uzdolnionego, kto mógłby wznowić badania nad „Suwerenem”. Znalezienie odpowiedniego zastępstwa mogło mu zająć długie lata.

Jednak nie żałował tego, że zabił Qiana. Doktor zbyt głęboko w tym siedział i był zbyt nieobliczalny. Zawarte na pamięci USB notatki potwierdzały stały postęp rozwoju jego demencji, pogarszający się stan jego psychiki musiał mieć jakiś związek z bezpośrednim oddziaływaniem „Suwerena” na umysły istot inteligentnych. Okręt prawdopodobnie generował jakiś rodzaj pola. Jakies promieniowanie czy emisję cząstek. Coś, co zniszczyło i odkształciło umysł Qiana w czasie, kiedy przeprowadzał bezpośrednie badania na jego pokładzie.

Okręt oddziałwał również na Edana, chociaż w jego przypadku wpływ ten miał subtelniejszą postać. Po pierwszej osobistej wizycie na jego pokładzie, batarianin zaczął zachowywać się inaczej, niż do tej pory. Zaczął zadawać się z ludźmi, przestał obawiać się potęgi Widm. Edan prawdopodobnie nawet nie uświadamiał sobie zmian, jakie w nim zaszły – chociaż z perspektywy czasu były one oczywiste.

Musiał zachować jak największą ostrożność. Musiał absolutnie unikać wystawiania się na wpływ okrętu do chwili, kiedy dowie się, na czym on dokładnie polega. Będzie pracował za pomocą pośredników, takich jak zespół badawczy Edana w pobliżu Mgławicy Perseusza.

Saren planował wkrótce się z nimi skontaktować. Odcięci od wszystkich zewnętrznych źródeł informacji, prawdopodobnie nie mają pojęcia o tym, co stało się z ich dotychczasowym pracodawcą. Jeśli będą chcieli pracować dla niego, kiedy już się o tym dowiedzą – i jeśli, oczywiście, wykażą się jakimiś postępami w badaniach – być może nie będzie musiał nawet ich eliminować. Przynajmniej do chwili, kiedy ich osobowości zaczną objawiać nieuniknione zaburzenia psychiczne.

Musiał jeszcze dokładnie rozważyć jedną ważną kwestię. Okręt znajdował się tuż za granicami Welonu Perseusza, na samej krawędzi przestrzeni gethów. Być może będzie musiał mieć z nimi do czynienia... chociaż, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, być może uda mu się użyć „Suwerena”, jako narzędzia kontroli nad gethami.

Niebezpieczeństwo było duże, ale potencjalne zdobycze były warte tak wielkiego ryzyka. Musiał po prostu być ostrożny. Cierpliwy. Będzie działał powoli i rozważnie. To może mu zająć długie lata. Może nawet dziesięciolecia. Ale któregoś dnia to on będzie dysponował całą tajemniczą mocą tego starożytnego okrętu.

I kiedy w końcu uwolni jego prehistoryczną potęgę, wszystko zmieni się już raz na zawsze. Turianie nigdy więcej nie będą zmuszeni uginać karku przed wolą Rady. Tak jak wtedy, kiedy zmuszono ich do wypłaty odszkodowań po zakończeniu Woj – ny Pierwszego Kontakt. W końcu nadejdzie długo oczekiwany dzień zapłaty dla Przymierza. Ludzkość pozna swoje

miejsce w szeregu wszystkich innych gatunków istot inteligentnych, które składają hołd Cytadeli.

A kluczem do tego wszystkiego był „Suwren”.

Tworzenie własności intelektualnej o takiej głębi i rozległości, jakie posiada „Mass Effect” to gigantyczne przedsięwzięcie, które po prostu nie byłoby możliwe do zrealizowania bez udziału wszystkich moich przyjaciół i współpracowników z BioWare.

Przede wszystkim, chciałbym podziękować Caseyowi Hudson i Prestonowi Watamaniuk za pomoc w ukształtowaniu ogólnego zarysu wizji „Mass Effect”, szczególne wyróżnienie należy się wszystkim współtwórcom projektu, którzy pracowali nad nim w Bio Ware: Chrisowi L’Etoile (naszemu stałemu ekspertowi technicznemu i naukowemu guru), Luke ’owi Kristjansen, Macowi Walters, Patrickowi Weekes i Mike ’owi Laidlaw.

Chciałbym również podziękować Keithowi Clayton, mojemu redaktorowi z wydawnictwa Del Rey za wszystko, co zrobił, żeby uczynić moją książkę na tyle doskonałą, na ile to było możliwe w obliczu raczej naglącego terminu złożenia powieści.

Książka ta nie mogłaby powstać bez współudziału wyżej wymienionych – jestem wam wdzięczny za wszystko, co dla niej zrobiliście.